

morgan matson

*aż po*  
*horyzont*

Przełożył  
Stanisław Kroszczyński

*Mojemu ojcu*

RAVEN ROCK HIGH SCHOOL

Raven Rock, CA

**ŚWIADECTWO KOŃCOWE**

**uczeń/uczennica**

Amelia E. Curry

junior

**przedmiot**

ocena końcowa

Literatura amerykańska

A

Historia Ameryki

A

Chemia

B-

Język francuski

B+

Wychowanie fizyczne

B

Zajęcia teatralne

A

**uwagi**

Niniejsze świadectwo zostanie przekazane władzom  
STANWICH HIGH SCHOOL w Stanwich, stan Connecticut.

Uczennica jesienią podejmie naukę jako senior.

**nieobecności**

1 – usprawiedliwiona (A)

5 – usprawiedliwione (D)

przyczyny nieobecności

**A** choroba

**B** wydarzenia organizowane przez szkołę

**C** udział w zawodach sportowych

**D** żałoba

**E** inne



OD	TEMAT	STATUS
Mama	Już w Connecticut!	odebrana
Julia Andersen	Martwię się o Ciebie	<b>nieodebrana</b>
Raven Rock HS	Świadectwo końcowe	odebrana
Mama	Mam nadzieję, że przedstawienie się udało!	odebrana
Raven Rock Nieruchomości	Potencjalni nabywcy domu dziś po południu	odebrana
Julia Andersen	Hej hej?	<b>nieodebrana</b>
Julia Andersen	Plz odezwij się	<b>nieodebrana</b>
Raven Rock Nieruchomości	Pokazuję dom o 4	odebrana
Julia Andersen	Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko OK	<b>nieodebrana</b>
Mama	Trasa	odebrana

**OD:** Hildy Evans (hildy@ravenrockrealty.com)

**DO:** Amy Curry (amycurry@netmail.com)

**TEMAT:** Pokazuję dom o 4

**DATA:** 1 czerwca

**GODZINA:** 10:34

Witaj, Amy!

Chciałam tylko Cię zawiadomić, że dzisiaj o czwartej pokazuję dom potencjalnym nabywcom. Piszę o której, bo jak pamiętasz, chodzi o to, żeby Cię wtedy nie było. Jak rozmawialiśmy, chcemy, żeby ludzie od razu wyobrazili sobie, że to jest ich DOM, co znacznie łatwiej osiągnąć, kiedy znajdujemy się tam sami, tylko kupujący i ja!

O ile dobrze zrozumiałam, wkrótce wybierasz się do Connecticut, do mamy. Wyjeżdżając, możesz spokojnie zostawić drzwi zamknięte, mam drugi zestaw kluczy.

Wielkie dzięki!

Hildy

**OD:** Mama (pamelacurry@stanwichcollege.edu)

**DO:** Amy (amycurry@netmail.com)

**TEMAT:** Trasa

**DATA:** 3 czerwca

**GODZINA:** 9:22

**ZAŁĄCZNIK ■:** TRASA PRZEJAZDU

Cześć, Amy!

Pozdrowienia z Connecticut! Cieszę się, że dobrze Ci poszło na koniec roku. I miło mi, że Kandyd cieszył się powodzeniem. Jestem pewna, że świetnie wypadłaś, zresztą jak zwykle – szkoda, że nie mogłam tego widzieć!

Trudno mi uwierzyć, że upłynął już miesiąc, odkąd ostatnio się widziałyśmy. Wydaje się, że było to znacznie, znacznie dawniej. Mam nadzieję, że zachowywałaś się możliwie jak najlepiej wobec swojej ciotki.

To była ogromna uprzejmość z jej strony, że zgodziła się Tobą opiekować, więc mam nadzieję, że jej podziękowałaś.

Jestem pewna, że podróż odbędzie się bez przeszkód. Spodziewam się Ciebie i Rogera nie później niż dziesiątego, zgodnie z marszrutą, którą znajdziesz w załączniku. W wymienionych hotelach macie zarezerwowane noclegi. Zapłać za nie, podobnie jak za posiłki i za benzynę swoją awaryjną kartą

kredytową.

I proszę, pamiętaj o zasadach bezpieczeństwa! Informacja pogotowia ratunkowego AAA znajduje się w schowku na rękawiczki – to tak na wszelki wypadek.

Wiem, że wysłałaś pozdrowienia bratu. Dostałam od niego e-mail, również Cię pozdrawia. W tym zakładzie nie może odbierać telefonów, ale wolno mu korzystać z poczty elektronicznej. Byłoby miło, gdybyś jakoś niedługo do niego napisała.

Twoja mama

### TRASA PRZEJAZDU

**wyjazd:** z Raven Rock, Kalifornia

**pierwszy nocleg:** Gallup, Nowy Meksyk

**drugi nocleg:** Tulsa, Oklahoma

**trzeci nocleg:** Terre Haute, Indiana

**czwarty nocleg:** Akron, Ohio

**punkt docelowy:** Stanwich, Connecticut

Potem odwiozę Rogera do domu jego ojca w Filadelfii.

Bezpiecznej drogi!





**Miss Kalifornia**





*Eureka [znalazłem]*  
– dewiza stanu Kalifornia

Siedziałam na schodkach frontowych mojego domu i patrzyłam, jak beżowy subaru kombi zbyt szybko wjeżdża w ślepy zaułek. Błąd, nagminnie popełniany przez kurierów dostarczających przesyłki. Na Raven Crescent są tylko trzy domy, więc zanim człowiek się obejrzy, dojeżdża do samego końca. Napruci kumple Charlie'ego nie byli w stanie tego zapamiętać, zawsze najpierw zawracali i dopiero potem zajeżdżali pod nasz dom. Subaru jednak wybrało inne rozwiązanie – wóz zatrzymał się, błysnęły na czerwono światła hamowania, a potem białe, kiedy samochód zajeżdżał pod nasz dom na wstecznym. Na tyle blisko, że mogłam odczytać treść nalepek na zderzaku: MÓJ SYN BYŁ STUDENTEM MIESIĄCA W RANDOLPH HALL oraz MÓJ DZIECIAK I MOJE \$\$\$ IDĄ DO COLORADO COLLEGE. W samochodzie siedziało dwoje ludzi, rozmawiali ze sobą – wiecie, ta niezręczna sytuacja, kiedy nie można normalnie odwrócić się do kogoś, bo macie jeszcze zapięte pasy.

Między mną a podjazdem rozciągał się niezłe już zapuszczony trawnik, a pośrodku sterczała tabliczka, którą widywałam codziennie od trzech miesięcy, martwy przedmiot, który znienawidziłam tak serdecznie, że aż czasem mnie to niepokoiło. Był to szyld agencji nieruchomości, widniała na nim podobizna uśmiechniętej, wysprejowanej lakierem do włosów blondynki. Napis głosił: SPRZEDAM, a niżej, jeszcze większymi literami: WITAJCIE W DOMU!

Odkąd tylko szyld się pojawił, zachodziłam w głowę, dlaczego napisali to dużymi literami, ale nie udało mi się znaleźć satysfakcjonującego wyjaśnienia. Stwierdziłam tylko, że pewnie miło jest zobaczyć coś takiego przed domem, do którego człowiek zamierza ewentualnie się wprowadzić. Ale wcale nie jest to przyjemne, gdy chodzi o dom, z którego trzeba się wynosić. I od

razu usłyszałam w głowie głos pana Collinsa, który uczył mnie w piątej klasie angielskiego i którego bałam się bardziej niż jakiegokolwiek nauczyciela, jak wrzeszczy na mnie:

– Amy Curry, nie zaczyna się zdania od „ale”!

Wkurzona z powodu fantomowych napomnień pana Collinsa, poleciłam mu w duchu, żeby się ode mnie odwalił.

Nigdy nie spodziewałam się, że któregoś dnia ujrzę na naszym trawniku szyld agencji nieruchomości. Przed trzema miesiącami moje życie było wręcz do bólu poukładane. Mieszkaliśmy w Raven Rock, czyli na przedmieściu Los Angeles, oboje moi rodzice byli profesorami w College of the West, niewielkiej szkole, odległej o dziesięć minut jazdy od naszego domu. Na tyle blisko, że łatwo było dojechać i na tyle daleko, że nie słychać było odgłosów sobotnich imprez w kampusie. Ojciec wykładał historię (wojna secesyjna i rekonstrukcja), matka literaturę angielską (modernizm/literatura współczesna).

Mój brat bliźniak, Charlie – trzy minuty młodszy ode mnie – właśnie pomyślnie zdał egzaminy PSAT i ledwo udało mu się wymigać z zarzutu posiadania, bo jakimś cudem wmówił gliniarzowi, który go dopadł, że ta uncja zioła w plecaczku to tak naprawdę rzadka kalifornijska przyprawa o nazwie humboldt, a ma ją stąd, że jest studentem Pasadena Culinary Institute.

Zaczęłam właśnie dostawać główne role w różnych szkolnych przedstawieniach i już trzy razy umówiłam się na randkę z Michaeliem Youngiem (pierwszy rok college’u, specjalizacja jeszcze nieokreślona). Nie wszystko układało się perfekcyjnie, bo moja najlepsza na świecie przyjaciółka, Julia Andersen, przeprowadziła się w styczniu na Florydę – ale spoglądając z późniejszej perspektywy, zdałam sobie sprawę, że wtedy naprawdę żyło mi się cudownie. Tyle że wtedy to do mnie nie docierało. Zawsze jednak zakładałam, że do jakichś istotnych zmian w moich sprawach nie dojdzie.

Spoglądałam teraz na beżowe subaru, na tych obcych ludzi, którzy wciąż siedzieli w środku i rozmawiali – i pomyślałam, nie po raz pierwszy zresztą, jaką byłam idiotką. W dodatku część

mojego umysłu – taka, która uaktywniała się dopiero bardzo późno w nocy, kiedy zdawało się, że może uda mi się w końcu zasnąć – zawzięcie dochodziła, czy przypadkiem jakoś tego wszystkiego nie sprowokowałam. Czy tego nie spowodowałam właśnie przez to, że spodziewałam się, liczyłam, że wszystko zostanie tak, jak było. Pomijając, rzecz jasna, że spowodowałam wypadek – po prostu go spowodowałam.

Moja matka postanowiła wystawić dom na sprzedaż niemal zaraz potem. Ani mnie, ani Charlie’ego nie pytała o zdanie, jedynie poinformowała nas o swoich zamiarach. Trzeba przyznać, że w tamtej chwili nie było sensu pytać Charlie’ego o cokolwiek. Od tamtego dnia w zasadzie nigdy nie bywał trzeźwy. Podczas pogrzebu ludzie nie szczędzili ciepłych słów, bo wydawało im się, że mój braciszek ma oczy przekrwione od płaczu. Najwyraźniej pozbawieni byli węchu, bo każdy, kto znalazł się w pobliżu Charlie’ego, musiał czuć, jaka jest prawdziwa przyczyna. Już od siódmej klasy imprezował ostro, chociaż nieregularnie, natomiast w ostatnim roku naprawdę się w to wciągnął. A od wypadku było już tylko coraz gorzej, naprawdę niedobrze, aż doszło do sytuacji takiej, że nienarąbany Charlie stał się swojego rodzaju postacią mityczną, na wpół zapomnianą. Czymś na kształt yeti.

Mama uznała, że rozwiązaniem będzie przeprowadzka. „Zaczniemy od nowa – powiadomiła nas któregoś wieczoru przy kolacji. – Przeniesiemy się w miejsce, z którym nie wiąże się tyle wspomnień”. Szlyd agencji nieruchomości pojawił się już następnego dnia.

Postanowiła, że przeniesiemy się do Connecticut, czyli do stanu, w którym nigdy nie byłam. I wcale nie miałam szczególnej ochoty, żeby się w nim znaleźć. Pan Collins z pewnością wolałby, żebym powiedziała: „Był to zarazem stan, w którym nieszczególnie pragnęłam się znaleźć”. Mieszkała tam nasza babcia, ale dotąd to zawsze ona przyjeżdżała do nas w odwiedziny, no bo przecież to my mieszkaliśmy w Południowej Kalifornii, a ona w Connecticut. Teraz jednak mamie zaproponowano posadę profesorki języka angielskiego w Stanwich. Mało tego, w pobliżu

mieściła się zupełnie fantastyczna szkoła, która z pewnością wzbudzi mój zachwyty. College pomógł jej znaleźć dom do wynajęcia w rozsądnej cenie, toteż gdy tylko Charlie i ja skończymy rok szkolny, wszyscy tam się przeniesiemy, a tymczasem agencja nieruchomości WITAJ W DOMU zajmie się sprzedażą naszego... No właśnie: domu.

Przynajmniej taki z początku był plan. Jednak miesiąc po tym, jak pojawił się rzeczony sztyld, nawet moja matka nie mogła już udawać, że nie wie, co się dzieje z Charliem. Ani się obejrzałam, jak zabrała go ze szkoły i umieściła na odwyku w Karolinie Północnej. Zaraz potem ruszyła prosto do Connecticut, żeby prowadzić letnie kursy w college'u i „pozałatwić różne sprawy”. W każdym razie tak powiedziała – że właśnie dlatego musi wyjechać od razu. Podejrzywałam jednak, a nawet prawie byłam pewna, że po prostu chce się ode mnie uwolnić. Odnosiłam wrażenie, że w gruncie rzeczy nie może na mnie patrzeć. Nie żebym miała jej to za złe. Sama nie mogłam na siebie patrzeć.

Tak więc ostatni miesiąc spędziłam samotnie w naszym domu, jeżeli nie liczyć odwiedzin Hildy od nieruchomości, która przyprowadzała rozmaitych potencjalnych nabywców, prawie zawsze właśnie wtedy, gdy akurat wyszłam spod prysznic – i mojej ciotki, która od czasu do czasu wpadała z Santa Barbara, żeby sprawdzić, czy coś jem i czy nie zaczęłam produkować mety w garażu. Plan był prosty: skończy się rok szkolny, potem jadę do Connecticut. Pozostawał jednak jeden problem: samochód.

Dwójka w subaru dalej ze sobą rozmawiała, jednak chyba już rozpięli pasy, bo siedzieli teraz twarzą w twarz. Zerknęłam w stronę naszego garażu – był przeznaczony na dwa samochody, ale teraz stał w nim tylko jeden wóz, jedyny, jaki nam pozostał. To był samochód mojej matki, czerwony jeep liberty. Był jej potrzebny w Connecticut, nie mogła przecież bez końca pożyczać samochodu babci, zabytkowego deville coupé. O ile dobrze zrozumiałam, babcia nie zamierzała rezygnować z brydżyków u znajomych i mało ją obchodziło, że moja matka musi jeździć po sklepach, żeby urządzić naszą nową siedzibę. Rozwiązanie problemu

samochodowego zostało mi obwieszczone tydzień wcześniej, w czwartek wieczorem.

Właśnie miałam za sobą premierę wiosennego musicalu Kandyd. Pierwszy raz nikt na mnie nie czekał po przedstawieniu. Za dawnych czasów szybko pozbywałam się rodziców i Charlie'ego, przyjmowałam komplementy oraz bukiety kwiatów, ale myślami już byłam na imprezie. Dopóki nie wyszłam z resztą obsady, nie zdawałam sobie sprawy, jak się poczuje, kiedy okaże się, że nikt na mnie nie czeka, nikt mi nie powie, jaka byłam wspaniała. Od razu złapałam taksówkę i wróciłam do domu, nawet nie byłam pewna, gdzie odbędzie się popremierowa impreza. Reszta załogi śmiała się wesoło – i byli to ludzie, których jeszcze trzy miesiące przedtem uważałam za swoich najlepszych przyjaciół – wszyscy gadali naraz, a ja tymczasem prędko spakowałam manatki i czekałam już przed szkołą na taryfę. Mówiłam im wielokrotnie, że należy zostawić mnie w spokoju, a oni najwyraźniej usłuchali mojego żądania. Właściwie nie powinnam się dziwić. Już wcześniej zdążyłam się przekonać, że jeżeli odpycha się ludzi od siebie wystarczająco konsekwentnie, wkrótce przestają nalegać.

Stałam w kuchni, miałam jeszcze na sobie gruby sceniczny makijaż Kunegundy, sztuczne rzęsy zaczynały już mnie drażnić, w głowie jeszcze pobrzmiwała mi piosenka „Najlepszy ze światów”, kiedy zadzwonił telefon.

– Cześć, kochanie – powiedziała moja matka, tłumiąc ziewnięcie. Spojrzałam na zegar, w Connecticut dochodziła już pierwsza po północy. – Co tam u ciebie?

Przemknęło mi przez głowę, żeby powiedzieć jej prawdę. Ponieważ jednak nie uczyniłam tego ani razu od niemal trzech miesięcy, a brak zwierzeń z mojej strony najwyraźniej nie robił na niej wrażenia, nie widziałam powodu, żeby nagle ten stan rzeczy zmieniać.

– W porządku – odpowiedziałam. Zawsze tak odpowiadałam. Włożyłam resztki kolacji z poprzedniego dnia – kawałek pizzy Casa Bianca – do mikrofal i nacisnęłam przycisk.

– W takim razie posłuchaj – odezwała się moja matka, czym z miejsca wzbudziła moją czujność. Zazwyczaj od tego zaczynała, gdy zamierzała przekazać mi jakąś informację, co do której wiedziała, że mi się nie spodoba. Poza tym mówiła szybciej niż zwykle, a więc kolejny sygnał alarmowy. – Chodzi o samochód.

– Samochód? – Wyjęłam pizzę, położyłam na talerzu, żeby trochę ostygła. Nawet nie zauważyłam, kiedy przestał być jednym z talerzy, a stał się po prostu jedynym talerzem. Używałam tylko jednego, potem go myłam i używałam znowu. Reszta nakryć stała się niepotrzebna.

– Tak – odpowiedziała, tłumiąc kolejne ziewnięcie. – Sprawdziłam, ile będzie kosztowało przywiezienie wozu na lawecie, do tego bilet lotniczy dla ciebie, no i cóż... – urwała. – Obawiam się, że w tej chwili mnie na to nie stać. Dom niesprzedany, odwyk twojego brata sporo kosztuje...

– Ale co masz na myśli? – spytałam, bo nie mogłam jej zrozumieć. Odgryzłam kęs pizzy.

– Nie stać nas na jedno i drugie – wyjaśniła. – A samochodu potrzebuję. Ktoś będzie musiał nim tutaj przyjechać.

Pizza była jeszcze za gorąca, ale i tak ją przełknęłam, poczułam palenie w gardle i łzy w oczach.

– Ja nie pojedę – powiedziałam, gdy tylko zdolna byłam to wyartykułować. Nie prowadziłam samochodu od wypadku i nie miałam zamiaru sięść za kierownicą w jakimkolwiek przewidywalnym terminie. Ani w ogóle kiedykolwiek. Poczułam, że gardło mi się ściska na samą myśl, ale zdołałam jeszcze wykrztusić: – Przecież wiesz. Ja nie prowadzę.

– Ależ nie, nie będziesz musiała prowadzić! – mówiła tonem o wiele zbyt pogodnym jak na kogoś, kto przed chwilą ziewał. – Wóz poprowadzi syn Marilyn. I tak wybiera się na wschód, ma spędzić lato u swojego ojca w Filadelfii, więc wszystko gra.

W tym, co od niej właśnie usłyszałam, nic mi nie grało. Właściwie nie wiedziałam, od czego zacząć.

– Marilyn? – spytałam, żeby zacząć od samego początku.

– Marilyn Sullivan – odpowiedziała. – Chociaż teraz chyba

się nazywa Marilyn Harper. Ciągłe zapominam, że po rozwodzie wróciła do panińskiego nazwiska. Tak czy inaczej, przecież znasz moją przyjaciółkę Marilyn. Sullivanowie mieszkali kiedyś niedaleko, na Holloway. Dopiero po rozwodzie przeprowadziła się do Pasadeny. A ty i Roger graliście w taką grę. Jak ona się nazywa? Kartofel? Ogórek?

– Pomidor – poprawiłam ją machinalnie. – Co to za Roger?

Westchnęła ciężko, jak to ona, kiedy miała zamiar dać mi do zrozumienia, że traci cierpliwość.

– Syn Marilyn, przecież mówiłam. Roger Sullivan. Pamiętasz go.

Moja matka miała zwyczaj informować mnie, co i kogo pamiętam, jak gdyby od tego stawało się to prawdą.

– Nie pamiętam.

– Ależ pamiętasz, pamiętasz. Przecież sama mówiłaś, że grałaś w tę grę.

– Grę w pomidor pamiętam – sprostowałam. Bynajmniej nie po raz pierwszy w życiu zastanowiłam się, dlaczego każda rozmowa z moją matką musi być taka trudna. – Nie pamiętam natomiast nikogo o imieniu Roger. Ani Marilyn, jeżeli już o tym mowa.

– Nie szkodzi – oświadczyła. Słyszałam w jej głosie, że bardzo się stara, żeby brzmiał pogodnie i beztrosko. – W takim razie teraz będziesz miała okazję go poznać na nowo.

Opracowałam dla was trasę. Droga powinna wam zająć cztery dni.

Kwestia tego, co pamiętam, nagle stała się nieistotna.

– Chwileczkę – zawołałam. Oparłam się o szafkę kuchenną.

– Mam spędzić cztery dni w samochodzie z zupełnie obcym kolesiem?

– Już ci mówiłam, że się znacie – stwierdziła moja matka.

Najwyraźniej miała już dosyć tej rozmowy. – A Marilyn mówi, że to przemiły chłopak. Poza tym wyświadcza nam ogromną przysługę, więc zechciej to docenić.

– Ale, mamo – zaczęłam – ja...

Nie wiedziałam, co mam powiedzieć dalej. Mogłabym jej



wytłumaczyć, że nienawidzę siedzieć w samochodzie. Do szkoły i ze szkoły jeździłam autobusem, to mi nie przeszkadzało, natomiast kiedy tego samego wieczoru przejechałam się taksówką, serce waliło mi tak mocno, że czułam je w gardle. Poza tym przywykłam do samotności i dobrze mi z tym było. Myśl o tym, żeby spędzić tyle czasu w samochodzie z zupełnie obcym facetem, choćby i bardzo miłym, przyprawiała mnie o klaustrofobię.

– Amy – moja matka znów westchnęła, ciężko i głęboko. – Proszę cię, nie utrudniaj.

Jasne, gdzieżbym śmiała utrudniać. To przecież była specjalność Charlie’ego. Ja nigdy nie sprawiałam kłopotów, a moja matka wyraźnie na to liczyła.

– No, dobrze – powiedziałam cichym głosem. Miałam nadzieję, że matka zorientuje się, jak bardzo tego nie chcę. Ale nawet jeżeli przypadkiem skumała, zignorowała mnie całkowicie.

– Świetnie – odparła, w jej głosie znów usłyszałam entuzjizm.

– Kiedy zarezerwuję dla was noclegi w hotelach, wyślę ci mejlem trasę. Poza tym zamówiłam dla ciebie prezencik na tę wycieczkę. Powinien dojść przed waszym wyjazdem.

Doskonale zdawałam sobie sprawę, że od samego początku matka nie zamierzała pytać mnie o zdanie. Spojrzałam na nieszczęsny kawałek pizzy, ale jakoś straciłam apetyt.

– Aha, zapomniałabym – wyraźnie właśnie sobie przypomniła – jak tam przedstawienie?

A teraz było już po przedstawieniu i skończył się rok szkolny, i na podjeździe stał subaru, w którym siedział Roger, słynny gracz w „pomidora”. Przez cały miniony tydzień usiłowałam przypomnieć sobie owego Rogera. I rzeczywiście, zdołałam przywołać mgliste wspomnienie chłopaka z sąsiedztwa, miał blond włoski i straszliwie odstające uszy; z otchłani zapomnienia zdołałam wygrzebać scenkę, jak ściskając w łapkach wielką brązową piłkę, woła nas, mnie i Charlie’ego, żebyśmy się z nim pobawili. Charlie na pewno pamiętałby więcej szczegółów, bo pomimo swoich wybryków, pamięć miał jak słoń – tylko trochę nie

było jak go spytać.

Z obu stron subaru otworzyły się drzwiczki, ujrzałam kobietę w wieku mojej matki – prawdopodobnie była to Marilyn – a potem wysiadł też wysoki, smukły facet. Stał plecami do mnie, kiedy Marilyn otworzyła tylną klapę wozu; wyciągnął wypchany worek w wojskowym stylu i plecak. Postawił pakunki na ziemi, po czym padli sobie w objęcia. Facet – przypuszczalnie Roger – był od niej wyższy co najmniej o głowę, więc musiał się schylić, żeby ją uściskać. Spodziewałam się, że usłyszę słowa pożegnania, ale powiedział tylko:

– Nie bądź obca.

Marilyn roześmiała się, jakby tego właśnie się spodziewała. Kiedy odsunęli się od siebie, napotkała moje spojrzenie i uśmiechnęła się. Skinęłam głową w odpowiedzi. Wsiadła z powrotem do wozu. Objechała zaulek, a Roger spoglądał za nią i machał ręką.

Kiedy samochód zniknął mi z oczu, zarzucił jedną i drugą torbę na ramię, po czym ruszył w stronę domu. Gdy tylko odwrócił się w moją stronę, aż zamrugałam z zaskoczenia. Odstające uszy przestały być odstające. Idący ku mnie facet był wręcz szokująco przystojny. Szeroki w ramionach, złote włosy, ciemne oczy. I już się do mnie uśmiechał.

Natychmiast do mnie dotarło, że ta wyprawa będzie jeszcze trudniejsza, niż się spodziewałam.

*But I think it only fair to warn you, all those songs about  
California lied.*

*– The Lucksmiths*

Wstałam i zeszłam po schodkach, wychodząc mu naprzeciw. Nagle dotarło do mnie z całą mocą, że jestem boso, w starych dżinsach i mam na sobie T-shirt z zeszłorocznego musicalu. Inaczej mówiąc, ubrana jak zawsze, bo każdego ranka wkładałam na siebie coś w tym rodzaju. Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że ów bardzo słabo mi znany Roger może okazać się takim ciachem.

A był, był. Zobaczyłam to tym wyraźniej, kiedy podszedł bliżej. Miał wielkie orzechowe oczy i skandalicznie długie rzęsy, poza tym piegi na twarzy. Zachowywał się swobodnie, na luzie. Poczulałam, że w jego obecności kurczę się odrobinę.

– Hej – odezwał się, rzucił torby na ziemię i wyciągnął rękę. Zawahałam się przez sekundę, jakoś nikt w moim otoczeniu nie miał zwyczaju witać się uściskiem dłoni – ale też wyciągnęłam rękę. Potrząsnął nią. – Jestem Roger Sullivan. A ty jesteś Amy, zgadza się?

Skinęłam głową.

– Tak – odpowiedziałam. To słowo jakby mi ugrzęzło w gardle, więc odkaszlnęłam. – Tak, jasne. Cześć.

Splotłam dłonie, wbiłam wzrok w ziemię. Czułam, jak serce mi wali, i nie potrafiłam odgadnąć, w której chwili najzwyczajniejsze na świecie powitanie przerodziło się w coś nieprzyjemnego i budzącego lęk.

– Wyglądasz inaczej – rzekł po chwili Roger. Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że mi się przygląda. Co chciał przez to powiedzieć? Że wyglądam inaczej, niż się spodziewał? A czego właściwie się spodziewał? – Inaczej, niż wyglądałaś kiedyś – wyjaśnił, jakby czytał w moich myślach. – Pamiętam cię z czasów, kiedy byliśmy mali. Ciebie i twojego brata. Ale dalej jesteś ruda, to

się nie zmieniło.

Odruchowo dotknęłam włosów. Oboje byliśmy rudzi, ja i Charlie, a kiedy byliśmy młodszy i ciągle trzymaliśmy się razem, ludzie ciągle zatrzymywali się i mówili „o, oboje jesteście rudzi” – jak gdybyśmy sami tego nie wiedzieli. Z czasem włosy Charlie’ego pociemniały i przybrały odcień kasztanowobrazowy, natomiast moje pozostały jaskraworude, tak jak były. Nie miałam nic przeciwko temu, dopiero niedawno zaczęło mi to przeszkadzać. Nagle bowiem okazało się, że przez nie ludzie zwracają na mnie uwagę, co było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyłam. Założyłam włosy za uszy, starając się ich nie ciągnąć. Zaczęły mi wypadać jakiś miesiąc wcześniej, co martwiło mnie, starałam się jednak nie myśleć na ten temat zbyt wiele. Przekonywałam siebie, że to przez stres związany z końcem roku, a może brak żelaza wynikający z diety polegającej głównie na pizzy. Przede wszystkim jednak starałam się uważać przy czesaniu, w nadziei, że ta przypadłość sama minie.

– Och – odezwałam się, bo zdałam sobie sprawę, że Roger czeka, aż coś powiem. Całkiem, jakbym została pozbawiona zdolności prowadzenia konwersacji na podstawowym poziomie. – No, tak.

Dalej jestem ruda. Charlie ma teraz ciemniejsze włosy, jest w tej chwili... No, nie ma go tutaj. – Moja matka nie mówiła nikomu, że umieściła go na odwyku i kazała mi powtarzać tę samą ściemę. – Jest w Karolinie Północnej – wyjaśniłam. – Na obozie wakacyjnym.

Zacisnęłam wargi i odwróciłam się, marzyłam, żeby sobie poszedł i żeby mogła wrócić do domu, zamknąć za sobą drzwi. Bo tam nikt nie próbowałby ze mną rozmawiać, mogłabym zostać sobie sama z moją codzienną rutyną. Wyszłam z wprawy, nie szła mi rozmowa z przystojnymi facetami. W ogóle wyszłam z wprawy i nie szła mi rozmowa z kimkolwiek.

Zaraz po tym, kiedy wszystko się zdarzyło, mówiłam niewiele. Nie chciałam o tym rozmawiać i nie chciałam otwierać się przed ludźmi, nie zamierzałam zachęcać ich, żeby wypytywali

mnie, co czuję. Nie można zresztą powiedzieć, żeby matka czy Charlie próbowali. Niewykluczone, że rozmawiali ze sobą, jednak żadne z nich nie rozmawiało ze mną. Nie miałam im tego za złe, rozumiałam ich – bo byłam pewna, że oboje winią mnie za to, co się stało. Sama siebie za to winiłam, więc nic dziwnego, że raczej nie dzieliliśmy się wzajemnie swoimi uczuciami przy kuchennym stole podczas posiłków. Kolacje upływały nam głównie w milczeniu, Charlie albo się pocił i zachowywał nerwowo, albo lekko się kołysał i spoglądał niewidzącym wzrokiem, natomiast matka wpatrywała się w talerz. Podawanie sobie tam i z powrotem talerzy oraz przypraw, a potem krojenie, następnie zaś proces przeżuwania tudzież połykania zdawał się zajmować tak wiele czasu i pochłaniać tyle uwagi, że dziwnie było pomyśleć, iż kiedyś podczas kolacji zdarzało nam się rozmawiać. Nawet jeżeli czasami przychodziło mi do głowy, żeby się odezwać, milczenie pustego krzesła po mojej lewej stronie dusiło ten impuls w zarodku.

W szkole nauczyciele dali mi spokój, przez pierwszy miesiąc nie wywoływali mnie do odpowiedzi. Potem też nie, chyba weszło im to w nawyk. Okazało się, że ludzie bardzo łatwo i szybko potrafią zmienić podejście do innych ludzi, jakby zupełnie zapomnieli, że kiedyś podnosiłam rękę, wyrażałam swoje zdanie w różnych sprawach, że kiedyś miałam coś do powiedzenia na temat powstania bokserów czy też metaforyki *Wielkiego Gatsby'ego*.

Do moich przyjaciół szybko dotarło, co i jak, czyli że nie chcę z nimi o tym gadać. A ponieważ nie rozmawialiśmy o tym, stało się wkrótce jasne, że nie jesteśmy w stanie rozmawiać o niczym. Nie minęło wiele czasu, a przestaliśmy próbować i już nie było wiadomo, czy to ja ich unikam, czy oni unikają mnie.

Jedynym wyjątkiem była Julia. Nie powiedziałam jej, co się stało. Wiedziała, że gdybym to zrobiła, nie odpuściłaby tak łatwo. Julia nie pozwoliłaby się spławić. I rzeczywiście, nie dała się spławić. Rzecz jasna, skądś się dowiedziała, zaczęła więc do mnie wydzwaniać, a ja nie odbierałam, tylko pozwalałam jej się nagrywać na skrzynkę głosową. Telefony po jakimś czasie ustały, za to zaczęła pisać do mnie e-maile. Przychodziły co kilka dni, z

nagłówkami w rodzaju „co tam u ciebie?” albo „martwię się o ciebie”, czy też „na litość boską, Amy”. Nie zaglądałam do nich, nie czytałam. Nie bardzo nawet wiedziałam, dlaczego tak postępuję, ale wiedziałam, że gdybym zaczęła rozmawiać o tym z Julią, fakt stałby się realny w sposób, którego nie potrafiłabym znieść.

Kiedy spoglądałam na Rogera, zdałam sobie sprawę z jeszcze jednej rzeczy, mianowicie, że już od dość dawna nie miałam do czynienia z żadnym facetem. Dokładnie od dnia pogrzebu, kiedy wprosiłam się do pokoju Michaela w internacie, wiedząc dokładnie, co się zdarzy. Kiedy wyszłam stamtąd po godzinie, byłam rozczarowana, chociaż dostałam dokładnie to, czego chciałam.

– Wiesz, że to nieprawda? – powiedział Roger. Popatrzyłam na niego, usiłując odgadnąć, co ma na myśli. – No, ten napis na twojej koszulce – wskazał palcem. Spojrzałam w dół na wypłowiałą niebieską bawełnę przyozdobioną napisem GWIZDAĆ KAŻDY MOŻE. – Ja nie mogę – mówił dalej pogodnym tonem. – Nigdy nie zdołałem się nauczyć.

– To tytuł musicalu – ucięłam.

Skinął głową, zapadło milczenie. Nie przychodziło mi na myśl nic, co mogłabym na ten temat powiedzieć.

– Pójdę po moje rzeczy – oznajmiłam, odwróciłam się w stronę domu. Zastanawiałam się, jak, do ciężkiej cholery, przetrwamy ze sobą te cztery dni.

– Jasne – odparł. – Ja załaduję moje graty do bagażnika. Pomóc ci w czymś?

– Nie – odpowiedziałam, wchodząc już po schodach. – Samochód jest otwarty.

Umknęłam do środka, gdzie panował błogi chłód, mrok i spokój, i byłam tam sama. Wzięłam głęboki wdech, rozkoszując się milczeniem, po czym powędrowałam do kuchni.

Prezent od mojej matki leżał na stole kuchennym. Przyszedł kilka dni wcześniej, ale nie otworzyłam paczki. Gdybym to zrobiła, znaczyłoby to, że ta podróż zdarzy się naprawdę. Teraz

jednak nie było już po co okłamywać siebie samej – przed domem oczekiwał mnie dowód na realność tego wydarzenia. Dowód, który przed chwilą wypowiadał się w sprawie mojego T-shirtu i pakował do samochodu swój worek marynarski. Rozerwałam opakowanie, wytrząsnęłam z niego książkę. Była ciężka, oprawiona w spiralę, z granatową okładką. *W DROGE!* – głosił tytuł wypisany białymi literami, kursywą w stylu lat pięćdziesiątych. A poniżej: *Twój towarzysz podróży. Dziennik/notatnik, przydatne wskazówki.*

Wzięłam ją do ręki i przekartkowałam. Składała się głównie z pustych stron z miejscami przeznaczonymi na „Niezapomniane wspomnienia” oraz część przewidzianą na „Luźne rozmyślenia”. Poza tym znajdowały się w książce psychozabawy, listy mające dopomóc w pakowaniu bagaży oraz różne rady i porady dotyczące podróżowania. Zamknęłam książkę, popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. To miał być ten „prezent”, który matka przysłała mi na drogę? Naprawdę?

Rzuciłam ją na blat. Nie zamierzałam dać sobie wmówić, że to wszystko świetna zabawa i ekscytująca przygoda. Okoliczności zmusiły mnie do tego, żeby przenieść się z miejsca na miejsce, w tym celu należało tę podróż odbyć. Nie oczekiwałam bynajmniej, że pozostaną mi po niej „niezapomniane wspomnienia”. Nie kupuje się pamiętek na lotniskach przesiadkowych.

Przeszłam przez pokoje na parterze, żeby sprawdzić, czy wszystko zostawiam w porządku. Porządek panował wszędzie wprost idealny, już pani Hildy od nieruchomości o to zadbała. Wszystkie meble jeszcze ciągle stały, bo podobno pusty bydynek trudniej jest sprzedać – ale to wewnątrz już nie przypominało naszego domu. Gdy tylko matka ją zatrudniła, Hildy przemeblowała wszystko po swojemu i to tak, że czasami trudno mi było sobie przypomnieć, jak wyglądał dawniej, kiedy mieszkaliśmy w nim jeszcze wszyscy. I nie usiłowano go wcisnąć nikomu jako siedziby, w której tego kogoś będzie czekać niczym niezmacone szczęście. Coraz bardziej czułam się tam jak pośród teatralnych dekoracji, jak na scenie. Przez to wewnątrz przewinęło się zbyt wiele młodych małżeństw, które zwracały uwagę jedynie

na metraż i wentylację, które skaziły mój dom swoimi marzeniami o meblach oraz wyimaginowanych przyszłych świętach Bożego Narodzenia. Za każdym razem, gdy Hildy skończyła doprowadzanie i już wolno mi było wrócić (czyli nie musiałam snuć się po okolicy z iPodem i słuchać Sondheima na cały regulator), czułam, jak ten dom oddala się, jak coraz bardziej przestaje być nasz. W powietrzu unosiły się obce zapachy, rzeczy stały nie na swoim miejscu, znikало coraz więcej wspomnień zamieszkujących pośród tych ścian.

Weszłam na górę do mojego pokoju, który już wcale pokoju nie przypominał. Nie wyglądał jak miejsce, w którym spędziłam większą część dotychczasowego życia. O nie, stał się teraz pokojem idealnym, zamieszkiwanym przez idealną nastolatkę, ugłaskany i ugładzonym: równiutko ustawione książki, płyty ułożone w porządku alfabetycznym, starannie poskładane ubrania. Już nie mój pokój, tylko „pokoik Amy!” Czyściutki, schludny i całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek osobowości – przypuszczalnie zupełnie tak samo, jak owa hipotetycznie zamieszkująca go „Amy!” o uczesanych blond włoskach. „Amy!” pewnie piekła przysmaki dla szkolnej drużyny sportowej, z całego serca udzielała się w zespole czirliderek i nawet do głowy jej nie przyszło, jak durne są wszystkie sporty – i nigdy nie pomyślałaby nawet o tym, żeby trochę ożywić sportowe wydarzenie i zaśpiewać jakąś nieprzyzwoitą piosenkę. „Amy!” na pewno robiła za babysitterkę i opiekowała się słodkimi bachorami sąsiadów, słodko uśmiechała się na klasowych zdjęciach – krótko mówiąc, była właśnie taką córeczką, o jakiej marzą wszyscy rodzice. I pewnie chichotałaby zalotnie, flirtując z przystojniakiem na podjeździe swojego domu – a nie zapomniałaby języka w gębie podczas prostej rozmowy i nie zwiałyby do środka. Ba, „Amy!” najprawdopodobniej nikogo ostatnio nie zabiła.

Wzrok mój padł na szafkę nocną, na której stał tylko budzik i leżał cienki tomik w miękkich okładkach: *Żywność, benzyna i dach nad głową*. To była ulubiona książka mojego ojca, podarował mi na Gwiazdkę swój własny sfatygowany egzemplarz. Kiedy



rozpakowałam podarunek, byłam rozczarowana – bo liczyłam na nowy telefon. A on chyba się zorientował, że nie jestem zachwycona takim prezentem. Myśli tego rodzaju prześladowały mnie, nie dawały mi spokoju, wciąż zastanawiałam się, czy nie było mu przykro. Myśli tego rodzaju wypełniały moją głowę o trzeciej nad ranem, kiedy wiedziałam już na pewno, że tej nocy nie usnę.

Gdy dostałam książkę, spojrzałam tylko na stronę tytułową i przeczytałam dedykację: *Dla mojej kochanej Amy – ta książka towarzyszyła mi podczas wielu wędrowek. Mam nadzieję, że polubisz ją tak samo, jak ja ją lubię. Wszystkiego najlepszego. Twój ojciec, Benjamin Curry.* Następnie książka wylądowała na półce i otworzyłam ją dopiero parę tygodni przed wyjazdem – i natychmiast zaczęłam ją czytać. Czytając, za każdą przewróconą stroną nie posiadałam się ze zdumienia, że nie sięgnęłam po nią od razu. Dotarłam do strony sześćdziesiątej pierwszej i przerwałam. Między stroną sześćdziesiątą drugą a następną znajdowała się kartka pokryta pismem mojego ojca, były to jakieś notatki dotyczące sekretarza Lincolna, o którym ojciec miał zamiar napisać coś większego. Jednak w mojej książce kartka znalazła się w charakterze zakładki. Kiedy ostatnio ją czytał, doszedł do strony sześćdziesiątej pierwszej i nie wiem dlaczego, ale nie potrafiłam się zdobyć, żeby przewrócić stronę i czytać dalej.

### *Żywność, benzyna i dach nad głową*

nie żegnając się i nie zostawiając żadnej wiadomości. Do papierowej torby Walter spakował trochę ubrań na zmianę, książkę Johna D. MacDonalda w tekturowych okładkach oraz pocztówkę z widokiem Central Parku, którą dostał od Nancy. Był na niej adres, adres w Nowym Jorku – i tam właśnie się wybierał.

Miał siedemdziesiąt sześć dolarów należących do niego i pięćdziesiąt pięć dolarów będących własnością jego ojca, które gwizdnął z szafki, kiedy jego ojciec poszedł na dół, żeby się ogolić. Przyszło mu na myśl, że brak tej gotówki zostanie dostrzeżony wcześniej i odczuwany dłużej, niż brak jego osoby.

Zszedł do samochodu, tego samochodu, który należał do niego zawsze, odkąd otrzymał go jako spadek po dziadku – zapisem testamentu odczytanego czterdzieści osiem godzin wcześniej. Zamierzał wyjechać na autostradę i jechać wprost przed siebie, a więc wreszcie zrobić coś, do czego zachęcały go wszystkie te piosenki, książki i filmy. A na końcu drogi, kiedy przebędzie nie wiadomo ile mil, czekać będzie na niego Nancy.

Taka wyprawa zdarza się raz w życiu – pomyślał. Wyciągnął z kieszeni kluczyki dziadka, zabrzączał breloczek, na podsufitce mignęły odbłyски światła. W taką podróż należy wyruszyć, póki jest się młodym, póki ma się dość energii, żeby wytrzymać za kółkiem całą noc i kiedy nie przeszkadza człowiekowi, że nocuje w obskurnym motelu, i kiedy nie dba się nawet o to, dokąd się w końcu dojedzie. Takie wiódł rozmyślenia podczas tych wszystkich dni spędzonych w muzeum, pośród pieczołowicie opatrzonych etykietami eksponatów, pośród zdobyczy przywiezionych przez młodych śmiałków z wielkich wypraw. Teraz wyruszał na

Nie wiedziałam, co takiego jeszcze Walter zobaczył. Nie byłam pewna, czy kiedykolwiek się dowiem. Nie zamierzałam jednak tej książki zostawić. Wzięłam ją i włożyłam delikatnie do torebki. Rozejrzałam się jeszcze ostatni raz po pokoju, zgasiałam światło, wywlokłam wyposażoną w kółka walizkę na korytarz, zamknęłam za sobą drzwi. Właściwie to czułam ulgę na myśl, że już nigdy więcej nie zobaczę tego pokoju. Prawie cały miniony miesiąc spędziłam na dole, spałam na kanapie, a na górę zaglądałam tylko po to, żeby wziąć jakieś świeże ciuchy. Mimo wszystko zbyt silnie przywodził mi na myśl moje poprzednie życie. A nadal w żaden sposób nie byłam w stanie ogarnąć tego, że zupełnie wszystko w moim życiu się zmieniło, że życie poprzednie skończyło się bezpowrotnie – tylko obrazki na ścianach i bałagan w szafie pozostały niezmienione. Potem zaś nastąpił lifting w wykonaniu Hildy i pojawiła się „Amy!”, idealna wersja mnie – wersja niedościgniona, której nigdy nawet do pięt nie dorosnę.

Już miałam powlec walizę na dół, ale zatrzymałam się, by zajrzeć do pokoju rodziców. Nie weszłam do niego od dnia pogrzebu, kiedy to stanęłam w drzwiach, rano, żeby matka mogła sprawdzić, czy wybrałam odpowiednią czarną sukienkę.

Przeszłam przez korytarz, mijając sąsiadujący z moim pokój Charlie’ego. Drzwi do tej sypialni pozostawały zamknięte, odkąd matka miesiąc wcześniej dosłownie siłą wyciągnęła z niej mojego brata. Otworzyłam drzwi pokoju rodziców, zatrzymałam się na progu. Wyglądał porządniej, niż kiedy ostatnio go widziałam, ale akurat ta sypialnia nie zmieniła się tak bardzo, tylko łóżko zostało bardzo starannie pościelone, a stosy książek piętrzące się po obu stronach ułożone równo. Spojrzałam na książki po stronie ojca, grube historyczne monografie i cienkie kryminały w miękkich okładkach, które zdążył już pokryć kurz. Szybko odwróciłam wzrok, zdałam sobie sprawę, że wstrzymałam oddech. To było takie wrażenie, jakbym znalazła się pod wodą i zaczynało brakować mi tlenu, i wiedziałam, że dużo dłużej już nie wytrzymam. Drzwi do szafy mojego ojca były otwarte, dostrzegłam wewnątrz wieszak na krawaty, który Charlie zrobił dla

niego na warsztatach w piątej klasie. Krawaty wciąż tam wisiały, wszystkie pozawiazywane, żeby nie musiał tracić czasu rano.

Próbując zapanować nad ogarniającą mnie stopniowo paniką, podeszłam do komody mojej matki. Wiedziona impulsem, otworzyłam górną szufladę – skarpetki i pończochy – po czym sięgnęłam na sam tył, po lewej stronie. W szufladzie było mniej rzeczy niż zwykle, ale i tak potrwało chwilę, zanim znalazłam to, czego szukałam. Moje palce zamknęły się wokół czegoś gładkiego i plastikowego. A więc Charlie mówił prawdę. Wyciągnęłam ten przedmiot – to było staromodne jajo do cerowania pończoch, z wydrukowanym złotą, obłazącą farbą napisem LEGGS. Otworzyłam jajo i przekonałam się, iż zgodnie z zapowiedzią, pełne jest gotówki.

Charlie powiedział mi, że znalazł je kiedyś tam w zeszłym roku – nie pytałam go, jak na nie trafił ani czego szukał. Jednak jakimś kawałkiem mózgu zarejestrowałam, jak musiał być zdesperowany, skoro znalazł pieniądze trzymane przez moją matkę w szufladzie na pończochy. Właśnie wtedy zaczęło do mnie docierać, jak bardzo już odjechał. Charlie twierdził, że sięgał do tych zasobów tylko w razie naprawdę naglącej potrzeby i zawsze pilnował się, żeby zwracać pieniądze, tak żeby mama niczego nie zauważyła. W jaju zawsze było sześćset dolarów, w setkach i pięćdziesiątkach. Może pod koniec Charlie był już na takiej fazie, że przestało go to obchodzić, a może po prostu nie zdążył uzupełnić skarbonki, zanim znalazł się na pokładzie samolotu lecącego do Karoliny Północnej – w każdym razie teraz jajo zawierało tylko czterysta dolarów.

Usłyszałam trzaśnięcie drzwi na dole. Prawdopodobnie Roger zaczął się zastanawiać, o co chodzi i dlaczego tak długo musi czekać, aż przyniosę walizkę. Niewiele myśląc i nie zastanawiając się, co robię, wetknęłam pieniądze do kieszeni, po czym zamknęłam jajo i odłożyłam je na miejsce. Tłumaczyłam się sama przed sobą, że przecież nie można ufać obcym ludziom i kręcącym się po domu agentom nieruchomości, i że tak naprawdę to wyświadczam mojej matce przysługę – ale zarazem wiedziałam,

że wcale nie z tego powodu zabieram pieniądze. A więc dlaczego to zrobiłam?

Odepchnęłam od siebie tę myśl i szybko wyszłam z pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi. Taszcząc walizę, zesłam po schodach. Kiedy znalazłam się w kuchni, ujrzałam Rogera, który podziwiał lodówkę. Na odgłos kroków odwrócił się w moją stronę.

– Wszystko gotowe? – spytał.

– Spoko – odpowiedziałam i natychmiast zaczęłam się zastanawiać, dlaczego przybieram pozę wyluzowanej dresiary. Zaciągnęłam walizę do drzwi, spojrzałam za siebie, na Rogera. Powrócił do oględzin lodówki, co dało mi chwilę, żeby niepostrzeżenie mu się przyjrzeć. Był wysoki, zdawał się zapełniać swoją obecnością kuchnię, w której panował ostatnio taki spokój. Matka mówiła mi, że ma dziewiętnaście lat i że właśnie skończył pierwszy rok studiów. Jednak coś w jego wyglądzie sprawiało, że wyglądał na starszego – a przynajmniej ja czułam się przy nim młodsza. Może to przez ten uścisk dłoni na powitanie.

– Coś niesamowitego – stwierdził Roger, wskazując palcem lodówkę.

– Aha, no, tak – powiedziałam.

Rzecz jasna, mówił o magnesach. Cała lodówka upstrzona była magnesami, było ich o wiele więcej, niż potrzebowaliśmy, żeby umocować menu tajskiej knajpy dostarczającej żarcie do domu czy listę zakupów. Pochodziły z najrozmaitszych miejsc – miast, stanów, krajów. Rodzice zaczęli je kolekcjonować podczas podróży poślubnej, wciąż przybywały nowe okazy – ostatni pojawił się kilka miesięcy wcześniej, kiedy moja matka występowała na konferencji w Montanie i przywiozła stamtąd magnes w kształcie niebieskiego kwadratu z napisem: BIG SKY COUNTRY.

– Moi... rodzice – poczułam, że przy tym słowie głos lekko mi się załamał. Słowa, które zawsze były dla mnie oczywiste, przeistoczyły się teraz w tykające bomby, w pułapki, o które można było się niespodziewanie potknąć i na które można było wpaść. Zauważyłam, że Roger znów spojrzał w stronę lodówki,

udając, że niczego nie zauważył. – No, wiesz – podjęłam po chwili – zbierali magnesy. Przywozili je ze wszystkich wyjazdów.

– Super – stwierdził, cofnął się o krok, aby objąć wzrokiem całą lodówkę, jakby to było cenne dzieło sztuki. – Nie powiem, robi wrażenie. Ja na przykład właściwie nigdzie nie byłem.

– Poważnie? – spytałam, nieco zdziwiona.

– Poważnie – potwierdził, wciąż nie odrywając oczu od lodówki. – Byłem tylko w Kalifornii i w Colorado. Słabo, nie?

– Czy ja wiem? – zastanowiłam się. – Ja też rzadko wyjeżdżałam z Kalifornii.

Właściwie strasznie się tego wstydziłam i przyznawałam się do tego wyłącznie przed Julią. Owszem, zdarzyło mi się raz wyjechać z kraju – wszyscy spędziliśmy bardzo deszczowe lato w Anglii, w Cotswolds, bo moja matka robiła tam research do swojej książki. Natomiast w USA nigdy nie ruszyłam się poza Kalifornię. Zawsze, gdy na to narzekałam, matka powtarzała, że kiedy obejrzymy już sobie wszystko, co jest do zobaczenia w Kalifornii, zajmiemy się innymi stanami.

– Ty też? – spytał Roger z uśmiechem, na co ja, jakby była to automatyczna reakcja na uśmiech, wbiłam spojrzenie we własne stopy. – Cóż, to mnie trochę podnosi na duchu. Tłumaczę sobie, że Kalifornia jest naprawdę dużym stanem, no nie? Byłoby gorzej, gdybym nigdy nie wyjeżdżał z New Jersey albo jakiegoś podobnego miejsca.

– Ale myślałam... – zaczęłam, po czym natychmiast pożałowałam, że otworzyłam usta. Wcale nie chciałam usłyszeć odpowiedzi, więc po co zadawać to głupie pytanie? Ale przecież nie mogłam tak po prostu nie dokończyć zdania, więc odkaszlnęłam i jednak dokończyłam: – Myślałam, że twój ojciec mieszka w Filadelfii. Tak twierdziła moja matka i sądziłam, że właśnie po drodze przyprowadzisz nasz wóz.

– Zgadza się – przyznał Roger – ale ja jeszcze nigdy tam nie byłem. Mój stary przyjeżdża tu kilka razy do roku, w interesach.

– Aha – powiedziałam.

Podniosłam wzrok i stwierdziłam, że nadal podziwiałam

lodówkę. W tej samej chwili wyraz jego twarzy zmienił się, wiedziałam, że spostrzegł klepsydrę podtrzymywaną za dolny lewy róg przez magnes z napisem: ITHACA JEST MEGA! Tę samą klepsydrę, na którą starałam się nie patrzeć – starałam się bez powodzenia – za każdym razem, kiedy otwierałam lodówkę, jednak nic z nią nie zrobiłam, nie zdjęłam jej ani nie schowałam.

Wydrukowana była na beżowym kartonie i widniało na niej zdjęcie mojego ojca, en face. Ktoś zrobił je podczas jego wykładu. Zdjęcie czarno-białe, ale widać było na nim wyraźnie, że ma na sobie krawat, który dostał ode mnie na ostatni Dzień Ojca – ten w małe pieski. Na dłoniach miał ślady kredy, patrzył na lewo od aparatu, roześmiany. Pod zdjęciem widniał podpis: BENJAMIN CURRY: ŻYCIE DOBRZE PRZEŻYTE.

Roger popatrzył na mnie i wiedziałam, że zaraz usłyszę kolejną wersję tego samego zdania, które słyszałam wciąż przez ostatnie trzy miesiące. Że dowiem się, jak mu przykro i jaka to tragedia. Że brak mu słów, że nie wie, co ma powiedzieć. A ja zdecydowanie nie chciałam tego usłyszeć. Żadne słowa nie mogły mi pomóc, a on w żaden sposób nie mógł tego zrozumieć.

– To co, jedziemy, nie? – odezwała się, zanim zdołał otworzyć usta. Już miałam chwycić walizkę za rączkę, nim jednak zdążyłam to zrobić, Roger stanął obok mnie i bez trudu uniósł ją do góry.

– Ja zaniosę – oświadczył, przechodząc już przez drzwi wejściowe. – Widzimy się w samochodzie.

Drzwi się zamknęły, rozejrzałam się po kuchni, zastanawiałam się, co jeszcze mogłam zrobić, aby odwlec tę chwilę, kiedy będziemy już tylko my dwoje, zamknięci na cztery dni w żelaznej klatce samochodu. Chwyciłam talerz, który zostawiłam w pustej zmywarce, żeby wysechł, włożyłam go do szafki i zamknęłam drzwiczki. Już miałam wyjść, kiedy spostrzegłam leżącą na stole „książkę podróźniczą”.

Mogłam ją po prostu tam zostawić. Ale nie zostawiłam. Wzięłam ją i nie zastanawiając się, co robię, wyciągnęłam klepsydrę z za magnesu z Ithaki, po czym wetknęłam ją między

strony, tam gdzie było miejsce na notatki. Zgasiłam w kuchni wszystkie lampy, wyszłam z domu i zamknęłam drzwi frontowe na klucz.



### PODRÓŻ SIĘ ROZPOCZYNA...

Gratulacje! Wyruszasz w DROGĘ! Samolotem, pociągiem, samochodem, statkiem, na rowerze czy pieszo... Niezależnie od środka transportu, z pewnością poznasz nowych ludzi, podziwiać będziesz nowe widoki, a do domu wrócisz jako ktoś trochę inny, z osobowością wzbogaconą o nowe doświadczenia!

Wskazówki, rady i listy zawarte w tej książce pomogą ci zorganizować i udokumentować Twoją podróż, pomogą Ci cieszyć się w pełni tym nowym doświadczeniem.

Najwspanialsze w podróżowaniu jest to, że nigdy nie da się wszystkiego do końca zaplanować. Cały urok podróży polega na tym, że po drodze czeka Cię niejedna NIESPODZIANKA! Oczekuj nieoczekiwanego, pozwól się zaskoczyć, a z wędrówki wyniesiesz jeszcze więcej korzyści. Któż może wiedzieć, dokąd los Cię zaprowadzi?

### **SZEROKIEJ DROGI!**

Miejsca i miejscowości...



**stan #1:** KALIFORNIA – złoty Stan

**dewiza:** Eureka – „znalazłem”, „odkryłem”

**wielkość:** WIELKI!

**ciekawostki:** California – to znaczy tak naprawdę „gorący piec”. Nie miałam pojęcia.

A teraz już wiem, dzięki informacji wywieszanej na tablicach z informacją turystyczną

**uwagi:** stan jest tak wielki, że można przeżyć całe siedemnaście lat, nie opuszczając ANI RAZU jego granic. Nie ma w tym nic dziwnego. Co innego, gdyby ktoś mieszkał w Rhode Island.

*California is a garden of Eden, a paradise to live in or see. But believe it or not, you wont find it so hot, if you aint got the do-re-mi.*

– *Woody Guthrie*

Wsiadłam, zatrzasnęłam drzwi. Roger siedział już za kierownicą, przesuwając się to w górę, to w dół, potem w przód i w tył – dostosowując fotel do swoich rozmiarów. W końcu chyba osiągnął zadowalający rezultat, bo przestał się poruszać i odwrócił się do mnie.

– Gotowa? – spytał, bębniąc palcami po kierownicy. Uśmiechnął się do mnie.

– Masz – powiedziałam.

Rzuciłam mu na kolana wypisaną przez matkę trasę. Na wyjętym z mojej torebki wydruku widniała lista miast, w których mieliśmy się według niej zatrzymać, wskazówki z MapQuest.com oraz spis hoteli, w których zarezerwowała dla nas miejsca – w każdym dwa pokoje. Nie omieszkała wyliczyć przybliżonego czasu przejazdu i długości każdego odcinka trasy. Trzeba przyznać, że nawet gdyby strasznie się starała, nie zdołałaby wymyślić nudniejszych miejsc na przerwy w podróży: Gallup w Nowym Meksyku, Tulsa w Oklahomie, Terre Haute w Indianie, Akron w Ohio.

– Masz tutaj opis trasy wytyczonej przez moją matkę – dodałam. Zapięłam pas, wzięłam głęboki wdech i wypuściłam powietrze. Czułam, jak serce bije mi w piersi, a przecież nawet jeszcze nie ruszyliśmy z miejsca. Uznałam, że to nie najlepszy omen.

– Masz tu GPS? – spytał, przerzucając kartki. Widziałam, jak coraz bardziej rzedła mu mina. Prawdopodobnie dotarł do Tulsy – pomyślałam.

– Nie – odpowiedziałam. Mieliśmy GPS w drugim samochodzie, ale nie mamy już drugiego samochodu i nie miałam

ochoty wdawać się w tłumaczenie, dlaczego tak się stało. – Ale spokojnie, całkiem dobrze radzę sobie z mapą – dodałam. Sięgnęłam na tylną kanapę po atlas. – Poza tym dokładnie wypisała, jaką trasą mamy jechać.

– Owszem – rzeki Roger, nadal przyglądając się papierom ze zmarszczonym czołem. – Czy wiadomo, dlaczego właśnie taką trasę zaplanowała?

Potrząsnęłam głową.

– Chyba chodziło jej o to, żeby było jak najkrócej. Żeby zużyć jak najmniej benzyny.

– Aha – mruknął. Zerknął jeszcze raz na wydruk, na mapy i listę hoteli. Sprawiał wrażenie rozczarowanego, przynajmniej odrobinę. – No tak, teraz rozumiem.

– Wiesz, że ja... – znowu urwałam w pół zdania. Chciałam dowiedzieć się, co on wie, nie zdradzając mu przy tym niczego. Odkasznęłam i zaczęłam od nowa. – Wiesz, że ja nie prowadzę, prawda?

– Tak, moja mama mi powiedziała – stwierdził Roger, kładąc stosik kartek na konsolce między nami. – Nie masz prawa jazdy?

Popatrzyłam na niego, zszokowana. Przyglądałam mu się przez chwilę, próbując dojść, czy naprawdę to takie niewinne pytanie. Ale tak, chyba tak. Serce znów zabiło mi mocniej, ale tym razem odetchnęłam z ulgą.

– Nie – odparłam powoli. – Mam prawo jazdy. Tylko że... No, teraz nie prowadzę.

Beznadziejne wyjaśnienie, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

– Szkoda. Żałuj – powiedział. – Ja uwielbiam prowadzić samochód.

Też kiedyś uwielbiałam. Było to swojego czasu moje ulubione zajęcie. Właśnie za kierownicą porządkowałam myśli i słuchałam muzyki, to była taka moja autoterapia. Oprócz tak wielu innych rzeczy, również i to zostało mi odebrane, także z tym musiałam się pożegnać. Wzruszyłam ramionami, jakby wcale mnie to nie obchodziło. Tak to przynajmniej miało wyglądać.

– To chyba po prostu nie moja bajka – stwierdziłam.

– W porządku – odezwał się Roger i oddał mi kartki.

Przebiegłam wzrokiem pierwszą część wskazówek, które miały doprowadzić nas do Gallup w ciągu mniej więcej dziewięciu godzin.

– Gotowa? – spytał znowu, tylko teraz jakby z mniejszym entuzjazmem.

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Jasne.

Podaliśmy Rogerowi kluczyki, odpalił motor. Zamknęłam oczy na krótką chwilę, gdy samochód drgnął i ruszył, powtarzałam sobie, że wszystko będzie dobrze, że nic mi nie jest. Otworzyłam je akurat w samą porę, żeby ujrzeć zamykające się drzwi od garażu, gdy Roger objeżdżał nasz zaułek. Popatrzyłam na dom po raz ostatni i zdałam sobie sprawę, że kiedy zobaczę go następnym razem – jeżeli kiedykolwiek go jeszcze zobaczę – nie będzie to już mój dom. WITAJ W DOMU – tak głosił szyld i to była naprawdę ostatnia rzecz, jaką widziałam, nim dom zniknął mi z oczu.

Odwróciłam się, żeby patrzeć w przód, przed siebie.

Powtarzałam sobie, że mam oddychać głęboko. Spoglądałam przy tym na migające za oknami znajome widoki. Zerknęłam na Rogera, bo poczułam, że realność całej tej sytuacji dopiero w tym momencie mnie dopadła. Przez następne cztery dni miałam być skazana na faceta, którego w ogóle nie znam. Bardzo przystojnego faceta, którego w ogóle nie znam. Wyjrzałam przez okno, Roger kierował się w stronę centrum Raven Rock. Najbardziej niepokoiło mnie to, że nie będzie ucieczki, dzień w dzień czeka nas to samo. Przez cały dzień. Wiedziałam, że potrafię udawać. Stwarzać pozory, że wszystko gra – dopóki ktoś się nie zaweźmie i nie zacznie próbować poważnych rozmów ze mną. Nie na próżno jestem aktorką. Wiedziałam jednak, że gdyby ktoś zechciał przyjrzeć się zbyt dokładnie, przekonałby się z całą pewnością: nic nie było w porządku, tak bardzo nie było, że to aż żałosne. Tego się właśnie obawiałam – że zbyt wiele czasu spędzonego razem pozwoli Rogerowi to odgadnąć. Kiedy wjechaliśmy na główną

ulicę naszego przedmieścia i Roger przyspieszył, żeby nie blokować ruchu, zdałam sobie sprawę, że mimowolnie krzywię się i naciskam z całej siły stopą wyimaginowany hamulec. Działo się tak za każdym razem, kiedy zdawało mi się, że zanadto zbliżamy się do samochodu jadącego przed nami. Samochody na drugim pasie i jadące z naprzeciwka wprost śmigają. Dlaczego wszyscy muszą jeździć tak szybko?

Samochód za nami zatrąbił, głośno. Drgnęłam, tylko troszeczkę. Zauważyłam, że Roger zerknął w moją stronę. Włączył kierunkowskaz, przygotowując się do skrętu w Campus Drive.

– Wszystko w porządku? – upewnił się.

– Jasne – odpowiedziałam pospiesznie. Wpatrywałam się w małą zieloną strzałkę, która zapalała się i gasła. Walczyłam z narastającą paniką, bo uświadomiłam sobie, jaką drogą chce wjechać na autostradę. – Ale wiesz co? Przez Alvareza będzie szybciej.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Przecież możemy pojechać prosto do...

– Nie – zaprotestowałam znacznie głośniejszym głosem, niż było to moim zamiarem. – Jeżeli teraz pojedziesz prosto, szybciej dojedziemy do dwójki. Naprawdę.

Światło zmieniło się, Roger zawahał się jeszcze przez ułamek sekundy, nim wyłączył kierunkowskaz. Pojechał prosto.

– Nie ma sprawy – powiedział.

Wyglądałam przez okno, oddychałam głęboko i starałam się uspokoić samą siebie, próbowałam nie myśleć o tym, jak mało brakowało, żebym zobaczyła wjazd przy Uniwersytecie. Nie miałam pojęcia, czy zostały tam jeszcze policyjne taśmy i znaki, czy może znikły już w śmietnikach i ptasich gniazdach. Nie chciałam tego wiedzieć. Chciałam oddalić się od tego miejsca tak prędko, jak tylko to było możliwe.

Gdy zbliżaliśmy się do autostrady, uderzyło mnie – jakby z opóźnieniem – że to pewnie jeden z ostatnich razów, kiedy widzę moje miasto. Raven Rock już nie będzie moją rodzinną miejscowością. Jakoś nigdy przedtem się nad tym nie

zastanawiałam. Po prostu mieszkałam tam od zawsze, trochę to było nudne, trochę prowincjonalne. Tyle że moje, z całą moją historią, złą czy dobrą, która w tym mieście się rozegrała. Widziałam za oknami punkty wyznaczające różne wydarzenia w moim życiu, zostawiałam je za sobą w tempie o wiele zbyt szybkim, żeby czuć się z tym dobrze. „Fosters Freeze”, gdzie chodziliśmy z Charliem na szejki mleczne. „Jamba Juice” – knajpa, w której skompromitował mnie bezlitośnie, kiedy mieliśmy po dwanaście lat. Zdołał mi wmówić, że jeżeli krzyknę na cały głos: „JAMBA!”, wszyscy pracownicy odkrzykną równie głośno: „JUICE!” Okazało się, że nie. Nie odkrzyknęli.

Odwróciłam się, żeby zobaczyć, ile się jeszcze dało, ale już w następnej chwili Roger wjeżdżał na autostradę, przy czym szczęśliwie oszczędził mi komentarzy co do tego, jaką to malowniczą trasę obraliśmy. Spojrzałam w boczne lusterko po mojej stronie, żeby ujrzeć ostatni raz, jak Raven Rock oddala się ode mnie, przeistacza w jeszcze jedną kropkę na mapie, jeszcze jedno anonimowe miasteczko, przez które przejeżdża się i o którym zapomina się w następnej chwili. Znikało mi z oczu, aż po chwili widziałam w lusterku już tylko inne samochody podążające autostradą.

Przez jakieś dwadzieścia minut jechaliśmy w milczeniu. Odkąd opuściliśmy Raven Rock i najbliższą okolicę, trochę mniej mi przeszkadzało, że siedzę w samochodzie. Na autostradzie nie świeciły mi w oczy czerwone światła stopu, poczułam więc, że trochę się rozluźniam.

Roger sprawiał wrażenie dobrego kierowcy, w samochodzie matki czuł się znacznie swobodniej, niż oczekiwałam. Nadal spoglądałam w jego stronę. Nigdy dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak mała odległość dzieli od siebie przednie fotele samochodu. Dostrzegałam każdy jego ruch, nie mogłam nie dostrzec. Siedziałam właściwie na brzegu swojego fotela, przyciśnięta do drzwi – żebyśmy przypadkiem nie trącili się łokciami, czy coś w tym rodzaju. Roger tymczasem raczej się nie krępował, zajmował sporo przestrzeni, fotel mocno odsunął do

tyłu, długie nogi w dżinsach miał prawie wyprostowane. Trzymał jedną rękę na kierownicy, łokieć drugiej wystawił za okno. Trochę nie w moim stylu, kiedy jeszcze prowadziłam, zawsze trzymałam ręce na dziesiątej dziesiąć. Musiałam jednak przyznać, że radził sobie z samochodem, wszystko miał pod kontrolą, nie jechał za szybko, lecz dość szybko, żeby nie blokować ruchu na prawym pasie. Jechaliśmy bez problemu – na szczęście, bo po drugiej stronie samochodu stały zderzak w zderzak. Nie wiadomo, skąd ten korek – w czwartek, w południe.

– Hej, hej – odezwał się Roger, przerywając panujące w samochodzie milczenie. Stuknął w szybę po swojej stronie. Popatrzyłam w tamtym kierunku i na wiszącym nad autostradą banerze ujrzałam dobrze mi znajomą żółtą strzałę. – Co ty na to? – spytał.

– Jesteś głodna?



– Tego mi będzie brakowało – stwierdził Roger. Sięgnął do białej papierowej torby stojącej między nami i wyciągnął kolejną frytkę. – Uwielbiam fast foody w każdej formie, ale nic nie dorównuje tutejszemu In-N-Out.

06-06

YOUR GUEST NUMBER IS  
19

IN-N-OUT BURGER ROCK FALLS

06-06

136 1 69 1127

12:01 PM

Cashier: KATIE

Check : 5

---

001-001 Animal Style	2.80
001-001 Extra Sauce	2.80
2 Fries	2.18
Med Root Beer	1.30
Straw Shake	1.60
Med Coke	1.30
Counter-to Go	.23
TAX	\$12.21
Amount Due	

\$12.21

\$ .00



Ugryzłam ostrożnie mojego hamburgera, skinęłam głową. Siedzieliśmy w otwartych tylnych drzwiach wozu, tam gdzie zwykle trzyma się bagaże. Oboje z Charliem nazywaliśmy to miejsce ładownią. A więc siedzieliśmy na pokładzie ładowni, machaliśmy nogami w powietrzu, słońce przygrzewało coraz mocniej i świeciło tak jasno, że trudno mi było patrzeć prosto na Rogera.

Moje okulary słoneczne roztrzaskały się trzy miesiące wcześniej, a ja przyzwyczyłam się do mrużenia oczu. Pędzące autostradą samochody mijały nas po prawej stronie, a po naszej lewej dziewczyna pracująca w In-N-Out chyba właśnie zrywała ze swoim chłopakiem. Głośno. Przez telefon.

Chcieliśmy wziąć jedzenie ze sobą, ale kiedy Roger zaczął się zmagać ze swoim hamburgerem, wyjeżdżając jednocześnie z parkingu, uznaliśmy zgodnie, że najpierw trzeba zjeść, a dopiero potem ruszymy w dalszą drogę. Wjechaliśmy więc z powrotem na parking. Przedtem nie zdawałam sobie sprawy, że sieć In-N-Out działa tylko na Zachodnim Wybrzeżu, dopiero Roger mi o tym powiedział. W Connecticut nie ma ani jednej knajpki In-N-Out, ponieważ stan ten jest najprawdopodobniej niegościnnym, dzikim pustkowiem.

– To wkurzające – stwierdził Roger. Potrząsnął papierową torbą. Już dawno każde z nas uporało się ze swoim indywidualnym przydziałem frytek, zawsze jednak istniała szansa, że kilka z nich wysypało się do dużej torby. I rzeczywiście, wydobył drobną garstkę. – Wkurzające, bo tęskniłem za tym żarciem przez cały rok szkolny. Najbliższy In-N-Out od Colorado mieści się w Utah, a to trochę daleko, żeby po prostu wyskoczyć na hamburgera. Może zresztą dałoby się to zrobić, tylko że nie miałem samochodu.

Upiłam łyczek koktajlu mlecznego, żeby trochę zyskać na czasie i przemyśleć następną wypowiedź.

– Colorado? – spytałam wreszcie, przypomniawszy sobie nalepkę na zderzaku. – Tam studiujesz?

Skinął głową.

– Colorado College w Colorado Springs. Dobra uczelnia. I

mam tam mnóstwo świetnych kumpli... – wydawało mi się, że przez ułamek sekundy jakby cień przemknął przez twarz Rogera, ale natychmiast zniknął. – Krótko mówiąc, zamierzałem spędzić tam całe lato. Ale mój ojciec uparł się, żebym spędził wakacje razem z nim w Filadelfii.

– Twój ojciec tam mieszka, tak? – pożałowałam tego pytania w tej samej chwili. Po pierwsze, Roger sam mi o tym powiedział, jeszcze w kuchni. Po drugie, wiedziałam już wcześniej. Po trzecie, miałam wrażenie, że czekają nas bardzo długie cztery dni, o ile nie przestanę się zachowywać jak kompletna idiotka.

Jednak nawet jeżeli Roger coś zauważył, nie dał po sobie poznać.

– Tak – odpowiedział. Potrząsnął jeszcze raz torbą i o dziwo udało mu się wydobyć jeszcze kilka frytek. – Mieszka w Filadelfii ze swoją nową żoną i z jej synem. Odbiło mu, jak zobaczył moje stopnie, i zażądał, żebym do niego przyjechał, to wtedy, uwaga, „nauczę się nieco dyscypliny”. Krótko mówiąc, wakacje nieźle się zapowiadają. W dodatku nikogo tam nie znam. I co ja niby mam robić w Filadelfii?

– Możesz zajadać się stekami serowymi – zaproponowałam machinalnie.

Roger roześmiał się – pierwszy raz, głośnym dźwięcznym śmiechem, który wypełniał całą przestrzeń wokoło.

– Zgadza się – przytaknął. – Stekami serowymi i białym serem.

Zdaje się, że ani jemu, ani mnie nie przychodziło do głowy więcej przysmaków rodem z Filadelfii, bo zamilkliśmy oboje. Upiłam jeszcze łyżeczek koktajlu. Czułam na sobie spojrzenie Rogera. Zerknęłam w jego stronę. Okazało się, że czyta, co mam napisane z tyłu koszulki – widniała tam lista aktorów.

– Ten musical... – odezwał się. Zauważyłam, że wymawia słowo „musical” jakby pochodziło z jakiegoś obcego języka, jakby było to słowo, którego nie używał zbyt często. – Występowałaś w nim? – sprawiał wrażenie zaskoczonego.

– Tak – odpowiedziałam, odwróciłam się do niego przodem,

żeby przestał gapić się na moje plecy. – Nie chwałąc się, grałam główną rolę.

Ujrzałam, jak brwi Rogera wędrują w górę, popatrzyłam więc co prędzej na plastikową przykrywkę mojego kubka z koktajlem. Wcale nie dziwiło mnie, że jest zaskoczony. Jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło, ludzie zwykle dziwili się na wieść, że jestem aktorką. A ja od zawsze uwielbiałam przeistoczyć się na parę godzin w kogoś innego. W kogoś, dla kogo napisano słowa, wymyślono każdy gest i wiadomo było, jak wszystko się skończy. Prawie jak w życiu. Tylko że bez niespodzianek.

– To jak? – odezwałam się po chwili. – Jedziemy dalej, no nie?

Roger kiwnął głową.

– Chyba tak – upił łyk korzennego piwa i popatrzył w stronę autostrady. – Wiesz co – powiedział w zamyśleniu – chyba podróż nie zajmie nam aż czterech dni. Moi znajomi przejechali cały kraj w trzydzieści sześć godzin.

– Poważnie?

– Owszem. Chociaż o ile wiem, jechali bez żadnych przerw, zatrzymywali się tylko po to, żeby zatankować. No i raczej zdarzało im się przekraczać ograniczenia prędkości – dodał.

– Aha – odpowiedziałam, nie bardzo wiedząc, co tak naprawdę powinnam odpowiedzieć. Dopiero w tym momencie zrozumiałam, że o ile ja niespecjalnie miałam ochotę na tę wyprawę, Roger prawdopodobnie tym mniej się do niej palił. Dlaczego student właściwie już drugiego roku miałby chcieć spędzić cztery dni w samochodzie z licealistką i wieść ją przez pół kraju? Być może w ten sposób Roger chciał mi dać do zrozumienia, że chce uporać się z tym jak najszybciej.

– Wybrałaś się kiedyś na taką porządną włóczęgę samochodem? – spytał.

Odwróciłam się w jego stronę, mrużąc oczy. Potrząsnęłam głową. Czułam się strasznie obciachowo. Wiedziałam, że nie chodzi mu o wycieczkę z rodziną i oglądanie miejsc, które powinno się zwiedzić. Miał na myśli prawdziwą włóczęgę,

wyprawę, gdzie oczy poniosą, wprost przed siebie – wyprawę, na jaką wyruszają co fajniejsi goście studiujący w college'ach.

– A ty? – spytałam, chociaż spodziewałam się, że usłyszę odpowiedź twierdzącą.

Rzeczywiście.

– Owszem, ale tylko na terenie stanu. Najpierw do San Francisco, potem na południe do San Diego. No i czy ja wiem... – zawiesił głos, zajrzał do torby. Potrząsnął nią raz jeszcze, sięgnął do środka i wydobył aż trzy frytki. Wziął jedną, dwie pozostałe podał mnie. – Więcej nie ma – stwierdził. – Częstuj się. – Wzięłam jedną, ostatnią zostawiłam dla niego. Podziękował uśmiechem i zjadł ją, sprawiał wrażenie zamyślonego. – Chyba oczekiwałem, że ta przejażdżka będzie bardziej przypominała taką włóczęgę – wyznał. – Czy ja wiem? Sądziłem, że zobaczymy jakieś ciekawsze miejsca. Albo że przynajmniej będziemy mogli sami wybrać sobie trasę.

Upiłam łyk koktajlu. Miałam nadzieję, że nie słychać było, jak odetchnęłam z ulgą. A więc to nie o mnie mu chodziło, tylko miał problem z marszrutą ustaloną przez moją matkę. Co akurat rozumiałam doskonale – biorąc pod uwagę, jakie miejscowości wybrała nam na przystanki.

Pomyślałam sobie o tym, co właśnie przeczytałam w książce mojego ojca. O tym, żeby wyruszyć i jechać po prostu przed siebie, że można to zrobić tylko wtedy, kiedy jest się młodym. Wtedy pierwszy raz przyszło mi myśl, że cała ta wyprawa nie musi być takim nudziarstwem i może jednak zdarzy się coś, co warto będzie zapisać w notesie.

– No, wiesz – odezwałam się, sama nie wierząc, że za chwilę to powiem – chyba możemy pojechać inną trasą. Przecież w końcu wszystko jedno, którądy tam dojedziemy. Byle się wyrobić w cztery dni, no nie?

– Poważnie? – spytał Roger. – A co z rezerwacjami w hotelach?

Wzruszyłam ramionami, chociaż serce biło mi jak oszalałe.

Pytanie było całkiem rozsądne. Znając moją matkę,

wiedziałam, że pewnie będzie dzwonić do każdego hotelu, żeby się upewnić, czy się zameldowaliśmy. Jednak coś we mnie buntowało się, wołało – choć cichutko – żeby chociaż raz poutrudniać. Żeby dla odmiany pomartwiła się troszeczkę o mnie, nie o kogo innego. Żeby zrozumiała, jak się czułam, kiedy tak zostawiła mnie samą sobie.

– Olać to – stwierdziłam. Nie było to zupełnie zgodne z moimi prawdziwymi odczuciami, ale przyjemnie było powiedzieć coś takiego na głos. Tak właśnie zrobiłby Charlie. Natomiast „Amy!” nie zrobiłaby tego nawet za milion lat. Kiedy zaś pomyślałam o czterystu dolarach, które miałam w kieszeni, przyszło mi na myśl, że mogą nam się przydać, żeby kupić sobie chociaż skrawek wolności.

Roger puścił do mnie oko.

– W porządku – stwierdził. Odwrócił się bardziej w moją stronę i rozparł wygodnie. – Dokąd najpierw?

– Tylko żebyśmy zdążyli na dziesiątego, dobrze? – zastrzegłam pospiesznie. Wiedziałam, że moja matka nie będzie zachwycona, jeżeli zignorujemy wyznaczoną przez nią trasę, natomiast byłam pewna, że dostanie szału, jeżeli przejazd zajmie nam więcej czasu, niż przewidziała. – Robimy tylko objazd – uściśliłam.

– Tylko objazd – potwierdził Roger i skinął głową. Uśmiechnął się do mnie, a ja odruchowo miałam ochotę odpowiedzieć mu tym samym. Nie zrobiłam tego, ale pojawiła się ochota – po raz pierwszy od długich miesięcy.

Dziewczyna z In-N-Out po naszej lewej stronie nagle podniosła głos, a już po chwili zaczęła wrzeszczeć na swojego już wkrótce byłego. Dowiedzieliśmy się dzięki temu, że facet ma na imię Kyle i doskonale wie, co zrobił. Poczulałam się, jakbym kogoś podsłuchiwała, więc zeskoczyłam i ruszyłam na przód samochodu, ale zorientowałam się, że Roger ani drgnął. Nadal przysłuchiwał się scenie rozstania – z wyrazem lekkiego niesmaku na twarzy.

– Roger? – przywołałam go do porządku.

– Tak jest! – zreflektował się, również wstał, zgniótł w kulę

torebkę z białego papieru. Zapięliśmy pasy, Roger uruchomił silnik. – A więc jeżeli naprawdę wyruszamy na włóczęgę – oznajmił, cofając się na parkingu, a potem kierując w stronę wyjazdu – musimy postarać się o to i owo na drogę.

– To znaczy zatankować?

– Nie – zaprzeczył. – To znaczy, oczywiście – poprawił się i zerknął na wskaźnik paliwa. – To też. Są jednak dwie rzeczy absolutnie niezbędne podczas włóczęgi, kiedy człowiek rusza w świat.

– A mianowicie?

Roger uśmiechnął się do mnie, kiedy stanęliśmy na światłach.

– Przekąski i muzyka – wyjaśnił. – Niekoniecznie w tej kolejności.



– Co powiesz na Billy’ego Joela? – spytał Roger; przeglądał właśnie zasoby swojego iPod’a. Nie ruszyliśmy się jeszcze z parkingu pod Sunshine Mart, bo Roger uparł się, że nie zacznie „włóczęgi”, dopóki nie powstanie do niej odpowiednia ścieżka dźwiękowa. zaproponował nawet, że puści jeden z moich miksów, ale nie chciałam, pozwoliłam, żeby to on wybrał muzykę. Większość z tego, co miałam na moim iPodzie, pochodziła z broadwayowskich musicali albo były to jakieś stare hity, nie przypuszczałam zaś, żeby Roger był skrytym wielbicielem Andrew Lloyd Webbera.

Zerknęłam na niego znad atlasu.

– Myślę, że może być.

Nie chciałam zdradzić się z tym, że moja znajomość z Billym Joelem ograniczała się w zasadzie do musicalu *Movin’ Out*. Opróżniłam plastikową torbę z wybranych przeze mnie zakąsek, napój gazowany umieściłam w tylnym uchwycie na kubek, otworzyłam swoje red vines. Roger zaopatrzył się w pokaźny zapas abbazaba, poinformował mnie przy okazji, że można je

dostać tylko w Kalifornii – co spowodowało, iż zaczęłam się poważnie zastanawiać, po jaką cholereę ktokolwiek decyduje się osiedlić w Connecticut. Postawiłam jego piwo korzenne w przednim uchwycie na napój, żeby wygodnie mu było sięgać, po czym umieściłam torbę ze snakami za sobą, na tylnej kanapie.

– Czyli Billy może być – skonstatował Roger, przewinął listę, nacisnął przycisk pośrodku. – Świetnie.

Skoncentrowałam się znów na mapie, przesuwałam palcem po wszystkich autostradach przecinających we wszystkich kierunkach Kalifornię – naprawdę ogromną połąć ziemi. W atlasie nasz stan zajmował pięć stron. Tymczasem stan Connecticut, który znalazłam kilka kartek dalej, mieścił się na jednej rozkładówce razem z Rhode Island. Otworzyłam na stronie ze Środkową Kalifornią i gdy tylko zobaczyłam tę nazwę, od razu wiedziałam, gdzie chcę pojechać: do parku narodowego Yosemite. Z Raven Rock jechało się tam sześć godzin. Park został częściowo ufundowany przez moich przodków ze strony ojca. Jeździliśmy tam każdego lata na dwa tygodnie – ojciec, Charlie i ja. Kilka lat temu przestaliśmy jeździć, bez jakiegoś szczególnego powodu, tak jakoś się złożyło, że nikt z nas nie miał już na to czasu. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak tęskniłam za tym miejscem – dopóki nie zobaczyłam go na mapie – wystarczyło jechać dalej tą samą autostradą międzystanową, choć dzielił nas od Yosemite niezły szmat drogi.

– Myślę... – zaczęłam, potem odkaszlnęłam. Roger spojrział znad swojego iPoda na mnie, potem na leżący na moich kolanach atlas.

– Już wiemy, dokąd prowadzi nas droga? – spytał z uśmiechem.

– Może – odpowiedziałam.

Spojrzałam na mapę, na palec, który zatrzymałam w miejscu, gdzie widniała zielona plama przedstawiająca park narodowy. A co, jeżeli nie będzie chciał tam jechać? Jeżeli uzna, że to głupota, dziecinada? Sama nawet nie byłam do końca pewna, dlaczego chcę tam się znaleźć. Ostatnio raczej unikałam miejsc, które

przypominały mi o tym, o czym nie chciałam pamiętać. Aż tu nagle okazało się, że koniecznie chcę wybrać się właśnie tam, nigdzie indziej. Wzięłam głęboki wdech.

– Byłeś kiedyś w Yosemite?



# NOTES PODRÓŽNY



## SUNSHINE MART

\*\*\*\*\*  
Santa Anita's  
Oldest Convenience Market  
since 1972!

GAS SALE 87 GRADE	42.95
REAM SODA	1.95
7T BEER	1.95
TD VINES	4.00
A-ZABA	6.95
ES	3.95
	3.95
	1.99
	1.99

6 WESS!



*You aint never caught a rabbit, and you aint no friend of mine.*  
– *Elvis Presley*

### DZIEWIĘĆ LAT WCZEŚNIEJ

– Jesteśmy już na miejscu? – dopytywał się Charlie marudnym głosem, kopał przy tym z tyłu oparcie mojego fotela. Odwróciłam się, żeby spiorunować go wzrokiem, ale nie patrzył na mnie, tylko rozwalony z tyłu gapił się przez okno.

– Przestań – powiedziałam. – To mi przeszkadza. – W odpowiedzi Charlie kopnął jeszcze raz, tym razem dużo mocniej. – Tatusiu! – zawołałam do ojca, który siedział za kierownicą.

– Tak? – spytał. Postukiwał palcami w rytm piosenki Elvise, najwyraźniej nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co dzieje się za nim.

– Charlie mnie kopie!

– Naprawdę? – ojciec zerknął we wsteczne lusterko. – Cóż za imponujący zasięg, mój synu!

– Chciałam powiedzieć – sprostowałam, bardzo niezadowolona – że on kopie w mój fotel.

– Aha – odparł na to ojciec. – W takim razie, zechciej przestać. Twoja matka nie będzie zachwycona śladami stóp na tapicerce.

Charlie mruknął coś, czego nie zdołałam dosłyszeć, i jak zobaczyłam w lusterku, rozwalił się jeszcze bardziej na swoim siedzeniu.

W czasie tych wycieczek zawsze wolno mi było siedzieć z przodu, bo kiedy byłam mała, cierpiałam na chorobę lokomocyjną. Przeszło mi, ale zwyczaj pozostał. Kiedy podczas dłuższych wypraw towarzyszyła nam matka, siedziała z tyłu z Charliem, oboje czytali książki; jedynym odgłosem, jaki od czasu do czasu dochodził z ich strony, były wybuchy śmiechu, kiedy zdarzyło im się natrafić na jakiś szczególnie zabawny kawałek. Widziałam wtedy w lusterku, jak Charlie pokazuje matce, co akurat

przeczytał, przytrzymuje palec na tym fragmencie, który go rozśmieszył, a moja matka się uśmiecha.

Jednak kiedy znajdowaliśmy się w samochodzie, nie doskwierało mi, że mają swój własny, prywatny świat książek. Nie byłam zazdrosna, bo ojciec i ja mieliśmy w przedniej części wozu nasze własne rytuały, z czym wiązały się dla mnie pewne określone obowiązki.

Tato nauczył mnie czytać mapę mniej więcej wtedy, kiedy w ogóle uczyłam się czytać, więc od niepamiętnych czasów służyłam mu za pilota. „A teraz niech mój Sancho Pansa wskaże nam drogę” – mówił.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi, ale mało mnie to obchodziło. Miałam ważne zadanie do wypełnienia. To ja odpowiadałam za to, żebyśmy obrali właściwą trasę i do mnie należało znalezienie innej trasy, jeżeli trafił się korek albo droga okazała się zamknięta. Kiedy kończyła się płyta, do mnie należało wyjęcie jej z odtwarzacza i włożenie następnej. Prawdę mówiąc, nie było ich zbyt wiele do wyboru. Zazwyczaj kiedy samochód prowadził mój ojciec, na tapecie był Elvis, wyłącznie Elvis.

W uchwycie na kubek umieszczał dwie paczki life savers, mogłam częstować się do woli, pod warunkiem, że kiedy on wyciągnie rękę, natychmiast będę gotowa odpakować przysmak dla niego.

Charlie znowu kopnął w oparcie mojego fotela i kopał dalej, nieustannie, coraz bardziej działał mi na nerwy. Żeby nie dawać mu satysfakcji, nie odwróciłam się, patrzyłam prosto przed siebie, wzięłam sobie tylko następnego wint-o-green.

Kiedy byliśmy tylko we trójkę, Charlie zawsze stawał się wyjątkowo nieznośny. Generalnie zawsze sprawiał dużo więcej kłopotów niż ja, wciąż go nosiło i tylko książki go uspokajały.

Kopał i kopał, jeszcze mocniej, aż w końcu odwróciłam się i wrzasnęłam:

– Przestań!

– Ejże, synu – wtrącił mój ojciec. Też się obejrzał. – Coś ci powiem – tym razem wybór magnesu będzie należał do ciebie. Co

ty na to?

– E tam – burknął Charlie, ale wyprostował się nieco i przestał kopać.

– Czy aby nie dojeżdżamy na miejsce? – spytał mój ojciec, przyciszył na tę okazję *Hound Dog*. Spojrzałam przez okno po lewej stronie. Rzeczywiście. Byliśmy na miejscu, w Yosemite. Ujrzałam drewnianą budkę strażnika i samego strażnika w zielonym mundurze stojącego obok niej. Pobierał po dwadzieścia dolarów od każdego samochodu przejeżdżającego przez bramę, po czym wręczał pozwolenie na wjazd oraz mapę. Potem machał ręką, dając znak, że można jechać, zezwalając na przekroczenie granicy innego świata. Zadarłam głowę najwyżej, jak mogłam, żeby patrzeć w górę na drzewa.

– Jesteśmy na miejscu! – zawołał Charlie z tyłu, a ja wstrzymałam oddech. Czekałam, aż mój ojciec powie to, co zawsze mówił, kiedy przekraczaliśmy bramę.

– To znowu my – rzekł – kochana stara sterto kamieni. Czy tęskniłaś za nami?



## Playlista Rogera #1

„Żegnamy Kalifornię” czyli „W drogę”, albo  
„Przekąski są ważne, ale muza najważniejsza”

DO YOSEMITE

DO



TYTUŁ

WYKONAWCA

„Going to California”

Led Zeppelin

„Drive Away My Heart”

Ida Maria

„California in Popular Song”

The Lucksmiths

„I See You”

Mika

„Travel Song”

Someone Still Loves You,

Boris Yeltsin

„Miss California”

Jack's Mannequin

„The General Specific”

Band of Horses

„I'm Movin' Out (Anthony's Song)”

Billy Joel

„Life in the Fast Lane”

Eagles

„Birds of a Feather”

The Rosenbergs

„Limelight”

Rush

„All My Stars Aligned”

St. Vincent

„Unhurried Hearts”

Harlem Shakes

„The Wild”

Princeton

„I Stand Corrected”

Vampire Weekend

„In California” (Live)

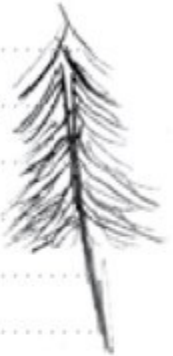
Neko Case

„Nobody Lost, Nobody Found”

Cut Copy

„Vanilla Twilight”

Owl City



# OBÓZ CURRY

## PARK NARODOWY YOSEMITE

### USŁUGA

6 czerwca / godzina 20:21

liczba gości: 2

rezerwacja: brak

złożone zamówienie: – chata z łazienką – chata bez łazienki

dostępna usługa: – namiot płócienny / 1 łóżko dwuosobowe

### Uwagi:

Gość/goście prosi/proszą o natychmiastowe skontaktowanie się z nimi i poinformowanie ich, w razie, gdyby okazało się, że wolna jest chata/chaty z więcej niż jednym łóżkiem.

czas pobytu: 1 noc

cena: 40,00 \$

płatność gotówką

## **UWAGA NA NIEDŹWIEDZIE!**

Zabierz z samochodu **WSZYSTKIE** przedmioty, które wydzielają jakikolwiek zapach. Dotyczy to: mydeł, szamponów, pasty do zębów, odpadów, kosmetyków, perfum, napojów, żywności, lodówek – **RÓWNIEŻ PUSTYCH!**



Wszystkie przedmioty



wydzielające ZAPACH należy zamknąć w znajdującej się przed chatą/namiotem SZAFCE – dla zabezpieczenia przed niedźwiedziami.

Yosemite NIE BIERZE NA SIEBIE  
ODPOWIEDZIALNOŚCI za poniesione straty lub uszkodzoną własność.

*I'd like to dream my troubles all away on a bed of California stars.*

– *Wilco*

– Nieźle – odezwał się Roger, gdy wyszliśmy z biura recepcji. – A więc niedźwiedzie?

– Owszem, niedźwiedzie – potwierdziłam. Mieliśmy szczęście, że w ogóle znalazło się dla nas jakieś miejsce. Jak się okazało, miejsca należało rezerwować z góry, na całe miesiące wcześniej – co nie przyszło mi do głowy, bo tym zawsze zajmował się mój ojciec. Tak się jednak zdarzyło, że ktoś odwołał rezerwację, więc trafił nam się wolny namiot. Namiot, nie chata – a zawsze dotąd nocowaliśmy w chacie. Jeden z płóciennych namiotów. Było w nim tylko jedno łóżko, o czym starałam się na razie nie myśleć. Przecież zajęło nam tyle czasu, żeby tam dojechać, a potem jeszcze całą godzinę od bramy Yosemite do Obozu Curry – szkoda by było się wycofać. To byłoby naprawdę deprymujące. Kiedy zapłaciliśmy za nocleg, kazali nam obejrzeć wideo, na którym niedźwiedź dobierał się do samochodu kombi, a potem rozsiadł się na ziemi i zaczął zajadać się chipsami należącymi do właścicieli owego samochodu, którzy nieopatrznie pozostawili frykasy, narażając w ten sposób swój własny pojazd. Oglądałam i zastanawiałam się, dlaczego kamerzysta czegoś nie zrobił, mógł przynajmniej ostrzec tych ludzi albo posłać do nich kogoś, żeby ich zawiadomić. W każdym razie z tego filmu miało wynikać przesłanie, że misie w Yosemite są niebezpieczne, szczególnie dla samochodów. Potem jeszcze musieliśmy podpisać oświadczenie, że nie będziemy wstępować na drogę sądową, jeżeli pokieroszą nam jeepa – nawet po zabraniu z niego wszystkich chipsów.

Poszliśmy potem na główny parking, ten który znajduje się w pobliżu „Pawilonu obiadowego Curry” – jak zawsze nazywaliśmy ten budynek. Ściemniało się już, ale było jeszcze na tyle jasno, że

można było swobodnie się przemieszczać. Co ważne, bo kiedy w Yosemite robi się ciemno, to ciemności panują wprost nieprzeniknione. Nie ma tam żadnego światła, tylko jedna latarnia obok pawilonu. Dzięki temu lepiej widać gwiazdy, ale trudniej znaleźć drogę do chatki czy namiotu. Szliśmy sobie wybrukowaną ścieżką; zauważyłam, że Roger zadziera głowę, otwierając przy tym nieco usta. Też patrzyłam w górę i podziwiałam widoki – dopóki jeszcze były widoczne. Wprawdzie nie byłam w Yosemite po raz pierwszy, ale i tak robiło na mnie wrażenie. Majestatyczne góry i potężne, prastare drzewa, wobec których człowiek czuje się zupełnie maleńki. Tu powietrze było czyste, rześkie, zawsze chciało mi się głębiej oddychać. I zawsze miałam wrażenie, że to jest jakieś miejsce poza normalnym światem, że tutaj nie obowiązują te same zasady, co gdzie indziej, trzeba za to przestrzegać zupełnie odmiennych reguł. Na przykład takiej, żeby zabierać szampon z samochodu, w przeciwnym bowiem razie i szampon, i samochód padną ofiarą dzikich sił natury.

Spakowaliśmy z samochodu wszystkie przekąski, zabraliśmy moją walizę i dwa pakunki Rogera. Wyruszyliśmy na poszukiwanie namiotu opatrzonego numerem dziewięć. Szybko zdałam sobie sprawę, kiedy skończył się bruk, a zaczął się żwir i trociny, że nie bez powodu turyści przybywający do Yosemite zazwyczaj nie używają walizek na kółkach. Ciągle grzęzłam, a waliza mi się przewracała, kółka nie chciały się turlać. Nie mówiąc już o tym, że mijający nas ludzie – przygotowani jak trzeba, z latarkami i w polarowych kurtkach – pewnie uważali, że strasznie się ośmieszyłam. W końcu jednak dotarłam jakoś do namiotu, gdzie czekał na mnie Roger. Stał przed wejściem i sprawdzał telefon.

– Wszystko w porządku? – spytał, jakby trochę roztargniony.

– Spoko – odpowiedziałam, po czym natychmiast zgromiłam za to siebie w duchu.

Zgodnie z opisem nasz namiot wykonany był z białego płótna, natomiast był również zaopatrzony w drewniane drzwi pomalowane na zielono. Prowadziły do niego cztery schodki z

balustradką, także pomalowane na zielono. Szafka przeciwniedźwiedziowa znajdowała się u stóp tych schodków. Roger i ja przejrzelśmy nasze rzeczy, po czym zamknęliśmy wszystko, co niedźwiedzie mogłyby uznać za jadalne – dokładnie wszystko – w metalowej skrzynce, a potem sprawdziliśmy jeszcze, czy jest porządnie zamknięta. Prawdę mówiąc, nie budziła mojego zaufania. Chaty, w których nocowaliśmy za dawnych czasów, nie miały podobnych szafek, nie było takiej potrzeby. Z trudem mi przychodziło uwierzyć, że cienka blacha może oprzeć się atakom wygłodniałych niedźwiedzi – skoro tak łatwo radziły sobie z samochodami kombi. Niezbyt też mi się podobało, że pojemnik znajduje się tak blisko namiotu. Za bardzo przywodziło to na myśl przekąskę stanowiącą wstęp do głównego dania.

Zabroniłam sobie podążać dalej tym tokiem rozumowania. Wyjęłam mały mosiężny kluczyk, który dostaliśmy w recepcji i otworzyłam nim drzwi do namiotu. Namacałam przełącznik, zapaliłam światło. W środku było dosyć ciasno, właściwie całą przestrzeń wypełniało łóżko. Łóżko metalowe, pomalowane na białe. Nieposłane, leżały na nim dwa komplety pościeli i dwa koce o szorstkim wyglądzie. Najwyraźniej nie było to wnętrze przeznaczone dla kogoś o luksusowych upodobaniach. A łóżko było strasznie małe. Nie wyglądało mi na dwuosobowe.

– Warunki polowe – stwierdził Roger, rozejrzawszy się po namiocie. Wewnątrz widać było to samo białe płótno, rozpięto je na drewnianych belkach pomalowanych zieloną farbą. W kącie stało krzesło oraz drewniana komoda z lustrem także oprawionym w drewno. Nic więcej. – Tego się zresztą spodziewałem – dodał, postawił na ziemi plecak oraz worek, znów wyciągnął z kieszeni telefon.

Popatrzyłam na to nieszczęsne łóżko, bo jakoś nie mogłam myśleć o niczym innym.

– Słuchaj – odezwał się niepewnym głosem, nie bardzo wiedząc, co mam z tym wszystkim robić. – Jeżeli chodzi o spanie... – nie chciałam, żeby mu się wydawało, że chcę takiej sytuacji, że łądujemy w jednym łóżku. – Przykro mi, że tak

wyszło.

– Dlaczego? – spytał Roger. – Chrapiesz? – uśmiechnął się, zadając to pytanie, ale widziałam, że trochę się zaczerwienił. – Przecież to tylko na tę noc.

– Zgadza się – powiedziałam.

Ponieważ nie opuściliśmy jeszcze Kalifornii, przemieściliśmy się tylko na północ – podczas gdy w założeniu mieliśmy już dotrzeć do Nowego Meksyku – wiedziałam, że następnego dnia czeka nas kawał drogi. Natomiast należało mieć nadzieję, że następną noc spędzimy już w dwóch oddzielnych pokojach hotelowych.

– Mam tylko jedną prośbę, chciałbym spać po prawej stronie – zastrzegł. – Moja dziewczyna... – urwał, odchrząknął. Po chwili podjął: – To znaczy, moja była dziewczyna. Zawsze koniecznie chciała spać po lewej stronie. I tak mi się już utrwaliło.

– Aha – skwitowałam.

Rozmyślałam nad tym, co właśnie od niego usłyszałam. Że jest w tej chwili bez pary. Jednak jakaś dziewczyna była na horyzoncie. Ta, przez którą przywykł spać po lewej stronie łóżka. Poza tym „moja dziewczyna” wymawiał mniej więcej takim samym tonem, jak ja mówiłam „rodzice”.

Nawet nie zdając sobie z tego sprawy, zakładałam dotychczas, że Roger jest z kimś, że ma jakąś dziewczynę. Był zbyt przystojny i ogólnie za fajny, żeby mógł być wolny. Fakt, że jednak okazał się wolny, nie wiedzieć czemu wprowadził mnie w zdenerwowanie.

– Mogę spać po lewej, nie ma sprawy – oświadczyłam, w nadziei, iż rzeczywiście mogę. Nigdy nie zostawałam na noc u Michaela w internacie, więc nigdy nie spałam z nikim w jednym łóżku – jeżeli nie liczyć Julii, kiedy byłyśmy w siódmej klasie i każdy weekend spędzałyśmy razem – na przemian ona nocowała u mnie i ja u niej. Nie miałam pojęcia, jak to może być, kiedy śpi się w jednym łóżku z facetem. Zwłaszcza z facetem przystojnym, starszym ode mnie i w dodatku niemającym dziewczyny.

– Super – stwierdził Roger. Nadal sprawiał wrażenie jakby

nieobecnego. – To ja pójdę zadzwonić – postąpił krok w stronę drzwi.

– Możesz dzwonić stąd – powiedziałam, bo spojrzałam właśnie na swoją komórkę, żeby sprawdzić zasięg i stwierdziłam przy okazji, że mam nieodebrane połączenie od matki. – Są cztery kreski.

– Nie, nie – powiedział szybko. – Dam ci trochę czasu, żebyś się urządziła, a potem widzimy się przy pawilonie. W porządku?

– Jasne – odpowiedziałam, bo dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że chce rozmawiać przez telefon na osobności. – Oczywiście.

Chwilę później już go nie było, pomachał mi jeszcze, a potem zatrzasnął za sobą drzwi. Odczekałam chwilę, po czym zgasiłam światło i też wyszłam. Zamknęłam za sobą drzwi na klucz. Siadłam na górnym schodku, rozejrzałam się. Wzdrygnęłam się lekko. Już zapomniałam, jak zimno tam się robi w nocy, nawet kiedy jest lato. Właśnie zapadła noc, jednak drzewa rzucały ostre cienie, bo wzeszedł księżyc – niewiarygodnie czysty i jasny. Widziałam Half Dome, najśłynniejszą górę Yosemite. Piętrzyła się po mojej lewej stronie. Wszystko było tak dobrze znajome, aż do bólu. Tylko ja byłam już inna, zupełnie inna. I przyjechałam z zupełnie kimś innym.

– Wróciłam – usłyszałam swój głos. – Witaj, ukochana sterto kamieni. Tęskniłaś za mną?



– „Witam, mówi Pamela Curry. Proszę o zostawienie po sygnale wiadomości z nazwiskiem i numerem telefonu. Oddzwonię, kiedy tylko będzie to możliwe. Dziękuję”.

Biiip.

– Cześć, mamó. Tu Amy. Chyba nie słyszałam dzwonka. Szkoda. Ale u mnie wszystko w porządku. Jechało nam się bez przeszkód. A teraz dotarliśmy na miejsce i zaraz idziemy spać. Krótko mówiąc, wszystko przebiega zgodnie z planem! Spróbuję

jutro się do ciebie dodzwonić. Pozdrów ode mnie babcię.



Stałam na schodach przed płócienną chatką-namiotem i usiłowałam się zmusić, żeby wejść do środka. Trwało to już od jakiegoś czasu. W dodatku zdawałam sobie sprawę, iż z każdą upływającą minutą Roger umacnia się w przekonaniu, że muszę mieć jakieś kłopoty z żołądkiem – bo upłynęło już z górą dwadzieścia minut, odkąd wybrałam się przed snem do łazienki.

Zdawało mi się, że kiedy przyjdzie co do czego, nie będę miała problemu, żeby nocować z nim w jednym łóżku. I niby wszystko było okej. Spotkałam się z Rogerem w pawilonie, zjedliśmy kolację oraz słuchaliśmy (i słuchaliśmy, i słuchaliśmy), co miała do powiedzenia dwójka niewiarygodnie gadatliwych dentystów z Palm Desert. Potem nadszedł czas na wieczorną rozrywkę w postaci edukacyjnego filmu zatytułowanego *Yosemite, park narodowy i jego historia*, a następnie pomaszerowaliśmy z powrotem do naszego namiotu numer dziewięć, aby udać się na spoczynek.

Wszystko było w porządku nawet jeszcze wtedy, gdy Roger poszedł do łazienki. Dopiero kiedy wrócił, ubrany w niebiesko-szary T-shirt Colorado College oraz czarne szorty, dotarło do mnie, co się dzieje. Nie tylko będę musiała spać obok Rogera, ale jeszcze do tego będę musiała spać w jednym łóżku z Rogerem ubranym w samą bieliznę.

Zgłupiałam na chwilę, potem zgarnęłam swoje rzeczy do spania, wydobylam kosmetyki z misiowej szafki i poszłam do łazienki, żeby się przebrać. Łazienki znajdowały się kawałek drogi od naszego miejsca noclegu, kiedy wędrowałam, nastawiałam uszu, czy nie usłyszę człapania niedźwiedzi; starałam się przy tym wyglądać jak najmniej apetycznie. Włożyłam też najmniej apetyczny strój nocny, jaki miałam do dyspozycji – spodnie od dresu i bluzę z długimi rękawami. Wyszczotkowałam zęby,

umylałam twarz. Nie spieszyłam się, wbrew rozsądkowi żywiłam jeszcze nadzieję, że gdy wrócę, okaże się, iż jakimś cudem znalazło się jeszcze jedno osobne miejsce do spania, choćby i drugi namiot.

Na to jednak nie było sensu liczyć. Zamknęłam rzeczy w niedźwiedziodpornej szafce i teraz chodziło tylko o to, żeby otworzyć te drzwi, a potem wejść do środka. Po prostu nie miałam ochoty. Nie chciałam spać w tym samym łóżku, w którym śpi ktoś, kogo prawie nie znam. Chciałam za to wrócić do domu, do mojego własnego łóżeczka, żeby na dole byli oboje rodzice, a za ścianą Charlie. Jeszcze nie tak dawno byłam przekonana, że taki stan rzeczy nigdy nie ulegnie zmianie, że tak już będzie zawsze. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele to dla mnie znaczyło. A teraz oddałabym wszystko, żeby mogło znów być jak przedtem.

„Amy!” pewnie właśnie wcinała hamburgera w towarzystwie swojego chłopaka, miłośnika futbolu, a jej największym zmartwieniem był ten pryszcz na policzku, co to w żaden sposób nie chciał zniknąć, żeby go szlag!

Słyszałam, jak Roger porusza się wewnątrz namiotu i wiedziałam, że w końcu będę musiała tam wejść. Odetchnęłam więc głęboko i otworzyłam drzwi. Czułam, że dłonie mi się pocą. Okazało się, że Roger tymczasem posłał łóżko, także dla mnie. Z odgiętym rogiem koca. Siedział teraz po prawej stronie. Położyłam ubranie na walizce, po czym podeszłam do swojej strony łóżka. Czułam się okropnie skrępowana, nie miałam pojęcia, co począć z rękami. W następnej chwili zauważyłam, że T-shirt Rogera uniósł się trochę, ukazując kawałek pleców nad krawędzią szortów. Szybko odwróciłam wzrok, nie wiedziałam, co mam zrobić. Też usiąść na łóżku? Wleźć pod koc? Zaczekać, aż on najpierw się położy?

Roger spojrzał w moją stronę.

– Wszystko w porządku? – spytał. – Już się niepokoiłem, że zjadły cię niedźwiedzie.

– Cha, cha, cha. – To miał być beztronski śmiech, ale nawet ja słyszałam, że nie bardzo mi się to udało. – Nie, wszystko w



porządku. Ja tylko ten...

Nie miałam pojęcia, jak skończyć to zdanie, więc nie skończyłam go wcale. Zawisło w próżni między nami.

– Dzięki za posłanie łóżka – odezwałam się w końcu. – To miłe z twojej strony.

– Drobiazg – odpowiedział Roger z uśmiechem. Wstał, patrzył na mnie przez chwilę, kontemplując mój strój. – Może powinnaś się rozebrać?

– Co? Ja? – wyjąkałam, kompletnie ogłupiała.

– No – potwierdził, wciąż na mnie patrząc.

O co mu chodzi? To miał być jakiś podryw, czy co? Takie teksty akurat zaraz przed pójściem do łóżka? I to tego samego łóżka? Tak jakby wszystko nie było i bez tego dość skomplikowane.

– Wiesz co, chyba raczej nie. Myślę, że trochę za mało się znamy... No, wiesz...

– Ach, nie – powiedział szybko Roger, teraz na dobre spiekł raka. – Nie, nie o to mi chodziło. Chciałem tylko powiedzieć, że będzie ci za gorąco. Strasznie ciepło się ubrałaś, nie uważasz?

Och. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zdołałabym może jakoś namówić kogoś z niedźwiedzi, żeby wszedł do środka i zechciał mnie zabić.

– Ach, tak – powiedziałam, starając się, by głos mi nie zadrżał.

– Nie, dzięki. Tutaj w nocy zawsze jest dość chłodno. – Roger skinął głową i przeciągnął się, pokazując teraz kawałek płaskiego brzucha. Znów odwróciłam wzrok. Nie mógł włożyć na siebie dłuższej koszulki? – Nie boisz się, że zmarzniesz? – spytałam. – Ciepło ci?

– Będzie dobrze – zapewnił i odwinął swój koc. Uznałam to za wskazówkę i zrobiłam tak samo. – Zawsze jest mi ciepło w nocy. Hadley mówiła, że jestem jak kaloryfer.

Podeszłam do drzwi, sprawdziłam, czy są zamknięte, i wyłączyłam światło. Jednak przez płócienne ściany sączyło się światło księżycy, było więc na tyle jasno, że bez trudu wróciłam do

swojego miejsca na łóżku. Roger położył się, ja także wślizgnęłam się pod koc, starając się trzymać od mojego towarzysza podróży tak daleko, jak tylko to było możliwe, nie spadając zarazem z łóżka. Trzymałam ramiona przyciśnięte do obu boków, patrzyłam na sufit i czułam, jak blisko siebie leżymy. Mogłabym go dotknąć, nie wyciągając nawet ręki. Czułam rytm jego oddechu.

– Hadley? – spytałam po chwili. Przypuszczałam, że to właśnie jego była dziewczyna. Ta, której miejsce na łóżku zajmowałam teraz.

– Tak – potwierdził Roger, usłyszałam napięcie w jego głosie. – Moja dziewczyna. Była dziewczyna – poprawił się natychmiast i jakby trochę złościł się sam na siebie. – Ona... No, wiesz, po prostu...

Czekałam. Odwróciłam głowę nieco w jego stronę, ale najwyraźniej nie było moim przeznaczeniem, bym miała usłyszeć, co mianowicie Hadley po prostu robiła albo nie robiła, czym była albo nie była. Roger tylko odetchnął głęboko, potem założył ramiona pod głowę. Przez chwilę gapiłam się na niego, po czym znów spojrzałam w stronę sufitu.

– A ty? – spytał, teraz on odwrócił się do mnie. – Masz kogoś?

Od razu przyszedł mi na myśl Michael, ale nie byłam pewna, czy w jakikolwiek sposób pasuje do wizji, którą chciałam przedstawić Rogerowi.

– Tak naprawdę to nie – odpowiedziałam. Uznałam, że brzmi to dość żałośnie, więc uzupełniłam: – To znaczy, był taki koleś, ale to... Znaczy, wiesz, jakby... Chodzi o to, że tak naprawdę. – urwałam. Gdzie podziały się wszystkie moje przymiotniki, rzeczowniki i czasowniki? Pan Collins nie pochwaliby mnie za tę wypowiedź. – No, nie wiem – zakończyłam błyskotliwie. – W zasadzie nie.

Popatrzyłam w jego stronę i zobaczyłam, że Roger przewrócił się teraz na bok, twarzą do mnie, lekko skulony. Zazwyczaj też spałam – albo próbowałam zasnąć – na boku. Popatrzyłam w sufit, przygotowując się mentalnie na kolejną długą

noc. Bezsenność pojawiła się pierwszy raz w moim życiu jakiś miesiąc wcześniej. Godzinami przewracałam się z boku na bok, aż wreszcie dawałam za wygraną i włączałam kanał Meteo. Nie wiem z jakiego powodu, ale telewizja poświęcona prognozom pogody działała na mnie kojąco. Konkret, no i to, że w zasadzie potrafili tam przewidzieć przyszłość. Podobało mi się, że meteorolodzy informują ludzi w całym kraju, co przyniesie im następny dzień albo tydzień. Ostrzegają przed groźącym niebezpieczeństwem, przed nadciągającą burzą. Dzięki temu kataklizm nie musi być całkowitym zaskoczeniem, można przygotować się na jego uderzenie. Kiedy popatrzyłam sobie na radar dopplerowski przez jakiś czas, zazwyczaj potem udawało mi się zdrzemnąć godzinkę albo dwie. Jednak tam, pośród gór, pozbawiona prognozy siedmiodniowej, gdy wokół krążyły – albo mogły krążyć – głodne niedźwiedzie, w dodatku w jednym łóżku z Rogerem, wiedziałam, że nie zmruję oka ani na chwilę.

– No, to dobranoc, Amy – odezwał się Roger.

– *Dobranoc. Miś na noc* – odpowiedziałam, zupełnie machinalnie. Właśnie tak mówiliśmy sobie „dobranoc”, kiedy przyjeżdżaliśmy tu z Charliem i z ojcem. Przez całe lata nawet raz o tym nie myślałam, aż tu nagle powróciło, wystarczyła sprzyjająca sytuacja.

Roger zaśmiał się, to była taka cichsza wersja śmiechu, który słyszałam wcześniej.

– Fajne – stwierdził. – Nawzajem.

Zobaczyłam, że zamknął oczy i pomyślałam sobie, że pewnie natychmiast zasnął. Poczułam przyływ irracjonalnej zawiści – zawiści wobec kogoś, kto potrafi tak po prostu odpłynąć, kogo nie dręczą myśli niedające spać.

Roger oddychał coraz wolniej, coraz równiej, nawet ja rozluźniłam się trochę. Między nami było jednak trochę miejsca, którego Roger najwyraźniej nie zamierzał zająć. Poruszając się ostrożnie, przewróciłam się na bok, przodem do Rogera.

Chociaż wiedziałam, że w żaden sposób nie uda mi się zasnąć, również zamknęłam oczy.



Obudziłam się nagle. Zerknęłam na zegarek i ku swemu zdumieniu stwierdziłam, że jest trzecia. A więc usnęłam i to bez prognozy pogody. Usiadłam, rozejrzałam się. Wewnątrz było ciemniej niż przedtem, pewnie księżyc zaszedł albo skrył się za chmurę – i byłam w łóżku sama. Natychmiast wpadłam w panikę, co było skrajnym bałwaństwem i brakiem konsekwencji, biorąc pod uwagę, jak strasznie nie chciałam spać z nim w jednym łóżku. Jednak teraz wydało mi się zbyt wielkie. Zaczęłam się zastanawiać, dokąd mógł pójść Roger – po prostu do łazienki, a może na spacer, żeby popatrzeć sobie na gwiazdy – kiedy usłyszałam jego głos dochodzący z zewnątrz. Spojrzałam w stronę drzwi – były uchylone, słyszałam, jak mówi do telefonu:

– Cześć, Hadley. – To znowu ja. Rozejrzałam się. Co mam zrobić? Włożyć słuchawki i włączyć iPoda? Wiedziałam, że nie powinnam słyszeć tej rozmowy, ale tak naprawdę bardzo, ale to bardzo chciałam ją usłyszeć. Nim zdołałam podjąć jakąkolwiek decyzję, Roger przemówił znowu. W jego głosie słyszałam zdenerwowanie. – Rozumiem, że nie masz przy sobie telefonu. Albo że śpisz. Tam u was już chyba jest dosyć późno. Czy raczej wcześniej. Przepraszam, jeżeli cię obudziłem... – umilkł na chwilę. – Jestem w Kalifornii, w górach. Gwiazdy są przepiękne. Chciałbym, żebyś mogła je zobaczyć. Jestem... – jego głos minimalnie się załamał. – Słuchaj, Had, ja, prawdę mówiąc, nie rozumiem, co się stało. Ani dlaczego się nie odzywasz. To nie w twoim stylu. Więc. No, nie wiem. W każdym razie zadzwoń, kiedy odsłuchasz tę wiadomość, dobrze?

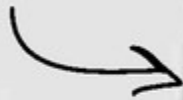
Myślałam, że powie „cześć” albo coś w tym rodzaju – jednak nie. Na tym się skończyło. Przypuszczałam, że zaraz wróci do łóżka, więc położyłam się z powrotem i zamknęłam oczy, żeby myślał, że śpię i że niczego nie słyszałam.

Jednak kiedy znów je otworzyłam, było już zupełnie jasno, a

wokół, ze wszystkich stron, rozlegały się głosy ptaków –  
ćwierkanie, skrzeczenie. Spojrzałam na zegarek, była ósma.  
Popatrzyłam na drugą stronę łóżka w stronę Rogera, na jego głowę  
spoczywającą w odległości wyciągniętej ręki. Spał głębokim snem,  
koc zsunął mu się z ramienia. Spoglądałam na niego przez chwilę,  
choć może nie powinno się tak patrzeć na kogoś, kiedy ten ktoś  
jest zupełnie bezbronny i taki spokojny. Odwróciłam spojrzenie,  
przewróciłam się na drugi bok i przeciągnęłam się. Tak dobrze nie  
spalo mi się już od miesięcy.

# NOTES WYKORZYSTAJ

To jest  
moje śniadanie





# NOTES PODRÓŻNY



Przed Pawilonem  
Jadalnym Curry



Góry Yosemite rano

## CURRY MARKET

1 Yosemite mug-"AMY"	4.95
1 Skittles	1.95
	1.24

## CURRY MARKET

1 Yosemite mug-"ROGER"	4.95
1 Reese's Pieces	1.95
1 "	





*You'll be missed, Miss California.*  
– *Jack's Mannequin*

Potem obudził się Roger i poszliśmy do Pawilonu Jadalnego – zawsze uwielbiałam to miejsce. Był to solidny kamienny budynek, a w środku królował ogromny kominek, wokół którego gromadzili się ludzie. Takie miejsce, które sprawiało, iż człowiek nawet w środku lata miał ochotę zwinąć się w kłębek i raczyć się gorącą czekoladą. Wnętrze zdobiły portrety moich protoplastów, którzy zjawili się w Yosemite z górą sto lat temu, by dla zysków założyć to obozowisko. Z czasem również ta część została wcielona do parku narodowego. Mam wrażenie, że moi przodkowie przyczynili się przede wszystkim do powstania tak zwanego „wodospadu ognia”. Polegało to na tym, że nocą rzucano z urwiska rozpalone węgle. Zaprzestano tych zabaw dopiero w latach sześćdziesiątych, głównie dlatego, że wszystkich dziwiło, jakim cudem nikt nigdy się przy tym nie zabił i nie spalił. Nie omieszkałam zapoznać Rogera z tym fragmentem dziejów mojego rodu, po czym zjedliśmy śniadanie.

Ścisłej rzecz biorąc, to ja zjadłam śniadanie. Roger spożył posiłek odpowiedni raczej na świąteczny obiad albo dla kogoś, kto ma tasiemca. Na szczęście to był stół szwedzki, można było jeść, ile kto chciał – chociaż podejrzewam, że po naszym pobycie ta zasada mogła ulec zmianie. Kiedy Roger pojawił się z trzecim pełnym talerzem – tym razem pełnym różnego mięsa i wędlin – popatrzył koso na mój talerzyk.

– To wszystko? Nic więcej nie jesz? – spytał.

– Wszystko – odpowiedziałam. Upiłam łyczek soku pomarańczowego. Wchłonęłam już owsiankę, dwie babeczki i banana, co jak dla mnie było aż nadto. – Najadłam się.

Roger pokręcił głową.

– Powinnaś zjeść coś pożywniejszego – stwierdził. Siadł na krześle, rozłożył przed sobą *Przewodnik po Yosemite*, który

zgarnęliśmy po drodze i zaczął go czytać, pałaszując jednocześnie kiełbaskę. – Mnóstwo tu się dziś dzieje. Wycieczki, spacer – potrzebujesz do tego mnóstwo energii.

Podał mi gazetkę. Udawałam, że ją czytam, ale tak naprawdę spoglądałam znad niej na Rogera.

– Jak ci się dziś spało? – spytałam najniewinniejszym z niewinnych tonów.

– Świetnie – odparł Roger, ale zauważyłam, że coś za bardzo skupił się na kawałku kanadyjskiego bekonu. – Usnąłem, gdy tylko przyłożyłem głowę do poduszki. A ty?

– W porządku – odpowiedziałam beztrąsko. Popatrzyłam na niego znowu, zdając sobie tym razem sprawę, że i Roger ma coś do ukrycia. Nie spodziewałam się tego. Okazało się, że przy naszym stole siedział więcej niż jeden kłamczuszek.



– Witaj, tu telefon Amy. Zostaw wiadomość po sygnale, oddzwonię. Dzięki!

Biiip.

– Witaj, Amy, mówi twoja matka. Jakoś nie możemy się złapać. Cieszę się, że dojechaliście już do Nowego Meksyku i mam nadzieję, że ujechaliście już spory kawałek do Oklahomy. Dzwoniłam dzisiaj do Gallup Holiday Inn, żeby upewnić się, czy dotarliście tam na nocleg, ale nie mają was w księdze gości. Jednak, prawdę mówiąc, odniosłam wrażenie, że panienka w recepcji nie ma pojęcia o niczym. Zadzwoń, proszę, żebym wiedziała, że wszystko odbywa się zgodnie z planem.



– Jak tu pięknie – odezwał się Roger, wyciągając przed siebie nogi. Siedzieliśmy przed Pawilonem Jadalnym Curry i podziwialiśmy widok – potężne sosny, majestatyczne góry – delectowaliśmy się blaskiem słonecznym sączącym się przez

drzewa. Zwolniliśmy nasz namiot i włożyliśmy bagaże z powrotem do samochodu, ale trzymaliśmy się blisko niego, żeby w porę zauważyć, gdyby miały nadciągnąć jakieś niedźwiedzie o wygłodniałym wyglądzie. Roger przysłonił oczy dłonią od słońca, po czym wstał. – Przydadzą się okulary słoneczne – oznajmił, wyciągnął z kieszeni kluczyki do samochodu. Spojrzał na mnie z góry. – Przynieść ci też twoje?

– Nie trzeba – powiedziałam, lecz nie zabrzmiało to zbyt przekonująco, bo patrząc na niego, strasznie mrużyłam oczy.

– Jesteś pewna?

– Wiesz – odpowiedziałam, starając się ich nie mrużyć, jednak okazało się to fizyczną niemożliwością – tak naprawdę w tej chwili nie mam żadnych okularów słonecznych.

– Na pewno mają okulary w sklepie z pamiątkami – stwierdził Roger. Mieli, bo widziałam – głównie lustrzanki sportowego typu – takie, jakie kupują sobie ludzie zamierzający chodzić po górach.



**7 czerwca**

- **Wejście na Half Dome\***
- **Wycieczka po dolinie Yosemite**

- **Gawęda przyrodnicza rangersa Roba:**

**„Które korzenie i jagody są przyjazne człowiekowi?”**

- **Bądź jak Ansel Adams!**

### **Wycieczka fotograficzna po Yosemite**

- **Spacer botaniczny – rzadkie rośliny Yosemite**

- **Haiku na patyku**

### **WYBÓR ATRAKCJI:**

~~Wejście na Half Dome~~

~~Ranger Rob~~

~~Spacer botaniczny~~

Haiku

\* Prosimy wziąć pod uwagę, że wejście na Half Dome to trzydniowa wyprawa o trzecim stopniu trudności, a więc przeznaczona wyłącznie dla turystów posiadających doświadczenie w wędrówce wysokogórskiej. Konieczne będzie użycie czekanów. Uwaga, nie zostawiamy śmieci w górach, zabieramy je ze sobą. Zapraszamy!

Konieczne będzie podpisanie klauzuli, w której Uczestnik oświadcza, że zwalnia Park Narodowy Yosemite z odpowiedzialności w razie nieszczęśliwego wypadku, śmierci lub kalectwa.

Nazwisko: Amy Curry/Roger Sullivan  
Chata/namiot numer: 9

### **Haiku na patyku**

**Prowadzi: zwiadowca Carl**

*Witajcie w tej ostoje ciszy i naturalnego piękna!*

Tradycja „Haiku na patyku” jest już siedmioletnia, to jedna z naszych ulubionych atrakcji parku Yosemite. Podczas spaceru po dolinie będziemy zatrzymywać się w określonych miejscach, abyście Państwo mogli zapisać swoje wrażenia na dostarczonym w tym celu papierze. Prosimy starać się zachować metrum 5/7/5. Dłuższe utwory oraz pomysły na nie zachowujemy w pamięci z myślą o „Sonecie o świcie” lub walentynkowej imprezie „Wiersze chodzą parami”.

### **WESOŁEJ ZABAWY!**

**Yosemite, Haiku na patyku**  
**Prowadzi: zwiadowca Carl**  
**ARKUSZ ROBOCZY**

Ale głupota

Haiku beznadziejne są

i mam pęcherz.

– Amelia E. Curry

A kto jak nie ty

Chciał wspinać się na sam szczyt

Half Dome? Pamiętasz?

– Roger H. Sullivan

To było, zanim  
Przeczytałam przypis drobnym drukiem  
Strasznie strasznie strasznie się  
przestraszyłam i uciekłam z hukiem

– A. E. C.

Amy, oj chyba

W haiku nie ma rymów

ani powtórzeń

– R. H. S.

**Yosemite, Haiku na patyku**

**Prowadzi: ranger Carl**

**ARKUSZ ROBOCZY**

Czy liczba mnoga

od „haiku” - tak brzmi, Rog?

Chyba raczej nie

– A. E.

Mnoga i niemnoga

Taka sama! I co za „Rog”?

Chcesz zostać „Ame”?

– R. H. S.

Ten Carl – to wariat”

Czerwony jak burak, grzmi

„Nie zostawać w - tyle”

– A. E. C.

Nasz Carl powinien zrozumieć: czasu trzeba.

Liczenie sylab trwa!

– R. H. S.

**Yosemite, Haiku na patyku**

**Prowadzi: ranger Carl**

**ARKUSZ ROBOCZY**

Czy – to aluzja?

Czuję się urażona

Ten Carl mnie wkurza

– A. E. C.

Biedny buraczek

Czerwony i rozpięty

Rozporek ma cha, cha

– R. H. S.



Co – ty, poważnie?

heh, nie zauważyłam...

O rany, hi, hi, hi

– A, E. C.

Tylko że ja nie chciałam takich ciemnych okularów. Ani takich, ani żadnych innych.

– Nie trzeba – stwierdziłam stanowczo. Roger patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, wzruszył ramionami i poszedł do samochodu.

Zamknęłam oczy, odchyliłam głowę. To było bardzo przyjemne, od dawna nie czułam słońca na swojej twarzy.

– Amy?

Otworzyłam oczy, zobaczyłam starszą kobietę stojącą przede mną, przyglądała mi się uważnie. Stała dokładnie pod słońce, więc widziałam tylko jej sylwetkę. Wstałam, żeby zobaczyć ją lepiej. Ubrana była jak turystka, z wiatrówką przewieszoną w pasie, miała mocno spięte, kręcone siwe włosy. Odnotowałam wszystkie te detale i coś w mojej mózgowicy kliknęło. To była Cathy... Ale nazwiska nie mogłam sobie przypomnieć. Tak się złożyło, że razem z mężem przyjeżdżali tutaj w tym samym czasie, co my – przez całe lata z rzędu. Zawsze wpadaliśmy na nich tutaj, w Yosemite i zazwyczaj kończyło się to tak, że zajmowaliśmy wspólnie stolik w jadalni. Mam wrażenie, że raz nawet dostaliśmy od nich kartkę na Boże Narodzenie. Wesołych Świąt skądś tam.

– Witaj – powiedziałam, starając się nie wyglądać tak, jakbym usiłowała sobie przypomnieć, skąd ją znam. – Witaj, Cathy – dodałam. Mogłam tylko mieć nadzieję, że dobrze zapamiętałam jej imię; drugą sylabę wypowiedziałam ciszej – na wypadek, gdybym jednak źle zapamiętała.

– Więc to ty! – zawołała, wyciągnęła ręce i uściskała mnie

prędko, zanim zorientowałam się, co jest grane. – Wszędzie bym cię poznała, chociaż, do licha, niesamowicie urosłaś! Stałaś się piękną młodą kobietą!

Dlaczego starsi ludzie zawsze muszą mówić takie rzeczy? A sami wciskają nam i wciskają, że nie wolno kłamać. Skinęłam głową, no bo co miałam na to powiedzieć?

– A gdzie reszta? – spytała Cathy i rozejrzała się. – Twój brat i ojciec? Są w środku?

Serce zaczęło mi łomotać; poczułam, że ogarnia mnie panika, która przychodziła zawsze, kiedy wydawało mi się, że może komuś będę musiała o tym opowiedzieć. Jeszcze nigdy dotąd te słowa nie przeszły mi przez gardło i całkiem szczerze byłam przekonana, że nie przejdą. Nawet myśl o ich wypowiedzeniu wprawiała mnie w przerażenie.

– Och... – usłyszałam swój własny głos i napięcie w nim, jakby gardło zaciskało się na tych słowach, kiedy usiłowałam zmusić się do ich wykrztuszenia. Byłam wściekła na siebie, że nie potrafię sformułować prostego zdania. – Tym razem nie przyjechali.

Mrugałam strasznie szybko, wpatrywałam się w podrapaną drewnianą podłogę tarasu. Miałam nadzieję, że Cathy Jak Jej Tam poprzestanie na takim wyjaśnieniu i pójdzie sobie. Kątem oka dostrzegłam Rogera w ciemnych okularach, który zbliżał się, ale nieco zwolnił, kiedy zorientował się, że z kimś rozmawiam.

– Ach, jaka szkoda – stwierdziła Cathy. – Twój tato był zawsze takim wybornym kompanem przy stole! Co tam u niego? Jak się miewa?

– Taak – powiedziałam, poczułam, że nie mogę oddychać, mrugałam jak wściekła, powstrzymując łzy. Marzyłam tylko o jednym – żeby zniknąć, zapaść się pod ziemię, wrócić do domu, gdzie nie ma nikogo i nikt nie będzie mnie zmuszał, żebym tak się czuła. Naprawdę mało brakowało, a rozkleiłabym się, poryczałabym się przy Cathy i przy wszystkich. Nie było ucieczki, musiałam tam stać i wiedziałam, do czego zaraz dojdzie. A przez to, że wiedziałam, było jeszcze gorzej. Czułam pulsowanie w

krtani, coraz trudniej mi było oddychać. Zaczynałam tonąć. – Taak – powiedziałam znowu, głos mi się załamał. Cathy chyba zorientowała się, że coś jest nie tak – uniosła brwi, zmarszczyła lekko czoło. – On... On...

Z mojego gardła wydobyło się coś na kształt szlochu. Odwróciłam się, wiedziałam, że już nic więcej nie wykrztuszę.

– Dzień dobry – usłyszałam głos Rogera, który podszedł do Cathy z drugiej strony. Wyciągnął dłoń na powitanie, przez co musiała się ode mnie odwrócić. Zauważyłam, chociaż widziałam jak przez mgłę, że Roger patrzy na mnie ponad jej ramieniem. – Jestem Roger Sullivan. Przyjaciel rodziny.

– Cathy Summers – przedstawiła się Cathy, machinalnie zarejestrowałam nazwisko w pamięci, skrzyżowałam ramiona i zacisnęłam wargi tak mocno, jak tylko mogłam. Mimo to nadal czułam, że drżą, że drży także mój podbródek. – Właśnie pytałam, co dzieje się z resztą rodziny Currych – powiedziała Cathy, modulując głos, jakby zadała pytanie.

Roger znów na mnie popatrzył, a ja gapiłam się prosto przed siebie, wciąż mrugałam i mrugałam – usiłując cofnąć to coś, próbując znaleźć krawędź normalności, żeby jej się ucześcić. Roger podszedł nieco bliżej Cathy i wyjaśnił zniżonym głosem:

– Niestety... – odezwał się, potem odkaslnął i dokończył: – Niestety, pan Curry zmarł niedawno.

Więcej nie mogłam już tego znieść. Poszłam do pawilonu, ze spuszczoną głową. Pchnęłam drzwi, ale zdążyłam jeszcze usłyszeć odgłos, jaki wydała z siebie Cathy, a następnie słowa wyrażające ubolewanie oraz zaskoczenie. Szybkim krokiem udałam się do łazienki, nie musiałam słuchać, żeby wiedzieć, co nastąpi dalej. Żeby usłyszeć, jaki to dla niej wstrząs. I jaka to straszna tragedia. A potem, rzecz jasna, pytanie najważniejsze: jak do tego doszło? Uf, ale tego Roger akurat nie wiedział.

Weszłam do łazienki, w której na moje szczęście nikogo nie było, i zamknęłam się w najbliższej kabinie. Oparłam się o zimne metalowe drzwi i wreszcie mogłam sobie pozwolić na płacz. Płakałam, przyciskając dłonie do twarzy, szlochałam rozdzierająco

szlochaniem dochodzącym z samych moich trzewi. Dopóki to się nie stało, nigdy tak nie płakałam. Nienawidziłam tego. Takiego płaczu nie dało się opanować, przechodził przeze mnie jak huragan – i wcale potem nie czułam się lepiej. To było tylko przypomnienie, że niewiele jeszcze płakałam, więc kiedy mi się to zdarzało, płacz wywracał mi bebechy na lewą stronę. Te gwałtowne ataki łkania dowodziły jedynie, że chociaż udawałam, iż jest wręcz przeciwnie, w mojej piersi ziała wielka, czarna dziura. Próbowałam zakryć ją listkami i gałązkami. Żałosny kamuflaż, za pomocą którego nie byłam w stanie oszukać nawet siebie samej.

Kiedy przewaliło się najgorsze – to znaczy, kiedy mogłam już mniej więcej regularnie oddychać i tylko od czasu do czasu czkawka zakłócała ten rytm – otarłam twarz dłońmi. Otworzyłam drzwi i wyszłam. Skrzywiłam się, kiedy zobaczyłam swoje odbicie w lustrze. Miałam przekrwione, obrzękłe oczy, czerwony nos, plamy na twarzy. Puściłam zimną wodę, jak najzimniejszą, zanurzyłam w niej dłonie, a potem obmyłam twarz. Osuszyłam ją brązowymi papierowymi ręcznikami, co tylko pogorszyło sprawę.

Otworzyły się drzwi, weszła jakaś mama, niczym troskliwy pasterz prowadząc swoją córeczkę do umywalki. Spojrzała na mnie i szybko odwróciła wzrok – ale zdawałam sobie sprawę, że niestety nie mogę spędzić całego dnia w łazience i kiedyś będę musiała wyjść, choć ta myśl budziła we mnie przerażenie. Pchnęłam więc drzwi i niemal potknęłam się o Rogera, który siedział po prawej stronie na podłodze.

– Hej – odezwał się. Wstał. Zobaczyłam, że ma moją torebkę.

– Zostawiłaś to przed pawilonem.

Skinęłam głową, wzięłam od niego torebkę, cały czas wbijałam spojrzenie w szarobrązowy dywan.

– Dzięki – powiedziałam. Mój głos nadal był ochryply, ale szczęśliwie byłam już w stanie nad nim panować.

– Wszystko w porządku? – spytał.

Odpowiedź była oczywista i brzmiała „nie”, więc nie było po co udawać, że jestem wesoła i szczęśliwa. Uznałam, że aż tak

dobłą aktorką nie jestem. Wzruszyłam więc tylko ramionami.

– Aha – rzekł, po czym umilkł na krótką chwilę. Potem odezwał się niepewnym głosem, jakby zastanawiał się nad każdym słowem, zanim go użył: – Gdybyś chciała kiedyś porozmawiać... Albo powiedz mi coś, żebym cię wysłuchał... To jakby co, wiesz, ja zawsze...

– Kto ci powiedział? – przerwałam mu, powiedziałam to bardzo szybko, bo wydawało mi się, że tak będzie najłatwiej. – Twoja mama? Czy zorientowałaś się po klepsydrze na lodówce?

Nie byłam jeszcze na tyle pewna siebie, żeby podnieść wzrok, więc zadałam te pytania dywanowi.

– Mama – odpowiedział Roger po chwili. – Chyba była... No, na pogrzebie.

Może i była. Mogła przyjechać do kościoła świętego Andrzeja na słońcu, a ja i tak bym jej nie pamiętała.

Skinęłam głową.

– Czy wiesz... – zaczerpnęłam tchu. Zmusiłam się, żeby spytać. Odnosiłam wrażenie, że nie wie, ale musiałam mieć pewność. – Czy wiesz, jak to się stało?

– Nie – usłyszałam. – Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Pokręciłam głową – tylko raz w jedną i raz w drugą stronę.

Czułam, że wargi znów zaczynają mi drżeć, więc przygryzłam je, mocno.

– Okej – powiedział, odczekawszy chwilę. – Chyba pora ruszać w drogę, nie uważasz?

Przytaknęłam, a kiedy podniosłam wzrok, ujrzałam, że Roger podaje mi swoje okulary. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby odmówić. Wzięłam je i założyłam. Były na mnie za duże, ciężkie kwadratowe okulary przeciwsłoneczne dla faceta – i zsuwały mi się z nosa. Jednak w tamtej chwili byłam wdzięczna, że między moją twarzą a światem zewnętrznym znajduje się jakaś bariera, choćby po to, żeby nie straszyć dzieci, które przybyły do Yosemite, żeby podziwiać piękne widoki. Wyszliśmy z pawilonu, spojrzałam za siebie jeszcze jeden, ostatni raz. To wewnątrz wcale nie wydawało mi się już takie przytulne. Zatrzasnęłam drzwi i

ruszyłam za Rogerem do samochodu.





**Najsamotniejsza  
droga w Ameryce**





*Long-distance information, give me Memphis, Tennessee.*  
– *Elvis Presley*

LUTY – CZTERY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

– I co powiecie? – spytał ojciec, popatrzył najpierw na mnie, potem na Charlie’ego. Sprawiał wrażenie, jakby był strasznie z siebie zadowolony.

Ja zaś spojrzałam ponad kolacyjnym stołem na Charlie’ego, a potem w lewo, na ojca, który uśmiechał się od ucha do ucha. Popatrzyłam sobie na prezent, który właśnie odpakowałam – był to przewodnik Frommera po Memphis, Tennessee. Charlie też sprawiał wrażenie zdziwionego prezentem – książką o historii bluesa.

Matka wróciła do stołu z kubkiem herbaty, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Mówiłam ci, Ben, że to zbyt enigmatyczne – stwierdziła. Nie wiedziałam wtedy, co to słowo znaczy, ale Charlie, jak zwykle, zrozumiał.

– To są wskazówki – oświadczył mój ojciec, wcale a wcale niezniechęcony naszą reakcją. – Pozwolą wam odgadnąć, dokąd udamy się tego lata.

Podniosłam książkę.

– Zapewne do Memphis?

– Owszem – rzekł mój ojciec z ostentacyjną miną męczennika.

– Ale nie tak po prostu do Memphis...

Charlie westchnął ciężko i odłożył swoją książkę na stół.

– Graceland? – spytał, ojciec skinął głową. – Kumasz? – rzucił w moją stronę bezgłośnym szeptem. Zignorowałam go.

– Tak jest! – zawołał mój ojciec. Odebrał mi książkę i zaczął ją kartkować. – Myślę, że najlepiej będzie w lipcu. Więc nie umawiajcie się z nikim w lipcu, bo czeka nas audiencja u Króla.<sup>1</sup>

Charlie pokręcił głową i odsunął od siebie książkę.

– Nie gniewaj się, tato, ale Graceland to trochę obciach.  
– Obciach? – spytał z udawanym oburzeniem mój ojciec.  
Odwrócił się w stronę matki, szukając u niej wsparcia, jednak ona tylko uśmiechnęła się i zagłębiła w lekturze „New York Review of Books” – jak zwykle nie angażując się w spór.  
– Nie, to nie żaden obciach – stwierdziłam. Odebrałam prezent z rąk ojca i zaczęłam przeglądać książkę.  
– A byłeś tam? – spytał Charlie.  
– A ty byłeś? – odparowałam, gromiąc brata wzrokiem. Nie miałam pojęcia, dlaczego Charlie zawsze musi tak marudzić i dlaczego nie moglibyśmy chociaż raz bez dyskusji zgodzić się na coś, co wymyślił ojciec. Prawdę mówiąc i dla mnie Graceland nie był szczytem marzeń, ale najwyraźniej dla taty miało to znaczenie. A Charlie’ego jak zwykle najwyraźniej wcale to nie obchodziło.  
– Twoja siostra wygłosiła nader trafne spostrzeżenie – oświadczył tato, usłyszałam, jak Charlie mruknął pod nosem: „No jasne, jasne. Jakże by inaczej”. Ojciec mówił dalej: – Jako jedyna osoba przy tym stole, która była w Graceland, zapewniam, że to nie żaden obciach. Przeciwnie, to amerykańska instytucja. Musimy koniecznie ją odwiedzić. Zapakujemy się do samochodu...  
– Zaraz, zaraz – odezwał się Charlie. Wyprostował się. – Chcesz jechać samochodem? Do Tennessee?  
– Musimy to jeszcze przedyskutować – wtrąciła znad gazety moja matka. – To kawał drogi, Ben.  
– Najlepszy sposób, żeby poznać Amerykę – powiedział mój ojciec i odchylił się w krześle. – A kiedy dojedziemy do Memphis, zobaczymy ulicę Beale i sławne kaczkę w hotelu Peabody, zjemy sobie barbecue... – uśmiechnął się do mnie. – Wskażesz nam drogę, kwiatuszku?

***She's gonna make a stop in Nevada.***  
**– Billy Joel**

– Jesteś pewna, że nie zabłądziliśmy? – spytał Roger, rzucając spojrzenie w moją stronę. Podniosłam ciemne okulary i obróciłam mapę. Wymyśliłam, że pojedziemy inną drogą, żeby wyjechać z drugiej strony Yosemite, a nie cofać się kawał przez park aż do wjazdu.

– Raczej tak – zapewniłam. Zbliżaliśmy się akurat do drogowskazu, ale był całkowicie zakryty gałęziami, widziałam tylko, że jest zielony. – No, pięknie – stwierdziłam półgłosem.

– Ja czuję się trochę zagubiony – wyznał Roger. Pochylił się nieco i wpatrywał się w drogę przed sobą.

– Dobrze jedziemy – stwierdziłam chwilę potem i odetchnęłam z ulgą, bo kolejnego drogowskazu już nie zasłaniały gałęzie i dzięki niemu upewniłam się, że zmierzamy w dobrym kierunku, do autostrady. – Teraz skręcamy w prawo.

– Dobrze, że to ogarniasz – powiedział. Skręcił w prawo. – Nie mam najlepszej orientacji w terenie. W dodatku czasem nie zdaję sobie sprawy, kiedy się gubię. To fatalna kombinacja, bo zawsze mi się wydaje, że jeżeli będę jechał odpowiednio długo, to w końcu dokądś dojadę.

– Nie ma problemu. Dobrze sobie radzę z mapami, więc będę robiła za pilota – zapowiedziałam, chociaż w gardle zaczęła mi narastać gula.

– Świetnie – powiedział. – Będiesz moim Chekovem.

Popatrzyłam na niego, zdumiona.

– Masz na myśli Antona Czechowa? – spytałam. – Tego rosyjskiego dramaturga?

– Nie, Chekova, nawigatora pojazdu kosmicznego *Enterprise* – on także popatrzył na mnie z niejakim zdziwieniem. – Z serialu „Star Trek”.

– Nie widziałam ani jednego odcinka „Star Treka” –

wyznałam i w duchu cichutko westchnęłam z ulgą. Może Roger nie był aż tak strasznie fajny pod każdym względem, jak z początku mi się zdawało.

– To istna tragedia – stwierdził. – Z drugiej strony muszę się przyznać, że nie czytałem nic Czechowa.

Im dłużej jechaliśmy, tym bardziej droga stawała się kręta i opustoszała. To była zwykła dwupasmówka, na której braliśmy coraz ostrzejsze zakręty – i nic dziwnego, bo znaleźliśmy się w górach. Patrzyłam na otaczające nas sosny i nie mogłam uwierzyć, że znajdujemy się wciąż w tym samym stanie co wczoraj, że gdzieś rosną w nim też palmy i przecinają go komfortowe autostrady.

– Może teraz ty zajęłabyś się muzyką? – zaproponował Roger, gdy od początku zaczął grać przygotowany przez niego miks.

– Nie, niech sobie leci – odpowiedziałam. Kiedy zapoznałam się z jego playlistą, utwierdziłam się w podejrzeniu, że Roger chyba nie przepada za musicalami. Najwyraźniej podobała mu się muzyka, jakiej w szkole słuchali koneserzy, którzy przerzucali się nazwami kapel brzmiącymi tak, jakby to wcale nie były nazwy zespołów muzycznych. Na przykład Someone Still Loves You, Boris Yeltsin. To ma być kapela? To znaczy taki prawdziwy band, który ma więcej fanów niż tylko jednego Rogera? Miałam więc przeczucie, że nie przypadnie mu do gustu mój wybór Jasona Roberta Browna i Elvisa. Zresztą Elvisa przecież już nie słuchałam.

– Na pewno? – spytał. – Nie chcę zawłaszczać dla siebie funkcji didżeja.

– Nic nie szkodzi – zapewniłam. Nie chciałam, żeby musiał udawać, jak to podoba mu się moja muzyka, ani nawet żeby ją tolerował, w rzeczywistości czekając, kiedy znów będzie mógł przerzucić się na swoje ulubione kawałki. Prościej było słuchać tego, co on przygotował. Zwłaszcza, że sporo z tych utworów naprawdę mi się podobało.

– Ale może chociaż zdradzisz, jaką muzykę lubisz? – nie

dawał za wygraną.

Wzruszyłam ramionami. Chciałam, żeby już przestał mnie wypytywać.

– Lubię wszystko.

Roger nie był usatysfakcjonowany.

– To wykręt – stwierdził. – Jeżeli lubisz wszystko, to tak jakbyś powiedziała, że w gruncie rzeczy nie lubisz niczego.

– Właśnie że lubię różne rzeczy – odparłam trochę bardziej opryskliwie, niż miałam zamiar. – Po prostu mi się nie chce, rozumiesz?

Gapiałam się przez okno. Już zdążyłam pożałować tych słów. Często mi się to ostatnio zdarzało – nagle złościłam się zupełnie bez powodu. Dlatego było łatwiej, kiedy nie musiałam z nikim rozmawiać.

– Dobrze, już dobrze – powiedział Roger. – Kiedy dotrzemy do cywilizacji, zrobię następny miks.

– Tylko bez Elvisa – powiedziałam, patrząc cały czas przez okno.

– Nie jesteś fanką Króla? – spytał. Poczułam na sobie jego spojrzenie. Machnęłam ręką i podkurczyłam kolana, objęłam je ramionami. Przyglądałam się mijanym krajobrazom.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziałam.



Dwie godziny później mieliśmy już za sobą miasta wznoszące się nad brzegiem jeziora Tahoe i zmierzaliśmy w stronę granicy Nevady. Kiedy po jakiejś godzinie stało się jasne, że cywilizacja nie pojawi się tak prędko, zjechaliśmy na pobocze, żeby Roger mógł stworzyć nową playlistę. Wiedziałam, że Kalifornia to ogromny stan, ale nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że aż tak wielki. Nie do pojęcia, ale ciągle byliśmy jeszcze w tej samej Kalifornii. Przez jakiś czas jechaliśmy górami, pośród skał i sosen, a droga wiała się doliną. Potem krajobraz stawał się coraz bardziej płaski, a Highway 50, kręta dwupasmówka, którą

opuściliśmy Yosemite, przeistoczyła się w drogę czteropasmową, po dwa pasy w każdym kierunku.

Kiedy zaczął się nowy miks Rogera, samochód nagle zwolnił i zjechał znów na pobocze. Popatrzyłam na Rogera ze zdziwieniem, a on ruchem głowy wskazał drogę przed nami.

– Pomyślałem, że warto się zatrzymać i uczcić tę chwilę – stwierdził. – Patrz!

Popatrzyłam. I proszę: mały, biały szyldzik z niebieskimi literami: WITAJCIE W NEVADZIE. A poniżej: NEVADA. SREBRNY STAN.

- Wow! – powiedziałam na ten widok.
- Opuszczamy Kalifornię – rzekł Roger. – Jak ci z tym?
- Świetnie – oznajmiłam. Nie zastanowiłam się nawet przez chwilę nad odpowiedzią.



## Playlista Rogera #2

„Jak to? To jeszcze ciągle Kalifornia?!", czyli  
 „Bardzo długa i kręta droga", czyli  
 „Ballada o Amy, co nie miała ciemnych okularów"

### TYTUŁ

### WYKONAWCA

„Wine Red"	The Hush Sound
„Heartbeats"	The Knife
„16, Maybe Less"	Calexico/Iron and Wine
„Human"	The Killers
„West Coast Friendship"	Owl City
„Forest for the Trees"	Alright Alright
„Buildings and Mountains"	The Republic Tigers
„Transcontinental"	Pedro the Lion
„It Won't Be Long"	The Smithereens
„Drive Away"	The All-American Rejects
„She's the One"	Caribou
„Next Exit"	Interpol
„We Are Lost"	The Like
„Get Back (Where we Started From)"	Army Navy
„Get Gotten"	Ben Lee
„Wandering"	The Hidden Cameras
„What Else Is There?"	Röyksopp
„Can't Go Back Now"	The Weepies



JESZCZE NIE DOJECHAŁIŚMY?

KALIFORNIA

(szafka misiodoporna)

NEWADA



Naprawdę było mi z tym dobrze. O tym właśnie myślałam, odkąd zapragnęłam wydostać się z Yosemite. To był impuls, żeby przewrócić stronę, zacząć nowe życie, stworzyć dystans między mną a Kalifornią i wszystkim, co tam się zdarzyło.

– I jak? – odezwał się Roger. Sięgnął na tylną kanapę po atlas.

– Wiemy, dokąd teraz jedziemy?

– Tak – odparłam. Wzięłam od niego atlas i przekartkowałam go, aż doszłam do strony z Nevadą, który to stan nagle i niespodziewanie wydał mi się niepokojąco wielki. W dodatku mieliśmy go przebyć tam, gdzie był najszerszy, a nie tylko ten cypelek, który trzeba przeciąć, jadąc południową drogą. – Sprawa przedstawia się następująco: przez Nevadę biegną tylko dwie drogi międzystanowe. Osiemdziesiątka przez Reno i piętnastka do Vegas.

– Vegas – powtórzył Roger, zerkając na mapę.

– W tej chwili jesteśmy bliżej Reno, ale to nam nie po drodze. Wywiozłaby nas aż do Salt Lake City, a to naprawdę za daleko, jeżeli mamy zdążyć na czas.

– A więc jaki masz plan? – spytał.

– Ha – powiedziałam i stuknęłam palcem w mapę, pokazując, gdzie jesteśmy. – Otóż w tej chwili znajdujemy się na Highway 50. Wszystko wskazuje na to, że dojedziemy nią przez Nevadę do Utah. A tam bocznymi drogami dojedziemy do międzystanowej numer siedemdziesiąt.

– A w Nevadzie naprawdę nie ma żadnej autostrady, która przecinałaby stan? – zainteresował się Roger i popatrzył na mapę.

– O rany – stwierdził po chwili. – Rzeczywiście nie ma.

– Tak chyba będzie najlepiej – powiedziałam, studiując znowu mapę. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że z logistycznego punktu widzenia Yosemite nie było najlepszym pomysłem. Straciliśmy mnóstwo czasu, żeby tam dojechać, i co najmniej tyle samo, żeby Yosemite opuścić. A teraz będzie nam trudniej przejechać przez Nevadę. Prawdopodobnie mało kto

opuszczał Kalifornię trasą przez park narodowy. – Myślisz, że się wyrobimy na czas? – spytałam. Wiedziałam doskonale, że właśnie w tym momencie powinniśmy już dojeżdżać do Tulsy, a tymczasem znajdowaliśmy się na granicy Kalifornii.

– Pewnie tak – stwierdził Roger, nadal przyglądając się mapie.

– Jestem pewien, że nadrobimy opóźnienie. Zresztą twoja mama chyba zrozumie, jeżeli spóźnimy się o jeden dzień.

Nie byłam tego taka pewna, ale skinęłam głową.

– Dokąd jedziemy teraz? – spytałam. – Ja wybrałam Yosemite. A gdzie ty chcesz jechać?

– Czy ja wiem? – odpowiedział Roger; zerknął na mnie, potem znów na mapę, przewrócił stronę, otwierając na Kolorado. – Wygląda na to, że jeżeli przejedziemy przez Utah, tą samą autostradą możemy dostać się do Colorado Springs.

– Całkiem niedaleko – stwierdziłam. Nie całkiem zgodnie z prawdą, no ale jakoś strasznie daleko to nie było. Ale popatrzyłam na niego, bo zdziwiło mnie, że chce jechać w miejsce, które tak dobrze zna. – Na pewno właśnie tam chcesz jechać?

– Uważam, że to niegłupi pomysł – powiedział jakby od niechcienia. Nie patrząc na mnie, ustawiał głośność na iPodzie. – Na pewno znajdzie się miejsce, żeby przekimać i to za darmo. I oprowadziłbym cię po kampusie. A przy okazji sprawdzę, kto z przyjaciół został na wakacje... – To ostatnie zdanie wypowiedział bardzo szybko.

– Jasne – odpowiedziałam, przewróciłam kartki z powrotem na Nevadę. – Jak dla mnie, może być.

– Świetnie – stwierdził. Niesamowite, ale naprawdę odniosłem wrażenie, jakby odetchnął z ulgą. – A więc drogą numer pięćdziesiąt, zgadza się? – spytał. – Możemy ruszać?

– W drogę – odpowiedziałam. Roger włączył kierunkowskaz i wjechał z powrotem na szosę.



Po mniej więcej dwóch godzinach uznaliśmy, że coś jest nie tak. Droga z czteropasmówki przeistoczyła się w dwupasmówkę, jak to zdarzało się już poprzednio, w okolicy Yosemite. Z tą jednak różnicą, że tutaj nagle i niespodziewanie po prostu nie było... niczego. Droga rozpościerała się przed nami, w linii prostej biegnącej tak daleko, jak tylko było widać, aż po horyzont. Gdzieś w oddali przed nami majaczyły góry, za nami również, ale wokół nas ciągnęła się rozległa, otwarta, pustynna przestrzeń, którą przecinała pośrodku nasza dwupasmowa droga. I to wszystko. Mając za sobą kręte górskie szosy w Yosemite, dziwnie teraz było jechać taką równiną. Po bokach drogi rosły jakieś kolczaste krzaczki. Nie mogłam uwierzyć, że zaledwie kilka godzin wcześniej otaczały nas niebosiężne sosny.

Jechaliśmy dalej; zwróciłam uwagę, że Roger jakby nieco się wyprostował i że też zaczął się rozglądać. Nie było tam nic. Ani stacji benzynowych, ani przydrożnych sklepików, ani knajpek czy moteli. I nie było też prawie wcale innych samochodów. Czasami jakiś pojawiał się za nami, po czym prędzej albo później nas wyprzedzał. Nie musieli specjalnie uważać, bo widoczność była doskonała na całe kilometry do przodu. Bardzo, bardzo rzadko nadjeżdżał jakiś pojazd z naprzeciwka. W ciągu dwóch godzin pojawiły się trzy.

– Hm – odezwałam się, kiedy nie mogłam już tego wytrzymać.

– Coś mi się przywidziało, czy naprawdę zrobiło się dziwnie?

– Bardzo dziwnie – przyznał Roger. Na jego twarzy malował się niepokój, a przynajmniej dezorientacja. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak zazwyczaj pogodny ma wygląd.

– Może powinniśmy... – zaczęłam. Popatrzyłam na szosę rozpościerającą się przed nami. – No, może powinniśmy zawrócić?

Wcale nie uśmiechała mi się ta myśl, bo stracilibyśmy te dwie godziny i następne dwie – tylko po to, żeby znaleźć się w punkcie wyjścia.

– Nie wiem – zastanowił się Roger. Teraz siedział już naprawdę wyprostowany, trzymał obie dłonie na kierownicy, zmarszczył czoło. Jechaliśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu, słychać było tylko zaprogramowane przez Rogera piosenki. Wreszcie powiedział: – Powinniśmy niedługo dojechać do jakiegoś miasta, no nie? Zaczekajmy i wtedy się zastanowimy.

– Dobra – zgodziłam się. Tak sobie myślałam, że musi mieć rację. Niemożliwe, żeby cywilizacja nagle znikła. Jest szosa, więc prędzej lub później musi trafić się jakaś położona przy niej miejscowość. Nie może być inaczej.

Minęła jednak jeszcze cała godzina, zanim dojechaliśmy do miasteczka.

Jeszcze nigdy w życiu nie ucieszyłam się tak na widok stacji benzynowej. To była całkiem mała stacyjka, dwie pompy i miniaturowy sklepik. Zajechaliśmy, zapłaciłam kartą mojej mamy za benzynę. Dopiero wtedy Roger powiedział mi, że nie chciał wcześniej mnie martwić, ale mieliśmy już bardzo mało paliwa i gdybyśmy nie dotarli w samą porę do Fallon (tak nazywała się miejscowość), moglibyśmy mieć poważne kłopoty.

Kiedy bak został już napelniony, poszłam do przybytku dla pań, Roger udał się do męskiej ubikacji, po czym spotkaliśmy się w sklepiku – który bardziej przypominał dom niż sklepik. Cóż, nieważne – pomyślałam sobie. Doszłam do wniosku, że trafiliśmy właśnie w jakiś wyjątkowo opustoszały zakątek Nevady, ale przecież wkrótce znów znajdziemy się w szczęśliwym świecie przydrożnych udogodnień, McDonaldów oraz na naszej drodze pojawi się całe mnóstwo innych samochodów.

Zgarnęłam colę z chłodziarki ustawionej przy tylnej ścianie, zawahałam się przez moment, ale wzięłam też piwo korzenne. Roger tymczasem poświęcił się studiowaniu asortymentu chipsów, jednak zerknął w moją stronę – więc pokazałam mu butelkę z pytającym wyrazem twarzy. Skinął głową, uśmiechnął się leciutko.

Potem udałam się do półki ze słodyczami, wzięłam sobie skittlesy, a dla Rogera torbę reese's pieces. To ostatnie nie bez oporów, bo od zawsze nie cierpiałam słodyczy z masłem orzechowym. Miejsce masła orzechowego – moim zdaniem – jest na kanapkach i nigdzie indziej. Potem zobaczyłam coś, czego jeszcze nigdy nie widziałam, mianowicie batonik w czerwonym opakowaniu z napisem PATRZ! Podziałało, bo popatrzyłam i nawet postanowiłam go kupić. Spotkaliśmy się z Rogerem przy kasie, właśnie postawił torbę chipsów barbecue. Dodałam do nich wybrane przeze mnie przysmaki, podliczyła nas kasjerka, drobna, siwa kobieta o ogorzałej twarzy.

– Właśnie tu przyjechaliśmy – zagadał Roger, ona tymczasem wystukiwała liczby na kasie, posługując się przy tym ołówkiem – tą stroną, po której jest gumka. – Trochę... Trochę tu pusto.

– No, jasne – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad kasy i dalej wystukując liczby. – A czego się spodziewałeś?

– Czy ja wiem – odpowiedział Roger. Popatrzył na mnie. Też nie wiedziałam, co odpowiedzieć, ale na wszelki wypadek jednak zabrałam głos.

– Trochę się zdziwiliśmy, że tutaj niczego nie ma – stwierdziłam. – Ale rozumiem, że pustynia zaraz już się kończy, tak?

Popatrzyła na Rogera, potem na mnie, a wreszcie na nasz samochód.

– Z Kalifornii? – spytała, zabrzmiało to odrobinę lekceważąco. Oczywiście, tablice rejestracyjne. Przytaknęłam. – No, właśnie – powiedziała. – A czy wy, dzieciaki, w ogóle wiecie, gdzie jesteście?

– Chyba w Fallon? – odpowiedziałam nieśmiało. Miałam nadzieję, że nie chodziło jej o nazwę stacji benzynowej, bo tę już zdążyłam zapomnieć.

Pokręciła głową z namaszczeniem.

– W Fallon to będziecie jeszcze przez minutę – wybiła na kasie sumę: trzynaście dolarów i jedenaście centów. Sięgnęłam do

kieszeni po pieniądze mojej matki, wręczyłam jej dwudziestkę. Wydała mi resztę i wsadziła zakupy do plastikowej torby. – Natomiast zaraz potem czeka was wiele kilometrów drogi przez zupełne pustkowienie. – Podała mi nad kontuarem torbę. – Witajcie na najsamotniejszej drodze w Ameryce.



Roger i ja zatrzasnęliśmy drzwiczki po swoich stronach, popatrzyliśmy na siebie.

– Cóż – powiedział.

– No, właśnie – zgodziłam się z nim.

Byłam w szoku, tak samo jak on. Kobieta za ladą chyba to zauważyła, bo jakby zmiękła – po tym, jak wyjaśniła nam, gdzie mianowicie wylądowaliśmy. Wy tłumaczyła, że droga numer pięćdziesiąt słynie właśnie z tego, iż wiedzie przez pustkowia. Jej zdaniem to niesamowite, że trafiliśmy na nią właściwie przypadkiem. Kazała nam się pilnować, żebyśmy korzystali z każdej okazji do tankowania, bo co prawda po drodze jest kilka miejscowości, ale w odległości ponad stu kilometrów od siebie. Potem zapisała nam na kartce swój numer telefonu. Powiedziała, że ma na imię Barb, a jej szwagier służy w milicji stanowej, więc w razie, gdybyśmy mieli jakieś kłopoty z samochodem, mamy do niej zadzwonić, a ona go wtedy powiadomi. Potem jeszcze życzyła nam szerokiej drogi.

Roger włożył kluczyki do stacyjki, ale nie odpalił silnika.

– Nie wiem, co robić – stwierdził, ocierając dłonią twarz.

Znowu miał zatroskany wyraz twarzy. – Chodzi mi o to... – popatrzył na mnie z ukosa. Dawno już zdjęłam jego okulary przeciwsłoneczne, ale teraz odruchowo sięgnęłam po nie – znajdowały się w uchwycie na kubek – bo patrzył prosto na mnie i poczułam się niezręcznie. Odetchnął głęboko. – Bo tak: twoja matka mi ufa. Moja matka też mi ufa. Obie oczekują, że przewiozę cię przez ten kraj jak najszybciej, całą i bezpieczną. Tymczasem zboczyliśmy z trasy i znaleźliśmy się na najsmutniejszej drodze

kraju...

– Najsamotniejszej – poprawiłam go, ale Roger mówił dalej.

– W każdym razie mówię ci, że nie wiem, co właściwie powinniśmy zrobić. Może trzeba jednak zawrócić i dojechać do autostrady międzystanowej? Poza tym może powinniśmy zadzwonić do twojej matki i powiedzieć jej dokładnie, co się z nami dzieje? Bo widzisz, wcale już nie jestem pewien, czy dobrze postąpiliśmy. Wygląda na to, że znaleźliśmy *Highway to Hell*. Autostradę do piekła. Zupełnie, jakbyśmy się znaleźli w tym kawałku AC/DC – nasze spojrzenia spotkały się na chwilę, ale natychmiast odwróciłam wzrok. – Jak uważasz, co powinniśmy zrobić? – spytał.

– Moim zdaniem... – zaczęłam. Spojrzałam na numer telefonu Barb i pomyślałam o tej drodze, którą już przebyliśmy. I o tym, że czeka nas dalsza droga, taka sama. I to przez dłuższy czas – zgodnie z tym, co mówiła Barb, jeszcze co najmniej osiem godzin drogą numer pięćdziesiąt, zanim dotrzemy do międzystanowej w Utah. Jednak ku mojemu zaskoczeniu wcale mi to nie przeszkadzało. Skoro już wiedziałam, dlaczego nie spotykamy ludzi ani samochodów, że nie znaleźliśmy się w jakimś koszmarze w stylu *Zagubionych* – jakoś przestało mi to przeszkadzać, przynajmniej nie w takim stopniu. – Uważam, że powinniśmy jechać dalej – stwierdziłam. Roger westchnął, położył dłonie na kierownicy, ale potem znów ją puścił. – Chodzi o to, że zawracając, stracimy mnóstwo czasu. To nie ma sensu – dokończyłam.

– A co będzie, jeżeli coś się stanie? – spytał. – To znaczy, wiesz, zazwyczaj jadę przed siebie i mam nadzieję, że droga się poprawi, ale nie wiem, czy wytrzymam jeszcze osiem godzin czegoś takiego. Czy umiałabyś na przykład zmienić oponę? – pokręciłam głową. – Ja też nie. I niezależnie od tego, co mówi Barb, nie chcę polegać tylko na jej szwagrze, gdyby stało się coś z samochodem i to naprawdę pośrodku zupełnego pustkowia.

– Ale przecież zanim dojedziemy do międzystanowej, droga z powrotem zajmie nam następne trzy godziny – przypomniałam.

– Poza tym tą drogą jednak jeżdżą od czasu do czasu jakieś inne samochody. Jesteśmy w Ameryce, a nie w jakiejś dzicy. Nie zostaliśmy nagle wyrzuceni poza czas i przestrzeń.

– No, nie – przyznał Roger. Uruchomił silnik. – Znaleźliśmy się jednak na najbardziej przygnębiającej drodze w tym kraju.

– Najsamotniejszej – poprawiłam go. – To nie to samo.

Popatrzył na mnie pytająco.

– Czyli jak, brniemy w to? – spytał. Po raz pierwszy, odkąd zaczęła się nasza wyprawa, tak się jakoś zrobiło, że to „my” mieliśmy coś zrobić. My dwoje. Mieliśmy dokonać wyboru, wspólnie podjąć ważną decyzję.

Skinęłam głową.

– Brniemy.

Na twarzy Rogera zagościł uśmiezek.

– No, to ciach – oznajmił. Wyjechał z terenu stacji benzynowej. – Naprzód!

Spojrzałam za siebie, zobaczyłam stojącą w drzwiach Barb. Patrzyła w ślad za nami. Odruchowo pomachałam do niej, ona odpowiedziała tym samym. Patrzyłam na jej drobną postać, aż zniknęła mi z oczu.

Barb nie kłamała, miejscowość Fallon skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Przy wyjeździe widniały tablice z ostrzeżeniem, że przez następne dwieście kilometrów nie będzie ani jednej stacji benzynowej czy stacji obsługi, więc żebyśmy byli na to przygotowani. Roger na ten widok skrzywił się troszeczkę, ale nie zwolnił, znów znaleźliśmy się na Highway 50.

Jechaliśmy. I jechaliśmy. Wydawało się, że czas płynie w innym tempie, bo nie było niczego, co pozwoliłoby zorientować się, jak daleko zajechaliśmy, czy też na ile zbliżamy się do celu. Spoglądałam na zegarek, bo wydawało mi się, że minęła godzina, a tymczasem upłynęło pięć minut. Albo nagle zerkałam na zegar w samochodzie i okazywało się, że jest już o czterdzieści pięć minut później, podczas gdy ja bym dała głowę, że minął co najwyżej kwadrans. Jednak teraz, skoro już wiedziałam, czego należy się po tej drodze spodziewać, stres był mniejszy. Owszem, zdarzały się



chwile, kiedy wszechobecna pustka wokół przyprawiała mnie o stany lękowe, ale to szybko mijało. Panika znikła, wyglądałam sobie przez okno, podziwiałam monotonne widoki i czułam, że się uspokajam.

Może brało się to stąd, że nigdy przedtem tak naprawdę czegoś podobnego nie widziałam. I chociaż wyglądało to groźnie i samotnie, nigdy dotąd nie widziałam czegoś równie pięknego. Niesamowite. Jakby ktoś otworzył taką trójwymiarową książeczkę dla dzieci, w której po otwarciu wznoszą się jakieś domy czy zwierzęta. Tutaj jedynym elementem pionowym był nasz samochód, wszystko inne dookoła było zupełnie płaskie. Świeciło słońce, ale nie oślepiało, chociaż okulary przeciwsłoneczne oddałam Rogerowi już jakiś czas wcześniej. Niebo było czyste, jasnoniebieskie, sunęło nim zaledwie kilka chmurek, tak jakby dla ozdoby. Przed nami wznosiły się góry – daleko, daleko na horyzoncie. I jakbyśmy w ogóle się do nich nie zbliżali. Jednak wcale mi to nie przeszkadzało. Stanowiły po prostu dodatkowy motyw w krajobrazie i zresztą chyba tak właśnie zawsze sobie wyobrażałam pustynię – z górami w oddali – chociaż nigdy dotąd nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nawet ta pustka i samotność coraz bardziej przypadają mi do gustu. Na drodze był tylko cień naszego samochodu, nic więcej. Zupełnie jakby nam dwojgu dane było zobaczyć coś, czego nie widzi nikt inny i co niewielu ludzi widziało.

Po godzinie tyłek zaczął mnie boleć od siedzenia w tej samej pozycji, więc zrzuciłam klapki i położyłam na desce z przodu najpierw jedną nogę, potem drugą. Zerknęłam na Rogera, czy nie ma nic przeciwko temu. Ale nie, chyba mu to nie przeszkadzało. Popatrzył tylko na mnie, uśmiechnął się i z powrotem skupił się na drodze. Włączył tempomat, który utrzymywał stałą prędkość – dziwnie to wyglądało, jak siedział za kierownicą, ale obie nogi miał zgięte pod tym samym kątem, stopy opierał płasko o dywanik... Jakby samochód sam z siebie, samodzielnie zmierzał ku bezkresnemu horyzontowi. Rozsiadłam się jeszcze wygodniej w fotelu. Gapiłam się przez okno.

Jechaliśmy. I jechaliśmy. W pobliżu mikroskopijnego miasteczka o nazwie Middlegate ujrzeliśmy ogromne drzewo, a na jego rozłożystych gałęziach wisiały setki – a może tysiące – par butów, dyndały sobie i rzucały cień na szosę. Roger zwolnił, żeby popatrzeć – żaden problem, bo przecież nikt za nami nie jechał.

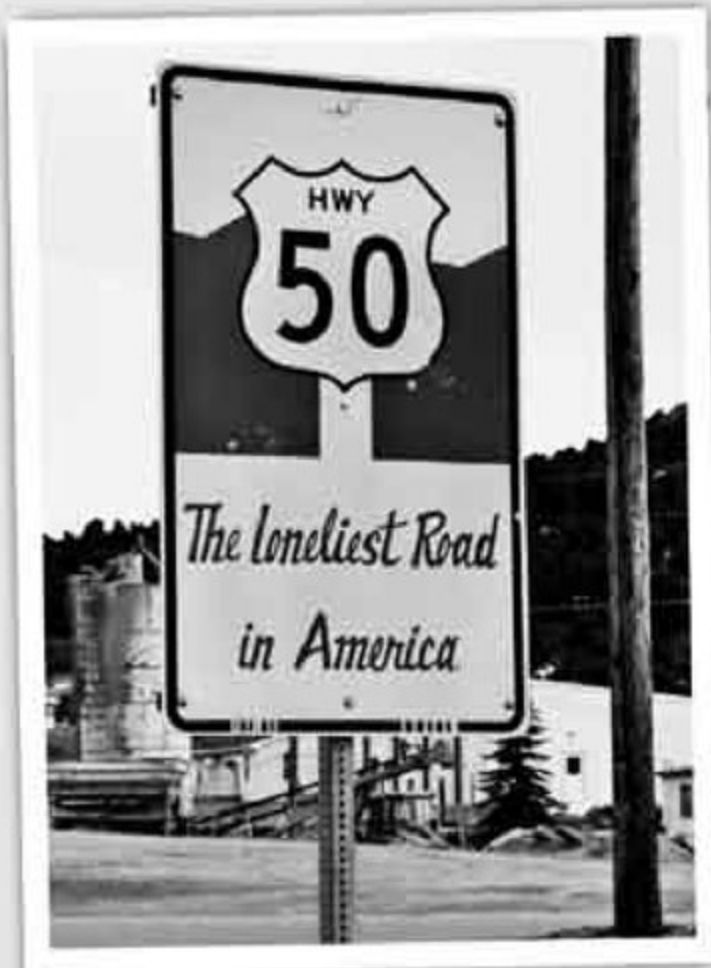
– Wiesz co? Zawsze miałem ochotę to zrobić – stwierdził, spoglądając na drzewo.

– No, to jazda – zachęciłam go. Też podziwiałam ten niezwykle widok – wszystkie te buty, półbuty i buciory połączone sznurówkami, a następnie zarzucone na gałęzie. Samochód zwolnił jeszcze bardziej i myślałam, że Roger zatrzyma się i naprawdę to zrobi. Pokręcił jednak głową.

– Szkoda dobrych butów – stwierdził. Zwróciłam jednak uwagę, że gdy przyspieszyliśmy, spoglądał jeszcze w lusterko.

Coś około pół godziny po drzewie z butami, kazałam Rogerowi zjechać na pobocze, żebym mogła zrobić zdjęcie. Uświadomiłam sobie, że nie ma sposobu, żeby cały ten krajobraz zmieścić na jednej fotce. Cykałam więc zdjęcia we wszystkie strony, bo tylko w ten sposób mogłam mniej więcej pokazać, jak to wyglądało. Potem jeszcze przez chwilę stałam bez ruchu, przyglądałam się w milczeniu. Wydawałoby się, że taka cisza i opustoszała droga powinny budzić lęk, ale nic podobnego. Przeciwnie, ogarniał mnie taki dziwny spokój.

Przez cały ten czas nie przejechał ani jeden samochód. Słyszeć było tylko wiatr i pomruk silnika, i jeszcze klikanie odtwarzacza, bo Roger tymczasem przygotowywał kolejny miks. Zamknęłam oczy, pozwoliłam, żeby wiatr rozwiał mi włosy. Odetchnęłam swobodniej, choć dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że coś przeszkadzało mi oddychać.



EUREKA, NEVADA

„Najbardziej przyjazne miasto  
na najsamotniejszej z dróg!”  
(Święta prawda)





# NOTES PODRÓŻNY



W razie kłopotów dzwonię pod ten numer:  
(775) 555-2847  
Pamiętaj o TANKOWANIU!  
- Barb



## Miejsca i miejscowości...

**stan #2:** NEVADA – Srebrny Stan

**dewiza:** Wszystko dla krju

**wielkość:** - też duży

**ciekawostki:** Moim zdaniem, mogliby – trochę rozbudować swój system dróg. Gdzie – troska o ludzi mieszkających w głębi stanu?

**uwagi:** Na znakach widnieje rysunek w kształcie stanu, numer drogi znajduje się wewnątrz.

A poza – tym lepiej nie zapuszczać się na samotną drogę, o ile człowiek nie ZDAJE SOBIE SPRAWY, na co się porywa.

## Playlista Rogera #3

?

?

?



„Droga donikąd”, czyli „Automat na drodze numer 50”

TYTUŁ

WYKONAWCA

„Long, Lonesome Highway Blues”

Steve Earle and the  
Del McCoury Band

„Go Places”

The New Pornographers

„I'm With You”

The Ponys

„Live to Tell the Tale”

Passion Pit

„Highwayman”

Willie Nelson

„Stunner. Shades in Heaven”

Princeton

„Fake Empire”

The National

„They Are Night Zombies!!

They Are Neighbors!!

They Have Come Back from  
the Dead!! Ahhhh!”

Sufjan Stevens

„Moonshine”

Feeder

„Familiar Landscapes”

A New Found Glory

„Show Me What I'm Looking For”

Carolina Liar

„Le temps perdu”

Carla Bruni

„Sons and Daughters”

The Decemberists

„Strangers”

The Kinks







***Were on the Road to Nowhere. Come on inside.***  
***– Talking Heads***

Kiedy dojechaliśmy do miejsca zwanego Eureka, jednego z mikro-miasteczek, zaczęło się już ściemniać. Nie zatrzymaliśmy się na kolację – częściowo dlatego, że raczej nie było gdzie zjeść tej kolacji, ale przede wszystkim z tego powodu, że Roger chyba chciał jak najprędzej przebyć drogę numer pięćdziesiąt. Na kolejnej stacji benzynowej uzupełniliśmy zapasy snaków, dodałam do nich batoniki z muesli i mieszankę studencką, żeby mieć do jedzenia coś, co będzie odrobinę bardziej przypominać prawdziwą żywność niż na przykład fritosy.

Wyjechaliśmy z powrotem na drogę, zachód słońca zaczął się od różowej linii tuż nad horyzontem, a potem stopniowo całe niebo przybrało ten kolor. Cień samochodu przed nami wydłużał się coraz bardziej. Oparłam głowę o zagłówek i rozkoszowałam się widokiem kolorowego nieba przez szklany szyberdach.

– Amy? – odezwał się Roger. Podniosłam głowę. Zobaczyłam, że naciska różne guziki i operuje dźwigienkami przy kierownicy.

– Nie wiem, co się stało. Wczoraj wieczorem światła włączyły się automatycznie. Może jakoś je wyłączyłem...

Owszem, było już na tyle ciemno, że reflektory powinny same się włączyć.

– Zaczekaj – powiedziałam i wychyliłam się, żeby popatrzeć, szybko jednak zdałam sobie sprawę, że z zapiętym pasem niczego nie zobaczę. Rozpięłam go więc i pochyliłam się bliżej w stronę Rogera, doskonale zdając sobie sprawę, jak blisko siebie się znaleźliśmy. – Hm – powiedziałam. Przyjrzałam się przełącznikom po mojej stronie kolumny kierownicy, ale tego od świateł tam jednak nie było. – Wydaje mi się, że to po twojej stronie – stwierdziłam.

– Naprawdę? – zdziwił się, popatrzył w dół, samochód

zboczył nieco z linii prostej.

– Tak, raczej.

Wzięłam wdech i pochyliłam się nad nim, pilnując się, żeby patrzeć prosto przed siebie, bo gdybym odwróciła głowę, znaleźlibyśmy na tyle blisko, żeby się pocałować. Zobaczyłam przełącznik świateł po lewej stronie.

– Pilnuj drogi – powiedziałam. Wyciągnęłam rękę, bardzo uważając, żeby nie dotknąć Rogera i przekreśliłam gałkę na automatyczne włączanie świateł – zapaliły się natychmiast, dwie plamy światła na ciemnej drodze. Powróciłam na swoje miejsce i moją stronę samochodu, zapięłam pas. Czułam, że serce bije mi trochę prędkiej niż zwykle.

– Dzięki – powiedział Roger. Przełączył na szosowe. Nasze reflektory stanowiły absolutnie jedyne źródło światła na drodze, jednak wokół nie panowały tak zupełnie nieprzeniknione ciemności, bo nad nami pośrodku ogromnej połaci nieba, zwiisał jasny, lśniący księżyc. Nawet gwiazdy świeciły jakby mocniej niż w Yosemite – a przynajmniej wydawało się, że jest ich więcej, bo niebo wydawało się większe niż zwykle. Roger sięgnął za siebie. Zorientowałam się, czego szuka, sięgnęłam również i złapałam jego plecak.

– O to ci chodzi? – spytałam.

– Tak – potwierdził. – Mogłabyś wyjąć moje okulary? Są w brązowym pokrowcu.

Rozpięłam jego plecak i sięgnęłam do środka. Trochę żałowałam, że jest tak ciemno, bo nie bardzo widziałam, co znajduje się wewnątrz. Jednak pokrowiec na okulary znalazłam bez trudu, otworzyłam go i podałam mu szkła.

Nałożył je, troszkę zawstydzony.

– Wiem – odezwał się. – Noszę je tylko wtedy, kiedy prowadzę nocą. I jeszcze w kinie. Czyli chodzi o to, żeby lepiej widzieć to, co jest daleko i w ciemnościach.

– Fajne – stwierdziłam, podziwiając jego nowe wcielenie. Rzeczywiście były fajne, bo dzięki nim sprawiał wrażenie bardziej przystępnego, wyglądał trochę mniej szalowo, już nie jak super-

ciacho.

– Przypominam w nich nauczyciela matmy – stwierdził kwaśno.

– W każdym razie niektórzy tak twierdzą – dodał zaraz.

– Owszem, ale całkiem fajnego nauczyciela matmy – powiedziałam, w nagrodę usłyszałam kolejny wybuch gromkiego śmiechu.

– Dzięki – rzucił. – Miło, że próbujesz mnie pocieszyć.

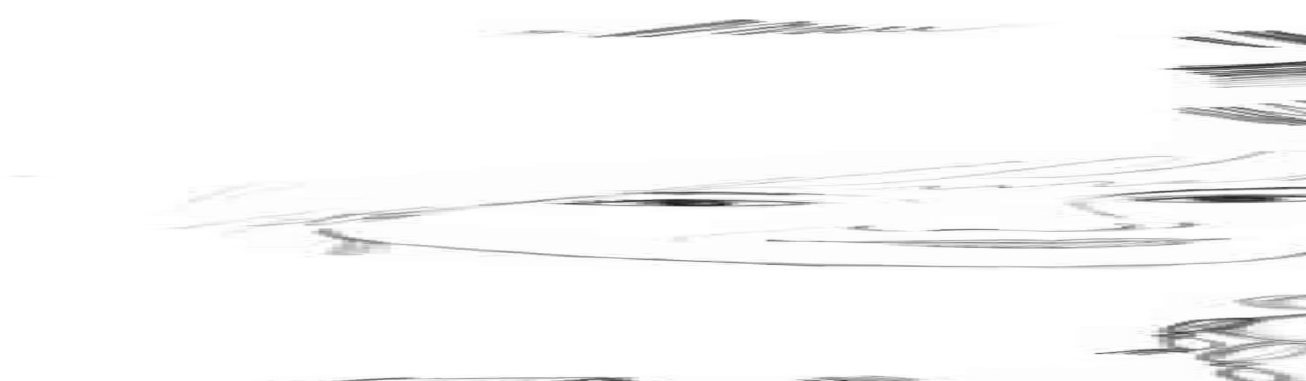
Pokrowiec włożyłam z powrotem do plecaka i już miałam zasunąć zamek błyskawiczny, kiedy zobaczyłam w środku szkicownik.

– Rysujesz? – spytałam, zanim zdałam sobie sprawę, że to zakrawa na niezłe wścibstwo. No i to było wścibstwo, tylko że jakoś tak niechęć mi wyszło. – Przepraszam, ale właśnie zobaczyłam...

– Nie ma sprawy. Owszem, rysuję – przyznał. – Ale słabo. Tak sobie bazgrzę dla zabawy.

– Mogę obejrzeć? – spytałam i potrząsnęłam szkicownikiem. Roger nie miał nic przeciwko temu.

– Jasne – powiedział. – Tylko się ze mnie nie śmiej.



Oparłam więc szkicownik o deskę rozdzielczą i zaczęłam go przeglądać przy świetle księżyca. Rysunki były w komiksowym stylu, jeżeli nie liczyć portrecików, które rysował bardziej realistycznie. Na większości z nich widniała fantastycznie piękna dziewczyna z długimi, jasnymi włosami. Domyśliłam się, że to Hadley, ale nie chciałam pytać, bo miałam wrażenie, że swój

przydział wścibstwa na ten dzień już wyczerpałam. Obejrzałam, zamknęłam i schowałam z powrotem do plecaka.

– Niezłe – stwierdziłam, ale Roger tylko zaśmiał się i potrząsnął głową. – Studiujesz malarstwo?

– Skądże znowu – zaprzeczył. – Nic z tych rzeczy. Historia plus nauki polityczne.

– Aha.

Tak normalnie, to powiedziałabym wtedy, że mój ojciec był profesorem historii. Miałam taki impuls, ale powstrzymałam się. Niewykonalne. Nie przeszłoby mi to przez gardło. O tym po prostu nie mówiłam. Jednak fakt, że nie byłam w stanie zdobyć się na wypowiedzenie tak prostego stwierdzenia, sprawił, że ogarnął mnie smutek. Odwróciłam się plecami do Rogera, zwinęłam się w kłębek – twarzą do okna. Patrzyłam w mrok, na ciągnący się w nieskończoność pusty krajobraz i miliony gwiazd na niebie. Oparłam głowę o zimną szybę okna i zamknęłam oczy.



– Amy. Hej Amy!

Drgnęłam nerwowo. Najwyraźniej zasnęłam, bo śniło mi się, że jest marzec, wiosna, ciepło... Chodziłam bosą po świeżo przystrzyżonej trawie. W pierwszej chwili zamrugałam nieprzytomnie powiekami. Zobaczyłam Rogera, ciemności, opustoszałą szosę ciągnącą się prosto i w nieskończoność przed nami. Okej. Wszystko jasne. Znajdowałam się na najsamotniejszej drodze Ameryki. Spoko.

Chciałam się odwrócić, ale natychmiast zorientowałam się, że zdrętwiał mi kark. Wybrałam sobie najniewygodniejszą z możliwych pozycję do spania.

– Co? – burknęłam. – No, hej. Co tam? – przetarłam oczy. Spojrzałam na zegar, była druga godzina. – O rany – zawołałam i wyprostowałam się. – Nie powinniśmy się gdzieś zatrzymać? Musisz się przespać.

Droga przed nami wciąż była mroczna i zupełnie pusta, gwiazdy lśniły tak jasno jak kilka godzin wcześniej. W tamtej chwili miało się wrażenie, że jesteśmy jedynymi ludźmi na Ziemi – tylko my, nasz samochód i gwiazdy lśniące nad nami.

– Właśnie dlatego cię obudziłem – powiedział. Nawet w słabym świetle bijącym od zegarów widziałam, że jest zmęczony. Oczy za okularami miał podpuchnięte. – Chcę jeszcze dzisiaj w nocy dojechać do Utah. Mam już dosyć tej drogi. Jeżeli dotrzemy do Delta, to mamy już bliźutko do międzystanowej, którą dojedziemy jutro do Colorado Springs – rozumiałam, że mu się spieszy, ale jednak zdziwiłam się, bo przecież to on mówił, że mamy mnóstwo czasu. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak mu pilno do Colorado Springs. – Tylko musisz pilnować, żebym nie usnął – dodał.

– Aha – powiedziałam. – Jasne – popatrzyłam na niego, w oczekiwaniu na dalsze instrukcje. – Jak mam to robić?

Spostrzegłam zbliżające się ku nam reflektory jadącego naprzeciwko samochodu. Był jeszcze całe mile od nas, ale ponieważ było to jedyne światło na horyzoncie, od razu rzuciło się w oczy. Roger zmienił światła, chociaż wyglądało na to, że tamten będzie nas mijał dopiero za jakieś pięć minut.

– Mów coś – powiedział i otarł czoło dłonią. – Rozmawiaj ze mną. Pilnuj, żebym odpowiadał na twoje pytania. I gdybyś mogła nastawić jakąś nową muzykę, to byłoby świetnie.

– Nie ma sprawy – zapewniłam i sięgnęłam po jego iPoda. – Ale wiesz, zawsze możemy się zatrzymać w Ely i tam przenocować.

Z mapy wynikało, że Ely to ostatnie mikromiasteczko w Nevadzie przed granicą Utah.

Roger pokręcił głową.

– Musimy dojechać do Utah – oświadczył. Ponieważ to mój wybór spowodował opóźnienie, nie zamierzałam się z nim spierać. – Wrzuć coś energetycznego – gestem wskazał iPoda. – Nie przygotowałam nowej playlisty, ale znajdziesz tam zapisane wcześniejsze miksy.

Przewinęłam menu. Okazało się, że listy opatrzył niewiele mówiącymi tytułami: *mix #1*, *mix #2*. Przewinęłam do samej góry, pomyślałam sobie, że trzeba będzie przyjrzeć się tym zestawom, żeby zorientować się, jaką muzykę grają te kapele o dziwnych nazwach, kiedy w oko wpadła mi playlista zatytułowana *Musiałem tam być...* :) Uznałam, że uśmiechnięta buźka to dobry znak, wybrałam tę listę i wstawiłam iPod'a w uchwyt. Pierwsza piosenka była bardzo ładna, wolna, a tekst był o zakochanym Romeo.

– Która to lista? – spytał Roger ostrym tonem. Drgnęłam, zaskoczona.

– Ta z buźką – odpowiedziałam. – Wydało mi się...

– Wrzuć coś innego – polecił, wciąż podniesionym głosem. Sposzrzęłam, że zacisnął dłonie na kierownicy, już nie wyglądał na zmęczonego.

– Dobra, dobra – mruknęłam. Nacisnęłam pauzę, piosenka umilkła, w samochodzie zapanowała cisza. Przewinęłam kilka innych miksów; nagle klikanie kółka nawigacyjnego wydało mi się strasznie głośne. Wybrałam listę zatytułowaną *mix #4*. Uznałam, że wygląda bezpiecznie, więc ją włączyłam. Od razu zagrała ostra elektronika, a Roger się rozluźnił. – Lepiej?

– O wiele lepiej – odpowiedział. – Sorry. Tamtą miałem skasować, tylko zapomniałem.

Domyśliłam się, że te kawałki miały coś wspólnego z Hadley – i stąd inny tytuł. Nie zamierzałam jednak się dopytywać. Skinęłam tylko głową.

– To była playlista, którą ona dla mnie ułożyła – odezwał się po chwili. – Ona, czyli Hadley.

Przez chwilę jej imię zawisło między nami w samochodzie, nie mogłam nie zauważyć, że wymówił je inaczej niż wszystkie inne słowa, jak gdyby jej imię i tylko to imię składało się z samych dobrych liter.

– Moja była dziewczyna – wyjaśnił niepotrzebnie. Może zresztą robił to z myślą o samym sobie, bo jakoś z trudem przychodziło mu zapamiętanie, że Hadley to jego „była”.

– Aha – mruknęłam znowu, bo nie miałam pojęcia, co

odpowiedzieć. „Amy!” pewnie dokładnie by wiedziała, jak należy się zachować, jakie pytania zadać. Byłaby miłutka i sympatyczna, pełna współczucia. Powiedziałałaby Rogerowi, żeby bez skrępowania wyrzucił z siebie, co mu leży na sercu. Przypuszczalnie nie siedziałałaby w milczeniu obok niego i nie gapiłaby się przez okno. A ja właśnie nie chciałam go o nic pytać, bo bałam się, że odpowie mi tym samym.

– Utah – oznajmił Roger, pokazał palcem znak za oknem. Zwolniliśmy, wyciągnęłam szyję, żeby się przypatrzeć. WITAMY W UTAH! – głosił szyld. A poniżej, mniejszymi literami: GÓRSKA STREFA CZASOWA.

Gdy mijaliśmy ten znak, pomyślałam o przekraczanej przez nas umownej linii i o tym, że chociaż byłam już dwa stany od Kalifornii, tak naprawdę nic się nie zmieniło. Swoją drogą, co niby miałyby się zmienić?

– No i co? – odezwał się Roger, odwracając się w moją stronę. – Nie przykładasz się do swoich obowiązków. Miałaś pilnować, żebym nie usnął. Zadaj mi jakieś pytanie. Powiedz wierszyk. Wszystko jedno, byle coś gadać.



– Czy to jest osoba? – spytałam sześć rundek dwudziestu pytań później i ziewnęłam.

– Tak – odpowiedział Roger. – Dziewiętnaście. Nie usypiaj, Curry!

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi zupełnie machinalnie i tak mnie to zaskoczyło, że momentalnie przestałam się uśmiechać.

– Czy ta osoba żyje? – spytałam.

– Nie. Osiemnaście.

– Mężczyzna?

– Tak. Siedemnaście.

Popatrzyłam na Rogera, który zdecydowanie nie sprawiał już wrażenia, jakby miał zasnąć za kółkiem. Ja tymczasem

dowiedziałam się, że ktoś, kto studiuje historię ma sporą przewagę w takich grach. Zaczęłam już jednak łapać, jakiego rodzaju odpowiedzi zazwyczaj wybierał.

– Czy to odkrywca?

Roger zerknął na mnie, jakby uniósł brwi, jakby był trochę pod wrażeniem.

– Tak. Szesnaście.

Byli już Drake, Livingstone oraz sir Edmund Hillary. Postanowiłam pójść na całość, zwłaszcza, że niewielu już odkrywców mogłam sobie przypomnieć.

– Czy chodzi o Vasco da Gamę?

Westchnął, ale tak naprawdę raczej był zadowolony.

– Po pięciu pytaniach – stwierdził. – Nieźle. Teraz twoja kolej.

– Co ty masz z tymi odkrywcami? – zainteresowałam się, bo przecież czterech odkrywców z rzędu nie mogło pojawić się przypadkiem i nie sprawiało to wrażenia strategii, za pomocą której chciałby mnie pokonać.

Roger wzruszył ramionami, trochę się zawstydził. Przesunął palcami przez włosy, potargał się przy tym. Miałam odruch, żeby wyciągnąć rękę i je przygłodzić. Rzecz jasna, stłumiłam ten impuls w zarodku.

– Zawsze się interesowałem odkryciami geograficznymi. Od małego. Strasznie mi się podobało, że ktoś może odkryć coś nowego. Że można zobaczyć jakieś miejsce, zanim zobaczy je ktokolwiek inny.

– I dlatego poszedłeś na historię?

Uśmiechnął się, chociaż nie spojrział na mnie.

– Chyba tak. Zacząłem czytać historię jak instrukcję obsługi. Byłem jeszcze dzieciakiem i próbowałem dowiedzieć się w ten sposób, co tamci robili, jak doszli do tego, że zostali odkrywcami – chodziło mi o to, żeby zrobić to samo. Wtedy wierzyłem, że na pewno też odkryję coś naprawdę superważnego.

– Ale już wszystko zostało odkryte – stwierdziłam. Odwróciłam się trochę bardziej w jego stronę. Pociągnęłam za pas,



żeby mieć więcej luzu, oparłam głowę o okno.

– Teoretycznie tak – przyznał, ale chyba za bardzo mu to nie przeszkadzało. – Uważam jednak, że zostało jeszcze mnóstwo rzeczy, które można odkryć. Trzeba tylko uważnie się rozglądać.

– Podciągnęłam jedno kolano i oparłam o nie podbródek. Musiałam to przemyśleć. – O rany, ale się rozgadałem – zaśmiał się. – Twoja kolej. Opowiedz mi coś o sobie.

Tego właśnie najbardziej nie chciałam robić, ani wtedy, ani kiedykolwiek.

– Czy ja wiem...? – bąknęłam. – Nie odkryłam niczego ciekawego.

– A może jednak? – nie zamierzał dawać za wygraną. Znowu się uśmiechnęłam, ale potem popatrzyłam na niego, na te jego okulary nauczyciela matmy i uśmiech zniknął z mojej twarzy. Jeszcze się nie nauczył, że nie wszystko układa się po naszej myśli tylko dlatego, że tego chcemy.

– Raczej nie – odpowiedziałam. Wyciągnęłam rękę, żeby podgłośnić muzykę, bo leciała piosenka *Fake Empire*, która przy drugim przesłuchaniu naprawdę mi się podobała.

– Ale mówię poważnie – upierał się. – Opowiedz mi coś o sobie. Na przykład... Czego w swoim życiu najbardziej żałujesz?

Tego pytania zupełnie się nie spodziewałam, chociaż bez chwili wahania znałam na nie odpowiedź. Zamknęłam oczy. Marcowy poranek, klapki na nogach, odpryski szkła na stopach. Ta jedna, jedyna rzecz, o której naprawdę nie chciałam myśleć.

Otworzyłam oczy, popatrzyłam na niego.

– Nie mam pojęcia.

*Yesterday, when you were young...*  
– *The Weepies*

8 MARCA – TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

– I jak było? – spytała niecierpliwie Julia.

– Przestań – zawołałam i roześmiałam się. Siedziałam na frontowych schodach domu i rozmawiałam z nią, a mój ojciec tymczasem strzygł trawnik. Matka i ja zawsze podśmiewaliśmy się z niego, że tak dba o ten trawnik. Poza tym nie miał w sobie nic z pedanta, tymczasem w sprawie trawnika był nawet kimś więcej niż pedantem. Nasz trawniczek nigdy nie prosił się o strzyżenie właśnie dlatego, że co sobotę był starannie strzyżony. „To nie takie proste, to trzeba umieć robić – zapewniał niejednokrotnie. – Już widzę, jak ty byś się za to zabrała!”

Właśnie gdy patrzyłam, przekręcił w miejscu kosiarkę o dziewięćdziesiąt stopni, żeby przyciąć niesforne źdźbła w samym rogu trawnika.

– E tam. Nie ma co opowiadać – odpowiedziałam, znów skupiając się na rozmowie z Julią.

– Akurat – odpowiedziała. Słyszałam, że też się śmieje, zawsze mnie to cieszyło, bo najczęściej Julia zachowywała się odpowiedzialnie, była zrównoważona i starannie ważyła każde słowo, zanim je wypowiedziała. – Szczegóły, Amy, szczegóły!

Poczułam, że się uśmiecham. Właśnie byłam po randce, którą odbyłam poprzedniego wieczoru z Michaelem i prawdę mówiąc, trochę byłoby o czym opowiadać. A Julia zawsze była pierwszą osobą, której zwierzałam się w takich sprawach. Gdybym tego nie zrobiła, to wszystko wydawałoby mi się jakieś nierzeczywiste.

– Fajnie było – stwierdziłam. Usłyszałam, jak śmieje się po drugiej stronie linii – daleko, na Florydzie.

– Szczegóły! – zażądała znowu.

– Mój ojciec tu jest – powiedziałam do telefonu, zniżywszy głos.

– Nie mogę teraz o tym rozmawiać.

– Powiedz Julii, że ją pozdrawiam – zawołał mój ojciec i znów zmienił kierunek koszenia.

– Do roboty, do roboty! – zawołałam. Uśmiechnął się i znów zmienił kierunek, wypatrzył bowiem jakąś kępę przerośniętej trawy niewidoczną dla nikogo oprócz niego samego.

– No, dawaj – ponaglała mnie Julia. – Opowiadaj, co się wydarzyło. Spotkałeś się z tym facetem z college’u, prawda?

Zerknęłam, żeby sprawdzić, czy mój ojciec znalazł się już poza zasięgiem głosu.

– Tak – odpowiedziałam, usiadłam znowu na schodkach, przygotowując się do jednej z naszych maratonowych rozmów. – No, dobrze. Zaczęło się od tego, że przyjechał po mnie o ósmej.

– W co się ubrałaś? – dociekała Julia.

– Amy – usłyszałam głos mojej matki. Stała w drzwiach za mną. Opuściłam telefon, popatrzyłam na nią. Sprawiała wrażenie zestresowanej, a akurat w soboty zdarzało się to rzadko.

– Tak? – spytałam.

– Widziałaś gdzieś swojego brata?

Puls trochę mi przyspieszył, gorączkowo próbowałam dojść, jaka odpowiedź będzie najwłaściwsza. Tyle że Charlie nie wysłał mi żadnego sms-a z alibi, toteż nie wiedziałam, co powiedział mamie i tacie ani co robił naprawdę.

– Nie – odpowiedziałam więc, zgodnie z prawdą.

– Nie ma go na górze – oznajmiła moja matka. Zmarszczyła czoło, rozejrzała się po zaułku. – Ale sprawdzę jeszcze raz – powiedziała i weszła z powrotem do środka.

– Wybacz – powiedziałam do Julii. – Problemy z Charlie’em, jak zawsze.

– Co tam u niego? – spytała Julia.

Julia bujała się w Charlie’em, kiedy chodziliśmy do gimnazjum, jednak w liceum jej przeszło, zwłaszcza, że zaczął obracać się w zupełnie innym towarzystwie niż my.

– To co zwykle – odpowiedziałam. A to znaczyło, że nie najlepiej. Wiedziałam, że Julia zrozumie, co chcę powiedzieć.

Popatrzyłam w stronę domu i uzmysłowiłam sobie, że pewnie  
powinnam dokonać rozpoznania, a potem wtrącić się, zanim  
sprawy przybiorą niepomyślny obrót. – Wiesz co, muszę lecieć.

– W porządku – odpowiedziała Julia. – Ale zadzwoń do mnie  
później, dobra?

– Jasne – powiedziałam.

Rozłączyłam się. Otworzyłam drzwi. Spojrzałam za siebie na  
ojca, który był w swoim żywiole, dreptał za kosiarką i  
pogwizdywał.

# Hotel Beehive

DELTA, UTAH

**Data przybycia:** 8 czerwca, godzina 3.35

**Przewidywana data wyjazdu:** 8 czerwca

**DOBA HOTELOWA TRWA DO GODZINY JEDENASTEJ**

**nazwisko:**

Edmund Udell / Hillary Udell

**adres:**

1 Salt Lake City Boulevard

Salt Lake City, UT

kod nieznany

**telefon:**

brak

**pokój:**

apartament dla nowożeńców

**płatność:**

gotówką

**przewidywany koszt wynajmu:**

200 plus podatek



*A lovestruck Romeo sings a streetsuss serenade*  
– *Dire Straits*

Siedziałam na brzegu małżeńskiego łoża, pilnując się, żeby nie uszkodzić rozsypanych na nim płatków róż i czekałam, aż Roger wróci z łazienki. Próbowałam przypomnieć sobie, jak do tego doszło. Znowu!

Dojazd do Delty, pierwszego miasta w Utah na drodze numer pięćdziesiąt, zajął nam więcej czasu, niż się spodziewaliśmy. Zaczynałam już poważnie niepokoić się o Rogera, który prowadził przecież przez cały dzień i kawał nocy. Na wszystkich motelach widniały napisy BRAK MIEJSC, więc zaczęłam się martwić, co zrobimy, jeżeli nigdzie nie uda nam się znaleźć noclegu. Z mapy wynikało, że następna miejscowość oddalona jest o dobrą godzinę drogi i obawiałam się, że Roger po prostu nie da już rady.

Wreszcie trafiliśmy na hotel Beehive. Wyglądał porządniej od przydrożnych moteli i nie przechwalał się czerwonym neonem, że nie ma miejsc. Wysiedliśmy z samochodu, a kiedy szłam do wejścia, poczułam, jak nogi mi zeszywniały i rozboleł tyłek przez tyle godzin siedzenia. Troszkę byłam zdenerwowana, kiedy wchodziliśmy przez przeszklone automatyczne drzwi do lobby, w którym panował oślepiający blask, nic dziwnego po tylu godzinach w ciemnościach. Nigdy przedtem nie próbowałam zameldować się w hotelu. Czy to w ogóle dozwolone? Czy przypadkiem nie powinnam mieć ukończonych osiemnastu lat? Może to właśnie dlatego matka robiła dla nas rezerwacje – bo ja sama nie mogę tego zrobić?

Serce waliło mi mocno, kiedy doszłam do kontuaru. Hotel naprawdę sprawiał niezłe wrażenie, tylko panowała w nim nieco zbyt agresywnie domowa atmosfera – zwłaszcza te kilimy pokrywające każdą dostępną powierzchnię. Nim jednak zdążyłam się porządnie rozejrzeć, powitał nas bardzo zaspany recepcjonista.

– Państwo Udell? – spytał, patrząc to na mnie, to na Rogera.

– Słucham? – spytałam, mocno zaskoczona, bo nie takiego pytania oczekiwałam. Tymczasem Roger, który dosłownie słaniał się na nogach, chyba nie był w stanie go ogarnąć.

– Trzymaliśmy dla państwa ostatni wolny pokój – powiedział, marszcząc brwi i stukając w komputer. – Dostaliśmy co prawda wiadomość, że odwołujecie państwo rezerwację, ale pokój jest nadal wolny – zachowaliśmy go na wypadek, gdybyście państwo zmienili zdanie.

– Aha. I to ostatni wolny pokój? – spytałam, patrząc jednocześnie kątem oka na Rogera, któremu powieki opadały. Drgnął i otworzył szeroko oczy.

– Tak – odpowiedział recepcjonista, jakby z urazą w głosie.

– Świetnie – stwierdziłam. Myśleć, szybko myśleć. Skoro państwo Udell odwołali, to raczej nie przyjadą. Było wpół do czwartej nad ranem, a Roger zdecydowanie powinien natychmiast się położyć. – Tak, to my – odpowiedziałam z promiennym uśmiechem. – Państwo Udell.

To chyba trochę rozbudziło Rogera, bo zamrugał, zaskoczony.

– No, w końcu – mruknął recepcjonista. – Doskonale. Imiona? – spytał z palcami nad klawiaturą.

– Ależ... – powiedziałam. – Tak, oczywiście. Edmund. A ja jestem Hillary.

Roger znów popatrzył na mnie, jakby trochę przytomniej. Próbowałam niedostrzegalnie wzruszyć ramionami.

Myślę, że recepcjonista naprawdę zwątpił, kiedy okazało się, że nie potrafię podać kodu pocztowego w Salt Lake City i kiedy Roger, który przyłączył się już do rozmowy, nie podał mu numeru telefonu komórkowego – wyjaśniając, że telefonu nie ma, bo to jest wynalazek szatana. Mam jednak wrażenie, że recepcjonista po prostu chciał się pozbyć nas i to jak najszybciej. Zapłaciłam gotówką z szuflady mojej matki, tak że państwo Udell, kimkolwiek byli, nie zostaną obciążeni. Potem wręczył nam klucz – nie kartę magnetyczną, tylko prawdziwy, staromodny klucz z mosiądzu, do którego przyczepiono breloczek z małym



serduszkciem.

– Życzymy miłego pobytu – powiedział recepcjonista, uśmiechając się dziwnie i unosząc brwi. Podziękowałam mu, po czym Roger i ja udaliśmy się do naszego pokoju.

Jak się okazało, był to pokój przeznaczony dla młodych par. Gapiłam się jak głupia na tabliczkę z napisem „miesiąc miodowy”. To jakiś żart, czy co? – spytałam siebie samą w duchu. Niestety, nie był to żart. Klucz pasował do zamka i zarazem wyjaśniło się, czemu recepcjonista tak dziwnie na nas patrzył i skąd wzięło się serduszko przy kluczu. Otworzyłam drzwi, weszłam do środka i myślę, że spiekłam raka jak rzadko kiedy. Biała narzuta na małżeńskim łożu pokryta była płatkami róż, obok w wiaderku z wodą stała butelka szampana. Dziwne mi się to wydało, dopiero w następnej chwili zdałam sobie sprawę, że woda ileś tam godzin wcześniej zapewne była lodem. Roger zamknął drzwi. Popatrzyłam na niego, mając tylko nadzieję, że moja twarz nie ma tego samego koloru, co moje włosy.

– Więc... – zaczęłam, straszliwie zawstydzona, nie bardzo nawet wiedząc, co mam powiedzieć. – No...

– Fajny pokój wybrałaś, Hillary – powiedział, uśmiechając się blado. Pewnie był zbyt zmęczony, żeby poczuć skrępowanie – w każdym razie nawet się nie zarumienił.

– Strasznie mi przykro – powiedziałam. – No, ale innego już nie mieli...

– Nie ma sprawy – stwierdził. – Jeżeli pozwolisz, przebiorę się pierwszy.

Poszedł do łazienki, dźwigając swój worek.

– Jasne – odpowiedziałam. Dalej gapiłam się na łoże. Kiedy Roger zamknął drzwi od łazienki popatrzyłam w lustro, dzięki czemu stwierdziłam, że nie jestem aż tak strasznie czerwona na twarzy. Potem rozejrzałam się po pokoju. Minęło nieco czasu, odkąd zdarzyło mi się nocować w prawdziwym hotelu – bo namiot w Yosemite za hotel się nie liczył. Całkiem przyjemny pokój – na biurku w rogu leżał bloczek oraz długopis w żółte i czarne poprzeczne pasy z napisem HOTEL BEEHIVE. Zgarnęłam jedno i

drugie do torebki. W tej chwili dotarło do mnie, że pierwszy raz w życiu nocuję w hotelu z kimś spoza mojej rodziny. Aha, no i w pokoju dla nowożeńców. Ze studentem.

Kiedy oświeciła mnie ta myśl, z łazienki wyszedł Roger. Ziewnął rozziewając, miał na sobie te same szorty i T-shirt co poprzedniej nocy. Widok nie był taki wstrząsający, skoro już wiedziałam, czego się spodziewać. Roger też popatrzył na łóżko.

– Aż szkoda to zepsuć – stwierdził. Dopiero wtedy zauważyłam, że płatki róż zostały usypane tak, iż tworzyły wielkie czerwone serce.

Odwróciłam się, złapałam walizkę i poszłam do łazienki.

– Państwo Udell się nie obrażą – powiedziałam tonem na tyle niedbałym, na ile było mnie stać. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie, odetchnęłam głęboko. Wiedziałam, że Roger jest zmęczony, ale przecież nie do tego stopnia, żeby nie zauważyć: wszystko w tym pokoju zostało przygotowane z myślą o ludziach, którzy zaraz będą uprawiać seks.

Wylądowaliśmy w pokoju dla młodej pary! Seks wisiał w atmosferze jak zapach perfum, tylko było to mniej subtelne. Coś o wiele gorszego niż dzielenie łóżka w Yosemite, chociaż akurat to łóżko było dużo większe. Jakby w pokoju znalazł się słoń. Słoń, który tylko czekał, żebyśmy zaczęli uprawiać seks. Znowu poczułam, że się czerwienię, a dzięki temu, że w łazience wisiało lustro, natychmiast otrzymałam potwierdzenie, iż rzeczywiście tak było. Rozejrzałam się, żeby pomyśleć o czymś innym i zauważyłam, że wanna jest też dwuosobowa, z urządzeniem do wytwarzania bąbelków, a na jej brzegu stoi miseczka pełna płatków róż.

Żeby opóźnić moment pójścia do łóżka, a także korzystając z faktu, iż mieliśmy łazienkę w pokoju, nie trzeba było iść do niej i wracać z niej pięć minut przez terytorium przyjazne niedźwiedzim, wzięłam porządny długi prysznic. Potem przebrałam się do snu, nie w bluzę z długimi rękawami, tylko w T-shirt, spodziewając się, że w hotelu nie będzie aż tak zimno. Rozczesałam włosy, starając się nie zwracać uwagi na to, ile ich

zostaje na grzebieniu. Spakowałam przybory toaletowe, dodając do nich hotelowy płyn do kąpieli, zapasowy szampon, zestaw do szycia oraz płyn do rąk.

Kiedy wyszłam z łazienki, zorientowałam się, że Roger już leży po swojej stronie pod kołdrą, z zamkniętymi oczami. Kto wie, może na nim nie robił wrażenia panujący w pokoju nastrój.

Zgaszone były wszystkie lampy oprócz jednej, małej lampki nocnej z perkalikowym abażurem stojącej po mojej stronie – czyli po lewej. Starając się robić jak najmniej hałasu, wsunęłam się pod kołdrę i zgasłam tę lampkę. Przewróciłam się na bok, popatrzyłam na Rogera, który też leżał na boku, twarzą w moją stronę. Jednak już tak strasznie się nie bałam spać obok niego. Nie tak bardzo jak poprzedniego dnia. Do licha, czyżby od tamtego czasu minął zaledwie jeden dzień?

Patrzyłam na niego przez chwilę. Potem, choć byłam pewna, że poprzedniej nocy po prostu mi się poszczęściło, a teraz na pewno nie usnę, opuściłam powieki.

– Dobranoc, Roger – szepnęłam.

Roger zaskoczył mnie; byłam pewna, że już dawno śpi, a tymczasem odpowiedział:

– Dobranoc – mruknął. – Ale jaki znowu Roger? Mam na imię Edmund.

## NOTES PODRÓZNY

**stan #3:** UTAH „Stan uli” <pszczelarzy?>

**dewiza:** Przedsiębiorczość

**wielkość:** Wielki. Znowu wielki. Bardzo, bardzo wielki.

**ciekawostki:** Stan uli, a jakże! Na wszystkich znakach, dzięki którym można się zorientować, którą drogą człowiek jedzie, widnieją obrazki przedstawiające ule.

**uwagi:** Tablica ostrzegawcza przy międzystanowej; UWAGA, OTWARTA PRZESTRZEŃ. i co – to niby ma znaczyć? Poważnie pytam, o co chodzi?

W każdym razie Utah jest niesamowicie piękne. Nawet drzewa są tak piękne, że warto im robić zdjęcia i -to wcale nie jest

żadna głupota. Nawiasem mówiąc, kod pocztowy Salt Lake City to 84148. Tak na wszelki wypadek.

W Utah jest CUDNIE!!!!



## NOTES

Nawiasem mówiąc,  
w Mom's Cafe dają  
babeczki wielkości  
TORTU. Roger  
zeżart cztery.

## DINERY!

Dlaczego  
w Raven Rock  
nie ma dinerów?

The Best in Home Cooking  
**MOM'S CAFE**

Corner of State & Main  
Utah



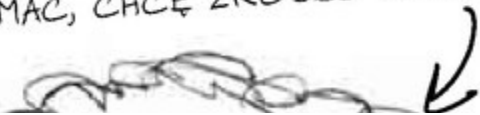


## Playlista Rogera #4

„Hillary i Edmund wyruszyli w drogę”, czyli  
„Są tacy, którzy fotografują drzewa”

<u>TYTUŁ</u>	<u>WYKONAWCA</u>
„Colorado”	Grizzly Bear
„Young Folks”	Peter, Bjorn and John
„I Am John”	Loney, Dear
„Unknown Legend”	Neil Young
„Break It Out”	The Rocket Summer
„No You Girls”	Franz Ferdinand
„Surf Colorado”	Bowling for Soup
„Just Like Heaven”	The Cure
„The First Single (You Know Me)”	The Format
„Gravel”	Ember FX
„Rootless Tree”	Damien Rice
„I Figured You Out”	Elliott Smith
„Baby, It's Fact”	Hellogoodbye
„Free”	Cat Power
„Don't Forget to Breathe”	Beulah
„Love Like a Sunset, Part I”	Phoenix
„Nobody Move, Nobody Get Hurt”	We Are Scientists
„A Year in the Past, Forever in the Future”	Dashboard Confessional

POPATRZ! DRZEWO! MUSIMY SIĘ  
ZATRZYMAĆ, CHCĘ ZROBIĆ ZDJĘCIE!



ZOBACZ! ZNOWU DRZEWO!!













## *There's no surfin Colorado. – Bowlingfor Soup*

„Witaj, tu telefon Amy. Zostaw wiadomość po sygnale, oddzwonię. Dzięki!”

*Biiip.*

„Amelio, mówi twoja matka. Nie podoba mi się to, że wczoraj do mnie nie zadzwoniłaś. Zaczynam się niepokoić, zwłaszcza, że w żadnym z hoteli nie odnotowano waszego pobytu. Zadzwoń natychmiast”.



„Witam, tu mówi Pamela Curry. Proszę o zostawienie po sygnale wiadomości z nazwiskiem i numerem telefonu. Oddzwonię, kiedy tylko będzie to możliwe. Dziękuję”

*Biiip.*

„Cześć, mamó. Niesamowite, jakoś nie możemy się złapać. Nawet dziwne. Ale u mnie wszystko w porządku. Nie musisz się niepokoić. W... No w tej, Oklahomie, trafiliśmy na zator, więc trochę ugrzęźliśmy. Dlatego mamy małe opóźnienie. Jednak z noclegami nie było żadnego problemu. Poza tym fajnie nam się jedzie, wszystko jest w porządku. Więc się nie przejmuj!”



- Czy to mężczyzna? – spytał mnie Roger.
- Tak – odpowiedziałam. – Szesnaście.
- Czy on żyje?
- Nie. Piętnaście.
- Czy to odkrywca?
- Tylko ty mogłeś zadać takie pytanie. Nie – odparłam.
- Ty ciągle mnie o to pytasz.

- Bo ciągle wybierasz odkrywców.
- Coś w tym jest. Czy jest sławny?
- Tak. Czternaście.
- Hm.

Roger postukiwał palcami w kierownicę, a ja podwinęłam nogi i wyjrzałam przez okno. Słońce właśnie zaczynało zachodzić, mieliśmy za sobą cały dzień jazdy. Wystartowaliśmy co prawda później, niż zamierzaliśmy, bowiem ku mojemu zdumieniu, znowu przespałam twardo całą noc i dalej spałam jak kamień, kiedy pojawił się rozjuszony recepcjonista i obudził nas – jak sądziłam, o dziesiątej. Tyle że żadne z nas nie przestawiło zegarka, więc tak naprawdę była już jedenasta i groziło nam, że będziemy musieli dopłacić za zbyt późne zwolnienie pokoju. Zwinęliśmy się szybciotko i ruszyliśmy w drogę, dopiero potem zatrzymaliśmy się, żeby zjeść śniadanie połączone z wczesnym obiadem. Okazało się, że lubię tanie przydrożne knajpy, czyli *dinery*, a Rogerowi przypadają do gustu znajdujące się w nich szafy grające.

Jazda przez Utah – podczas której dowiedziałam się, że Kanadę odkrył prawdopodobnie John Cabot, natomiast Roger odkrył na swój użytek, kim był Stephen Sondheim – była zachwycająca. Widoki wprost zapierały dech. Było jeszcze piękniej niż na drodze numer pięćdziesiąt, głównie dlatego, że tutaj było na czym zaczepić wzrok. I właśnie to, co było widać, zapierało dech. Trochę nieziemski krajobraz – wielkie, czerwone skały, płaskie na górze i fantastycznie powyginane małe drzewka, które wyglądały, jakby zostały wyrzucone przez morskie fale. Nie mogłam się powstrzymać, wciąż robiłam im zdjęcia – ku uciesze Rogera, któremu wydawało się, że trudno o coś zabawniejszego. Jak można robić zdjęcia drzewom? Podobnie jak poprzedniego dnia, miałam uczucie, że ktoś otworzył przed nami krajobraz, że nic nie stało na przeszkodzie naszym spojrzeniom, a wszystko to pod niebem, które – przysięgam – było jeszcze większe i błękitniejsze niż nad Nevadą.

Teraz, skoro znów znaleźliśmy się na szosie międzystanowej, znowu pojawiły się znaki przydrożne, z których większość była dla

mnie czymś nowym. Pomijając już niezrozumiałe dla mnie ostrzeżenia o treści UWAGA, OTWARTA PRZESTRZEŃ<sup>2</sup>, widywałam znaki przedstawiające sylwetki zwierząt, jakich dotąd nie widziałam – antylopę, krowę oraz krowę z rogami. Były też znaki przedstawiające jelenie, ale takie widziałam już w Yosemite, także podczas tej wyprawy. Niepokoiło mnie, że zupełnie bez ostrzeżenia na drogę może wybiec krowa z rogami. A najwyraźniej zdarzało się to na tyle często, że opłacało się umieścić znaki, żeby ostrzec ludzi.

Zmierzaliśmy w stronę Colorado. Krajobraz zaczął się zmieniać, stopniowo, choć nieubłaganie. Otwarta równina, jaką oglądaliśmy w Nevadzie i w Utah, stawała się coraz bardziej górzysta, aż wreszcie niespodziewanie znów pojawiły się sosny. Tablice informacyjne przy drodze powiadały teraz o stopniu nachylenia drogi – która stawała się coraz bardziej kręta, a kiedy wjechaliśmy na teren górzysty, zrobiło się naprawdę stromo. Ostre, bardzo długie podjazdy, a potem równie ostro w dół. Nasz jeep świetnie sobie radził, ale widocznie stanowiło to problem dla kierowców ciężarówek. Tablice adresowane były przede wszystkim do nich, mijaliśmy jedną za drugą, nie dawały nieszczęśnikom wytchnienia: UWAGA, KIEROWCO CIĘŻARÓWKI! STROMY PODJAZD! albo: KIEROWCO CIĘŻARÓWKI, TO JESZCZE NIE KONIEC! NADAL NACHYLENIE 6 PROCENT I OSTRE ZAKRĘTY! Najdłużej jednak zachodziłam w głowę, jaki był sens innego znaku: W RAZIE AWARII HAMULCÓW NIE OPUSZCZAJ DROGI. To znaczy, że co? Nie spodobała mi się ta wskazówka, wcale a wcale, a kiedy jechaliśmy za jakąś ciężarówką, wciąż przyłapywałam się na tym, że patrzę, czy działają u niej czerwone światła stopu.

Im bardziej zbliżaliśmy się do Colorado Springs, tym mniej Roger się odzywał. W jednym i w drugim *dinerze* wstawał od stołu, żeby zatelefonować, a kiedy wracał do stolika, najwyraźniej nie miał ochoty zdawać mi relacji z odbytej rozmowy, bo natychmiast zmieniał temat. Za pierwszym razem już miałam spytać, czy dzwoni do Hadley, ale w porę zdałam sobie sprawę, że

w ten sposób przyznałabym się, iż podsłuchałam jego rozmowę w Yosemite.

Korzystałam z jego nieobecności, żeby wysłać wiadomość na komórkę mojej mamy. Charlie wpadł na ten sposób już całe lata temu, ja jednak nigdy dotąd z niego nie korzystałam. Chodziło o to, żeby od razu nagrać wiadomość głosową – w taki sposób, że telefon przedtem nie dzwoni. Na wyświetlaczu pojawia się „masz wiadomość głosową”. Jak twierdził Charlie, mama nigdy nie zorientowała się, że jej telefon ma taką funkcję, bo zawsze była pewna, że nie usłyszała sygnału. Nie czułam się na siłach z nią rozmawiać na żywo, bo musiałabym albo wyznać jej niewygodną prawdę, albo nagadać straszną masę kłamstw. Niby wiedziałam, że prędzej czy później nadejdzie chwila prawdy – w końcu powinniśmy być już w Indianie, a od Indiany byliśmy naprawdę daleko. Próbowалаm jednak przekonać samą siebie, że może jakoś uda się nadrobić stracony czas – może nocą albo jakoś inaczej. Nieszczerze uśmiechała mi się perspektywa wylądowania za dzień czy dwa w Connecticut – nie czułam się jeszcze gotowa, żeby zacząć to nowe życie. Nie widziałam też od miesiąca mojej matki i myśl o tym, że znowu ją zobaczę, jakoś mnie niepokoiła, z powodów, w które nie miałam śmiałości wnikać.

Upiłam łyżeczek waniliowej coli, po czym spojrzałam na zegarek – przestawiony już na czas górski. Dochodziła siódma, miałam wrażenie, że spędziliśmy w samochodzie mnóstwo czasu.

– No? – ponagliłam Rogera. Położyłam stopy z przodu na deskę i popatrzyłam na niego.

– Przepraszam – odezwał się. Sięgnął po telefon, zerknął, a następnie wetknął go z powrotem do uchwytu na kubek. – Czy ten ktoś żyje?

– Nie – odpowiedziałam i znów na niego popatrzyłam. – To pytanie już zadałeś.

– Oj, przepraszam – odpowiedział, uśmiechnął się niezbyt wesoło. Wpatrywał się w drogę przed nami; znów zaczynał wiać wiatr. – Jakoś... Nie mogę się skupić. Może puścisz muzykę?

– Jasne – odparłam, powtarzając sobie w duchu, że nie ma o

co się obrażać. To przecież tylko głupia gra, nic więcej. Podgłośniłam miks Rogera i przez następnych sześć kawałków jechaliśmy w milczeniu.

Miasto Colorado Springs zaczęło nam się zrazu objawiać na znakach informujących o odległości. Kiedy pojawił się na nich dystans sześćdziesięciu mil, nagle jakbyśmy znowu znaleźli się w tym samym świecie co przedtem. Najwyraźniej minęliśmy już góry, bo krajobraz stał się bardziej otwarty, mieliśmy do dyspozycji trzy pasma, a potem nawet cztery. I nie znajdowaliśmy się już na odludziu, za oknami migwały neony sklepów oraz sieci handlowych, kawiarni i fast-foodów znane nam dobrze jeszcze z Kalifornii. Wszystko, czego brakowało na drodze numer pięćdziesiąt, teraz rzucało się w oczy aż nazbyt nachalnie, okazało się zbyt wielkie i zbyt jaskrawe. Nagle zdałam sobie sprawę, jakie fajne były te maleńkie sklepiki.

Tak ze trzydzieści kilometrów od miasta zatrzymaliśmy się, żeby zatankować. Kiedy Roger uwijał się przy pompie, zadzwonił jego telefon – ja właśnie szorowałam przednią szybę, która przerodziła się w cementarzysko martwych owadów; zobaczyłam, jak komórka błyska i podskakuje, wibrując w uchwycie na kubek. Otworzyłam drzwi od strony pasażera i chwyciłam aparat, na wyświetlaczu zobaczyłam mrugający napis DZWONI BRON. Nie miałam pojęcia, kto to taki, tylko podałam komórkę Rogerowi – który nagle sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego. Odłożyłam skrobaczkę, chociaż nie doczyściłam jeszcze okna, najwyżej do połowy, ale wsiadłam do samochodu, żeby nie słyszeć rozmowy Rogera. Jednak mimo woli odchyliłam nieco oparcie fotela, żeby widzieć go w bocznym lusterku. Widziałam go tylko z profilu, ale w każdym razie nie sprawiał wrażenia zachwyconego. Niby się uśmiechał, ale jakby z przymusem. Gdy tylko tak sobie pomyślałam, zdziwiłam się, że pomimo tak krótkiej znajomości potrafię dostrzec u niego tego typu niuansę.

Wsiadł do samochodu i zatrasnął drzwi; trochę mocniej, niż było trzeba. Nie wsadził kluczyka do stacyjki, bawił się breloczkiem na kolanach. Wyglądał na zmęczonego i trochę tej



dobrej energii, która zawsze od niego biła, gdzieś przepadło.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

– Spoko – powiedział do kluczyków, wciąż na mnie nie patrzył.

– No, więc mam dobre wiadomości. Znalazłem miejsce, w którym możemy przenocować. To jeden z akademików na terenie kampusu. Podczas roku akademickiego pełni rolę Domu Międzynarodowego, ale teraz mieszkają tam ludzie odbywający kursy letnie.

– Super – powiedziałam. Przyjrzałam mu się uważniej. Naprawdę wyglądał niewesoło. – Czyli dobrze, tak?

Roger westchnął.

– Muszę ci coś powiedzieć – odezwał się. Od razu się spięłam. – Właściwie dawno powinienem to zrobić. A w każdym razie wcześniej.

– No, mów – ponagliłam go. Zaczęłam na dobre się niepokoić. Czy miał mnie już dosyć i chciał zostać w mieście z przyjaciółmi? Znudziła mu się nasza „włóczęga”?

– Jesteśmy tutaj – wyjaśnił, wciąż na mnie nie patrząc – dlatego... No, bo słyszałem, że Hadley tutaj jest.

– A – powiedziałam. Nagle dotarło do mnie, dlaczego przez cały ranek Roger poświęcał tyle uwagi swojemu telefonowi. – I co? Jest? – spytałam możliwie jak najbardziej beztroskim tonem.

– Nie – odparł. Trochę się rozluźniłam. – Jeden z moich kumpli twierdził, że przyjechała na jakiś kurs letni. Ale wygląda na to, że nie albo że już wróciła do Kentucky.

– A – powtórzyłam, choć zdecydowanie nie zabrzmiało to zbyt mądrze.

– Od dłuższego czasu nie odpowiada na moje telefony czy emaile. Pomyślałem więc sobie, że gdybym tu przyjechał, zobaczył się z nią, moglibyśmy porozmawiać i może... – zmarszczył czoło.

– No, nie wiem.

„Amy!” wiedziałyby doskonale, jak się zachować. Na pewno nie zapomniałyby języka w gębie, nie czułyby się tak strasznie

niezręcznie i taką okropną gówniarą bez doświadczenia.

– Hm – odezwałam się wreszcie. – A co... No, wiesz. Co się stało z wami dwojgiem?

Z tyłu za nami rozległ się dźwięk klaksonu. Odwróciłam się i zobaczyłam minivana, który czekał w kolejce do tankowania i najwyraźniej miał już dosyć – wkurzał się, że siedzimy w samochodzie i nic się nie dzieje. Roger uruchomił silnik i wyjechaliśmy z powrotem na międzystanową. Przez kilka minut jechaliśmy w milczeniu. Wreszcie odezwał się.

– Nie wiem, co się z nami stało – wyznał. – Gdybym wiedział, chyba teraz by nas tu nie było.

– Cóż – odpowiedziałam. Zastanawiałam się, czy będę musiała z niego to wyciągnąć w stylu dwudziestu pytań, gdzie odpowiedzią będzie rozwiązanie zagadki „dlaczego Hadley zerwała z Rogerem”. – A co ona powiedziała?

Roger zaciskał dłonie na kierownicy, a potem rozprostowywał palce; wciąż marszczył czoło. Był przygnębiony i nieszczęśliwy, co widziałam tym wyraźniej, że zazwyczaj był wyjątkowo pogodny. Jak zwykle, zdałam sobie z tego sprawę dopiero, gdy już przestał być pogodny.

– To się wydarzyło pod koniec roku. Mieliśmy spotkać się w bibliotece, miałem pomóc jej w przygotowaniach do końcowego egzaminu z historii. Sporządziłem specjalne notatki – dodał, jakby z obrzydzeniem wobec samego siebie. – Ale ona wcześniej przyszła do mojego akademika i... – Roger umilkł, zobaczyłam, jak pulsuje mięsień przy jego szczęce, gdy zacisnął zęby. – No, powiedziała – podjął – że z nami koniec. Że już od dawna chciała to zrobić i chce mieć to za sobą, bo to jej przeszkadza w nauce.

– Tak powiedziała? – spytałam. Nie mogłam uwierzyć.

– No – powiedział i zaśmiał się, naprawdę niewesoło. – Hadley nigdy nie była specjalnie uczuciowa. Nieważne. Nie muszę chyba dodawać, że nie wpłynęło to zbyt korzystnie na moje egzaminy końcowe. Potem jeszcze nagrała mi się na sekretarkę. Powiedziała, że przeprasza, że niefajnie to wyszło i że bym zajrzał do jej akademika, to powiemy sobie „do widzenia”.

– No i?  
– I nic. Nie poszedłem – powiedział Roger, zmieniając pasmo.  
– Nigdy nie mówię „do widzenia”. Nie żegnam się z nikim. A ona o tym wiedziała. Mówiłem jej setki razy.  
Poprawiłam się w fotelu.  
– Jak to? Nigdy nie mówisz „do widzenia”?  
– A nie – powiedział. – Odkąd mam jedenaście lat. To taki przesąd – dodał, chociaż tego dodawać akurat nie musiał. – Troje z moich dziadków umarło w tamtym roku – ciach, ciach, ciach. Jedno po drugim. I za każdym razem wydarzyło się to niemal zaraz po tym, jak z nimi rozmawiałem. No i co? Jak się domyślasz, każdą rozmowę kończyłem, mówiąc „do widzenia”. No, i odtąd nie mówię. Wiem, to głupota. Ale została mi jedna babcia, która żyje i trzyma się świetnie. Krótko mówiąc, od tamtego czasu nie mówię nikomu „do widzenia”. Ot i cała historia.  
– No, dobrze, ale co ma do tego wszystkiego to twoje „do widzenia”? – spytałam, kiedy Roger skierował nasz wóz na zjazd numer sto czterdzieści trzy, kierując się ku Uintah Street/Colorado College.  
– Jak to co? Wszystko! – obruszył się Roger; w jego głosie usłyszałam echo jego zwykłej energii.  
Tutaj teren nie był już tak gęsto zabudowany, poza tym znowu pojawiły się góry. I to jakie! Podświetlało je od tyłu zachodzące słońce, więc widziałam tylko kontur, ale były naprawdę fioletowe, zupełnie jak w piosence. Roger jechał chyba jakąś główną ulicą – bo było tam pełno butików z ciuchami, pizzerii i sklepów z płytami. Przypominało to Raven Rock, taki klimat uniwersyteckiego miasteczka... Tylko te góry w tle były o wiele potężniejsze i piękniejsze niż góry w Kalifornii.  
– Kiedy z kimś się żegnamy, to jakbyśmy komuś mówili, że już nigdy więcej się nie zobaczymy. To jakbyśmy się zgadzali, że to jest nasza ostatnia rozmowa. Więc jeżeli nie mówimy sobie „do widzenia”, jeżeli rozmowy nie skończyliśmy, to znaczy, że będziemy musieli spotkać się znowu. – Gapiałam się na niego bez

słowa, Roger zerknął w moją stronę i zaśmiał się, tym razem zabrzmiało to jak jego zwyczajny śmiech. – Wiem, wiem. To nie ma sensu – przyznał. – Ale wbiłem to sobie do głowy. I tak już mi zostało.

– Tylko, wiesz – odezwałam się, czując, jak ściska mi się gardło, ale jednak zmusiłam się i dokończyłam: – Czasami nie masz okazji z kimś się pożegnać, a i tak już nigdy tego kogoś nie zobaczysz. Czasami tak się zdarza.

– Owszem, zdaję sobie z tego sprawę – powiedział cicho, a z jego wyrazu twarzy zorientowałam się, że zrozumiał, o czym mówię. – Wiem. Po prostu utrwaliło mi się w dzieciństwie poczucie winy za śmierć moich dziadków.

Nie do wiary, ale uśmiechnęłam się.

– Przecież nie zabiłeś swoich dziadków.

– Teraz wiem. Ale spróbuj to wytłumaczyć mojej jedenastoletniej jaźni.

Wyjrzałam za okno. Zaczęłam się zastanawiać. Pożegnania i „do widzenia” nie znaczyły dla mnie już tak wiele jak kiedyś. Okazało się, że jeśli wiadomo, że kogoś już nigdy się nie zobaczy, „do widzenia” niewiele znaczy. Ważniejsze jest to, że już nigdy więcej nie powie się temu komuś niczego więcej. Że rozmowa na zawsze pozostanie nieskończona.

– No, mniejsza z tym – powiedział Roger. Skręcił w uliczkę, wzdłuż której stały małe domki, a na ich drzwiach widniały greckie litery. – Wybacz, że zawracam ci tym wszystkim głowę. Powinienem ci to powiedzieć wcześniej i wyjaśnić, dlaczego chciałem tu przyjechać.

– Spoko, nie ma sprawy – rzuciałam luźno.

Roger uśmiechnął się do mnie, a zaraz potem zjechał do krawężnika i zaparkował przed mocno zrujnowanym piętrowym domem pomalowanym łuszczącą się białą farbą; trawnik przed nim zdobiła na pół oklapnięta nadmuchiwana palma.

– To co? Chodź, zobaczysz naszą rudere.

Okazało się, że w pomieszczeniu wspólnym Domu Międzynarodowego Colorado College nie było właściwie nikogo,

jeśli nie liczyć chudego koleśka bez koszuli rozwalonego na kanapie. Miał czarne włosy uczesane na żel w szpicę i bardzo był zaabsorbowany grą. Spojrzałam na ekran: rozgrywała się w dżungli, a bohaterem był taki sam koleś, jak ten na kanapie, tylko dużo bardziej napakowany.

– Hej, Leonardzie – przywitał go Roger.

– Hej, Sullivan – odpowiedział facet, czyli zapewne Leonard.

Wyciągnął rękę do żółwika, nawet nie odwracając wzroku od ekranu.

– Jak tam Honour Quest? – spytał Roger.

– Dotarłem do Forest of Doom – odpowiedział tamten.

– Aha, widzę – stwierdził Roger, który pochylił się, żeby spojrzeć z bliska na ekran telewizora. – Nieźle.

– A ty co tu robisz? – spytał Leonard. – Myślałem, że spędzasz lato w Kalifornii. Zostaniesz do początku roku?

– Nie – powiedział Roger. – Lato spędzam w Filadelfii.

– O, cholera – mruknął Leonard. Jego wirtualne alter ego potknęło się, zamachnęło się gwałtownie mieczem.

– Na dzisiaj zładowaliśmy tutaj – rzeki Roger. – Gadałem z Bron; powiedziała, że nie ma sprawy. Nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli prześpię się na wolnym łóżku w twoim pokoju?

– Nie ma problemu – odpowiedział Leonard. – Towarzystwo zawsze mile widziane. Gość w dom i tak dalej. Rzuć swoje graty, gdzie chcesz. Poza tym słyszałem, że dzisiaj w Cichym Domu zapowiada się niezła imprezka. Może być fajnie – podniósł wzrok i chyba dopiero wtedy mnie zauważył. – O, cześć – powiedział. – Leonard Cho.

– Amy Curry – przedstawiłam się.

– Bardzo mi miło – odpowiedział, po czym odwrócił się z powrotem do ekranu. – Czuj się jak u siebie w domu, Sullivan. Dam ci tylko jedną radę, rób, co chcesz, ale unikaj pokoju Conrada. Trzymał królika w szafce i źle się to skończyło.

– Królika? – spytałam, bo nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam.

– I źle się to skończyło? – spytał też Roger.

Leonard potrząsnął głową.

– To niezbyt miły widok. Dla własnego dobra oszczędźcie go sobie.

– Jasne – zgodził się Roger. – Dzięki, stary.

Uniósł brwi, patrząc na mnie, po czym skierował się do kuchni. Ja za nim. Wszystko wskazywało na to, że kuchnię tę dzieliło sporo osób, niekoniecznie współżyjąc w harmonii – na ścianach widniały rozpiski określające, kto i kiedy ma sprzątać oraz wyrzucać śmieci, szafki były zamknięte na kłódki, a nad wszystkim górował wielki napis: ŻRYJ SWOJE, A BĘDZIESZ ŻYŁ DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE.

– A więc – rzeki Roger, gdy szliśmy przez kuchnię – witaj w Domu Międzynarodowym. Na czas wakacji moja przyjaciółka Bronwyn zarządza tą budą. Powiedziała, że spokojnie możemy przenocować. Przyjmie cię do swojego pokoju.

Wszedł na ciemne, wąskie schody pokryte wydeptanym chodnikiem. Ja za nim.

– Nie będę jej przeszkadzać? – spytałam. Teraz już wiedziałam, skąd wzięło się DZWONI BRON na telefonie Rogera. Roger tymczasem zatrzymał się przed drzwiami, na których zawieszona była tablica. Tablica upstrzona wiadomościami, z których większość mówiła coś o króliku.

– Nie, skąd – odpowiedział. – Ja będę w pokoju Leonarda, po drugiej stronie korytarza – pokazał drzwi palcem. – On i tak rzadko kiedy rusza się z kanapy, więc przypuszczalnie będę miał pokój do wyłącznego użytku.

Otworzył drzwi pokoju Bronwyn – ujrzałam ciasne, zagracone wnętrza, które przypominało garderobę. Ubrania wisały dosłownie wszędzie, z szuflad wprost wysypywały się ułożone w stosy bluzki. Owszem, było też tam coś na kształt łóżka, pod ścianą – ale trudno było to stwierdzić z całą pewnością, bo również tam piętrzyły się stosy ciuchów.

– Nieźle – stwierdziłam.

– Tak, wiem – odpowiedział. – Ma tak jakby problem z zakupami – spojrzał na mnie. – Jak myślisz, może być? – zatroskał

się. – To znaczy, wiesz, jakby co, zawsze możemy poszukać hotelu. Będzie ci wygodniej...

Pokręciłam głową.

– Co ty. W porządku jest – powiedziałam.

Tak naprawdę, wcale nie było to wszystko zbyt fajne. Nie miałam ochoty nocować u obcej laski, w dodatku studentki, która prawdopodobnie będzie mi miała za złe, że jej przeszkadzam. Jednak widać było, że Roger koniecznie chciał się znaleźć właśnie tutaj, więc trudno było się nie zgodzić, w przeciwnym razie na pewno byłoby mu przykro.

Uśmiechnął się do mnie, chyba się ucieszył, że nie mam nic przeciwko takiemu układowi, a więc udzieliłam właściwej odpowiedzi – stwierdziłam.

– Super. W takim razie pójdę do samochodu po klamoty. Zaraz wracam.

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, Roger był już za drzwiami.

Nawet bez tych wszystkich ciuchów był to mały pokój. Przez to, że wszędzie pełno było gratów, czułam się tam jeszcze bardziej klaustrofobicznie. W gruncie rzeczy mieściło się tam tylko łóżko, było trochę miejsca na podłodze obok niego i biurko, na którym i wokół którego piętrzyły się podręczniki. Nad biurkiem wisiała kolejna tablica. Rozpoznałam Rogera na zdjęciu, więc weszłam głębiej do pokoju, żeby się przyjrzeć.

– Hej, hej!

Odwróciłam się na dźwięk głosu. Zobaczyłam w drzwiach dziewczynę o długich, brązowych włosach i grzywce wpadającej niemal do oczu. Była mniej więcej mojego wzrostu i budowy, może trochę bardziej zaokrąglona. Od razu odgadłam, że to Bronwyn – po prostu dlatego, że nosiła się jak ktoś, kto naprawdę zna się na ciuchach, a lokatorka tego pokoju bez wątpienia się na nich znała. Co prawda miała na sobie dzinsy i T-shirt, tak samo jak ja, ale na tym kończyło się podobieństwo. Ona miała to coś, co miały też niektóre dziewczyny w szkole – taką umiejętność dobrania ciuchów, że wszystko ze sobą grało, wyglądało super, wyjątkowo, było świetnie dopasowane do siebie i do niej, a

jednocześnie sprawiało wrażenie kreacji niedbałej, skompletowanej ot, tak – od niechcienia. Miała biały T-shirt, niby obcisły, ale jakimś cudem też luźny. Na szyi kilka cieniutkich złotych łańcuszków zachodzących jeden na drugi, co świetnie pasowało do jej złotych bucików na płaskiej podeszwie. Zerknęłam w dół, na mój własny T-shirt i zobaczyłam na nim plamę, chyba resztki dżemu z tosta, który zjadłam na lunch.

– Hej – odpowiedziałam. Wetknęłam ręce do kieszeni, mając nadzieję, że nie zauważy tego dżemu.

– Ty jesteś Amy? – spytała, przyglądając mi się uważnie. Podeszła do mnie, a przy tym jakimś cudem udało jej się nie nadepnąć na żaden but czy fragment ubrania. Spoglądała na mnie przyjaźniej i życzliwiej niż jakakolwiek osoba na świecie, jeśli nie liczyć stewardess w samolotach.

– Tak – wyciągnęłam rękę, żeby uścisnąć jej dłoń, bo wydawało mi się, że w college’u tak właśnie się robi. – Cześć.

Nie zwróciła uwagi na moją wyciągniętą dłoń, podeszła tylko jeszcze krok bliżej i wzięła mnie w swe objęcia. Od razu zeszywniałam. Naprawdę, od tak dawna nikt mnie nie przytulał. Owszem, zdarzyło się kilka uścisków na pogrzebie, ale to były takie szybkie uściski, właściwie bezkontaktowe, z dwoma klepinięciami w ramię – i cześć. A ta dziewczyna nie zamierzała mnie wypuścić. Po chwili spróbowałam się wyswobodzić, ale tylko uścisnęła mnie jeszcze mocniej. Dziwnie to odbierałam, bo byłyśmy mniej więcej tego samego wzrostu, natomiast odnosiłam wrażenie, jakbym znalazła się w objęciach kogoś znacznie większego ode mnie. Coś we mnie osłabło, pojawiła się jedna czy druga rysa na tamie, jaką zbudowałam, by odgrodzić się od wszystkiego, czego nie chciałam czuć. A kiedy zdałam sobie z tego sprawę, cofnęłam się. Bronwyn także się cofnęła i popatrzyła na mnie z uśmiechem.

– Tak się cieszę, że mogę cię poznać! – oświadczyła; usłyszałam w jej głosie nieznaczący, ale wyraźny południowy akcent. Na przykład słowo „cię” miało jakby o kilka sylab więcej, niż do tego przywykłam.



– Nawzajem. Bardzo mi przyjemnie. A... – spytałam, tak na wszelki wypadek – Czy ty jesteś Bronwyn?

– O rany! – zawołała ze śmiechem. – Strasznie przepraszam! Tak, to ja. Bronwyn Elisabeth Taylor. Witam w moich skromnych progach.

– Elisabeth Taylor? – powtórzyłam, bo nie byłam pewna, czy się nie przesłyszałam.

Bronwyn zaśmiała się jeszcze głośniej.

– Jasne, wiem. Wszystko przez moją starszą siostrę. Kiedy się urodziłam, miała obsesję na punkcie *National Velvet*. Wiesz, dziewczyny i konie – wyjaśniła, a ja skinęłam głową, całkiem jakbym wiedziała, o czym mówi. – No i dzięki niej takie mam drugie imię, przypadło. Właśnie dlatego nie powinno się pozwalać, żeby wymyślił ci imię ktoś, kto ma dopiero pięć lat. Zgadza się?

– Jasne – odpowiedziałam, trochę oszołomiona. Mówiła naprawdę prędko, nie miało to nic wspólnego z moim wyobrażeniem na temat południowego zaciągania. Ponieważ trochę zakręciło mi się w głowie, próbowałam skierować rozmowę na normalniejszy tor. – Strasznie ci dziękuję, że pozwoliłaś mi zatrzymać się tutaj na noc.

– E tam, drobiazg! – zapewniła. „Drobiazg” – nigdy nie słyszałam, żeby ktoś użył tego słowa, no ale właśnie teraz usłyszałam: drobiazg. – To ja się cieszę, że tu jesteś. Mam straszną ochotę na babskie pogaduchy. I w ogóle rozmowę na poziomie. A Roger zalicza się do pierwszej dziesiątki moich ulubionych ludzi na całym świecie.

Zabrzmiało to jak nie lada wyróżnienie. Od razu jej uwierzyłam.

– Ach, tak – powiedziałam. – On jest naprawdę...

– I rzygać mi się chce – mówiła dalej, nie zwracając na mnie uwagi – jak pomyślę, co ta dziewczyna mu zrobiła. Takiemu fajnemu chłopakowi. Dla kogoś w rodzaju Hadley to tylko mięso armatnie – zauważyłam, że Bronwyn wymawia imię tej dziewczyny zupełnie inaczej, niż robił to Roger, jakby ze wstrętem wypluwała sylaby. – Tylko spojrzała na niego i wyczuła kogoś, na

kim będzie mogła ostrzyć sobie pazury – przytakiwałam, kiwając głową i czułam się przy tym, jakbym właśnie wkroczyła w sam środek tornada. Usiłowałam połapać się w tym wszystkim, co właśnie powiedziała, a w dodatku jakoś sensownie na to odpowiedzieć.

– A więc... – zaczęłam.

– Rany, rany. Gdzie moje dobre maniery? Siadaj, kochana, bardzo cię proszę.

Nie miałam pojęcia, gdzie miałabym usiąść, ale Bronwyn po prostu zgarnęła nieco ciuchów z łóżka, klepnęła materac, potem odwróciła się i wskoczyła na biurko. Siadłam ostrożnie na niezbyt obszernej połaci, którą dla mnie zwolniła. Spoglądała na mnie wyczekująco, toteż spróbowałam znów:

– A więc... – bąknęłam, potem urwałam. Nie powiedziała nic, więc brnęłam dalej: – Więc przez lato opiekujesz się tym akademikiem?

– A i owszem – skrzywiła się przy tym, ale jednocześnie jakimś cudem zdołała się uśmiechnąć. – Darmowe mieszkanie i wyżerka, nie muszę gnić przez lato w domu i w dodatku za darmocę harować w firmie mojej ciotki. Ale mniejsza o mnie! – pochyliła się w moją stronę. – Chcę wiedzieć wszystko o tobie! Jak wam się jechało?

– Czy ja wiem? – zastanowiłam się. Trochę mi było niezręcznie z tym, że cała energia jej uwagi została skierowana na moją osobę. – Chyba w porządku. Przynajmniej jak dotąd.

– Była już mowa o niej? – To „o niej” zabrzmiało w taki sposób, że nie miałam wątpliwości, o kogo chodzi.

– Nie – zaprzeczyłam. – Właściwie nie. Tak naprawdę nic mi o niej nie powiedział.

Bronwyn skinęła głową.

– Tego się spodziewałam. Nieważne, kochana. Już ja z niego wszystko wyciągnę.

– No – powiedziałam – chyba właśnie z jej powodu tu się znaleźliśmy. To znaczy, głównie – poprawiłam się szybko. – Powiedział, że może złapie Hadley – myślał, że została tu na lato.

Bronwyn zachnęła się.

– Otóż nie, nie ma jej tutaj. Zapewniam cię, że wiedziałabym i informowałabym Rogera o wszystkim. – Zdjęła z biurka oprawioną w ramki fotografię. – Chcesz ją sobie zobaczyć?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, przeszła już przez pokój i podała mi zdjęcie.

Widniały na nim cztery osoby: Bronwyn po lewej stronie, obok niej przystojny, mocno napakowany koleś o krótkich, czarnych kręconych włosach, potem Roger i obok niego szalowa blondynka. Domyśliłam się, że to Hadley, i to nie tylko dlatego, że ktoś domalował przy jej głowie czerwone rogi. Przyjrzałam się dokładniej. Była prawie wzrostu Rogera, smukła, o drobnych i perfekcyjnych rysach, gładko opalanej skórze, no i jasnoblond włosach. Na twarzy miała taki nieobecny uśmiech i patrzyła gdzieś poza obiektyw aparatu, ale Roger, który stał rozpromieniony u jej boku, nie zwracał na to uwagi.

– Ha – powiedziałam, nie bardzo wiedząc, co mam powiedzieć.

– No nie? – odezwała się Bronwyn. – Total, nie? To po prostu widać na jej twarzy. – Wyjęła mi zdjęcie z ręki. – Ale popatrz tylko na Jaimiego – dodała z uśmiechem, przyglądając się fotce; dotknęła palcem tego faceta stojącego obok niej. – Czy to nie superciacho? Aż chciałoby się go schrupać!

– Yhm – powiedziałam, w miarę obojętnym tonem, bo coś mi mówiło, że nie powinnam wyrażać zbyt entuzjastycznego zachwyty. – To twój chłopak?

– Tak jest – przytaknęła i westchnęła, uszczęśliwiona. – I z grubsza rzecz biorąc, najlepszy kumpel Rogera. Tak zresztą go poznałam. No i ją też – dodała po króciutkiej chwili, tym razem zabrzmiało to złowróźnie i ponuro.

– A więc – spytałam, czując, że może właśnie stoję u progu tajemnicy – co tak naprawdę się między nimi wydarzyło?

Bronwyn rzuciła kolejny stos ubrań na podłogę i usiadła obok mnie.

– Kochana, gdybym wiedziała, dawno bym to wszystko

naprawiła, już dwa miesiące temu. Chyba problem polega na tym, że nie ma żadnej konkretnej przyczyny. Myślę, że po prostu znudziła się nim i chciała być wolna, żeby poszaleć sobie latem w Kentucky. Ale tak naprawdę, to nie wiem – przyznała. – Trzeba wypytać Rogera... – urwała i rozejrzała się, jak gdyby dopiero teraz zauważyła, że Rogera nie ma w pokoju. – A, właśnie. Gdzie on się podziewa?

– Poszedł po bagaże – wyjaśniłam. Uświadomiłam sobie, że powinien już wrócić i zastanowiłam się, czy przypadkiem nie zwleka specjalnie, żebyśmy mogły sobie pogadać z Bronwyn.

– Kumam. No nic, trzeba zacząć przygotowania. Wiesz, że dzisiaj jest impreza w Cichym Domu? Idziesz z nami – oznajmiła. Tak jest, oznajmiła, nie było to pytanie i nie czekała na moją odpowiedź. – Wystroimy się, a potem... – zmierzyła wzrokiem moją postać. – Mogę ci pożyczyć coś z ciuchów. Fajnie będzie!

*And youre doing fine in Colorado.*  
– *Jackson Browne*

Cichy Dom wcale nie był cichy, przynajmniej tej nocy. Kiedy szliśmy na imprezę, Roger wyjaśnił mi, że w czasie trwania roku akademickiego poszczególne domy służyły różnym konkretnym celom – na przykład Dom Międzynarodowy gościł studentów z zagranicy – ale w lecie po prostu mieszkali tam studenci odbywający letnie kursy. I że najdziksze imprezy w lecie odbywały się w akademiku zwanym Dom Abstynenta.

Imprezę słychać było już z daleka: miarowy, dudniący rytm muzyki oraz śmiechy i okrzyki. Cichy Dom znajdował się niedaleko Domu Międzynarodowego, więc poszliśmy na piechotę. Był to kolejny zapuszczony budynek – ten wyglądał, jakby powstał jeszcze w czasach wiktoriańskich. Gdy zbliżyliśmy się, oczom naszym ukazała się też sztuczna plaża usypana przed okalającym dom gankiem, czyli mnóstwo piachu z siatką do siatkówki. Nie wyglądało jednak na to, żeby ktoś miał grać tej nocy, bo tuż przy siatce rozpalono małe ognisko. Wokół niego stali ludzie, parki obściskowały się na ganku, jakiś koleś przeskoczył przez balustradę, trzymając butelkę piwa w ręce. Wszystko to wydało mi się dobrze znajome – wystarczyłoby zastąpić walające się tu i tam butelki Mile-High Ale flaszkami po Dos Equis i spokojnie mielibyśmy taką imprezę, na jakich bywałam w College of the West. Co prawda byłam tylko na kilku, zawsze z Michaeliem. Starłam się trzymać blisko niego, popijałam ciepłe beczkowe piwo z czerwonego plastikowego kubeczka i uśmiechałam się, gdy ktoś się do mnie odzywał. Pilnowałam się, żeby nie powiedzieć niczego, co by zdradziło, że chodzę jeszcze do liceum.

Za to Charlie bawił się na terenie kampusu jeszcze w gimnazjum, studenci traktowali go na swoich imprezach jak maskotkę. Kiedy poszliśmy oboje do liceum, stanowił już stały element tamtejszego krajobrazu. Całkiem często zdarzało się, że to

on organizował imprezę, a w każdym razie zawsze wiedział, gdzie danego dnia można się zabawić. Zawsze mnie wkurzało, że ja chowam się po kątach, trzymam się na uboczu, a mój brat bryluje na tej samej imprezie i jest duszą towarzystwa.

Poszłam za Bronwyn i Rogerem po schodach. Omijając nastukanego kolesia, chwyciłam się poręczy, żeby nie stracić równowagi. Byłam idealnie trzeźwa, ale miałam na sobie pożyczone buty. Nie był to mój wybór, ale najwyraźniej Bronwyn nie uznawała „nie” za satysfakcjonującą odpowiedź.



– Jasne, że idziesz! – zawołała, kiedy zaprotestowałam; Roger akurat pojawił się z moją walizką. Powiedziała mu „cześć”, ale zaraz go wygoniła, żebyśmy mogły zacząć się stroić. Wtedy właśnie zdałam sobie sprawę, że najprawdopodobniej nie uda mi się wykręcić z tej imprezy.

– Ale tu mi dobrze – broniłam się.

Bronwyn, która nuciła coś cichutko i grzebała w jednej z szuflad, odwróciła się i popatrzyła na mnie.

– Jasne, że musisz iść – oświadczyła. – Nie wygłupiaj się.

– Ale tu mi naprawdę dobrze – upierałam się dalej. –

Zapewniam.

Machnęła tylko ręką na moje słowa.

– Idziesz, kochana, idziesz – oświadczyła. – Mało tego, będziesz się świetnie bawić. – Wyprostowała się, popatrzyła na mnie surowo. – Myślę, że to i owo można by poprawić – stwierdziła, jednym niedbałym gestem wskazując moje klapki, luźny T-shirt i dżinsy.

– Oczywiście rozumiem, że musiałaś ubrać się wygodnie na podróż i tak dalej.

– No, tak – odburknęłam.

Nie chciałam się przed nią przyznać, że był to mój zwyczajny, stały strój. Mój uniform. Nie zaplanowałam tego, samo wyszło. Jakoś tak się działo, że w ubraniach nazbyt dopasowanych

miałam wrażenie, że się duszę; w spódnicach marzły mi nogi, jaskrawe kolory zbytnio zwracały uwagę. W końcu dobrałam sobie barwy ochronne, dzięki którym mogłam łatwo wtopić się w tło – akurat to, czego chciałam.

– Ale – mówiła dalej – wszystko w swoim czasie. Zgadza się? Jest czas na strój niedbały i czas, żeby się wylaszczyć. I ten to czas właśnie nadszedł – wyciągnęła różowy top z jednym ramiączkiem, popatrzyła na niego, potem na mnie, a potem rzuciła go na biurko. Grzebała dalej, aż wreszcie wydała cichy, choć triumfalny okrzyk. Zademontrowała mi długą, błękitną bluzkę z niebieskim obszyciem. – Idealna – stwierdziła.

– Bronwyn – odezwałam się stanowczo, nie chciałam jej obrazić, ale nie chciałam też, żeby się wysilała na próżno. – To strasznie miłe z twojej strony, ale naprawdę chyba dziś wieczorem nie mam ochoty na imprezę.

Nie zabrzmiało to jednak wystarczająco stanowczo, po prostu nie wiedziałam, jak to powiedzieć. Dopiero co zaczęłam przyzwyczajać się do tego, że spędzam czas z Rogerem. Przez minione trzy miesiące nie rozmawiałam właściwie z nikim, więc myśl o tym, że znajdę się w tłumie ludzi, w dodatku ludzi zupełnie mi obcych, sprawiała, iż miałam ochotę tylko na jedno: schować głowę pod kołdrę. Kiedyś, dawno temu, bardzo lubiłam chodzić na imprezy. Nigdy nie miałam z tym problemu. Ale to było PRZEDTEM. To byłam dawna ja.

– Rozumiem – odpowiedziała Bronwyn i westchnęła, co mnie zaskoczyło. – Mówię ci, kochana, że tak mniej więcej co drugi raz i ja nie mam ochoty iść. Ale wiesz co? I tak warto ruszyć tyłek. Dewiza rodziny Taylor brzmi: „Rusz się, wystrój się, pokaż się” – rzuciła mi bluzkę, złapałam ją. – A czasami – dodała, ścisząc nieco głos, jakby dopuszczała mnie do jakiegoś niebywałego sekretu – jeżeli nie czujesz się aż tak super świetnie wewnątrz, postaraj się wyglądać fantastycznie na zewnątrz, a po jakimś czasie przestaniesz odczuwać różnicę – uśmiechnęła się do mnie. Chyba nie sprawiałam wrażenia całkiem przekonanej, bo wzruszyła ramionami i powiedziała: – Ale w razie, gdybyś nie

czuła się dobrze, obiecuję, że nie będę cię zatrzymywać, jeżeli będziesz chciała wcześniej wrócić. Zgoda? Teraz włóż to, a ja poszukam jakiejś spódnicy.

Zdałam sobie sprawę, że wszelki opór jest daremny, ściągnęłam więc poplamiony dżemem T-shirt. Bronwyn wyłoniła się zza stosu ciuchów z dżinsową spódniczką. Popatrzyła na mnie, próbowałam się odwrócić – miałam na sobie tylko stanik – żeby włożyć błękitną bluzkę. Kiedy poczułam na skórze dotyk miękkiego materiału, od razu stwierdziłam, że to naprawdę fajna bluzka.

Po tych kilku miesiącach spędzonych w prostackiej bawelnie, prawie już zapomniałam, jakie to uczucie. Przesunęłam palcami wzdłuż kołnierzyka w maleńkie półokrągłe ząbki.

– To też – zakomenderowała, w tej samej chwili na mojej głowie wylądował biustonosz.

– No, nie wiem – powiedziałam, biorąc go do ręki. – Chyba mój wystarczy...

Jakoś mi się zdawało, że to już lekka przesada, jeżeli chodzi o pożyczanie ciuchów.

– Wyluzuj, jest nowy – powiedziała. – Kupiłam go w zeszłym roku od kumpeli. Nie uwierzysz, ta laska dzień i noc chodziła w sportowym staniku. Co za strata. W każdym razie powiedziała, że go nie chce. I że to ja się ubieram nieodpowiednio, nie ona. Wyobrażasz sobie? No, przymierz.

– Słuchaj... – marzyłam, żeby już wreszcie dała mi spokój. – Naprawdę, nie trzeba...

– Trzeba, trzeba – stwierdziła. – Jak już się ubierasz, trzeba iść na całość. W porządnej bieliźnie człowiek czuje się zupełnie inaczej.

Obejrzałam sobie ten biustonosz. Podobnie jak bluzka, był dobrej jakości. W kolorze bladozielonym, z fiszbinami i delikatną koronką. Zdecydowanie o wiele seksowniejszy niż którykolwiek z moich biustonoszy.

– Okej, dzięki.

– Nie ma sprawy. No i... – złapała coś jeszcze i też rzuciła



tym we mnie – masz.

Były to stringi, w tym samym jasnozielonym kolorze, jeszcze z metką.

– Majtki twojej kumpeli też kupiłaś? – spytałam.

– No przestań, przecież to był komplet! – powiedziała, jakby się broniąc. – Komplet to komplet, szkoda by było go rozdzielić. Jeżeli ci się podoba, możesz go sobie zachować na specjalne okazje. – Puściła do mnie oko, a ja robiłam wszystko, żeby nie spiec raka. Pierwszy – i jedyny – raz, kiedy ktoś widział mnie w bieliźnie, nie miałam na sobie niczego równie efektownego. Zresztą Michaela chyba mało to obchodziło, więc koniec końców bez różnicy. – No, to się przebierz, a potem zobaczymy! – zawołała z uśmiechem.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, przebrałam się, ale potem musiałam usiąść na łóżku i odczekać chwilę, aż przejdzie fala smutku, który mnie naszedł. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak strasznie mi brakowało kumpelowania się z inną dziewczyną – i jak okropnie brakowało mi Julii. Dopiero wtedy to do mnie dotarło. Zawsze razem stroiłyśmy się na imprezy. Miała genialną rękę do włosów i często zajmowała się moimi, zwłaszcza że jej włosy były strasznie kręcone, więc niewiele dało się z nimi wykombinować. Nieraz te przygotowania – w moim pokoju, przy muzyce na pełny regulator, wokół sterty ciuchów – były o wiele fajniejsze niż sama impreza. A potem, po melanzu, odwoziłam ją do domu i obgadywałyśmy sobie wydarzenia wieczoru.

– No, dobrze – stwierdziła Bronwyn, wchodząc znów do pokoju. Spojrzała na zegarek. – Musimy się pospieszyć, jeżeli mam ci jeszcze zrobić makijaż i fryzurę. Została nam zaledwie godzina.



I tak właśnie wylądowałam na imprezie: nie miałam na sobie właściwie nic własnego, nawet butów. Bronwyn wybrała dla mnie

szpilki z paskiem za piętą, ciut przymałe, ale stanowczo oświadczyła, że nie wypuści mnie ze swojego pokoju w klapkach.

Dziwnie było popatrzeć na siebie w lustrze, kiedy już skończyła. Wyglądałam jak... Nie jak dawna ja, bo ja nigdy nie bywałam tak odstawiona, ale jakby bardziej przypominałam kogoś, kim dawniej byłam. Jakbym miała dokąd pójść i jakbym miała mieć coś do opowiedzenia na ten temat, kiedy już stamtąd wrócę. Wiedziałam, że to wszystko blichtr i pozory, że zniknie, gdy tylko zmyję make up, który mi zrobiła – ale przyjemnie było tak siebie zobaczyć, przynajmniej raz, na jeden wieczór – zobaczyć kogoś, kogo nie spodziewałam się ujrzeć już nigdy.

Wylądowaliśmy w bardzo hałaśliwej kuchni Cichego Domu; Bronwyn z miejsca dorwała kogoś, kogo znała z kursów chemii organicznej i podjęła rozmowę. Ja trzymałam się na uboczu, obok Rogera. Sączyłam ciepłe piwo z czerwonego kubka. Miałam niesamowite poczucie déjà vu.

– Fajnie wyglądasz, naprawdę – powiedział Roger. Popatrzyłam na niego, mocno zaskoczona i zorientowałam się, że wpatruje się w swój własny kubek.

– A – powiedziałam. Przez krótką chwilę analizowałam jego słowa w głowie, próbując zorientować się, czy to nie kolejny zonk w stylu „może powinnaś się rozebrać” i czy znowu nie zrozumiałam go źle. Jednak chyba nie – pomyślałam – bo co innego mógł mieć na myśli? – Dzięki – odpowiedziałam.

– Spoko – rzucił, kołyszając kubeczkiem, jakby chciał zamieszać w nim piwo. Spojrzał na mnie, uśmiechnął się. Miałam wrażenie, że chce powiedzieć coś jeszcze, ale właśnie wtedy do kuchni wparowało trzech gości w różnych stadiach nastukania.

– Sullivan! – wrzasnął najwyższy z nich i zrobił z Rogerem niedźwiadka. – Hej – znieruchomiał, kiedy mnie zobaczył, popatrzył najpierw na mnie, potem na Rogera. – Chłopie – stwierdził, po czym trzepnął Rogera w ramię, wciąż gapiąc się na mnie. – Ale ogień.

Spojrzałam na Rogera, zaczerwienił się. Nie miałam pojęcia, o czym ten koleś mówi, przypuszczałam jednak, że chodzi mu o

kolor moich włosów.

– Zaraz wrócę – bąknęłam i przeszłam na drugą stronę kuchni, do Bronwyn. Miałam zamiar trzymać się na uboczu jej grupki, ale z miejsca chwyciła mnie za ramię i przyciągnęła blisko do siebie, robiąc w ten sposób dla mnie miejsce w kręgu przyjaciół.

– To jest Amy – oznajmiła wszystkim, poprawiła mi bluzkę, przygładziła włosy i szturchnęła w plecy, żebym trzymała się prosto. Przerwała facetowi w grubych, modnych okularach, który mówił coś o Kancie i chyba nie był zachwycony, że ktoś wszedł mu w słowo. – Jest z Kalifornii.

Zamurowało mnie, kiedy Bronwyn to powiedziała. Nie mówiłam jej, skąd jestem – a więc na pewno zrobił to Roger. Przez chwilę słabo mi się zrobiło, bo zaczęłam się zastanawiać, co jeszcze jej o mnie opowiedział.

– Poważnie? – spytał koleś w okularach. – Super. Na jakim kierunku jesteś?

– Jeszcze się nie zdecydowała – odpowiedziała gładko Bronwyn, zanim zdążyłam cokolwiek wykombinować. Potem ledwo dostrzegalnie puściła do mnie oko, a następnie znów zajęła się konwersacją.

Dwie godziny później bawiłam się naprawdę nieźle. Stopy bolały mnie od butów Bronwyn i miałam już powyżej uszu sporów dotyczących tego, który profesor socjologii jest najlepszy, natomiast okazało się, że Bronwyn po prostu wymiała w grze polegającej na tym, żeby trafić odbitą od stołu ćwierćdolarówką do kieliszka... A potem koleś w okularach przegrał jakiś zakład czy coś i wykonał zupełnie fantastyczny zestaw figur tanecznych, łącznie z robakiem na podłodze. Wyszłam na ganek, żeby trochę odetchnąć, siadłam sobie na dolnym schodku i gapiłam się na dym, który wznosił się ku gwiazdom, na ogień i na grupkę narąbanych studentów, którzy próbowali jednak zagrać w siatkówkę, omijając ognisko, a czasami wpadając w nie.

– Hej – usłyszałam czyjś głos po lewej stronie. Obejrzałam się, zobaczyłam stojącego na ziemi faceta, opierał się o poręcz i

patrzył na mnie. Blondyn w świńskim typie, czerwony na twarzy, ale nie byłam w stanie stwierdzić, czy od słońca, czy od piwa. Czy od jednego i drugiego.

– Hej – odpowiedziałam i odwróciłam się od niego.

– Wchodzisz? – spytał mnie blondynek.

– Hm, nie – odpowiedziałam. Nie chciałam patrzeć na niego z dołu, więc wstałam. Zachwiałam się nieco – przez te buty Bronwyn.

– Ostrożnie, uważaj – zawołał. Podszedł bliżej, chwycił mnie za ramię, niby żeby mnie podtrzymać, ale już potem nie puścił.

– Wszystko w porządku? – spytał, przesuwając palcami w górę i w dół mojej ręki.

– Wszystko w porządku – odpowiedziałam, cofnęłam się o krok i już miałam wsadzić ręce do kieszeni dzinsów, kiedy w porę przypomniałam sobie, że nie mam na sobie dzinsów.

– Słuchaj, my chyba się nie znamy – stwierdził tamten. – Na pewno bym cię zapamiętał, gdybym cię kiedyś wcześniej spotkał – obdarzył mnie promiennym uśmiechem. – Jestem Bradley. A jak ty się nazywasz, ślicznotko?

Zamrugałam oczami, poczułam, że serce bije mi trochę szybciej, bo nagle dopadło mnie wspomnienie, dopadło z taką mocą, że musiałam zamknąć oczy.

– Ślicznotko? – odezwał się znowu, uśmiechnął się jeszcze szerzej i zbliżył się jeszcze bardziej. – Masz jakoś na imię?

– Hillary Udell – wyjąkałam. – Muszę już iść.

Zeszłam z ostatniego schodka, ciut niepewnie. Przeszłam przez sztuczną plażę. Zauważyłam, że na ganek wyszedł Roger, rozglądał się – może za mną? Zauważył mnie, więc pokazałam ręką w kierunku Domu Międzynarodowego, zmuszając się do uśmiechu, żeby myślał, że wszystko jest w porządku – a potem odwróciłam się i poszłam.

– Hej! – usłyszałam za sobą okrzyk Bradleya. – Dokąd idziesz?

Nie odwróciłam się, żeby na niego popatrzeć, a on szczęśliwie nie polazł za mną. Udało mi się dotrzeć do chodnika,

gdzie zdjęłam szpile Bronwyn. Zawiesiłam je sobie za ramię na nadgarstku. Nade mną świeciły piękne gwiazdy, niebo było niezwykle czyste i pachniało dymem z ogniska, ale ja na to wszystko prawie nie zwracałam uwagi.

Szłam ze spuszczoną głową, starając się z całych sił nie myśleć o niczym, tylko wypatrywać stłuczonego szkła na chodniku, bo wracałam do akademika boso.

*Mistakes become regrets.*

– *Carolina Liar*

### 11 MARCA – TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Stałam pod drzwiami Michaela, zastukałam. Obciągnęłam spódniczkę, poprawiłam fioletowy topik ze streczu – pożyczony od Julii jeszcze w listopadzie. Nie wiedziałam, co należy włożyć na taką okazję, ale uznałam, że im mniej, tym lepiej. Pozbyłam się już czarnej sukienki, którą miałam na sobie przez cały dzień, najpierw rano na pogrzebie, potem na stypie. Przez cały tydzień panował upał, wyjątkowy jak na tę porę roku, bo było prawie trzydzieści stopni, ale matka uparła się, że muszę koniecznie mieć na sobie czarne rajstopy. Przez całą mszę myślałam tylko o tym, jak swędzą mnie w nich nogi, jak mnie uciskają – żeby nie myśleć o niczym innym, nie słyszeć niczego, niczego nie widzieć.

Po mszy i pogrzebie wszyscy zeszli się do naszego domu, w salonie zrobiło się tłoczno od krewnych, przyjaciół, kolegów i dyplomantów mojego ojca, którzy wyraźnie bardzo nieswojo czuli się w krawatach oraz marynarkach. Ludzie od cateringu uwijali się dyskretnie, roznosząc tace z kanapkami, na które goście rzucali się, jak gdyby jedzenie pozostało jedyną rzeczą, którą można było jeszcze zrozumieć.

Goście, trochę kurczowo zbici w małe grupki. Matka dokonywała obchodu, żeby dopilnować, czy każdy ma coś do jedzenia i do picia, wydawała polecenia kelnerom, uzupełniała zapas serwetek i nie zatrzymywała się właściwie ani na chwilę, żeby z kimś porozmawiać. Zupełnie, jakby była po prostu organizatorką imprezy, która nie miała z nią samą nic wspólnego. Charlie zniknął i wrócił na stypę mniej więcej po godzinie, wzrok miał szklisty. Stałam w kuchni, trzymałam się na uboczu. Witałam skinieniem głowy krewnych i przyjaciół rodziny, wysłuchiwałam, jaka to okropna strata, i dziękowałam im, kiedy mówili, że jestem taka dzielna. Czekałam, aż wreszcie obudzę się z tego

surrealistycznego snu, w którym jakimś paskudnym zbiegiem okoliczności się znalazłam. Nic nie miało już sensu. Tak jakby w kuchni wybuchła wojna, a ludzie, zamiast sprzątać szczątki, chodzili sobie tam i z powrotem, zajadając się tartinkami.

No i w końcu wszyscy sobie poszli, ostatnie światła reflektorów błysnęły w naszym zaułku, matka zamknęła drzwi frontowe i zostaliśmy sami, we trójkę. Znajdowaliśmy się w salonie. Matka siedziała w swoim fotelu, ale nie wiedzieć czemu, tamtego wieczoru zdawała się w tym fotelu jakaś taka drobna, skurczona, jakby ten mebel zaraz miał ją połknąć. Charlie siedział pośrodku kanapy, oparty łokciami o kolana, wyskubywał nitki z mankietów marynarki. A ja stałam oparta o ścianę, plecami, patrzyłam na moje czarne buty na obcasach. Poprzednio miałam je na sobie, żeby tańczyć, na zimowym balu w styczniu.

– A więc – odezwała się matka, Charlie i ja odwróciliśmy się w jej stronę. Jeszcze o tym wszystkim nie rozmawialiśmy. Trzeba było zorganizować takie mnóstwo rzeczy – pogrzeb, przyjęcie, krewnych, catering. A teraz już nie trzeba było niczym się zajmować. Czekałam, że matka coś zrobi już od chwili, kiedy to się stało. Nie wiem właściwie, czego oczekiwałam – że porozmawia ze mną, że mnie przytuli, że popatrzy mi w oczy. Tak naprawdę chciałam, żeby zdjęła ze mnie ten ciężar, tak jak robiła to zawsze, i żeby jakimś cudem znów sprawiła, że wszystko będzie dobrze.

I że wskaże nam drogę, wyjaśni, jak mamy przez to przejść.

Popatrzyła na Charlie'ego, potem na mnie, potem zaś odwróciła się i wstała.

– Idę spać – oświadczyła, rozcierając kark. – Wam też to dobrze zrobi. Mamy za sobą długi dzień.

Wyszła z pokoju, nie patrząc już na żadne z nas. Słyszałam, jak wchodzi po schodach, dziwnie powoli.

Gapiałam się na drzwi, przez które wyszła, i w zasadzie czułam się, jakby ktoś dał mi w pysk. Tak bardzo czekałam, że ona jakoś to naprawi. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że może tego nie zrobić. I nie miałam już pojęcia, co robić dalej. Czy to dlatego,

że byłam winna? Czy to miała być kara dla mnie?

Poczułam, że ściska mnie w gardle, więc znowu popatrzyłam na podłogę. Widziałam ją niewyraźnie, jak przez mgłę, bo w oczach miałam pełno palących łez. Zmusiłam się, żeby je przełknąć. Mrugałam z całej siły. Dobrze wiedziałam: jeżeli zacznę płakać, może się zdarzyć, że już nigdy nie przestanę. A płakać chciało mi się tak strasznie, że aż się tego przestraszyłam.

Odepchnęłam płacz na bok, z całej siły. Popatrzyłam na mojego brata. Całe lata minęły od czasów, kiedy wiedzieliśmy o sobie wszystko, ale może udałoby nam się o tym porozmawiać, jakoś wspólnie stwierdzić, że stało się – to, co się stało.

– Jebać to – warknął Charlie, ściągnął marynarkę i cisnął ją wściekle na kanapę. Wstał, podszedł do drzwi, rozwiązywał po drodze krawat. – Idę stąd.

– Dokąd? – spytałam. Usłyszałam, jaki zduszony – i jaki spragniony – był mój głos.

– Idę stąd – powtórzył. – Nie wiem, kurwa, dokąd.

Zatrzasnął za sobą drzwi, a ja wzdrygnęłam się, chociaż się tego spodziewałam.

Nic innego nie przyszło mi do głowy, więc podeszłam do drzwi i zasunęłam zamek. Potem podniosłam marynarkę Charlie'ego, żeby ją gdzieś powiesić. Czułam, jak narasta we mnie panika. Takie samo zdenerwowanie, jakie przychodzi przed wyjściem na scenę, tylko o wiele gorsze, mocniejsze. Serce łomotało mi jak wściekle. Odłożyłam tę marynarkę, potem znów ją podniosłam i zaczęłam gnieść w dłoniach; przyszło mi do głowy, że gdybym miała dość siły, rozerwałabym ją na strzępy. Zdałam sobie sprawę z tego, co robię, więc rzuciłam marynarkę znów na kanapę.

Wiedziałam, że nie mogę tam zostać. Musiałam dokądś pójść, coś zrobić, jakoś odepchnąć od siebie to wszystko, przynajmniej na jakiś czas. Pobiegłam do swojego pokoju, żeby się przebrać, przeskakiwałam po kilka stopni naraz. Też zamierzałam stamtąd odejść. Tylko że ja dokładnie wiedziałam, dokąd pójdę.





– Cześć, ślicznotko – przywitał mnie Michael. Stał w drzwiach i uśmiechał się. Tak do mnie mówił, to znaczy tak zaczął do mnie mówić po tym, jak na dobre zaczęliśmy się spotykać – i dotykać. Ja zawsze po prostu mówiłam mu po imieniu. Pochodził z Oregonu, był o dwa czy trzy centymetry wyższy ode mnie i zawsze leciutko pachniał Irish Spring.

– Hej – powiedziałam i przywołałam uśmiech na twarz. – Mogę wejść?

– Jasne – odpowiedział, otworzył szeroko drzwi. Weszłam do pokoju, który dzielił z Hugo, niemieckim studentem na wymianie. Strona niemiecka pokoju zawsze utrzymana była w nieskazitelnym porządku i czystości. Strona Michaela wręcz przeciwnie: stosy ubrań i książek na łóżku. Ale to wszystko można było jednym ruchem zwalić na podłogę.

– Jest Hugo? – spytałam.

– Nie – odpowiedział Michael. Zamknął drzwi. – Ma jakieś zajęcia. – Wsunął dłonie do kieszeni. – Słuchaj, zupełnie nie wiem, co ci powiedzieć, Amy. Strasznie mi przykro.

Skinęłam głową, jak gdyby te słowa cokolwiek dla mnie znaczyły, jak gdyby nie spłynęły po mnie.

– Dzięki – powiedziałam, podeszłam do niego. – Dziękuję ci.

– Objęłam go za szyję i pocałowałam, najpierw delikatnie, potem mocniej. On też mnie całował, ale potem cofnął się.

– Hm – powiedział. – Jesteś pewna, że powinniśmy... To znaczy, nie wiem, nie chcesz porozmawiać albo coś?

– Nie – powiedziałam. Przyszłam do niego po to, żeby zapomnieć, że chcę rozmawiać, żeby przez chwilę, chociaż przez chwilę poczuć coś innego. – Tak jest dobrze. Uwierz mi.

Pocałowałam go znowu, po prostu dlatego, że chciałam myśleć o czymś innym. Albo nie myśleć o niczym. A to było idealne rozwiązanie. Zdjęłam z niego przez głowę T-shirt i

rzuciłam na łóżko Hugona. A potem, szybko, żeby nie zmienić zdania, zdjęłam swój top.

– Ha – powiedział Michael. Patrzył na mnie. – Hm. – Ja tymczasem zmagalam się z zamkiem błyskawicznym, trochę trzęsły mi się ręce. Uporałam się z nim, spódnica opadła na ziemię. – Poważnie? – spytał, jakby z niedowierzaniem.

– Jak najbardziej – odparłam, całkiem jakbym naprawdę była tego pewna. Aby tego dowieść, znów zaczęłam go całować. Przesuwaliśmy się, aż wylądowaliśmy na jego łóżku. Siadłam na krawędzi. Michael szybko zrobił miejsce, potem wyskoczył ze spodni, zdjął skarpety. – Zgasisz światło? – spytałam, starając się, żeby mój głos brzmiał równo i spokojnie.

– Jasne, oczywiście – powiedział. Podeszedł do drzwi, zamknął je na klucz, pstryknął przełącznikiem i oboje pogrążyliśmy się w ciemności.

*Have you ever been down to Colorado? I spend a lot of time there in my mind.*

*– Merle Haggard*

Do Domu Międzynarodowego weszłam frontowymi drzwiami. Chciałam iść prosto do pokoju Bronwyn, zrobić sobie trochę miejsca na podłodze i iść spać. Po prostu zamknąć oczy i niech to wszystko zniknie na jakiś czas.

– Sullivan? – rozległ się głos z pokoju telewizyjnego. Zatrzymałam się o krok od schodów, które wiodły do ciszy i spokoju. – To ty? – spytał ten sam głos, trochę natarczywiej. Westchnęłam, odwróciłam się i poszłam w tamtą stronę.

Leonard nadal siedział na kanapie i sprawiał wrażenie, jakby przez ostatnich kilka godzin stamtąd się nie ruszał – wrażenie mylne, bo teraz miał na sobie spłowiałą koszulkę z napisem MÓW MI KEVIN, więc musiał wstać, przedtem jej tam nie było.

– Hej – odezwałam się.

Nadal grał w tę samą grę, tylko trochę zmieniła się jej sceneria. Stała się mniej leśna a bardziej skalista.

Odwrócił się i popatrzył na mnie.

– O – powiedział. – Myślałem, że to Roger.

– Chyba jeszcze jest na imprezie – wyjaśniłam. – Wyszłam wcześniej – dodałam. Ot tak, żeby coś powiedzieć. – Byłam zmęczona.

Dalej na mnie patrzył, tymczasem gra za jego plecami toczyła się sama.

– Wyglądasz jakoś inaczej – stwierdził wreszcie.

– Aha – odpowiedziałam. Obciągnęłam spódniczkę Bronwyn.

– No, może.

– Fajnie – skonkludował i dalej mi się przyglądał. – Nieźle.

Skinął głową raz jeszcze, potem odwrócił się do swojej gry, akurat w samą porę, żeby uskoczyć z drogi jakiegoś stwora

przypominającego wilka i uniknąć pewnej śmierci. Na ekranie pojawił się napis: **Szybko! Musisz uratować księżniczkę Jennę!**

– Księżniczka Jenna? – spytałam. Zauważyłam, że czubki uszu Leonarda zaczerwieniły się gwałtownie.

– Tak – odpowiedział i zaśmiał się zawstydzony. – Tak naprawdę księżniczka nazywa się Arundel, ale zhakowałem grę i zmieniłem imię.

– A kim jest Jenna? – zapytałam. Zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– Nikim – odparł i wzruszył ramionami. – Taka laska z mojej grupy na chemii. Nieważne.

– Okej – odpowiedziałam, ale zauważyłam jednocześnie, że jakoś gorzej sobie radzi w grze, bo pojawiły się trzy gnomy i zaczęły kopać go po kostkach. Przyglądałam się, jak wirtualny napakowany Leonard pozbywa się ich kopniakiem i dalej rusza przez skały. – O co chodzi w tej grze? – zainteresowałam się.

– W Honour Quest? – upewnił się, teraz już nie odwracał się od ekranu, jego palce śmigały po kontrolerze, naciskając kolejne guziki.

– Tak się nazywa? Po prostu biegasz sobie i starasz się, żeby cię wilki nie dopadły?

– Wilcze demonolaki – poprawił mnie. – Nie, nie chodzi tylko o to, żeby sobie biegać. To jest misja.

– A jaki jest cel tej misji?

– Wydaje nam się, że chodzi o uratowanie Arundel. Czy też, wiesz, Jenny.

– Wydaje wam się? – powtórzyłam. Przysiadłam na oparciu kanapy.

– Końcówka Honour Quest to pilnie strzeżony sekret. Nie znam nikogo, kto doszedłby do końca gry. Zresztą nie chodzi o to, żeby gdzieś dojść, najfajniejsza jest sama gra. W każdym razie chodzą plotki, że księżniczka to jeszcze nie koniec. Jak już ją się uratuje, gra się restartuje i masz nową misję. Ta pierwsza była tylko po to, żeby zdobyć wiedzę, siłę i czarodziejskie żołędzie. Przygotowanie do tej drugiej, właściwej. Super by było!

– Kumam – stwierdziłam. Przyglądałam się jego ekranowemu wcieleniu jeszcze przez chwilę. Pędził na łeb, na szyję ku zakończeniu, chociaż nie wiedział, jakie będzie. Pokręciłam głową.

– Dobranoc – powiedziałam i skierowałam się w stronę schodów.

– Śpij dobrze – odpowiedział. – Cholerne orki! – mruknął i zabrał się do rzezi.

Wspięłam się po schodach do pokoju Bronwyn, otworzyłam drzwi. Wewnątrz było ciemno; już miałam nacisnąć przełącznik, kiedy zorientowałam się, że Bronwyn leży na łóżku i śpi. Oddychała powoli, rytmicznie. Nawet nie zdawałam sobie sprawy, że wyszła z imprezy. W świetle wpadającym przez drzwi rozejrzałam się po pokoju; zobaczyłam, że wzdłuż jej łóżka leży przygotowany dla mnie śpiwór, a na nim schludnie poskładany T-shirt i bawełniane spodnie od dresu.

Fajnie, bo prościej było się w nie przebrać niż grzebać po ciemku w mojej walizce. A więc zamknęłam drzwi i przebrałam się, starając się robić jak najmniej hałasu. W każdym razie Bronwyn najwyraźniej spała mocno – i bardzo dobrze. Dobrze, bo ja też chciałam od razu iść spać. Pewnie gdyby była jeszcze na chodzie, musiałybyśmy obgadać imprezę i kto wie, może opowiedziałabym jej o Bradleyu. Na szczęście obeszło się bez tego.

Naciągnęłam śpiwór na ramiona w nadziei, że te same czary, które uspiły mnie poprzednich dwóch nocy, zadziałają raz jeszcze, czyli że szybko usnę. Chciałam powstrzymać wspomnienie Michaela i nie przypominać już sobie tamtej nocy. Jednak gdy tylko zamknęłam oczy, ujrzałam jego twarz i wiedziałam, że tak łatwo to nie pójdzie.

*Those memories so steeped in yesterday. Those memories you  
couldnt run away.*

– *Ember FX*

11 MARCA – TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Siedziałam na brzegu łóżka Michaela i wkładałam stanik, z haftkami coś było nie tak, ale mało mnie to obchodziło. Michael głaskał mnie po plecach. Odsunęłam się, niby to żeby sięgnąć po bluzkę, ale głównie chodziło o to, żeby już mnie nie dotykał. Nieco drżącymi rękami włożyłam bluzkę.

– Jak tam? – spytał z łóżka. Usiadł, nadal był okryty kocem. Ja tymczasem nagle sobie uświadomiłam, że w pokoju czuć intensywny zapach pizzy.

– W porządku – odpowiedziałam beztrąsko, lecz słyszałam w moim własnym głosie echo hysterii. Znalazłam pod łóżkiem zwiniętą w kłęb spódnice. Wygładziłam ją, włożyłam i wstałam, żeby zapiąć suwak.

– Hej – odezwał się Michael, chyba coś go zaniepokoiło. Wyciągnął do mnie rękę. – Chodź do mnie.

Nie miałam ochoty iść do niego. Marzyłam tylko o jednym, żeby jak najszybciej wyjść z jego pokoju, a gdyby to było możliwe, cofnąć się w czasie i wykasować ostatnie dwadzieścia minut.

– Muszę już lecieć – powiedziałam, dokładając starań, żeby trzymać na wodzy to coś, co było we mnie i usiłowało urwać się ze smyczy. Szukałam moich czarnych butów na obcasach, ale gdzieś się zapodziały.

Michael wciągnął szorty khaki, stanął przede mną.

– Amy – powiedział. Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać mnie po włosach.

– Nie widziałeś moich butów? – spytałam, próbując go obejść.

– Co się stało? – zapytał, wziął mnie za rękę. – Słuchaj,

wyluzuj. Następnym razem będzie lepiej.

Zabrałam ręce. Przyszło mi do głowy, że przecież tak naprawdę nie muszę mieć tych butów. Mogę sobie wrócić do domu boso. Nic mi nie będzie.

Michael objął mnie, głaskał jednocześnie po głowie. Zesztywniałam. Za dużo było tego wszystkiego. Wszystkiego. Za dużo. To, co właśnie zrobiliśmy, i to, że nie miałam pojęcia, że tak właśnie to będę odczuwać... Że będę odczuwać właśnie to, czego najbardziej nie chciałam, że poczuję się taka słaba i bezbronna. I że kiedy już było po wszystkim, zdałam sobie sprawę, jaki błąd popełniłam. Błąd, którego cofnąć już się nie da. Nagle poczułam, że przez obejmujące mnie ramiona Michaela nie mogę oddychać. Odepchnęłam go, cofnęłam się. Zobaczyłam jego twarz i zrozumiałam, że jest mu przykro, że nie rozumie, ale gównu mnie to obchodziło. Interesowało mnie tylko to, żeby jak najszybciej stamtąd wyjść.

– Muszę już iść – powiedziałam, chyba nieco drżącym głosem, bo czułam, jak coś wewnątrz mnie rozsypuje się w gruzy. Nie do wiary, że chociaż przez chwilę mogłam uważać to za dobry pomysł. Teraz musiałam znaleźć się gdzieś sama ze sobą, zмагаć się z faktem, iż wszystko na całym świecie rozsypało się w pył.

– Porozmawiajmy o tym – zaproponował. Usiadł i klepnął łóżko obok siebie.

– Nie chcę rozmawiać! – Nagle okazało się, że wyrzeszczałam te słowa, pod sam koniec głos mi się załamał.

– Dobra, dobra – odrzekł Michael, widać było, że się przestraszył. – Hm. Dobra, w porządku. Nie musisz nic mówić.

Odwróciłam się i zmusiłam się, żeby wziąć głęboki wdech, chociaż przyszło mi to z trudem.

– Ja tylko... Po prostu chcę być sama, rozumiesz? Przepraszam. Niepotrzebnie przyszedłam.

Ruszyłam do drzwi, pozostawiając w tym zabałaganionym pokoju moje buty, dziewictwo i ostatnie pozory bycia tą dziewczyną, którą kiedyś byłam.

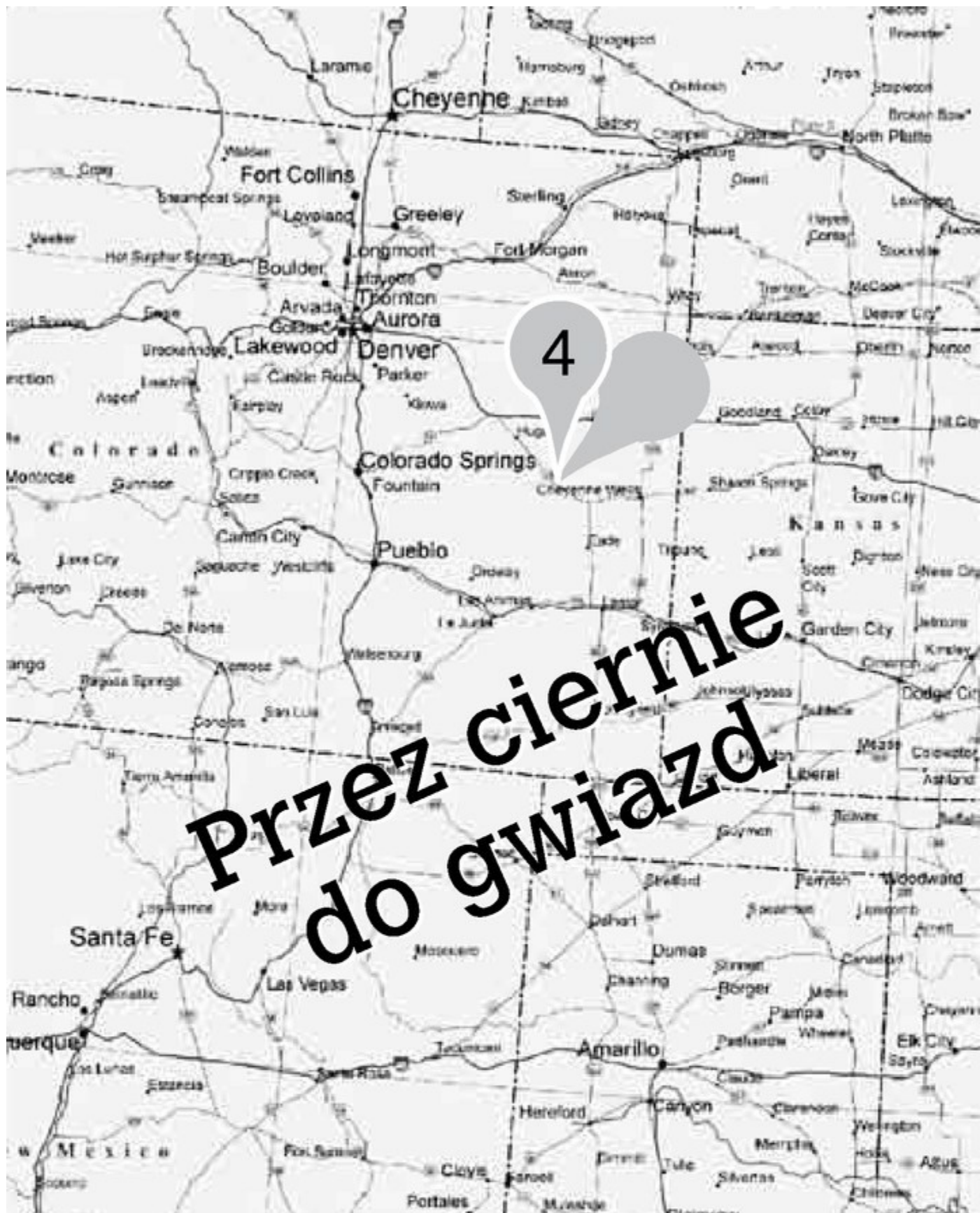
– Amy – Michael spróbował jeszcze raz. – Nie...

Nigdy już się nie dowiedziałam, co miał mi powiedzieć, bo zatrzasnęłam za sobą drzwi. Zeszłam na dół, do hallu jego akademika, ze wzrokiem wbitym w brązową wykładzinę. Nie oglądałam się za siebie, nie obchodziło mnie, czy idzie za mną, czy nie. Czułam łzy piekące mnie pod powiekami. Piekły coraz bardziej, aż wreszcie dwie krople wypłynęły i ściekły po moim prawym policzku. Czułam, ile tego jest – tego wszystkiego, co się zdarzyło, jaka to potworność. Nie miałam na to dość łez. Zabrakło mi głosu, żeby wrzeszczeć. I nic nie wskazywało, że to kiedykolwiek się zmieni. Jakbym nie próbowała, nawet gdybym pozwoliła sobie na krzyk, niczego to nie zmieni, niczego nie poprawi. Udeptałam więc w sobie z całej siły te wszystkie uczucia, które wyły, aby je uwolnić. Skupiłam się na oddechu. Jeden krok, potem drugi, potem trzeci. Nie myśleć o tym, co się zdarzyło, ani o domu, do którego muszę wrócić, ani jak to jest, kiedy serce jest gorzej niż złamane – kiedy jest roztrzaskane, starte na proch. Odepchnęłam te uczucia z całą siłą, jaka mi pozostała.

I kiedy znalazłam się na zewnątrz, kiedy poczułam na twarzy ciepły wieczorny powiew, już nie płakałam.







**Przez ciernie  
do gwiazd**

4



*I've reached the point of know return.*

*– Kansas*

Wyruszyliśmy do Kentucky.

W zasadzie, najpierw należało przejechać przez Kansas i Missouri, ale już potem czekał na nas stan Kentucky.

Kiedy o dziesiątej rano obudziłam się – w końcu gdzieś koło czwartej udało mi się usnąć – Bronwyn już nie było. Znikła razem z moją walizką. Moje dzinsy leżały poskładane na jej łóżku, obok nich biały T-shirt, bardzo podobny do tego, jaki miała na sobie poprzedniego dnia. Na ubraniu leżała żółta karteczka post-it z napisem: Dla Amy, a obok niego przyklejony był różowy post-it z napisem: Włóż mnie. Byłam zdezorientowana, ale co innego miałam zrobić? Przebrałam się w te ciuchy, czując przy tym, jak delikatna jest tkanina. To nie była zwykła koszulka. I była biała – postanowiłam sobie, że będę trzymać się z daleka od dżemu.

Zrolowałam śpiwór, podreptałam na dół. Leonard spał na kanapie, pochrapywał cicho, kontroler leżał na jego piersi. Poszłam do kuchni, Roger właśnie stamtąd wychodził. Miał na sobie T-shirt z napisem: „widzi misie”, który kupił w sklepie z pamiątkami w Yosemite. Dopiero co wziął prysznic, bo miał mokre włosy i widać było jeszcze na nich ślady grzebienia. Jeden z niesfornych kosmyków już usiłował stanąć dęba.

– Hej – przywitał mnie Roger. – Dzień dobry.

– Cześć – powiedziałam półgłosem, chyba niepotrzebnie, bo gra emitowała coś w rodzaju muzyki na fletni Pana, co najwyraźniej wcale Leonardowi nie przeszkadzało.

– Dobrze się wczoraj bawiłaś? – spytał Roger.

– Nieźle – odpowiedziałam, zaskakując tym samą siebie. Ale fakt, było fajnie – tylko końcówka była nefajna.

– Cieszę się – powiedział, uśmiechając się do mnie. – Nie byłem pewien, bo wcześniej wyszłaś...

– Ach, to nic – powiedziałam, patrząc na podłogę. – Po

prostu byłam zmęczona.

– Tak – przyznał, przeciągając się jednocześnie. – Mamy za sobą kilka mocno wyczerpujących dni.

– No, właśnie – zgodziłam się z nim, chociaż w tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że to zaledwie trzy dni. I że moja egzystencja sprzed rozpoczęcia tej podróży zaczyna się ode mnie coraz bardziej oddalać.

– Gotowa, by ruszyć w dalszą drogę?

– Spoko – odpowiedziałam i dopiero poniewczasie zdałam sobie sprawę, że znowu mówię jak dresiarza. Ale cóż, raz wypowiedzianego słowa nie da się cofnąć, a poza tym byliśmy w Colorado, więc Dziki Zachód i kowboje... Czemu choć trochę nie wyluzować?

Przypomniałam sobie o czymś:

– Tylko najpierw muszę znaleźć moją walizkę. Znikła z pokoju Bronwyn.

– Nie musisz – sprostował Roger, chwycił swój worek stojący przy drzwiach i dźwignął go. – Bron zniosła ją na dół dzisiaj rano.

– Poważnie? To strasznie miłe z jej strony.

– No – mruknął, tak jakby bez przekonania.

Podszedł do Leonarda i zrobił z nim żółwika – to znaczy z jego dłonią zwisającą bezwładnie z sofy.

– Nara, koleś – powiedział, po czym wyszedł.

– Dokładnie – odpowiedział mu przez sen Leonard.

Zerknęłam jeszcze na ekran i ujrzałam na nim błyskające litery: Pośpiesz się! Musisz uratować księżniczkę Amy!

Słowa znikły, poczułam, że się uśmiecham.

– Cześć, Leonardzie – powiedziałam cicho. – Powodzenia w twojej misji.

Wyszłam na zewnątrz i zamknęłam za sobą drzwi Domu Międzynarodowego. Poszłam za Rogerem do samochodu.

– Rozmawiałem z Bron wcześniej rano – powiedział. Rzucił swój worek na tylne siedzenie, ale wyraźnie unikał mojego spojrzenia. Podszedł do drzwi od strony kierowcy, a ja wsiałam

na swoje miejsce i zapięłam pas. – Kazała cię pozdrowić.

– Aha – powiedziałam. Trochę byłam zaskoczona i trochę nawet jakby zawiedziona.

– Rzecz jasna, nie chciałem się zgodzić – mówił dalej Roger i rzucił mi krótkie spojrzenie, z uśmiechem. Odpalił silnik, włączył kierunkowskaz. Wyjechaliśmy na ulicę. – Prosiła jednak, żebym ci to przekazał – podał mi kopertę z grubego, kremowego papieru. Widniał na nim napis AMY, skreślony tą samą ręką, co napisy na post-itach. – Ale kazała mi to zrobić dopiero, kiedy ruszymy.

– Dziwne – stwierdziłam, bo to naprawdę było dosyć dziwne. Otworzyłam kopertę, zajrzałam do środka.

⇒ Z korespondencji ⇐  
BRONWYN E. TAYLOR

Cześć, Amy!

Wybacz, że nie mogłam się z Tobą pożegnać osobiście. Muszę iść na spotkanie, chodzi o dwoje lokatorów, którzy się pokłócili, a jedno i drugie jest strasznie uparte. Bez sensu. Zresztą - nieważne. Koniecznie musisz znowu do nas przyjechać! Mam nadzieję, że Tobie i Rogerowi miło upłynie reszta podróży. Jeżeli będziecie jechać przez Teksas, pozdrówcie ode mnie moją ojczyznę :)

Uściskaj ode mnie R.S. Koniecznie bądźmy w kontakcie! Wszystkie zamiary z drugiej strony kartki.

xoxo, Bron

PS: Nie wściekaj się za bardzo z powodu walizki! Zrobiłam to, co musiałam zrobić. Taylorowie nie skrywają pod kocem tego, czym powinni się chlubić. Ty także tego nie rób! Założę się, że któregoś dnia mi podziękujesz!

Gapiłam się na ten list i niczego nie mogłam zrozumieć. Był przesłodka, jeżeli nie liczyć postscriptum – które brzmiało dość niepokojąco.

– Roger – odezwałam się i spojrzałam odruchowo do tyłu, w stronę bagażnika. – Czy coś jest nie tak z moją walizką?

– Słucham? – spytał. Tak jakby trochę się zaczerwienił. Sięgnął do iPoda. – O, zobacz. Wjeżdżamy na międzystanową.

– Roger!

– Nic nie wiem – oświadczył. – Przysięgam. Ja jestem tylko pionkiem w tej grze. Dziś rano zniosła na dół twoją walizkę i powiedziała, że w żadnym razie nie wolno mi jej otworzyć i mam nie pozwolić, żebyś ty ją otworzyła – zanim nie wyruszymy w drogę.

– A ty się zgodziłeś, tak po prostu? – zdumiałam się. Teraz odwróciłam się w fotelu i popatrzyłam w tył, tam gdzie znajdowała się moja walizka.

– Zagroziła, że jeżeli się nie zgodzę, poszczuje mnie królikiem.

Nie chciałam, ale po prostu musiałam się roześmiać. Roger też się roześmiał, wyraźnie z ulgą.

– Słuchaj, zaraz dojedziemy do Fran. Jeżeli okaże się, że to jakiś poważny problem, jesteśmy jeszcze na tyle blisko, że możemy zawrócić i załatwić sprawę.

Chwilę potem Roger zjechał z międzystanowej, a później na parking, na którym stało mnóstwo zwykłych samochodów, ale też drugie tyle ciężarówek.

– O rany – wyrwało mi się. Zaparkowaliśmy bowiem w cieniu ogromnego TIR-a.

– No – stwierdził. – To ulubione miejsce studentów i kierowców ciężarówek. W sumie ciekawy miks, jeżeli chodzi o klientelę. Witaj w Naleśnikarni u Fran.

Wysiadłam z samochodu, pospiesznym krokiem podeszłam do tylnych drzwi. Otworzyłam je, po czym natychmiast zajrzałam do walizki. Wszystkie moje ubrania znikły!



No, może niezupełnie. Kiedy trochę pogrzebałam, zorientowałam się, że Bronwyn łaskawie zostawiła mi moją bieliznę – chociaż dodała do niej także zielone stringi i stanik z poprzedniego wieczoru. Zostawiła mi też T-shirt z napisem „Gwizdać każdy może”. Jednak wszystkie inne ciuchy znikły, za to pojawiło się mnóstwo jej ciuchów – mój strój z imprezy, bluzki, sukienki. Przejrzałam to wszystko pośpiesznie, a potem ręce mi opadły. Nie wiedziałam, co mam powiedzieć.

– O co chodzi? – spytał Roger, który stał tuż za mną. – Bardzo źle?

– Nie – odpowiedziałam. – Po prostu dokonała radykalnej wymiany mojej garderoby. Wszystko mam nowe. Tylko tyle i aż tyle.

– O kurczę – podszedł krok bliżej, widocznie uznał, że nic mu nie grozi z mojej strony, czyli że go nie walnę łokciem w oko. – Czyli fajnie, nie?

Popatrzyłam raz jeszcze na te fantastyczne ciuchy, które nagle i niespodziewanie stały się moją własnością, i zrozumiałam coś jeszcze. Bronwyn wcale nie podarowała mi tych ubrań – Bronwyn pozbawiła mnie kamuflażu. Za jej sprawą już nie mogłam się więcej ukrywać. Nie, nie byłam tym zachwycona ani nie zachwycał mnie fakt, że zagospodarowała moją walizkę bez pytania. Tylko że te ciuchy były naprawdę cudowne. Poprzedniego wieczoru czułam się ładniejsza niż kiedykolwiek w ciągu bardzo, bardzo długiego czasu. Jednak było to sporo do ogarnięcia przed śniadaniem.

– Tak, okej – powiedziałam. Zasupełam zamek walizki, zatrzasnęłam klapę wozu. – Chyba tak. Zjedzmy coś. Zdycham z głodu.

Kiedy poszliśmy do restauracji, Roger rozplęwał się na temat zalet tamtejszych naleśników, ale słuchałam go tylko jednym uchem. W lśniącej chromem powierzchni baku ciężarówki dostrzegłam swoje odbicie. Miałam na sobie bluzkę Bronwyn – teraz już moją bluzkę – i po prostu nie mogłam nie zauważyć, że trzymam się jakby bardziej prosto.



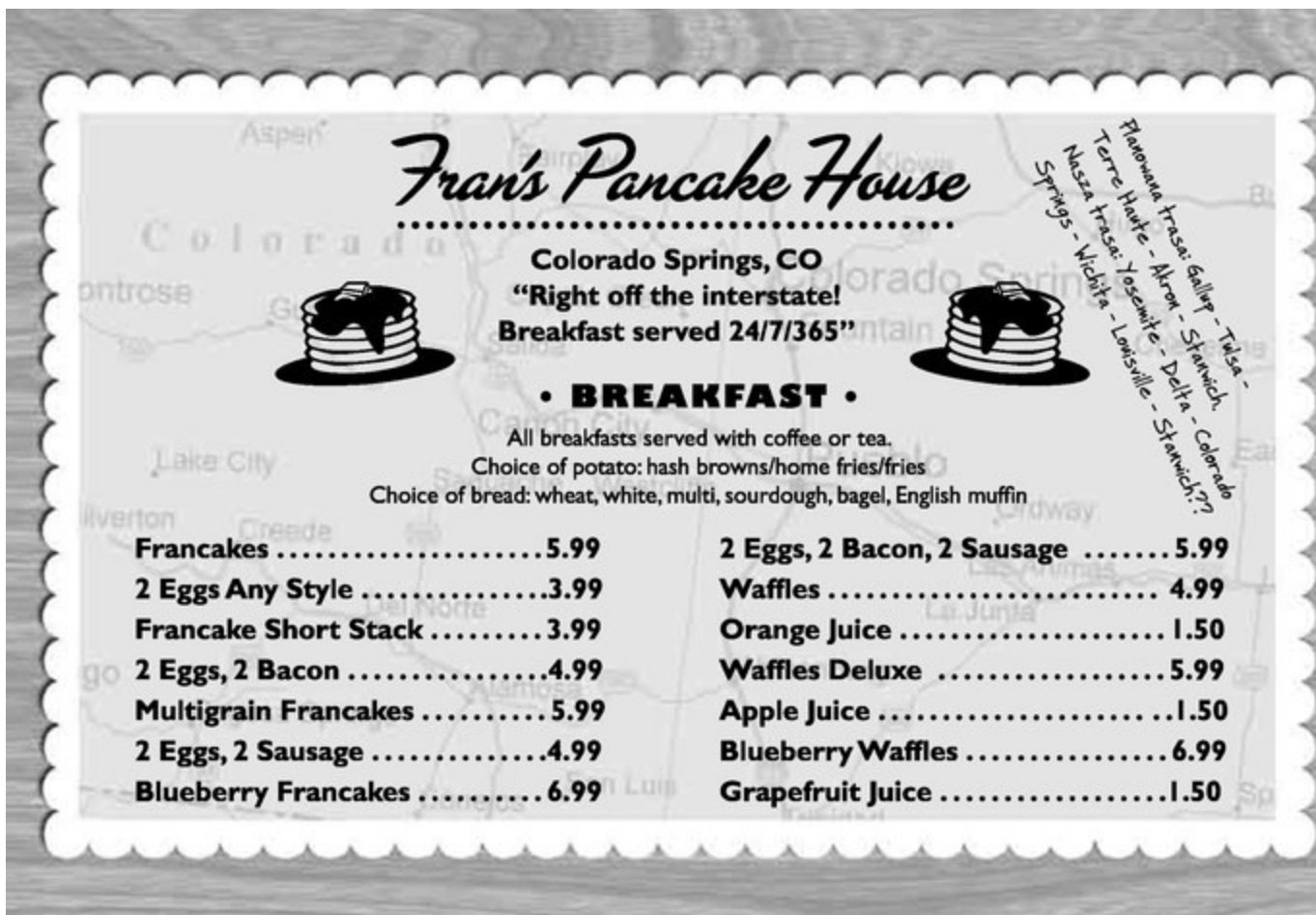
Odsunęłam od siebie pusty talerz po naleśnikach, popatrzyłam na Rogera siedzącego naprzeciwko mnie. Między nami leżał atlas otwarty na mapie kraju. Mieliśmy jeszcze daleko do Wschodniego Wybrzeża, ale z drugiej strony byłam pod wrażeniem – przebyliśmy już naprawdę spory kawał drogi. Co prawda, od Ohio, dokąd właśnie powinniśmy zmierzać, byliśmy jeszcze dość daleko. Biorąc pod uwagę, gdzie powinniśmy już być i to, gdzie się znajdowaliśmy, uświadomiłam sobie, że będę musiała zadzwonić do matki – pewnie wieczorem – i wyjaśnić jej, że jednak nie dotarliśmy do Akron. Myśl o tej rozmowie troszeczkę mnie niepokoiła, ale nie aż tak strasznie jak jeszcze dwa dni wcześniej. Roger nakreślił palcem drogę przez stany dzielące Colorado od Connecticut. Przejechał nim przez Kansas, Missouri, dotarł do Kentucky i tam się zatrzymał.

– Chcesz jechać do Kentucky – stwierdziłam.

Roger popatrzył na mnie, zaskoczony, potem na swój palec i miejsce, w którym zatrzymał go na mapie.

– O rany – powiedział. Westchnął, stuknął palcem w mapę. – Nie wiem. Ale myślałem o tym dzisiaj rano.

Przesunął dłońmi przez włosy; ów niesforny kosmyk jakby tylko na to czekał, natychmiast podniósł się dziarsko.



– Chodzi o Hadley? – domyśliłam się. Dziwnie było tak wypowiadać na głos jej imię, zwłaszcza po tym, jak widziałam jej zdjęcie i słyszałam, co Bronwyn o niej mówiła.

– Oczywiście, nie? – odpowiedział. – Po prostu spodziewałem się, że będzie w Colorado Springs i uda mi się z nią porozmawiać. Byłem na to przygotowany. A tu okazuje się, że jej nie ma... – Wyjrzał przez okno, patrzył na samochody pędzące międzystanową. – Przysięgam, nie jestem jakimś stalkerem – dodał. – Po prostu muszę wiedzieć, co się stało. A ona nie odpowiada na telefony...

– Cóż – powiedziałam, patrząc na mapę – nigdy nie byłam w Kentucky.

Roger odpowiedział uśmiechem, ale potem zaprotestował:

– Nie mamy czasu – stwierdził. – Powinniśmy już być w...

– Akron – podpowiedziałam.

– W Akron – powtórzył. – A potem, jutro, w Connecticut. Do Kentucky nie damy rady.

Przyglądałam się mapie. Nie czułam się jeszcze gotowa, żeby znaleźć się w Connecticut. Jakoś nie spieszyło mi się do spotkania z matką. Jeżeli spóźnimy się o dzień – czy dwa – to co zrobi? Tymczasem Roger jakby odbywał swoistą misję, całkiem jak wirtualny Leonard. Kimże jestem, by uniemożliwić mu te poszukiwania – pomyślałam.

– Uważam, że powinniśmy tam pojechać – oznajmiłam.

– Poważnie?

– Poważnie – potwierdziłam. – Tylko trochę nadłożymy drogi, no nie?

– Całkiem sporo – powiedział. – Twoja mama...

...Będzie musiała się z tym pogodzić. Powiem jej... że był straszny ruch, korki i tak dalej.

Trudno mi było uwierzyć, że mówię takie rzeczy. Wiedziałam, że matka mnie zabije. Tego ranka znowu mi się nagrała, a ja nawet nie odsłuchałam wiadomości – i tym bardziej nie odpowiedziałam. Starłam się odsunąć tę myśl od siebie, ale wiedziałam, że pewnie się niepokoi. A raczej się wścieka. Poczucie winy skręcało mnie w żołądku i nie pozwalało mi w pełni rozkoszować się pysznymi naleśnikami Fran. Nieważne, Roger potrzebował mojego wsparcia, więc co będzie potem, to będzie. A zresztą, to przecież ona olała mnie na cały miesiąc, więc chyba mogę potrzymać ją w niepewności przez cztery dni?

– Zróbmy to – powiedziałam tak stanowczym głosem, na jaki było mnie stać, chociaż serce mi waliło. – Jedziemy do Kentucky.

Roger patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową i podał mi swój ołówek.

– Wyznaczysz trasę, Chekov? – spytał. Przyjrzał się mapie. – Myślę, że to nam nie zajmie bardzo dużo czasu. A jeżeli pojedziemy przez Kansas, możemy spotkać się z moim kumplem. Nazywa się Drew...

– Chyba powinniśmy pojechać przez Kansas – stwierdziłam. Przeglądając atlas i patrząc na drogi międzystanowe, którymi

będziemy musieli pojechać, nagle pomyślałam coś sobie i zrobiło mi się od tego trochę nieprzyjemnie. – Roger – odezwałam się; tak naprawdę nie chciałam usłyszeć odpowiedzi, ale mimo wszystko zmusiłam się, żeby zadać to pytanie – czy ta historia z Hadley... No, czy to z jej powodu zgodziłeś się na tę wycieczkę?

Popatrzył mi w oczy, a ja dostrzegłam w nich cień poczucia winy i już wiedziałam, że odpowiedź brzmi „tak”. Nie powinno mi to przeszkadzać i nie miałam prawa czuć się rozczarowana, a jednak trochę tak się czułam.

– Nie ma sprawy – powiedziałam prędko. – Rozumiem...

– Owszem, tak – przerwał mi Roger. – To znaczy tak było z początku. Matka mnie poprosiła, ale ja nie musiałem się zgadzać. Ojciec zapłaciłby za mój bilet. Ale pomyślałem sobie, że to fajny pomysł, bo przy okazji zwiedzę kawałek kraju, no a przy okazji po drodze może uda mi się spotkać z Hadley i porozmawiać z nią...

Skinęłam głową. W myśli powiedziałam sobie, że nie wolno mi się tym przejmować. Pewnie, że nie kręciła go wyprawa w towarzystwie licealistki, której w dodatku właściwie nie znał. Ja przecież z początku wcale nie miałam ochoty na tę jazdę, dlaczego nagle zaczęło mi przeszkadzać, że on też nie?

– Ale serio – powiedział, tonem na tyle poważnym, że aż na niego popatrzyłam – to wcale nie tak. Nie jest tak, jak myślałem, że będzie. Naprawdę mi się podoba. Przynajmniej jakaś przygoda, no nie?

– Pewnie – popatrzyłam za okno. – Przygoda. – A ponieważ wyłożył wszystkie karty na stół, uznałam, że zasługuje na szczerłość także z mojej strony. – Ja też wcale tego nie chciałam. To znaczy, z początku nie chciałam. A teraz... No, wiesz, podoba mi się. Fajna wycieczka.

– Też jestem zadowolony – przyznał i uśmiechnął się do mnie. Tymczasem pojawił się kelner, który sprzątnął nasze talerze. Westchnął przy tym głęboko, co uznałam za dyskretną sugestię, że już czas, żebyśmy się wynieśli. Opuściliśmy więc naleśnikarnię (dzwoneczek nad drzwiami zadzwonił, raz przy otwieraniu i drugi raz przy zamykaniu). Zeszliśmy z drogi dwóm kierowcom

ciężarówkę spoglądającym na nas przekrwionymi oczami.

– Chciałam cię o coś zapytać – wyznałam, kiedy otworzył samochód pilotem. – Wczoraj wieczorem na imprezie – mówiłam dalej, gdy obchodziliśmy samochód, każde po swojej stronie i widzieliśmy się nad maską – o co chodziło temu koleśowi? Wiesz, temu, co powiedział, że „ale ogień”? Co to znaczy? – Ta kwestia nie dawała mi spokoju.

– Ach, to – mruknął Roger. Zauważyłam, że już na mnie nie patrzy. – Takie tam teksty między facetami. Głupota.

Popatrzył na breloczek i potrząsnął nim.

– Chodzi o kolor moich włosów? – spytałam, bo byłam pewna, że właśnie o tym mówił, a w każdym razie, tego się obawiałam.

– Co takiego? – spytał. Spojrzał na mnie ze zdziwieniem. – Nie, skąd. Masz bardzo ładne włosy. Nie, on chciał przez to powiedzieć, że jesteś fajna. Myślał... No, że jesteś moją dziewczyną.

– Aha... – teraz dopiero mnie oświeciło. Zrozumiałam, dlaczego Roger tak się zachowywał. I poczułam, że się czerwienię.

– No. – Zaśmiał się. Otworzył drzwi i wsiadł do samochodu. Stałam obok wozu jeszcze przez krótką chwilę, mając nadzieję, że ów nieproszony rumieniec zniknie – a jednocześnie poczułam, że na mojej twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Bo przecież, o ile mnie pamięć nie myliła, Roger nie wyjaśnił koleśowi, że jest w błędzie. Nie powinnam się z tego cieszyć, ale jednak było mi miło.



Gdy tylko Roger skierował nasz pojazd w stronę Kansas, krajobraz coraz bardziej zaczął przypominać ten stan, chociaż jeszcze ciągle byliśmy w Colorado. Góry wkrótce znikły, zamiast nich pojawiły się równiny, zrobiło się płasko, sucho, pustynnie, w piaskowym kolorze. Nad nami znów rozciągało się bezkresne niebo. Jednak mimo monotonii był to zadziwiająco piękny widok,

wcale nie gorszy niż góry. Też na swój sposób majestatyczny, a przy tym kojący – na tyle, że po prostu oparłam się o zagłówek i podziwiałam widoki.

Kiedy przekroczyliśmy granicę stanu Kansas, pojawiły się też na poboczu nowe znaki – tablice ze światłami i napisem PULSUJĄCY SYGNAŁ ŚWIETLNY OZNACZA ZAGROŻENIE, KIEDY GO ZOBACZYSZ, PRZEŁĄCZ SIĘ NA KANAŁ METEO. Z początku niespecjalnie zwracałam na nie uwagę, bo po Colorado mało co mogło mnie zaskoczyć, jeżeli chodzi o znaki – dopiero po jakimś czasie zdałam sobie sprawę, że zjawisko meteorologiczne, którego dotyczą te znaki, nazywa się tornado. Nagle bezkresne niebo przestało mi się wydawać kojące, natomiast nadal było bezchmurne, co stanowiło pewną pociechę.



- Czy to osoba? – spytał Roger.
- Tak – odpowiedziałam. – Dziewiętnaście.
- Czy to mężczyzna?
- Nie. Osiemnaście.
- Czy ona żyje?
- Nie. Siedemnaście.
- Czy jest sławna?
- Bardzo sławna. Szesnaście.



Kiedy weszliśmy do Sunflower Mart, Roger, nie pytając, zgarnął waniliową colę dla mnie i wziął dla siebie piwo korzenne, po czym ruszył prosto do maleńkiego działu z konfekcją.

– Amy! – zawołał na cały głos, chociaż sklepik był maleńki i nie było w nim nikogo oprócz nas.

– Co? – spytałam, dużo ciszej. Podeszłam do niego.

Miejsca i miejscowości...

**stan #4:** COLORADO – Stan Stulecia

**dewiza:** Nil Sine Numine (Nic bez woli bożej)

**wielkość:** I znowu duży. A przy tym GÓRzYStY. Zapewne bardzo utrudnia to pracę kierowcom ciężarówek.

**ciekawostki:** Piosenka America the Beautiful została napisana właśnie w Colorado Springs! Nie bez powodu w tekście jest mowa o fioletowych szczytach gór – naprawdę są takie o zachodzie słońca!

**uwagi:** Na autostradzie są tablice z napisem „Jeżeli jesteś świadkiem agresywnego zachowania kierowców, zgłoś to pod nr "CSP". CSP to Colorado State Patrol, czyli policja. Tylko na czym polegają agresywne zachowania kierowców? Niejasne. Czy ma to jakiś związek z tablicami nakazującymi, by nie zjeżdżać z drogi w razie awarii hamulców? Tylko co to ma wspólnego z agresją?



## Playlista Rogera #5



„W domu najlepiej”, czyli „Dlaczego Amy nie chce kupić okularów?” lub inaczej mówiąc, „Stan Słonecznikowy”

### TYTUŁ

### WYKONAWCA

„Where Is Home?”	Bloc Party
„Jolene”	The Weepies
„Somewhere Over the Rainbow”	(cover) Call Me Kevin
„Brand New Day”	Joshua Radin
„Starlight”	Muse
„Even Fairy Tale Characters”	PlayRadioPlay!
„Would Be Jealous”	
„Daylight”	Matt and Kim
„The Dark in You”	Plushgun
„100,000 Fireflies”	The Magnetic Fields
„Wake Up”	The Secret Handshake
„Dust in the Wind”	Kansas
„Goodbye Yellow Brick Road”	Elton John
„I'll Do the Driving”	Fountains of Wayne
„Time After Time”	(cover) Quietdrive
„Faith in Fast Cars”	The Format
„Wonderful You”	The Dandy Warhols
„Take a Chance on Me”	Erasure



– Spójrz, ach spójrz – obwieścił, wprawiając przy tym w ruch wirowy stojak z okularami przeciwsłonecznymi oraz wywieszka 4,99 \$. – Okulary!

Uznałam, że daje mi do zrozumienia, iż zbyt często używam jego ciemnych okularów, chociaż starałam się nie robić tego zbyt często. Postanowiłam, że więcej już nie będę mu ich zabierać.

– W porządku – odpowiedziałam. Głupio mi się zrobiło, więc odwróciłam się w stronę półki z chipsami i sięgnęłam po paczkę doritos.

– Mogłabyś sobie kupić! Całkiem rozsądna cena.

– Nie trzeba – powiedziałam, dalej grzebiąc w smakach. – Ale spoko, nie będę już od ciebie pożyczać.

– Nie, nie o to mi chodzi – sprostował Roger. Podszedł do mnie, bo byłam już przy kasie. Dołożył jeszcze dwa mini paydays i rzucił ćwierćdolarówkę. – Ja tylko nie chcę, żebyś ciągle mrużyła oczy w słońcu.

– Nie trzeba – ucięłam. Chyba powiedziałam to trochę zbyt ostrym tonem, bo Roger nic już nie odpowiedział, tylko skinął głową i poszedł z powrotem do samochodu. Ja tymczasem podałam kasjerce kartę kredytową.



– No, dobra. A więc mamy tę panią, która nie żyje i jest sławna. Bardzo sławna. W dodatku wcale nie chodzi o królową Izabelę Kastylijską.

Potrząsnęłam głową.

– Niewiarygodne. Skąd ci przyszła do głowy królowa Izabela? Piętnaście. Jak to działa? – spytałam. Patrzyłam na znajdujące się po stronie Rogera pudło z głośnikiem, bo zajechaliśmy do Sonic

Drive-In, gdzie mieliśmy nadzieję coś zjeść, tylko że chyba zamawiało się przez mikrofon.

– Mają w jadłospisie colę wiśniowo-limonkową – stwierdził

Roger, który czytał tymczasem wielkie, podświetlane menu znajdujące się pod tym samym daszkiem, pod którym zatrzymaliśmy samochód. – Nie mam pojęcia, co to takiego, ale chyba spróbuję.

– O rany – zawołałam, też przyglądając się jadłospisowi, tak wielkiemu, że aż trudno było objąć go wzrokiem. I tak długiemu! Mieli tam ser z grilla. I pieczone ziemniaczki. Oraz chilli – kilka rodzajów. – O rany, o rany. Paluszki z mozzarelli. Ja chcę!

W głośniku po stronie Rogera rozległy się jakieś trzaski, ale zaraz umilkły. Roger zastukał w skrzynkę.

– Halo? – powiedział. – Jest zapotrzebowanie na paluszki z mozzarelli.



– Hm – powiedział Roger. Jego miks grał po raz trzeci, podśpiewywałam sobie kawałek Fountains of Wayne, bo już zdążyłam go zapamiętać.

Nasz posiłek w Sonic przybył w brązowej papierowej torbie; jako bonus dostaliśmy dwie gumy miętowe. Rozwinęłam jedną i upuściłam na jego dłoń, dopiero potem zdałam sobie sprawę, co wyprawiam, wyprostowałam się i usiadłam grzecznie w moim fotelu.

– Hm, reasumując. Nie żyje, bardzo sławna, nie jest królową Izabelą, nie jest Margaret Mead i nie jest królową Elżbietą.

– Zgadza się – potwierdziłam, gapiąc się przez okno. – Trzynaście.



Kiedy byliśmy o godzinę drogi od Wichita, niebo zaczęło się zasnuwać. Myślałam, że wiem, jak wygląda pochmurne niebo. W Kalifornii czasami pojawiają się na niebie chmury. Ale nie takie, czegoś takiego jeszcze nie widziałam! Tyle było tego nieba i całe

zachmurzone, aż po horyzont. Odczucie było takie, jakby żywioł miał zaraz nas dopaść, bardzo prędko.

– Roger?

Zerknął w moją stronę.

– Nie stresuj mnie – odpowiedział. – Myślę, nie poganiaj.

Zostało mi już tylko jedno pytanie.

– Nie o to chodzi. Zastanawiałam się... Krótko mówiąc, czy wiesz, kiedy jest sezon na tornada?

– Hmm – popatrzył w górę, na niebo, jak gdyby dopiero teraz zauważył chmury. – Nie, nie wiem. A ty wiesz?

– Nie.

Obserwowałam chmury, które zwisały nisko nad nami i nad równiną, daleko, jak okiem sięgnąć.

– Hm – powtórzył jeszcze raz po chwili. – Światła na razie nie błyskają. Chyba na razie nie ma się czym przejmować.

– Aha. Może i tak – zgodziłam się z nim, ale dalej patrzyłam za okno, niepokojąc się tym, co może nas czekać.



Roger spoglądał na mnie z niedowierzaniem.

– Kto taki?

– Ethel Merman – powiedziałam i sięgnęłam do torebki ze skittlesami. – Kobieta, nie żyje, sławna.

– Sławna? Nigdy o niej nie słyszałem – odpowiedział, patrząc ze zmarszczonym czołem na drogę.

– To znana aktorka! Najbardziej znana aktorka musicalowa.

Roger potrząsnął tylko głową.

– Chyba ją sobie zmyśliłaś. Domagam się rewanżu.

– W porządku – odwróciłam się w fotelu w jego stronę. – Słucham.

W tej chwili minęliśmy granicę miasta Wichita i mimo wszystko odetchnęłam z ulgą. Teraz, nawet gdyby nadeszło tornado, mieliśmy przynajmniej gdzie szukać schronienia, nie

znajdowaliśmy się już na takim wygwizdowie.

– Wichita – Roger wymówił tę nazwę na głos. – Wreszcie. – Wyciągnął komórkę z uchwytu na kubek, gdzie zalegała pod resztkami zebranymi przez cały dzień – papierkami po cukierkach, serwetkami z Sonic i pustymi butelkami po napojach. – Dzwonię do Drew.

Roger zaczął opowiadać nieco więcej o Drew w miarę, jak zbliżaliśmy się do miasta, głównie zresztą chodziło mu o to, żeby zyskać na czasie do namysłu, bo cały czas graliśmy w dwadzieścia pytań. Jego zdaniem nie powinniśmy zatrzymywać się na noc w Wichita – i rzeczywiście, raczej nie mieliśmy na to czasu, jeżeli chcieliśmy zdążyć do Kentucky – natomiast uważał, że to dobre miejsce, żeby sobie zrobić przerwę. Widać było po Rogerze, że jest naprawdę zmęczony, że już nie bardzo może wysiedzieć w fotelu, więc uznałam, że tak właśnie należy zrobić. Ja zresztą też byłam już zmęczona. Tyłek mnie bolał i marzyłam, żeby rozprostować nogi.

– Drew to twój kumpel z college’u? – spytałam.

– Tak – odpowiedział Roger. – W zeszłym roku mieszkał na moim piętrze i regularnie nocował w moim pokoju, bo ciągle miał problemy z dostaniem się do swojego własnego. Zgubił klucz więcej razy niż ktokolwiek w historii akademika. W końcu przestali go obciążać kosztem kolejnych duplikatów, bo mieli wyrzuty sumienia, że zabierają mu wszystkie pieniądze. – Roger wybrał numer, nasłuchiwał przez chwilę, potem pokręcił głową. – Sekretarka – wyjaśnił. – Cześć, Cheeks – powiedział do telefonu. – Słuchaj, stary, jestem ze znajomą w Kansas, może udałoby nam się spotkać? Zadzwoń, kiedy to odsłuchasz, teraz jest już prawie ósma. – Rozłączył się bez pożegnania, do czego zdążyłam już przywyknąć. Odłożył telefon do uchwytu, na pustą torebkę po emenensach.

– Cheeks? – spytałam.

– Tak – odparł Roger ze śmiechem. – Takie tam przezwisko. Głupoty. Wszyscy kolesie z naszego piętra mieli jakieś ksywki.

– A jaką ty miałaś? – Roger udał, że nie usłyszał, tylko

intensywnie wpatrywał się w drogę. – Roger? – powtórzyłam. – Jaki był twój...

Nim zdążyłam skończyć zdanie, telefon w uchwycie na kubki zaczął wibrować. Roger spojrział w jego stronę, ale coś we mnie wstąpiło, złapałam aparat i zobaczyłam, że wyświetla się na nim napis: DZWONI CHEEKS. Zignorowałam dłoń Rogera, który dawał mi znaki, żebym przekazała mu telefon. Odebrałam.

– Halo? Tu telefon Rogera – odezwała się. Przycisnęłam się do drzwi, z drugiej strony fotela, żeby Roger nie mógł mnie dosięgnąć. Wyciągał rękę i próbował przejąć aparat, przez co samochód zjechał odrobinę z linii prostej.

– Hej – rozległ się po drugiej stronie niski głos. – Jest Magellan? – popatrzyłam w stronę Rogera, który wciąż usiłował odebrać mi telefon. Czułam, jak uśmiech pojawia się na mojej twarzy.

– Magellan? – powtórzyłam, jakbym nie wiedziała, o co chodzi.

Roger westchnął, jego ręka opadła. Najwyraźniej właśnie dlatego usiłował nie pozwolić, żebym to ja odebrała telefon.

– No, tak – potwierdził głos w telefonie. – Znaczy... Roger.

– Jasne – odparłam, wciąż z uśmiechem. – Chwileczkę – podałam Rogerowi telefon. – Magellanie, telefon do ciebie – wyjaśniłam.

– To tylko takie wygłupy, nic ważnego – syknął w moją stronę, a potem odezwał się do słuchawki: – Cześć, Cheeks. Słuchaj, znaleźliśmy się właśnie na twoim wygwizdowie... Że co? – Roger znów spojrział przelotnie w moją stronę. – Ach, nie, nie. To po prostu kumpela. Hadley jest w Kentucky.

Teraz z kolei ja poczułam się zażenowana. Spoglądałam przez okno, przynajmniej do chwili, kiedy Roger zamachał dłonią przed moimi oczami, a potem pokazał na migi, żebym skombinowała coś do pisania. Chwyciłam długopis i na serwetce z Sonic zanotowałam adres i wskazówki, jak dojechać do Wichita Country Club.

Kiedy Roger rozłączył się, nie patrzył na mnie, tylko prosto

przed siebie, na drogę. Jakby mógł tam coś zobaczyć oprócz biegnącej w nieskończoność szosy i pochmurnego nieba.

– Drew twierdzi, że dojazd powinien nam zająć ze dwadzieścia minut – odezwał się. Chyba właśnie kończy pracę.

– Świetnie – stwierdziłam. – Czyli w drogę, Magellanie?

– Oj tam – bąknął i zauważyłam, że trochę się zaczerwienił. – Mówiłem ci, że to tylko takie wygłupy.

– Moim zdaniem to zabawne – powiedziałam. – Dlatego Magellan, że tak cię pasjonują odkrywcy, prawda?

– Tak – przyznał Roger – ale prawdę mówiąc, cała historia trochę wymknęła się spod kontroli. Słowo daję, niektórzy z gości na piętrze do końca nie wiedzieli, jak naprawdę się nazywam. Hadley uważała, że to kretynizm.

Zawsze, kiedy wymawiał jej imię, używał takiego samego tonu – w jego głosie słychać było i urazę, i rezygnację.

– A ja uważam, że to zabawne – powtórzyłam, niezbyt głośno.

Roger uśmiechnął się do mnie przez krótką chwilę.

– Też tak mi się wydawało – przyznał. – Przynajmniej z początku. Tylko to się robi dużo mniej śmieszne, kiedy mija sześć miesięcy i wszyscy drą się tak do ciebie na boisku. – Dotknął palcem serwetki leżącej na konsoli między nami. – Poprowadzisz nas, Chekov?

Sięgnęłam po serwetkę i wygładziłam ją. Próbowałam odczytać, co na niej nabazgrałam.

– Tak jest.

Zgodnie z przewidywaniami, dwadzieścia minut później zajechaliśmy przed Wichita Country Club. Przy małej drewnianej budce stał ochroniarz, który sprawdzał wjeżdżające samochody i wyglądał dość groźnie, więc pojechaliśmy trochę dalej, żeby tam zaparkować. Wysiedliśmy oboje z samochodu i Roger wyciągnął telefon, aby zadzwonić do Drew, kiedy usłyszałam pisk opon. Z bramy wypadł mały czerwony samochodzik, pędził prosto na nas.

– Coś mi mówi, że to Cheeks – oznajmił Roger z uśmiechem. Samochodzik wziął wiraż i zahamował obok naszego liberty.

Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy, ujrzałam osobnika o okrągłej twarzy i okrągłej głowie. Miał na sobie niebiesciutką koszulkę polo, uprasowane szorty khaki i mokasyny. – Chłopie! – zawołał Roger, idąc w jego stronę. – Wyglądasz, jakbyś właśnie zamierzał sprzedać mi polisę ubezpieczeniową!

– Magellan! – zawołał Drew, po czym obaj z Rogerem zrobili szybkiego niedźwiadka, taki męski uścisk, który polega głównie na tym, że obaj faceci poklepują się po plecach. – Tak się składa, że masz przed sobą świeżo zatrudnionego asystenta w klubie golfowym.

– Asystenta w takim sensie, że zostałeś caddy? – upewnił się Roger.

– Co ty, to coś znacznie więcej – zapewnił go Drew. – To naprawdę trzeba umieć. Moim obowiązkiem jest dobierać kije. Dbać o griny... – Tu uczynił szeroki gest, przy czym zauważył mnie, więc zawołał: – Oho, witaj. – Uśmiechnął się przy tym promiennie i zauważyłam, że nagle zaczął mówić jakby grubszym głosem.

Obserwowałam to z zaskoczeniem i rosnącym niepokojem. Najwyraźniej mu się podobałam. Wiedziałam, że to pewnie z powodu ciuchów Bronwyn i poczułam krótkie ukłucie gniewu na nią – że mi to zrobiła. Dobrze się czułam jako niewidzialna. Wtedy wszystko było łatwiejsze. Waliło mi serce, kiedy patrzyłam na niego, a on uśmiechał się do mnie wyczekująco. Okropność, jak strasznie komplikowała się najprostsza relacja międzyludzka – teraz. Za dawnych czasów odpowiedziałabym uśmiechem, nawet poflirtowałabym trochę. Tak sobie, dla zabawy. A teraz wsadziłam dłonie do kieszeni dzinsów i wbiłam wzrok w ziemię, tęskniąc za moim rozciągniętym, za dużym na mnie T-shirtem.

– Cześć – mruknęłam. – Jestem Amy.

– Andrew O’Neal – przedstawił się.

– Bardzo mi miło. – Popatrzył na Rogera i uniósł brwi, na co Roger zmarszczył czoło i potrząsnął głową, a wówczas Drew westchnął.

– Miło mi cię poznać – powiedział z odrobiną rezygnacji w



głosie, który powrócił do normalnej tonacji. Poparzyłam na jednego i na drugiego. W żaden sposób nie mogłam pojąć, co się właśnie wydarzyło. – A więc, skoro zostaliśmy sobie przedstawieni – stwierdził Drew – możemy zająć się naprawdę ważnymi sprawami. Takimi jak żarcie.

Właściwie nawet nie zdawałam sobie dotąd z tego sprawy, ale wprost umierałam z głodu. Bez sensu, przecież objadaliśmy się przez cały dzień, nie robiliśmy w zasadzie nic poza tym – jeżeli nie liczyć siedzenia w samochodzie. Roger zerknął na mnie, skinęłam głową.

– Dobra myśl – odpowiedział.

– To świetnie – osądził Drew. Ruszył w stronę swojego samochodu, dając nam znak, byśmy poszli za nim. – Czterej goście, którym asystowałam, z jakiegoś powodu zapomnieli zaprosić mnie do klubowej restauracji na kolację. W związku z powyższym dręczy mnie głód. Myślę, że jedynym rozwiązaniem będzie New Way.

– New Way? – zdziwił się Roger. Drew otworzył drzwi po stronie kierowcy, Roger po stronie pasażera.

– Owszem, New Way – powtórzył Drew i pochylił oparcie swojego fotela, żebym mogła wsiąść do tyłu. – Zobaczycie.

***Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej.***  
***– Czarnoksiężnik z krainy Oz***

Jak wkrótce mieliśmy się przekonać, że mówiąc New Way, Drew miał na myśli hamburgery NuWay – jak twierdził, główną atrakcją miasta Wichita. Dziwne to było miasto, podzielone na pół biegnącą przez środek autostradą. Drew zajechał przed NuWay Café – białe litery na markizie w czerwone i żółte pasy. Gdzież podziały się żółte strzały i palmy na kubeczkach z In-N-Out? W oknie wywieszono napis: KRUCHE JEST SMACZNE.

Weszliśmy za Drew do knajpy, udekorowanej wewnątrz oprawionymi w ramki czarno-białymi zdjęciami sprzed lat, przedstawiającymi NuWay oraz bywalców tego lokalu. Rzeczywiście, to miejsce sprawiało wrażenie atrakcji turystycznej. Drew zamówił za nas i uparł się, że stawia. Po pięciu minutach pojawił się z powrotem, niosąc dwie torby z brązowego papieru, od których bił rozkoszny aromat i na których natychmiast pojawiły się lśniąca tłuste plamy. Wróciliśmy do samochodu, Drew pojechał dalej autostradą, do Freddy's Frozen Custard.

– Mrożony sos custard? – spytałam.

Drew nie mógł znaleźć wolnego miejsca na parkingu, więc zaparkował na drugiego, zostawił nas w wozie i sam poszedł po deser. Poluzowałam pas, żeby móc pochylić się do przodu. Moja głowa znalazła się między oparciami przednich siedzeń.

– To specjalność kuchni środkowego zachodu – wyjaśnił Roger, odwrócił przy tym głowę w lewo, żeby ze mną porozmawiać. Wtedy ja trochę się cofnęłam – nie zdawałam sobie sprawy, jak blisko znajdują się nasze twarze. – Odkryłem w tym roku. Smakuje jak lody, tylko jest trochę tłustsze. Dobra rzecz.

– Ale założę się, że nie mają Dwudziestu Jeden Smaków – powiedziałam. Chodziło mi o pewną miejscówkę w Pasadenie, gdzie podają mrożony jogurt – istniała szansa, że Roger też ją zna.

I rzeczywiście, uśmiechnął się.

– Świetne miejsce – stwierdził. Nie wiem, co sobie wtedy myślał, ale ja wspominałam rodzinne okolice, wspominałam Kalifornię i zarazem uświadomiłam sobie, jak odległe mi się wydają tamte miejsca i tamte czasy. Roger odwrócił się do mnie z uśmiechem. – Mrożony jogurt – odezwał się. – Typowa dziewczyna z Kalifornii.

Odpowiedziałam mu uśmiechem, a potem zapadła cisza. Nabrałam już tchu, żeby coś powiedzieć, kiedy znów otworzyły się drzwi po stronie kierowcy.

– A oto i ja – oznajmił Drew. Zwalił się na swój fotel. Przyniósł ze sobą trzy plastikowe kubki od Freddy’ego, ze sterzczącymi czerwonymi łyżeczkami. Podał je Rogerowi. – Przygotujcie się na konkretne doznania – obwieścił. – Nirwana zawarta w lodowatym przysmaku.

Z piskiem opon wyjechał na podjazd, aż wcisnęło mnie w oparcie, a Rogera rzuciło na drzwi. Wokół rozległa się kakofonia klaksonów.

Zaczęła mnie ogarniać panika, mdliło mnie, skręcało w żołądku. Zamknęłam oczy i starałam się oddychać, usiłując odgonić to wspomnienie pisku opon i straszliwego zgrzytu żelastwa, i poczucia, że nie panuję już nad samochodem, lecę gdzieś razem z nim, czas jakby zwolnił...

– Drew! – rzucił ostro Roger. Otworzyłam oczy i zorientowałam się, że patrzy na mnie z niepokojem. – Mógłbyś zwolnić?

– Dlaczego? – spytał Drew, przekrzykując rap, który puścił z głośników.

– Zwolnij, natychmiast! – nakazał Roger, ostro i z naciskiem. Tego tonu w jego głosie jeszcze nie słyszałam.

– Dobra, dobra. – Drew trochę się naburmuszył, ale zwolnił i zaczął jechać normalnie. Czułam, jak przyspieszone bicie serca uspokaja się i zaczynam normalniej oddychać. A więc nie, to nie jest powtórka z koszmaru. Jestem tu i teraz. A Roger jest ze mną. Jestem bezpieczna.

Wszystko w porządku? – spytał mnie bezgłośnie Roger.

Skinęłam głową i próbowałam się uśmiechnąć. Myślałam, że to ja zaczynam lepiej go rozumieć, ale nawet nie przyszło mi do głowy, że to może działać w obie strony.

Za jakieś dwadzieścia minut wjechaliśmy służbową bramą na teren Wichita Country Club; samochód zatoczył łuk i zajechał na parking dla pracowników, prawie całkiem pusty o tej porze. Było już zupełnie ciemno, ale za to się rozchmurzyło, to znaczy było trochę chmur, ale pędziły po widocznym teraz czarnym niebie, na przemian zasłaniając i odsłaniając księżyc oraz gwiazdy.

– Czego tu szukamy? – spytał Roger. – Wyrabiasz nadgodziny?

– Zapowiedziałem wam, że użycie życia w Wichita – oznajmił Drew – więc obietnicy zamierzam dotrzymać. – Zaparkował wóz. Wysiadł, pochylił oparcie fotela i podał mi dłoń, by pomóc mi wysiąść. – Pozwól, o pani.

Udałam, że nie widzę jego dłoni, i wysiadłam samodzielnie. Dawna ja obdarzyłaby go uśmiechem, przyjęła podaną dłoń i powiedziała: „Och, dzięki ci, szlachetny panie”, a może nawiązałaby jakoś sprytnie do serialu Camelot. A ja tylko gapiłam się w ziemię, podczas gdy Drew zamykał samochód na kluczyk.

Roger wyciągnął wolną rękę, to znaczy tę, w której nie trzymał naszego deseru.

– Kluczyki – zażądał, zwracając się do Drew. – Dla twojego własnego dobra.

– Słuszna uwaga – stwierdził Drew i podał mu kluczyki. – Szkoda, że wczoraj was tu nie było.

Następnie Drew ruszył przodem, a ja i Roger krok za nim. Uznałam, że niesie za dużo, więc wzięłam od niego dwa kubki. W zamian otrzymałam krótki uśmiech, po czym ruszyliśmy różnym korkiem, by nie pozostać w tyle za Drew, który okazał się wyjątkowo szybkim i sprawnym piechurem. Przeszliśmy przez parking, a następnie przed frontonem budynku, który zapewne był główną siedzibą klubu. Imponująca budowla, biała, z kolumnami – i ze znudzonymi lokajami odzianymi w czerwone kurtki, którzy stali przed budynkami i palili szlugi.

– Cheeks! – zawołało dwóch z nich do przechodzącego Drew.

– Nie ma mnie tutaj! – zakrzyknął w odpowiedzi. – Przynajmniej do dziewiątej. Nie widzieliście mnie.

– Jasne, spoko! – zawołał jeden z lokai, Drew zsalutował mu.

– Tutaj też nazywasz się Cheeks? – zainteresował się Roger.

– Tak, wydało się – odpowiedział zapytany. Zerknął przez ramię na nas dwoje, dziarsko maszerujących za nim. – I się przyjęło.

Znaleźliśmy się tymczasem już na tyłach głównego budynku, minęliśmy ogromny basen połyskujący w świetle księżyca; na powierzchni wody przy płytkim końcu unosił się pojedynczy nadmuchiwany rękawek do pływania. Po chwili ujrzeliśmy opustoszałe korty tenisowe oraz ścianę do samodzielnych ćwiczeń – z narysowaną białą linią symbolizującą siatkę. Lampy nad tą ścianą były zapalone, a kiedy się zbliżyliśmy, zobaczyłam dziewczynę, która przy niej trenowała. Zwolniłam trochę kroku, żeby na nią popatrzeć. Waliła piłką w ścianę, a potem odbijała własne uderzenia, raz za razem.

Zwolniłam dlatego, że kiedyś, dawno temu, kiedy Charlie i ja byliśmy o wiele młodszy, mój brat zakwalifikował się tu czy tam i był nadzieją tamtejszego trenera tenisowego, a mój ojciec namalował taką samą linię na ścianie garażu. Prawie każdego wieczoru słyszałam rytmiczne tłuczenie piłką o tę ścianę. Minęły już dwa lata, odkąd dał sobie spokój, a może wywalili go z klubu – nie jestem pewna, jak to było naprawdę – ale strasznie trudno było mi się przyzwyczaić do braku tego odgłosu. Leżałam w ciemnościach i nasłuchiwałam, czekałam, aż się rozlegnie. A przecież wiedziałam, że go nie usłyszę.

Dziewczyna w końcu chybiła, nie zdołała odbić wypuszczonej przez siebie samą piłki, więc poszła po nią, przeciągając się po drodze. Zobaczyła nas, pomachała rakieta. Zaraz jednak odwróciła się do ściany i ćwiczyła dalej, zaczynając od backhandu. Miała na sobie regularny strój tenisowy, całkowicie

biały. W światłach reflektorów wyglądała egzotycznie, nierealnie, jak wielka ćma w blasku wprost na nią skierowanego gigantycznego punktowca.

Drew skręcił ostro w prawo, Roger i ja za nim. Znaleźliśmy się na polu golfowym.

– Stary, czy my mamy prawo tutaj przebywać? – spytał Roger.

– Jasne, że nie – odpowiedział Drew, nie zwalniając kroku. – Nie rozumiesz?

Roger zerknął na mnie i wzruszył ramionami, potem przyspieszył kroku, żeby nie zostać w tyle za Drew. Niewiele myśląc, zdjęłam klapki, wzięłam je do ręki i dalej ruszyłam boso. Trawa na polu golfowym była gęsta, krótko przycięta, więc czułam się prawie tak, jakbym szła po jej źdźbłach, wcale się w nią nie zapadając. Przez krótką chwilę pogmerałam w tej trawie stopami, tam i z powrotem, dopiero potem pobiegłam, żeby dogonić chłopaków.

Szliśmy w poprzek pola golfowego, wokół siebie mieliśmy otwartą przestrzeń ze wszystkich stron, łagodnie wznoszące się i opadające zbocza pagórków, po obu stronach w oddali ciemny las. Panowała tam całkowita cisza, powietrze ani drgnęło. Od czasu do czasu przechodziliśmy przez piaszczystą połąć, każda z nich wydawała się nienaturalnie jasna w porównaniu z trawą, która z kolei sprawiała wrażenie zupełnie czarnej. Powierzchnie te musiały być dopiero co zagrabione, bo na wszystkich widać było skomplikowany, wijący się wzorek. Nadawało im to szczególny wygląd, prawdę mówiąc, przypominały mi widziane na zdjęciach ogrody zen – a nie upierdliwe utrudnienia w grze, którymi przecież w rzeczywistości były. W zasadzie było ciemno, ale wszystko dobrze widzieliśmy, bo tu i tam świeciła latarnia, poza tym na niebie lśnił wielki księżyc, a oprócz tego miliony gwiazd, które stały się o wiele lepiej widoczne, gdy nie było w pobliżu latarni ani neonów.

Drew zatrzymał się przy obszarze startowym dwunastego dołka. Zasiadł na trawie, odebrał Rogerowi torbę z NuWay i zaczął

rozkładać fastfoodowy piknik. Też usiadłam, najpierw rzuciłam na ziemię klapki, a potem postawiłam kubki od Freddy'ego. Kiedy Drew podał mi hamburgera, wzięłam go bez przekonania.

– Dzięki – powiedziałam, starając się wykrzesać z siebie choć trochę entuzjazmu. No, ale popatrzyłam na niego – i był mniejszy, niż się spodziewałam – ot, bułeczka z kotlecikiem w biało-czerwonym papierze firmowym NuWay. Wyglądał jak hamburger, którego przez pomyłkę nie dosmażono. Mięso było jakieś takie dziwnie kruche.

– No i świetnie – stwierdził Drew, zacierając dłonie. Szerokim gestem wskazał na przysmaki rozstawione na spłaszczonych torbach z NuWay. – Mamy tu pieczone ziemniaczki, frytki oraz przysmażaną cebulę. Ketchup, musztarda, specjalny sos...

– Ziemniaczki? – przerwał mu Roger i pochwycił jeden z nich. – Poważnie?

– Mówiłem wam, że NuWay to jest to – odparł na to Drew. – Niesamowite miejsce. A co się tyczy hamburgerów, niech nie zwiodą was pozory. Kruche jest dobre.

– Dobra, dobra. Widziałam tę reklamę – odpowiedziałam. – Ale niby dlaczego?

– Z tego właśnie słynie NuWay. Hamburgery od nich są kruche. Żeby uwierzyć, musisz spróbować.

Drew patrzył na mnie i na Rogera, czekał, aż to właśnie zrobimy, czyli spróbujemy. Zerknęłam na swojego hamburgera i odgryzłam kawałek. Wcale nie był zły. Owszem, jak głosiła reklama, był kruchy – prawie jak mięso z taco. I były w nim kawałeczki cebuli, przez co był ostrzejszy. I smaczny, cholera. Spojrzałam na Drew i skinęłam głową, wolną dłonią pokazałam mu kciuk uniesiony do góry.

– A nie mówiłem? – odpowiedział i zabrał się za swojego własnego hamburgera.

– Chłopie – powiedział Roger, który tymczasem skosztował swojej kanapki. – Odjazd.

Hamburgery znikły prędko, wkrótce w niepamięć odeszły

też frytki i ziemniaczki. Najedzona i pogodzona ze sobą, wyciągnęłam nogi, oparłam się na łokciach, żeby popatrzeć w gwiazdy.

– To jak? – spytał Drew. Odchylił się do tyłu, opierając na ramionach, założył nogę na zgięte kolano drugiej nogi, popatrzył na Rogera. – Czyli tak sobie przypadkiem akurat właśnie jedzicie przez Wichita?

Roger spojrział na mnie niespokojnie.

– No, tak jakby – odpowiedział. – Odwozimy samochód matki Amy z Kalifornii, no i...

– No i zmierzamy do Connecticut – wtrąciłam, w nadziei, że to ułatwi mu wyjaśnienie. – Ale nie od razu. Najpierw wybieramy się do Kentucky.

Drew nieco się wyprostował.

– Kentucky? – powtórzył i potrząsnął głową. – No, nie wiem.

– O co ci chodzi? – spytał Roger, który nagle i nie wiadomo czemu zajął się bardzo skrzętnie zbieraniem pustych opakowań po keczupie. – Przecież to z pewnością piękny stan. Bardzo lubię bluegrass. Kurczaki też mogą być.

– Chodzi ci o Hadley – stwierdził rzeczowo Drew. – Przyznaj, chłopie. Swoją drogą, mogłem wcześniej na to wpaść.

– I co z tego? – spytał Roger. Wepchnął pogniecione serwetki do torby z NuWay.

– Cóż, prawdę mówiąc, nic w tym złego – przyznał Drew. – Misja. Wyprawa. Don Kichot podążający tropem Dulcynei.

– Drew specjalizował się w literaturze, dopiero potem uznał, że po filozofii łatwiej znajdzie robotę – wytłumaczył mi Roger.

– Pamiętaj jednak, mój drogi przyjacielu – rzekł Drew – że Don Kichot nigdy nie odnalazł swojej Dulcynei, prawda? Nie znalazł i już. Czasem niewielka jest różnica między rycerską wyprawą a pogonią za własnym ogonem.

Roger znowu zwrócił się do mnie:

– Nie mam pojęcia, o czym ten facet gada. A ty?

– Hadley nigdy nie słuchała tego, co do niej mówiłeś – stwierdził Drew. – Jasne, mnie też nigdy nie słuchała, ale ja się z



nią nie spotykałem. Ja tylko mówię. Zastanów się, czy na pewno chcesz to zrobić. Okej?

– Jasne, Cheeks – powiedział Roger z miną kogoś, kto chciałby już skończyć rozmowę na ten temat. Widziałam jednak, że zrobił się niespokojny, w każdym razie bardziej niż przedtem.

– A ty, Amy? – teraz Drew odwrócił się w moją stronę. – Co cię tu sprowadza, jak to się stało, że towarzyszysz błędnemu rycerzowi?

Teraz ja popatrzyłam na Rogera, który ułożył się na trawie z ramionami pod głową.

– To długa historia – odpowiedziałam.

– W takim razie poproszę o skróconą wersję – rzekł Drew.

– No, cóż – odpowiedziałam – zrobiliśmy sobie mały objazd.

Nie musiałam się odwracać, zobaczyłam uśmiech na twarzy Rogera. Wciąż patrzył w niebo.

– No, rzeczywiście, to jest wersja bardzo skrócona – przyznał Drew. – Zupełnie jakby ktoś zrobił bryk z bryku. Albo streścił streszczenie z „TV Guide”. Powiesz coś więcej?

Jednak zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, z lewej strony rozległ się rozdzierający nocną ciszę upiorny ryk. Odwróciłam się w tamtą stronę i ujrzałam oddaloną o jeden dołek ogromną samobieżną kosiarkę, która pędziła ku nam po zboczu pagórka. Dosiadał jej koleś w wielkich didżejskich słuchawkach. Kiwał głową w rytm muzyki, klucząc po terenie golfowym.

– Patrzcie państwo – stwierdził Drew – oto nadjeżdża Walcott.

Drew pomachał ręką, facet na kosiarce zobaczył go, skinął głową i skręcił w naszą stronę. Kiedy znalazł się już całkiem blisko, wyłączył silnik – a wówczas znów usłyszeliśmy odgłosy wydawane przez cykady i nagle odniosłam wrażenie, że są strasznie głośne. Zsunął słuchawki, tak że zawisły mu na szyi.

– Hej, Drew – odezwał się. – Co tam?

Zeskoczył z kosiarki, oparł się o nią. Był chudy i kościsty, o kręconych blond włosach. Teraz, kiedy nie siedział już na grzbiecie swojej maszyny, wydawał się o wiele drobniejszy.

Gdy patrzyłam sobie na tę potężną kosiarkę, nagle przyszło mi do głowy, jak strasznie spodobałaby się mojemu ojcu. Gdyby tak miał możliwość jej dosiąść i gdyby miał do skoszenia cały ogromny teren golfowy, czułby się jak w niebie. I gdy tylko to sobie pomyślałam, poczułam, że braknie mi tchu. Jak w niebie... To już nie była przenośnia. Czy właśnie coś takiego przypadło mu w udziale? Czy słucha sobie Elvisa i kosi ciągnące się w nieskończoność łąki Raju? Czy jest szczęśliwy? Zacisnęłam mocno powieki. Jak mógłby być szczęśliwy, skoro nas tam nie ma? Beze mnie, podtykającej mu life savers i pilnującej, żeby nie zgubił drogi?

Przycisnęłam mocno dłonie do trawy, walcząc z przyplływem emocji, która gotowa była mnie pogrążyć. Fala w końcu cofnęła się, jej napór zelżał, lecz nie poszło to łatwo.

– To jest Derek Walcott – usłyszałam jak przez watę słowa Drew, jakby mówił do mnie z daleka. – Walcott, to jest Amy, a to jest Magellan.

– Roger – usłyszałam, jak mój towarzysz poprawia kumpla. – Cześć.

Otworzyłam oczy, wdzięczna losowi za zapewniony mi w postaci ciemności kamuflaż. Pomachałam Walcottowi ręką, nie ufałam jeszcze swojemu głosowi.

– Hej, byliście w NuWay? – spytał Walcott na widok resztek naszego posiłku. – Coś wam zostało?

– Krążki cebulowe – odpowiedział Drew i podał mu je. – Tym się nie najesz. Musisz zaszuwać do miasta.

– Dzięki, stary – rzekł Walcott, biorąc od niego pojemnik. – Umieram z głodu. Haruję już chyba ze dwie godziny, a załatwiłem dopiero połowę.

– Mówiłem ci – zaczął Drew, rzucając jednocześnie w niego opakowaniem keczupu, które trafiło Walcotta w czoło – że gdybyś zabrał się do tego rano, poszłoby ci szybciej. Bo wiesz, wtedy jest jakby trochę jaśniej.

– Ale rano jest upał – zaoponował Walcott. Siadł obok Rogera. – Już ci tłumaczyłem.

– Cóż, to twój pogrzeb. – Drew wzruszył ramionami.  
Walcott drgnął.

– O, to byłby świetny tytuł piosenki – powiedział.

– Nawet już jest – wtrąciłam, zupełnie bez zastanowienia.

Wszyscy trzej odwrócili się w moją stronę, poczułam, że lekko się czerwienię na policzkach. Trochę mnie ścisnęło w gardle, ale mówiłam dalej, jako że raczej nie miałam już wyboru. – Z „Oliwera”! No, wiecie, z tego musicalu. – Najwyraźniej nie wiedzieli, bo odpowiedzią były trzy pozbawione wyrazu spojrzenia. – No, nieważne. Jest taki musical. A w nim jest piosenka „To twój pogrzeb”.

– Szlag – mruknął Walcott. – Ale może i tak moglibyśmy go wykorzystać. Odnoszę wrażenie, że naszej muzyki niespecjalnie słuchają wielbiciel musicali.

– Walcott ma kapelę – wyjaśnił Drew. – Tylko nie pytaj go o nią, bo zaraz dostaniesz demo.

– Masz kapelę? – spytałam. Drew jęknął.

– Owszem – przyznał Walcott. Otarł dłonie o szorty khaki, pozostawiając na nich tłuste plamy. – Nazywa się The Henry Gales. Z grubsza rzecz biorąc, emo-punk-alternative, raczej hardcorowe brzmienie. Ale robimy też covery – wiesz, na wesela.

– Jasne – stwierdził Roger, uśmiechając się. – To genialnie.

– Wczoraj wieczorem graliśmy koncert – rzekł Walcott, na jego twarzy pojawił się wyraz rozmarzenia. – To takie orzeźwiające. Właśnie o to chodzi, rozumiecie? W ciemnościach mówić prawdę obcym ludziom. I to wszystko. Kiedy to działa, jest naprawdę niesamowicie.

– Henry Gale – powtórzyłam, tylko częściowo zdając sobie sprawę, że mówię na głos. Coś mi to przypominało, ale nie mogłam tego zlokalizować. – Jakbym znała tę nazwę.

– Czarnoksiężnik z krainy Oz – podpowiedział Walcott. – Wuj Doroty.

– Walcott jest dumny z tego, że przyszedł na świat w stanie Kansas – oznajmił Drew.

– Zgadza się – odparł Walcott. – I ty też powinieneś. A jesteś

zdrajcą, bo uczysz się w Colorado i przestałeś kibicować Jastrzębiom. – Drew znów wzruszył ramionami. Coś mi mówiło, że nieraz rozmawiali na ten temat. – Zresztą, szkoda gadać. Popatrz no tutaj, chłopie. Byłem w zeszłym tygodniu u „Marynarza Gerry’ego” – podciągnął rękaw T-shirtu, ukazując czarny tatuaż owijający się wokół jego bicepsa. Jakiś napis, ale zbyt ozdobny i zrobiony gotykiem, więc nie potrafiłam go w żaden sposób odczytać.

– Co tam jest napisane? – spytał Roger.

– *Per aspera ad astra* – wyjaśnił Walcott. Nic mi to nie mówiło, zobaczyłam natomiast, że Drew z dezaprobatą kręci głową.

– To jest dewiza stanu Kansas – wyjaśnił mnie i Rogerowi. – Przez ciernie do gwiazd.

– No, no – powiedziałam, zastanawiając się nad sensem tych słów. – To piękne.

– Prawda? – ucieszył się Walcott i jeszcze raz spojrzął z upodobaniem na swój tatuaż, najwyraźniej bowiem myślał, że o tym mówię. – Gerry to zdolny koleś.

– Daj spokój, Walcott – odezwał się Drew. Nawet w tych ciemnościach widać było sceptyczny wyraz jego twarzy. – Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz z tą miłością do rodzinnego stanu?

– Nie – odpowiedział stanowczo Walcott. Opuścił rękaw. – Kansas to moja ojczyzna, stary. Trzeba być dumnym ze swojej ojczyzny. Kansas to mój kraj, mój dom. A człowiek, który nie ma swojej ojczyzny, zawsze będzie zagubiony.

– Tak ci się wydaje, bo nigdzie indziej nigdy nie byłeś – zauważył Drew.

Zapadła cisza, przesunęłam dłonią po źdźbłach trawy, które – jak sobie teraz zdałam sprawę – przyciął Walcott. Popatrzyłam na niego i wiedziałam, jak się czuje. Przecież zaledwie trzy dni wcześniej ja też jeszcze nigdzie nie byłam.

To jednak tak naprawdę chyba nie przeszkadzało Walcottowi. Wzruszył ramionami i otrzepał dłonie.

– Cóż, pora wracać do roboty – stwierdził. – Dzięki za żarcie. Miło było was poznać. – Podszedł do swojej kosiarki i już miał na nią wsiąść, kiedy coś mu przyszło do głowy, odwrócił się do nas i powiedział: – Nie trzeba wyjeżdżać, żeby wiedzieć, gdzie jest czyjś dom. Każdy wie, gdzie jest jego ojczyzna. A jeżeli nie wie, no to ma problem.

– Chcesz przez to powiedzieć, że kto nie wyściubia nosa poza własne podwórko, nigdy nie zabłądzi? – spytał Drew, nie bez ironii w głosie. Zerknęłam na niego, usiłując przypomnieć sobie, dlaczego to zdanie brzmi dla mnie tak znajomo.

– A właśnie, że tak – odparł Walcott. – Dokładnie tak.

Uruchomił kosiarkę, której warkot rozproszył ciszę nocy. Zawrócił maszynę, po czym ruszył w dół po stoku pagórka.

Wszyscy patrzyliśmy w ślad za nim, wszyscy troje – jakbyśmy czekali na niego i spodziewali się, że zaraz wróci. Potem Roger sięgnął po przysługujący mu kubek deseru od Freddy’ego, ja podałam kubek Drew. Spróbowałam ostrożnie ze swojego, potem jeszcze raz. Okazało się, że mrożony custard jest gęsty, zimny i słodki, spływa błogim smakiem do gardła. Jest bogatszy w smaku niż lody, ma za to konsystencję zamrożonego jogurtu. W tamtej chwili był dokładnie tym, czego mi było trzeba.

– Przepraszam was za Walcotta – odezwał się po chwili Drew.

– Pewnie niepotrzebnie go podpuszczałem. Ale facet po prostu nie rozumie, że marnuje życie, gnijąc w jednym miejscu. Nigdzie nigdy nie pojechał, niczego nie zrobił... – Tu zwrócił się do Rogera: – Zgodzisz się ze mną, Magellanie? Chodzi o to, że moim zdaniem trzeba wyjechać z miejsca, w którym człowiek przyszedł na świat. Trzeba ruszyć w drogę, zobaczyć to i owo. I to wcale nie znaczy, że nie wiem, gdzie jest mój dom. Głupie gadanie.

Podwinęłam właśnie nogi i siadłam na piętach, w zasadzie nie zamierzałam brać udziału w tej rozmowie, ale nagle okazało się, że słowa popłynęły same, nim zdążyłam je powstrzymać czy przemyśleć.

– No dobrze, ale co, jeżeli czyjś dom po prostu zniknął? –  
Miałam na myśli szyld agencji nieruchomości z napisem:  
WITAJCIE W DOMU oznaczającym, że właśnie przestaje to być  
mój dom i dom mojej rodziny. Że nie jest już domem tych, którzy  
tam mieszkali i jeszcze mieszkają. – I co wtedy? – Roger popatrzył  
na mnie, marszcząc czoło.

– Myślę, że dom jest tam, gdzie są twoi bliscy – stwierdził  
Drew.

– Twoja rodzina.

– A jeżeli ich także już nie ma? – spytałam, patrzyłam prosto  
przed siebie na pofałdowane wzgórza, nie na niego czy Rogera.  
Zmusiłam się, żeby to dopowiedzieć do końca, starając się mówić  
spokojnym, równym głosem: – To znaczy, jeżeli rodziny także już  
nie ma?

Drew popatrzył na mnie dziwnie, na jego twarzy dostrzegłam  
wyraz zaskoczenia i jakby też współczucia.

– Wtedy trzeba rozejrzeć się za nowym domem – powiedział.

– Rozumiesz? Trzeba znaleźć coś innego. Inne miejsce, w  
którym będziesz czuła się jak w domu.

Milczeliśmy przez jakiś czas, aż wreszcie zaczęliśmy  
pakować graty, jakbyśmy wszyscy bez słowa uznali, że czas już w  
drogę – pozbieraliśmy śmieci, tak żeby na nieskazitelnej trawie nie  
pozostał ani ślad naszej bytności. Ruszyliśmy z powrotem przez  
pole golfowe. Doszliśmy już prawie do końca, kiedy  
zorientowałam się, że zostawiłam klapki.

– Ups! – zawołałam. – Muszę wrócić po moje buty.  
Spotkamy się przy samochodzie, okej?

– Iść z tobą? – spytał Roger.

Potrząsnęłam głową.

– Nie. Zaraz będę z powrotem.

Znów znalazłam się na polu golfowym. Widząc przed sobą  
otwartą przestrzeń, ruszyłam biegiem, czułam pod stopami gęstą  
trawę i powiew chłodnego nocnego powietrza na twarzy; gdy  
przyspieszyłam biegu, czułam, jak włosy rozwiewają mi się na  
wietrze. Minęłam piaszczyste połacie, przebiegłam pagórki, aż

wreszcie znalazłam się przy dwunastym dołku. Musiałam pochylić się, żeby złapać tchu. Podniosłam klapki i ruszyłam z powrotem, tym razem spacerkiem, serce łomotało mi głośno i szybko, ale tylko z powodu wysiłku, jakim był bieg. Przy siódmym dołku znów usłyszałam dźwięk kosiarki, a chwilę później na grzbiecie pagórka za mną pojawił się Walcott. Podjechał do mnie, znowu zsunął słuchawki.

– Chcesz się przejechać?! – wrzasnął, przekrzykując silnik maszyny. Pokręciłam głową. Wyłączył motor, zapadła cisza. – Chcesz się przejechać? – powtórzył, najwyraźniej uznawszy, że go nie dosłyszałam.

– Nie, dzięki – odpowiedziałam. – Ale to miło z twojej strony, że proponujesz.

Walcott machnął ręką i sięgnął do słuchawek, żeby założyć je z powrotem.

– Walcott – powiedziałam szybko, nim zdążył odjechać i zanim zdążyłam pomyśleć, co robię. Oparłam dłoń o kosiarkę. Była zaskakująco gorąca. – Lubisz kierować tym urządzeniem? Fajnie jest?

– Jasne – odpowiedział z uśmiechem. – Fajna zabawa. Chcesz spróbować?

Spojrzałam na górę, usłyszałam w głowie głos mojego ojca, jakby nie minęło już tyle miesięcy, odkąd po raz ostatni słyszałam go w rzeczywistości: „To nie takie proste, to trzeba umieć. Już widzę, jak ty byś się za to zabrała!”

– Nie, nie. Dzięki – odpowiedziałam, wciąż opierając dłoń o kosiarkę. – Mój ojciec... – usłyszałam swój głos, gdy wypowiadałam to słowo. Zabrzmiął chrapliwie. Zmusiłam się, żeby mówić dalej. – Mój ojciec bardzo by chciał. Byłby zachwycony. – Czułam, jak oddech zatrzymuje mi się w gardle i wiedziałam, że doszłam do miejsca, z którego nie mam już odwrotu. Podniosłam głowę, żeby popatrzeć w oczy Walcottowi. – Mogę ci coś powiedzieć? – spytałam drżącym głosem. Po policzku spływała mi gorąca łza, nie mogłam już tego powstrzymać.

– Jasne – powiedział. Zeskoczył z kosiarki.

Zamknęłam oczy. Nie powiedziałam tego jeszcze na głos. Nikomu. Ale teraz nagle stało się tak, że wszystko się odwróciło. Nie mogłam tego nie powiedzieć, tak samo, jak przedtem nie byłam w stanie o tym mówić.

– On umarł. – Poczułam, jak mnie to walnęło, prawda zawarta w tych słowach uderzyła mnie, gdy wypowiedziałam je po raz pierwszy na głos. Łzy płynęły mi po twarzy, nie mogłam ich powstrzymać. – Mój ojciec nie żyje.

Te słowa zawisły w nocnym powietrzu między nami. Nie tak sobie wyobrażałam tę chwilę, kiedy wypowiem je po raz pierwszy. Ale stało się tak, jak się stało. Jak to powiedział Walcott: prawda wypowiedziana w mroku, wobec obcych. No, jednego obcego. Ale to wszystko jedno – na jedno wychodzi.

– O rany – odpowiedział Walcott. – Amy, tak strasznie mi przykro.

Po brzmieniu jego głosu poznałam, że mówi to szczerze, z serca, więc nie zlekceważyłam tego tak jak wszystkich innych kondolencji. Próbowałam się uśmiechnąć, ale słabo mi to wyszło, więc tylko skinęłam głową. Podszedł do mnie. Bliżej. Zmroziło mnie, bo nie chciałam, żeby mnie obejmował i nie chciałam, żeby jemu się wydawało, że powinien mnie wyściskać. Ale nie, zdjął tylko słuchawki z szyi i założył mi je na uszy.

Głośna, wściekła muzyka wypełniła moją głowę. Szybki, walący bit i agresywny jazgot gitar elektrycznych. Były tam jakieś słowa, ale nie potrafiłam ich zrozumieć. Po tych wszystkich jakże wymownych musicalach – co za ulga. Docisnęłam dłońmi słuchawki do uszu i pozwoliłam, by muzyka mnie opanowała, żeby wyparła wszystkie inne myśli z mojej głowy. Kiedy utwór się skończył, zdjęłam je i oddałam Walcottowi. Byłam uspokojona, spokojniejsza niż kiedykolwiek od dłuższego czasu.

– Dzięki – powiedziałam.

Założył sobie słuchawki na szyję, potem sięgnął na jakiś bagażnik swojej kosiarki czy coś w tym rodzaju, w każdym razie wydobył stamtąd plecak pokryty czarnymi naszywkami. Otworzył zamek błyskawiczny, grzebał przez chwilę, aż znalazł płytę. Podał



mi ją. Wyglądała na produkt domowy, w żółtym plastikowym pudełku.

– To moja demówka – rzekł.

Sięgnęłam po nią, ale nie puścił. Patrzył mi prosto w oczy.

– Wiesz, co wciąż powtarzała moja babcia?

– Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej? – spytałam, znowu próbowałam się uśmiechnąć, tym razem wyszło to chyba mniej żałośnie.

– Nie, nie – zaprzeczył. Wciąż miał poważny wyraz twarzy, nadal trzymał mocno pudełko z płytą. – Moja babcia zawsze mówiła: „Głowa do góry, jutro będzie lepiej”.

– A jeżeli nie będzie? – spytałam.

Walcott zaśmiał się krótko i wreszcie pozwolił mi wziąć płytę.

– Wtedy należy powiedzieć sobie to samo następnego dnia. Czyli jutro. Bo może to następne jutro będzie lepsze. Skąd możesz wiedzieć? A prędzej czy później nadejdzie taki dzień, po którym jutro naprawdę będzie lepsze. No nie?

Przytaknęłam ruchem głowy.

– Dzięki – powiedziałam, mając nadzieję, że zrozumie, że chodziło mi o coś więcej niż tylko o płytę. Skinął głową, wdrapał się na swoją maszynę, odpalił motor i odjechał.

Zostałam tam jeszcze na chwilę, samotna w ciemnościach przy siódmym dołku (na pięć uderzeń) terenu należącego do Wichita Country Club. Potem zaś włożyłam klapki, ruszyłam z powrotem. Drew i Roger czekali na mnie na samym początku pola, tam gdzie kończył się żwir i zaczynała trawa. Roger sprawiał wrażenie zaniepokojonego, pewnie zorientował się po mojej twarzy, że coś się wydarzyło, bo kiedy mnie zobaczył, dalej sprawiał takie wrażenie.

– Zgubiłaś się? – spytał Drew.

Pokazałam mu płytę.

– Spotkałam jeszcze raz Walcotta – odpowiedziałam, siląc się nieco na bez troski ton. – Dał mi swoją demówkę.

– A nie mówiłem! – zawołał Drew.

Szliśmy ku wyjściu. Znow zobaczyłam tę samą dziewczynę na tym samym treningowym korcie. Teraz trenowała serwis, wyrzucając wysoko w górę piłkę, by następnie walnąć nią z całej siły w ścianę.

Drew uparł się, żeby odwieźć nas do samego wozu; twierdził, że ma po drodze. Okazało się, że pod moją nieobecność Roger opowiedział mu o szosie numer pięćdziesiąt, bo podjęli temat.

– To niewiarygodne – opowiadał Roger. – Ciągnie się i ciągnie i myślisz, że nigdy się nie skończy.

– A potem się kończy – skostatował Drew. – Ale numer. To dopiero!

– Mówię poważnie! – obruszył się Roger. – Naprawdę wydaje się, że trwa wiecznie.

– Ale tak naprawdę nic nie trwa wiecznie – stwierdził Drew, a potem już obaj chórem zaśpiewali: – „...nawet zimny listopadowy deszcz”.

Popatrzyłam na jednego i na drugiego, zdumiona.

– No nie? – zdziwił się Drew, bo dostrzegł w lusterku wyraz mojej twarzy. – Niemożliwe. Magellanie, doksztalc tę dziewczynę w kwestii GNR.

Nie miałam pojęcia, o czym gada, ale nie zdążyłam zapytać, bo kilka sekund później samochód zatrzymał się za bramą klubu. Wyjrzałam i zobaczyłam w świetle reflektorów naszego jeepa, a widok ten nieoczekiwanie sprawił mi przyjemność.

Owszem, mój dom dostał się właśnie w łapy obleśnie przyjaznej agentki od nieruchomości, rodzina przestała istnieć, a to, co z niej pozostało, rozjechało się po kraju – ale samochód wydał mi się teraz swojski i znajomy, z każdą przebytą milą coraz bardziej czułam się w nim jak w domu.

Wysiedliśmy – to znaczy najpierw Drew, który znow odchylił do przodu oparcie swojego fotela i znow wyciągnął w moją stronę pomocą dłoń, którą tym razem przyjął, uśmiechając się do niego lekko, na co odpowiedział szerokim i serdecznym uśmiechem. Potem Drew i Roger wyściskali się i pokleпали jeszcze kilka razy wzajemnie po plecach, a następnie Roger poszedł do

naszego samochodu, zostawiając mnie i Drew sam na sam.

– Miło cię było poznać – powiedział.

– Dzięki za NuWay – odparłam. – Kruche jest naprawdę niezłe.

– A nie mówiłem? – powtórzył znowu. – Zrób coś dla mnie, dobrze? – Drew zatrzasnął drzwi od strony kierowcy i pochylił się trochę bliżej w moją stronę. – Miej oko na mojego przyjaciela Magellana. Bądź jego Sancho Pansą.

Gapiałam się na Drew. Aż mnie zatkało. W tej rozmowie pojawił się znowu mój ojciec i to kiedy najmniej się tego spodziewałam.

– Co ty powiedziałaś? – spytałam.

– Prosiłem, żebyś była dla niego jak Sancho Pansa – powtórzył Drew. – To z Don Kichota. Wyciągał swojego rycerza z różnych kłopotów. Bo wiesz, to jest tak: z Magellanem jest taki sam problem, jak ze wszystkimi odkrywcami. Całą energię skupiają na poszukiwanie rzeczy niemożliwych. I w większości tak są zapatrzeni w horyzont, że nie widzą tego, co mają tuż przed sobą.

– Dobrze – zgodziłam się, chociaż nie byłam pewna, o co mu chodzi. Czy miał na myśli Hadley? – Załatwione.

– Jedź ostrożnie! – zawołał do Rogera, który, jak się zorientowałam, siedział już w samochodzie i tylko skinął głową w odpowiedzi.

Właśnie otwierałam drzwiczki po swojej stronie, kiedy usłyszałam, jak Drew rzuca potężną wiąchę. Odwróciłam się, zobaczyłam, że zagląda do środka samochodu przez okno.

– Kluczyki? – zawołał Roger. – Poważnie?

Drew westchnął i wyciągnął z kieszeni telefon.

– Jakoś sobie poradzę – stwierdził i wzruszył ramionami. – Jedźcie, nie przejmujcie się mną. Cześć!

Wsiadłam do samochodu, zatrzasnęłam drzwiczki i rozejrzałam się po dobrze znajomym szarym wnętrzu wozu, przy okazji też popatrzyłam sobie na coraz lepiej mi znanego Rogera siedzącego za kółkiem, który uśmiechał się do mnie.

– Gotowa? – spytał.

– Gotowa – odpowiedziałam. Wyciągnęłam okulary Rogera z pokrowca. Zauważyłam smugi na szklach, więc przetrłam je ręką koszulki Bronwyn. Włożył je, uruchomił silnik. Wyjechaliśmy na drogę. Zobaczyłam w bocznym lusterku Drew, machał nam na pożegnanie ręką. Machał i machał, stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu zniknął.

## Playlista Rogera #6

„Sezon na tornado?“, czyli „Od ~~zadaw~~ mrożonego  
kremu głowa nie boli“

TYTUŁ

WYKONAWCA

„Ghost“	Neutral Milk Hotel
„November Rain“	Guns N' Roses
„Sugar, We're Goin Down“	Fall Out Boy
„Route 66“	Chuck Berry
„Morning Calls“	Dashboard Confessional
„All My Days“	Alexi Murdoch
„Not the Same“	Ben Folds
„Heartbeats“	José González
„Here (In Your Arms)“	Hellogoodbye
„The Weight“	The Band
„The Bird and the Worm“	Owl City
„Cast No Shadow“	Oasis
„I'll All Work Out“	Tom Petty and the Heartbreakers
„This Time Tomorrow“	The Kinks



SAS  
KENT



## Miejsca i miejscowości...

**stan #5:** KANSAS – Stan Słoneczników

**dewiza:** Per aspera ad astra (Przez ciernie do gwiazd)

**wielkość:** Płasko. Znaki drogowe niepokojące. I to nie bez powodu!

**ciekawostki:** Sezon na tornada rozpoczyna się w kwietniu i kończy w czerwcu. Uf!

**uwagi:** Tak czy inaczej, jeżeli wierzyć informacjom zamieszczonym na przydrożnych tablicach, jeżeli ktoś zobaczy nadciągające tornado, należy zjechać na pobocze i położyć się w rowie. Poważnie!





NOTES PODRÓŻNY

# KANSAS

THE SUNFLO



WŁÓŻ  
MNIE

SUNFLOWER MART  
Sunday, June 9  
Gas & Go

Gas 87 Grade	34.99
Root Beer	1.50
Cream Soda	1.50
PB M&Ms	1.25
Skittles	1.25
Doritos	3.99
Postcards	3.25

Total: 47.73  
Payment: Credit  
Amelia E. Curry

Thank You!  
Have a Nice Day!







*Where they love me, where they know me, where they show me,  
back in Missouri.*

– *Sara Evans*

Okolo północy zaczęło padać.

Jechaliśmy w ciemnościach przez Kansas już od trzech godzin. Mówiliśmy niewiele. Wyglądałam przez okno i czułam, że ciągle nosi mnie po tym, co powiedziałam Walcottowi, to było jak wtórne wstrząsy po trzęsieniu ziemi. Powiedziałam to, powiedziałam na głos. Powiedziałam. Nic się nie stało, w każdym razie nie zrobiło się gorzej. Świat się nie skończył. Nie znaczy to jednak, żebym poczuła się dużo lepiej. Było raczej tak, że wymawiając na głos tamte słowa, przywołałam przeszłość w bardziej rzeczywisty sposób, bo teraz trudno mi było myśleć o czymkolwiek innym. Mój umysł krążył i krążył wciąż wokół spraw, o których najmniej ze wszystkiego chciałam myśleć.

Deszcz stanowił więc mile widziane urozmaicenie. Pochyliłam się i pokazałam Rogerowi, jak należy ustawić wycieraczki, a potem patrzyłam przed siebie na szosę, przymgloną i piękną dzięki spływającym po szybie strugom deszczu, rozmazanym czerwonym światłom samochodów przed nami i białym światłom reflektorów wozów jadących z naprzeciwka. W samochodzie panowała cisza, jeżeli nie liczyć stłumionego szur-szur wycieraczek.

Z początku tylko kropiło, tu kropla, tam kropla, ale potem jakby otworzyły się bramy bezkresnych niebios i na nasz samochód wylewały się całe wiadra wody.

– Nieźle – stwierdził Roger. Nachylił się, żeby przełączyć wycieraczki na szybsze obroty. Wyciągnęłam rękę, przekręciłam je na najszybsze ustawienie – szurszurszurszurszurszur.

– Dzięki – powiedział.

– Nie ma za co.

Odchyliłam się, dalej patrzyłam w ciemność, na krople

deszczu ściekające ukośnie po szybie bocznego okna. Zawsze w czasie deszczu i w samochodzie czułam się bezpiecznie, szczególnie nocą. Wiem, że większość ludzi – jak na przykład Julia – nie znoszą siedzieć w samochodzie, kiedy pada, a już zwłaszcza po ciemku. Mówiła, że tego się boi. A mnie to nigdy nie przeszkadzało. Zwłaszcza odkąd wiem, że najgorsze może się wydarzyć w pełnym świetle dnia, w słoneczny niedzielny poranek, piętnaście minut drogi od domu.

– Kiedyś prowadziłaś ten samochód, tak? – spytał Roger. Zerknął w moją stronę.

– No pewnie – odpowiedziałam. Wyciągnęłam nogi i oparłam je o deskę.

– Jakbyś chciała poprowadzić – rzekł ostrożnie, jakby ważył każde słowo przed jego wypowiedzeniem – to nie ma sprawy, kiedy tylko zechcesz. Dla mnie to nie problem.

Opuściłam nogi i wyprostowałam się w fotelu.

– Chcesz się zatrzymać? – spytałam. – Jesteś zmęczony?

– Nie, wszystko w porządku – odpowiedział. – Spokojnie mogę jeszcze ze dwie godziny posiedzieć za kółkiem. Ja tylko... No, chciałem, żebyś wiedziała, że jeżeli o mnie chodzi, możesz spokojnie prowadzić samochód.

Powiedział to w jakiś taki dziwny sposób, aż zamarłam. Czyżby wiedział, co się stało? Myślałam, że nie wie, ale może tylko chciałam tak myśleć. A kiedy Drew jechał zbyt szybko, to go utemperował nie dlatego, że ma takie wyczucie, tylko dlatego, że wiedział, dlaczego tak się denerwuję. Wiedział od samego początku.

– Nie chcę prowadzić samochodu – odpowiedziałam. Staralam się panować nad głosem, ale mimo to jednak zadrżał.

– Dlaczego? Chcesz o tym porozmawiać? – spytał i znów na mnie spojrzał.

Gapiałam się na jego profil, a serce biło mi mocno. Już nie czułam się tak bezpiecznie w tym samochodzie.

– A wiesz, co się stało? – spytałam i już słyszałam we własnym głosie, jak nienaturalnie brzmi. Jakby był zduszony.

Roger pokręcił głową.

– Nie – odparł. – Pomyślałem sobie tylko, że możesz chcieć o tym porozmawiać.

Serce waliło mi w piersi jak oszalałe.

– No, więc nie chcę – oświadczyłam stanowczo.

– Ja tylko... – popatrzył na mnie, zauważyłam, że jakimś sposobem znów na szklach okularów pojawiły się smugi.

Widziałam wyraźnie na prawej soczewce odcisk palca.

Postanowiłam skupić się na tym, a nie na jego rzucanych w moją stronę spojrzeniach. Takich, jakby był niezadowolony z tego, co widzi. – Bo wiesz, możesz ze mną porozmawiać, jeśli zechcesz.

– Wiem, wiem – odpowiedziałam. – Przecież cały czas rozmawiamy, no nie? – Udałam, że nie rozumiem, o co mu chodzi.

– Rozmawiamy przez cały czas.

Westchnął; zorientowałam się, że nie kupił tego wykrętu. Jasne, że wiedziałam, co ma na myśli. Ale rozmawiać z Walcottem, powiedzieć mu, to jedno – bo wiedziałam, że pewnie nigdy więcej go nie zobaczę. Zwierzyć się Rogerowi to coś zupełnie innego. Przecież będę musiała siedzieć z nim w samochodzie jeszcze przez długie, długie godziny. Czekał nas wciąż jeszcze spory kawał drogi. A co, jeżeli to będzie dla niego za duży hardkor, brzemię odpowiedzialności i tak dalej?

– Ja... – zaczęłam. Wzięłam głęboki wdech, żeby nie zabrakło mi powietrza i żeby nie urwała, zanim w ogóle zacznę.

– To za trudne. Dla mnie. Znaczy, mówić o tym jest mi trudno.

Układanie zdań też nie szło mi najlepiej. Tymczasem dla „Amy!” z pewnością nie byłby to najmniejszy kłopot. „Amy!” nie miałyby też żadnego problemu z tym, żeby podzielić się swoimi uczuciami i zwierzyć się z tego, czego najbardziej się lęka komuś, kto chciałby ją wysłuchać. Tyle że „Amy!” prawdopodobnie nie miała żadnych lęków, kłopotów i problemów. Nienawidziałam, naprawdę nienawidziałam tej „Amy!”.

– Wiem, że to trudne – powiedział cicho Roger.

Miks skończył się, nie puścił go od nowa. Ekran iPoda świecił przez chwilę, potem zblakł i zgasł. Jedyнным odgłosem

rozlegającym się w samochodzie było rytmiczne szorowanie wycieraczek o szybę, przez którą było coś widać tylko chwilę, krótką chwilę, zanim deszcz znowu ją zalewał.

– Nie chodzi o to, że nie chcę rozmawiać – dodałam bez zastanowienia, ale natychmiast, gdy te słowa padły z moich ust, zdałam sobie sprawę, że to prawda. A jakże, chciałam rozmawiać. Od miesiący chciałam z kimś o tym pogadać. I właśnie trafił się ktoś, kto gotów był mnie wysłuchać. Dlaczego więc okazało się to takie trudne, wręcz niemożliwe? Zupełnie, jakby ktoś chciał ode mnie, żebym mówiła po portugalsku, czy wymagał czegoś równie trudnego. – Ja.

Zabrakło mi słów, żeby skończyć to zdanie. Podciągnęłam kolana pod brodę i objęłam je ramionami. Spojrzałam za okno.

– No, dobrze – odezwał się po chwili Roger. – W takim razie ja zacznę, dobra? Dwadzieścia pytań.

– O – powiedziałam, trochę zaskoczona, że tak szybko zmienia temat. Tymczasem mało brakowało, a zaczęłabym mu o tym opowiadać... – W porządku. Czy to osoba?

– Nie – Roger uśmiechnął się. – Chodzi o to, że ja będę zadawał ci pytania. W ten sposób może łatwiej będzie ci to z siebie wyrzucić. Jak sądzisz?

Jednocześnie odetchnęłam z ulgą i zaniepokoiłam się tym, że nie chciałam odpuścić, że będę musiała o tym mówić.

– Dwadzieścia to za dużo – powiedziałam. – Co powiesz na pięć?

– Gra w pięć pytań? To nie brzmi tak samo dobrze.

– A potem moja kolej – dodałam, wiedziona impulsem. – To znaczy, że ja też ci zadam pięć pytań.

Roger postukał palcami w kierownicę, a potem skinął głową.

– W porządku – powiedział. – Gotowa? – przytaknęłam. Przede wszystkim chciałam mieć to już za sobą. – Dlaczego nie chcesz prowadzić? – spytał.

Przełknęłam ślinę i skupiłam się na wycieraczkach wędrujących tam i z powrotem po przedniej szybie. Chociaż widziałam Rogera i on mógł mnie widzieć, nagle dotarło do mnie,

że w samochodzie jest ciemno – i jak to dobrze, że jest ciemno. Dzięki temu łatwiej mi było udawać przed samą sobą, że Roger nie widzi, jak wiele wysiłku kosztuje mnie, żeby się nie rozryczeć, że mój podbródek jakby zaczął żyć własnym życiem, że przestałam mieć nad nim jakąkolwiek kontrolę.

– Był wypadek... – odezwałam się wreszcie, wykrztusiłam z siebie te słowa.

– Wypadek samochodowy?

– Tak – odpowiedziałam.

Ze wszystkich sił starałam się panować nad sobą, ale byłam na granicy łez, a gdyby do tego doszło, nie miałam gdzie się skryć. Nie było żadnego kibla, do którego można byłoby uciec.

– Kiedy to się stało? – Roger zadawał pytania łagodnym, cichym głosem, choć równie dobrze mógłby na mnie wrzeszczeć, tak na mnie działały. Jednak wiedziałam, że nadszedł właściwy moment, że nie mogę dłużej przed nimi uciekać.

– Trzy miesiące temu – odpowiedziałam. Przy ostatnim słowie głos zadrżał mi lekko. – Ósmego marca.

– To wszystko? – spytał Roger. Sprawiał wrażenie zaskoczonego i zasmuczonego.

– Tak – odparłam. Wzięłam głęboki wdech i rzuciłam, siłąc się na niedbały ton: – To się liczy za jedno pytanie. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Nie wyszło. Głos mi drżał, zabrzmiało to zupełnie nieprzekonująco – w każdym razie jak na niedbały ton.

– Ostatnie – zaanonsował. Spojrzał na mnie znowu i spytał, jeszcze ciszej: – Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

Wiedziałam, że do tego w końcu dojdzie, ale chociaż zadał mi pytanie, wcale nie ułatwiło to sprawy. Owszem, coś we mnie chciało o tym rozmawiać. Gdzieś w głębi duszy wiedziałam, że na dłuższą metę lepiej dla mnie, jeżeli zmierzę się z problemem, stanę z nim twarzą w twarz. Że to jak kość, którą trzeba nastawić, żeby dobrze się zrosła, a nie została krzywa i słaba. W lusterku Bronwyn w Colorado ujrzałam przez mgnienie oka odbicie dawnej siebie. Chciałam zobaczyć ją znowu. Wrócić tam, gdzie byłam

kiedyś. Nawet zdrowy rozsądek podpowiadał mi, że bezsenność i pewnie też wypadanie włosów wynika właśnie z tego. Z tego, że się zamykam w sobie, że się tym zadreczam.

Jednak w mrocznych zakątkach mojego umysłu czaiło się też coś innego, inny głos, któremu byłam posłuszna przez trzy miesiące. To coś kazało mi odwracać się od świata, nie odpowiadać, naciągać kołdrę na głowę i żyć w ukryciu.

Bo przecież Roger nie wiedział, co naprawdę się stało. Gdyby wiedział, nie patrzyłby na mnie w taki sposób. Gdyby się dowiedział, odwróciłby się ode mnie, a potem zupełnie porzucił, tak jak zrobiła to mama i Charlie. A ja nie chciałam zderzyć się z jego spojrzeniem, kiedy przestanę w jego oczach być kimś, za kogo mnie bierze, i stanę się czymś zupełnie innym. Rozwarłam ramiona, opuściłam nogi na podłogę. Popatrzyłam na niego.

– Nie – odparłam. Powiedziałam to półgłosem, ale i tak moja odpowiedź zabrzmiała donośnie w cichym wnętrzu samochodu.

Roger spojrzął na mnie, potem znów na drogę. Zaciśnął wargi i skinął głową. Sięgnął do iPod'a, włączył muzykę, puszczając od początku tę samą playlistę.

Wiedziałałam, że zawiódł się na mnie, ale wiedziałam też, że tak jest lepiej, że lepiej będzie, jeżeli jednak zachowam to wszystko w sobie. Nabrałam już w tym wprawy. A on w końcu przestanie mnie wypytywać. Wkrótce obumrze ta „dawna ja”. I koniec. Oparłam głowę o zimną szybę okna. Poczulałam, że zaczynam płakać, ale nie próbowałam z tym walczyć. A kiedy dostrzegłam w ciemnym oknie swoje odbicie, nie potrafiłam już odróżnić łez od kropli deszczu.

*I called your line too many times.*  
– *Plushgun*

## 8 MARCA – TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Weszłam z powrotem do domu. Wsadziłam komórkę do kieszeni. Matki nie było w kuchni, słyszałam jej głos dobiegający z salonu. Rozmawiała z kimś przez telefon, mówiła urywanymi fragmentami zdań, w jej głosie słychać było niepokój. „Charlie” – mruknęłam do siebie, wściekła na mojego brata, że robi to nam wszystkim.

Wbiegłam po schodach, przeskakując po dwa stopnie, do jego pokoju i otworzyłam drzwi. Uderzył mnie w nozdrza intensywny zapach. Charlie używał takiego wtykanego do kontaktu urządzenia, do którego nalewa się olejku. Glade Plug-Ins. Zawsze mi się wydawało, że skoro pokój mojego brata bezustannie pachnie niczym potpourri do kwadratu, powinno to wzbudzić jakieś podejrzenia moich rodziców. Ale nie, najwyraźniej uważali to za coś normalnego. A zresztą, może i coś kojarzyli, ale nie chcieli sobie tym zawracać głowy?

Charlie’ego w pokoju nie było, nie pojawił się, a wewnątrz wyglądało tak jak zawsze. Przyszpilone do ściany plakaty, na nich James

Blake i Maria Szarapowa. Łóżko, jak zawsze nieposłane. Charlie zdradził mi kiedyś, że dokonał cennego odkrycia: otóż jeżeli nigdy się nie ścieli swojego łóżka, trudniej stwierdzić, czy człowiek w nim spał danej nocy. Zamknęłam za sobą drzwi, sprawdziłam jeszcze raz telefon. Charlie zawsze dobrze się maskował i to właśnie dzięki temu tyle uchodziło mu na sucho.

Przypomniała mi się rozmowa, jaką odbyłam z nim na balkonie naszego domu sześć miesięcy wcześniej, czyli zakończona niepowodzeniem próba uzdrowienia sytuacji. Zagroziłam mu wtedy, że powiem wszystko mamie i tacie i zapowiedziałam, że przestanę go kryć. Jednak nie zrobiłam ani



jednego, ani drugiego, dokładnie tak, jak przewidział Charlie. Minęło pół roku, a oto znowu aż się wyrywałam, żeby ratować mu skórę i zrobiłabym to, gdyby tylko dał mi szansę, to znaczy gdyby dostarczył jakiegokolwiek informacji. Wysłałam mu esemesa: GDZIE JESTEŚ??? – i czekałam, gapiłam się na telefon. Odpowiedź nie nadeszła.

Zeszłam z powrotem na dół, usłyszałam głosy rodziców w kuchni. Siadłam na ostatnim stopniu, tak że prawie nie było mnie widać, za to wszystko słyszałam.

– A do kogo jeszcze moglibyśmy zadzwonić? – spytała matka i tym razem naprawdę jej głos brzmiał niepokojąco. Nie bez rozgoryczenia pomyślałam, że gdybym to ja znikła, nie martwiłaby się. Nie, za to byłaby wściekła. Cóż, Charlie zawsze był jej ulubieńcem.

– Może po prostu powinniśmy uzbroić się w cierpliwość – zaproponował mój ojciec. – Przecież w końcu kiedyś wróci...

Zadzwonił telefon w kuchni. Wstałam i weszłam, oparłam się o szafkę. Ojciec uśmiechnął się na mój widok, ale widziałam, jaki jest zdenerwowany. Zadowolony z życia facet pchający kosiarkę gdzieś zniknął.

– Halo – odezwała się moja matka do słuchawki. Wyraz jej twarzy zmieniał się w miarę, jak słuchała. Teraz to już był nie tylko niepokój, bo doszło do niego najzwyklejsze przerażenie. – Nie rozumiem – powiedziała. – Gdzie on jest?

*Fairfield Hotel*  
600 HAWLEY AVENUE, FAIRFIELD, MISSOURI  
*"Best in the Midwest"*

Amy Curry Room: 245  
2 Raven Crescent Room Type: GENR/ DOUBLE BED  
Raven Rock, CA  
Number of Guests: 2  
90041 Rate: \$95.00

Arrive: June 10 Time: 2:47 a.m.

Depart: June 10 BY NOON

Wake-up Call: 9:00 a.m.

Payment to Hold Room:

Credit Card/ Amelia E. Curry XXXX XXXX XXXX 8766

WANDERING IS ENCOURAGED.

*Helpless, helpless, helpless*  
– Neil Young

Nie byłam w stanie usnąć. Do hotelu udaliśmy się, kiedy stało się jasne, że Roger nie daje już rady. Poszedł spać od razu, a ja przez trzy godziny przewracałam się z boku na bok, patrząc na sufit. Roger spał spokojnie, widziałam jego równomiernie unoszące się i opadające plecy. Zazdrościłam mu, że może sobie tak po prostu usnąć. Mój telefon leżał obok łóżka i za każdym razem, kiedy go sprawdzałam, widziałam znaczek przy ikonce poczty głosowej. Ogarniał mnie coraz większy lęk. Wiedziałam, że niedługo będę musiała zadzwonić do matki – bo teoretycznie powinniśmy przebywać gdzieś w Ohio i dotrzeć po południu do Connecticut. Tymczasem zlądownaliśmy w Missouri i kierowaliśmy się do Kentucky. Nie powinniśmy znajdować się w innej strefie czasowej. Kiedy była już szósta rano, zrezygnowałam z prób zaśnięcia. Wzięłam ze sobą plastikową kartę do drzwi (kolor fioletowy) i komórkę, po czym wyszłam na korytarz. Zamknęłam drzwi ostrożnie, żeby nie trzasnęły i nie obudziły Rogera.

Poszłam na sam koniec korytarza, gdzie znajdowało się wielkie okno wychodzące na autostradę. A potem zaczerpnęłam tchu i nacisnęłam szybkie wybieranie do mojej matki.

Odebrała już po drugim sygnale i sądząc po brzmieniu głosu, była znacznie przytomniejsza, niż się tego spodziewałam o siódmej rano – u niej była właśnie ta godzina.

– Amy? – odezwała się. – To ty?

– Cześć, mamó – powiedziałam.

– Cześć, kochanie – odpowiedziała.

Poczułam, że łzy napływają mi do oczu. Gorzkie łzy na sam dźwięk jej głosu. Wiedziałam, że to właśnie dlatego odwlekałam rozmowę z nią przez tak długi czas, jak tylko się dało. Chodziło o to, że akurat wtedy tyle różnych rzeczy działo się w mojej głowie, zupełnie nie potrafiłam sobie z tym poradzić. Za dużo było

wszystkiego naraz. Tak strasznie się ucieszyłam, słysząc jej głos, ale już za chwilę byłam maksymalnie wkurzona.

– Cieszę się, że dzwonisz. Muszę ci powiedzieć, Amy – dodała, teraz już ostrzej tonem, który Charlie nazywał „głosem profesorki”, chociaż akurat do niego rzadko się tak zwracała – że nie rozumiem, dlaczego przez cały ten czas taki trudny był kontakt z tobą. Prawie się nie odzywałaś, właściwie nie bardzo wiem, gdzie jesteście...

– Jesteśmy w Missouri – przerwałam jej, czego nie robiłam prawie nigdy, bo zawsze wiedziałam, co zaraz usłyszę: „nie przerywaj mi, Amy”.

– Nie przerywaj mi, Amy – powiedziała moja matka. – To przejaw skrajnego braku odpowiedzialności i... Coś ty powiedziała? Missouri?

– Tak – potwierdziłam. Czułam, że serce mi wali, zawsze się tak czułam, kiedy zdawałam sobie sprawę, że zanoszę się na kłopoty.

– Na miłość boską, co wy robicie w Missouri? – spytała moja matka, głosem niskim i zrównoważonym. Zły znak! Zawsze.

– Może posłuchaj mnie przez chwilę, co? – poprosiłam. Przełknęłam ślinę, starając się panować nad sytuacją.

– Ależ czy ja ci zabraniam mówić?

– Nie. No, dobrze. – Na chwilę odsunęłam telefon od ucha i popatrzyłam na autostradę. Wydawało mi się, że gdzieś nad horyzontem ujrzałam czerwoną wstęgę światła zapowiadającą świt. A może to tylko tylne lampy jakiegoś samochodu? – No, więc Roger i ja – zaczęłam, starając się nie myśleć o tym, jak moja matka zaraz z pewnością się wścieknie – postanowiliśmy pojechać bardziej malowniczą drogą. Ale zapewniam cię, że wszystko jest w porządku, on prowadzi bardzo bezpiecznie i zatrzymujemy się, kiedy się zmęczy. – Milczenie po drugiej stronie. – Mamo? – spytałam.

– Czyś ty właśnie powiedziała, że wybraliście bardziej malowniczą drogę? – spytała, w jej głosie słyszałam więcej niedowierzania niż gniewu.

– No, tak – przyznałam. Odkaszlnęłam. – Ale zapewniam, że niedługo dojedziemy. My tylko...

– Powiem ci, co masz zrobić – oznajmiła, teraz w jej głosie słyhać było furję, na maksa. – Natychmiast wsiądźcie do samochodu i ruszycie prosto do Connecticut. Natychmiast. Ja dopilnuję, żeby Roger wsiadł do pociągu, a potem czeka nas bardzo poważna rozmowa.

– Nie przerywaj mi, mamó! – zawołałam. Te słowa wypsnęły mi się, zanim zorientowałam się, co mówię. Odsunęłam telefon od twarzy, tłumiąc jednocześnie śmiech.

– Amelio Curry – powiedziała do mnie tonem miażdżącym i złowrogim, co miało w założeniu wprawić mnie w lęk i zmusić do natychmiastowego posłuszeństwa. – Co ty sobie wyobrażasz, smarkulo. To nie jest żadna wycieczka ani spacerek. Nie jesteś na wakacjach.

Prosiłam cię o pewną prostą rzecz. Tak jakbyśmy nie dość już wycierpieli, nagle pozwalasz sobie... – jej głos zadrzał, umilkła na króciutką chwilę, ale już po sekundzie odzyskała kontrolę nad sobą. – Co ty wyprawiasz? – spytała. – Dlaczego utrudniasz mi życie...?

– Ja ci utrudniam życie? – powtórzyłam, czując jednocześnie, że tracę wszelkie wyczucie proporcji, że teraz mnie ogarnia wściekłość, która może zawładnąć mną bez reszty. – Ja utrudniam ci życie, tak? – słyszałam swój własny głos, który rozlegał się za głośno i był jakby nie mój, zupełnie nie przypominał mojego zwyczajnego głosu. Łzy znowu napłynęły mi do oczu, gwałtownie. Ręka, którą trzymałam telefon, drżała. Nie posiadałam się ze wściekłości, aż sama bałam się tego, jak złość przepełniała mnie bez reszty. – Naprawdę? Poważnie mówisz? – spytałam, głos mi się załamał, dwie łzy spłynęły po policzku.

– Daj mi Rogera, chcę z nim porozmawiać – powiedziała moja matka. – Bo ty najwyraźniej popadasz w histerię.

– On śpi – odpaliłam, ostro. Tonem, jakiego nigdy nie używałam w rozmowie z kimkolwiek, a już z pewnością nie z moją matką. – Tutaj jest szósta rano. I wcale nie wpadam w

histerię.

– Macie natychmiast jechać do domu...

– Raczej tego nie zrobimy – odparowałam. Ta straszna, niepojęta złość zaczęła się kurczyć i znikać, teraz za to pojawiła się obojętność. Miałam to wszystko gdzieś – a to również rzadko mi się zdarzało – o ile w ogóle mi się zdarzało. – Niedługo przyjadę, ale przedtem chciałabym coś zobaczyć.

– Nie ma mowy – obruszyła się matka, używając tego głosu, który w jej mniemaniu miał uciąć wszelki sprzeciw. Tylko że teraz ten głos działał na mnie jak płachta na byka. – Masz natychmiast jechać do domu, w tej chwili...

– Do domu? Mamy zawrócić i jechać do Kalifornii? Naprawdę tego chcesz?

– Nie – brzmiała jej odpowiedź. – Do Connecticut. Dobrze wiesz, co mam na myśli.

Teraz nagle w jej głosie usłyszałam zmęczenie i smutek, jakby ktoś niespodziewanie odfiltrował gniew z jej głosu. Zaskoczyła mnie ta zmiana, ogarnęło mnie poczucie winy, które zagłuszyło moją własną złość, lęk i smutek.

– Niedługo przyjedziemy – powiedziałam cicho. Płakałam, nawet nie próbowałam tego przed nią ukryć. Najgorsze z tego wszystkiego było to, że to była moja matka i słyszałam jej głos tak blisko, tuż przy uchu. Marzyłam tylko o jednym, żeby otworzyć się przed nią, opowiedzieć jej, co czuję i żeby ona mi powiedziała, że wszystko będzie dobrze. A nie to, nie w taki sposób. Opieprz od matki i te wszystkie „natychmiast”. Strasznie mi było ciężko. Wszystkie nasze rozmowy przez ostatnie miesiące były właśnie takie. Zrobiła się zimna i daleka. A ja czułam się tak okropnie samotna. – Mamo – powiedziałam cichutko, mając odrobinę nadziei, że czuje to samo, że może wreszcie zdołamy normalnie porozmawiać.

– Zaraz dzwonię do Marilyn, żeby opowiedzieć, jak spisał się jej synalek – oznajmiła, teraz głosem bezwzględny i stanowczym. Ten głos znaczył, że już ona to wszystko poustawia. Załatwi. Znałam ten ton doskonale. – A ty rób sobie, co chcesz.

Powodzenia. Tylko żebyś zdawała sobie sprawę, że robisz to na własną odpowiedzialność. I żebyś też wiedziała, że kiedy przyjedziesz, musisz liczyć się z poważnymi konsekwencjami twoich postępów.

– Dobrze – powiedziałam, wciąż cicho. Byłam wykończona.  
– W porządku.

– Bardzo mnie zawiodłaś – oznajmiła moja matka, słyszałam w jej głosie drzenie, choć nieznaczne. Od złości, a może od czegoś innego. Nie miałam pojęcia. – Naprawdę, bardzo mnie zawiodłaś.

A potem telefon umilkł i zdałam sobie sprawę, że rodzona matka właśnie mnie zrzuciła, że po prostu nie chce ze mną gadać.

Patrzyłam na telefon i zastanawiałam się. Może zadzwonić do niej jeszcze raz, pokajać się i przeprosić, i powiedzieć, że już jedziemy, że będziemy najprędzej, jak tylko się da. Pewnie dałoby się ją udobruchać. I tak miałabym szlaban, ale może nie aż taki. Tylko że nie chciałam tego robić, chociaż jednocześnie nie chciałam przez resztę wędrowki zdręzczać się poczuciem winy. Zastanawiałam się i bawiłam się kartą do drzwi, obracałam ją w dłoniach. Nagle zauważyłam wytłoczony na fioletowej karcie biały napis:

WŁÓCZYĆ SIĘ WARTO



– Wymeldowujemy? – zapytała radosnym głosem dziewczyna w recepcji. Przytaknęliśmy oboje skinieniem głowy, Roger i ja, oboje dość sennie. Po powrocie do pokoju położyłam się jeszcze, ale długo nie spałam, natomiast długo gapiłam się na sufit, który stawał się coraz jaśniejszy i powtarzałam sobie rozmowę z matką. Musiałam jednak się zdrzemnąć, bo o dziewiątej budzik wyrwał mnie ze snu – w ogóle zapomniałam, że poprzedniego wieczoru nastawiłam budzenie w komórce. Wzięłam szybki prysznic i kiedy zaczęłam ubierać się w łazience, przypomniałam sobie, że już nie mam swoich własnych ubrań.

Zajrzałam do walizki, a przecież zdawałam sobie sprawę, że nie umiem tak dobierać ciuchów, jak potrafiła to robić Bronwyn. Złapałam więc cokolwiek, to, co było na wierzchu – długą czarną bluzkę na ramiączkach i szare spodnie, coś pomiędzy dżinsami i legginsami.

Wyszło jednak na to, że ciuchy Bronwyn są zaczarowane, co zobaczyłam w lustrze na dole. Jakoś udało mi się przybrać o wiele porządniejszy wygląd, niż sytuacja by na to wskazywała.

Ziewnęłam, byłam wykończona. Co prawda zasłoniłam usta, ale i tak już po jakichś trzech sekundach Roger również ziewnął.

– Doskonale... – stwierdziła dziewczyna, stukając jednocześnie w komputer. Ciekawe – pomyślałam – ile filiżanek kawy musiała pochłonąć, że o tak wczesnej porze jest przytomna, rozbudzona i w dodatku życzliwa. Nosila tabliczkę z imieniem: KIKI... DO USŁUG. – Pokój dwuosobowy, jedna noc. Bez żadnych innych obciążeń. Zgadza się?

– Tak – potwierdziłam, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

– Wszystko zgodnie z państwa oczekiwaniami?

– W porządku – odpowiedziałam, uznawszy, że to ja mogę mieć na ten temat jakieś zdanie, Roger bowiem przez większość pobytu był nieprzytomny.

– Doskonale – stwierdziła Kiki, stukając w błyskawicznym tempie klawiszami. – Wyśmienicie. W takim razie obciążam kartę, na którą był wzięty pokój, zgadza się?

– Spoko – odpowiedziałam, po czym w tej samej chwili zganiam siebie samą w duchu za dresiarские teksty. Ale może tak już musiało być, widocznie to fatum, skoro znalazłam się na Dzikim Zachodzie... Kiki skinęła głową, uśmiechnęła się, wyszła na zaplecze. Odwróciłam się do Rogera, opierając łokcie o kontuar. – Śniadanie?

– Jeżeli śniadanie zawiera w sobie kawę – odparł, przecierając oczy – to owszem, tak.

– Przykro mi, pani Curry – Kiki pojawiła się znowu i wydawała się jakby znacznie mniej życzliwa i przyjazna niż zaledwie chwilę wcześniej. – Przykro mi, ale karta nie została



zaakceptowana.

Rozwarłam szeroko oczy.

– Co takiego? – spytałam, osłupiała.

– Próbowałam dwa razy – odparła, przesunęła kartę po ladzie w moją stronę, dotykając ją tylko jednym palcem. – Nic z tego. Ma pani inną kartę?

– Cóż – odpowiedziałam, zaglądając do portfela, jakby miała się tam w cudowny sposób zmaterializować inna karta. – Chwilę...

Nie rozumiałam, jak to mogło się stać. Ta karta nawet nie była powiązana z moim rachunkiem bankowym, tylko z kartą kredytową mojej matki. W tej samej chwili, kiedy o tym pomyślałam, zrozumiałam, co się stało. Poczułam, że ściska mnie w brzuchu, kiedy zdałam sobie sprawę, co zrobiła moja matka i o co jej chodziło z tym, że robię to na własną odpowiedzialność.

– O rany, Roger – odezwałam się. – Chyba o czymś muszę ci powiedzieć.



Roger przesunął w moją stronę talerzyk z boczkiem, wzięłam sobie kawałek. Był super: chrupiący, tłusty i naprawdę smaczny. Jednak nie zniwelował nieprzyjemnego uczucia ssania w żołądku, które mi dolegało. Nie byłam pewna, czy damy sobie radę.

Atlas leżał obok mnie na stole, otwarty na mapie kraju. Czekala nas cała droga między Missouri a Connecticut, a myśl, że musimy ją pokonać, nie dysponując zabezpieczeniem w postaci karty kredytowej, była co najmniej niepokojąca. Przeliczyliśmy nasze fundusze, razem mieliśmy czterysta czterdzieści dolarów na to, żeby dotrzeć do Wschodniego Wybrzeża. Większość zapewniłam ja, a to dzięki cennej zawartości jajka ukrytego przez moją matkę w szufladzie. Kiedy Roger uniósł brwi ze zdziwienia na widok, ile mam gotówki, burknęłam coś w rodzaju, że matka mi to dała na wypadek, gdyby gdzieś nie przyjmowali kart.

– I jak myślisz? – spytałam. Na stole przed nami piętrzyła się

sterta pieniędzy. Przechodzący kelner pewnie pomyślał, że zrzucamy się na napiwek dla niego, bo obdarzył nas promiennym i szerokim uśmiechem oraz nieproszony dołał nam obojgu wody.

Roger potarł dłonią czoło; zorientowałam się już, że wykonuje ten gest, kiedy jest zatroskany.

– Myślę, że może wystarczyć – powiedział. – Przynajmniej taką mam nadzieję – przysunął sobie talerz z boczkiem, poczęstował się kawałkiem, schrupał go. Potem wyjrzał oknem, przez które miał piękny widok na parking. Trwało to dłuższą chwilę. – Trochę jestem zaskoczony – powiedział wreszcie. – Kiedy matka kazała ci natychmiast wracać, odmówiłaś.

Spojrzał na mnie nad stołem, z uniesionymi brwiami.

– Fakt – przyznałam.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że się na to odważyłam. Że teraz jesteśmy pozostawieni sami sobie, w samym środku Ameryki, pozbawieni środków do życia. No, prawie. Że moja matka po prostu mnie olała. Odwróciłam wzrok, spojrzałam na podrapany blat stołu. Ktoś wydlubał na nim litery: RYAN KOCHA MEGAN NA ZAWSZE.

– Dlaczego? – padło pytanie z ust Rogera. Proste pytanie.

Spojrzałam na niego. To dziwne, ale jeszcze się nad tym nie zastanawiałam. Nie, bo nie. „Nie” było pierwszą odpowiedzią, jaka przyszła mi do głowy.

– Dlatego... – Też wyjrzałam przez okno; za parkingiem biegła szosa, po której pędziły samochody, jechały do domu albo jechały w świat, każdy z nich zmierzał do jakiegoś innego miejsca. Nagle poczułam, że po prostu spieszy mi się, żeby wsiąść do jeepa liberty i uczynić to samo. – No, dlatego, że jeszcze nie załatwiliśmy wszystkich spraw, prawda?

Roger uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Pochłaniał w zamyśleniu kawałek boczku – chociaż brzmi to dziwnie. Sama bym nie uwierzyła, gdybym nie widziała tego na własne oczy.

– Chodzi mi o to – dokończyłam, patrząc uważnie na jego twarz – że nie spotkałeś się jeszcze z Hadley. – Kiedy dalej nie odpowiadał, nagle przestraszyłam się i zaniepokoiłam z zupełnie

innego powodu. Pod bluzką na ramiączkach podarowaną mi przez Bronwyn przeszedł mnie dreszcz, chociaż na nasz stolik padało bezpośrednio słońce i jeszcze przed chwilą było mi za gorąco. No, bo może on już chciał z tym skończyć? W ogóle nie zastanawiając się, z góry założyłam, że Roger będzie chciał ciągnąć naszą włóczęgę dalej. Ale może już miał dosyć? Może jednak trzeba będzie zmienić marszrutę i ruszyć prosto do Connecticut. Myśl, że wkrótce mam się tam zjawić i stawić czoło rozwścieczonej matce, sprawiała, że ogarniała mnie panika. Jeszcze nie byłam na to gotowa. – Ale jeżeli chcesz przerwać – dodałam, starając się mówić spokojnym głosem, jakby to wcale nie było takie przerażające – to nie ma sprawy.

– Nie, nie o to mi chodzi – powiedział, zerkając na mnie. Przesesał palcami włosy, przez co doprowadził je do stanu naturalnego wzburzenia, bo przedtem były ulizane po prysznicu. – Podobno to ja mam być ten odpowiedzialny. Moja matka nie będzie tym wszystkim zachwycona, z całą pewnością. I nie chcę pakować cię w dalsze kłopoty.

– Nie pakujesz mnie w kłopoty – weszłam mu w słowo. – Sama się wpakowałam i to po uszy.

– Czuję się winny.

– To się nie czuj – powiedziałam. – Poważnie – popatrzyłam mu w oczy. – Chcesz skończyć?

Wstrzymałam oddech, mając jednocześnie nadzieję, że zdąży odpowiedzieć, zanim się uduszę.

Roger przez dłuższą chwilę patrzył na mnie, potem pokręcił głową.

– Nie – odpowiedział; zabrzmiało to tak, jakby jego samego trochę zdziwiła ta odpowiedź.

Odetchnęłam, a przy tym ssanie w żołądku jakby ustąpiło. Kelner przeszedł obok naszego stolika, tym razem przyniósł rachunek i garść owiniętych w celofan miętówek.

Roger wyjął telefon.

– Muszę zadzwonić tu i ówdzie – rzekł. – Nadal nie udało mi się porozumieć z Hadley. Poza tym pewnie powinienem zadzwonić

do mojej matki, zanim twoja to zrobi.

– Ja zapłacę – oświadczyłam, po czym zaczęłam odliczać pieniądze na rachunek.

– Mogłabyś to zatrzymać? – poprosił Roger, wskazując ruchem głowy resztę gotówki. – Bałbym się, że wszystko zgubię.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałam. Poskładałam banknoty i wetknęłam je do portfela.

– Widzimy się w samochodzie – zapowiedział, zgarnął ze stołu miętówkę i ruszył ku wyjściu. Zadzźwięczał dzwonek przymocowany do drzwi.

Popatrzyłam na mapę i przeciągnęłam palcem po trasie, jaką wyznaczyłam, by dojechać do Kentucky. Według naszej wspólnej oceny dojazd miał zająć nam prawie osiem godzin, znaleźlibyśmy się na miejscu wczesnym wieczorem, o szóstej czy siódmej. Nagle zauważyłam, że tuż poniżej Kentucky znajduje się Tennessee. A w rogu tego stanu, bardzo blisko Arkansas, znajduje się miasto Memphis. Tam właśnie zatrzymałam mój palec, na nazwie wypisanej pogrubionymi literami – przez chwilę myślałam o wycieczce, którą mieliśmy odbyć tego lata. Ojciec miał nas zawieźć do Memphis, ale tak naprawdę to do Graceland. Aż dziwnie było pomyśleć, jak to blisko z Louisville. Chyba tylko parę godzin drogi. Tylko że to oznaczałoby kolejne opóźnienie. I nie chciałam tam jechać bez ojca. A to znaczyło, że nigdy tam nie pojedę.

Zamknęłam atlas, próbując odsunąć od siebie tę przykrą myśl. Zapłaciłam należność: położyłam pieniądze na rachunku, łącznie z napiwkami dla kelnera i przycisnęłam je szklanką. Uznałam, że Roger miał dość czasu na swoje prywatne rozmowy telefoniczne, więc wstałam. Wtedy znowu wzrok mój spoczął na wyciętych w stole literach. Ciekawe, kim są Ryan i Megan – pomyślałam. I kimkolwiek są, czy udało im się, czy jeszcze są razem? Przyszło mi też do głowy, że to wymaga niewiarygodnej pewności siebie. Stwierdzić, że zawsze będą się kochać, mieć tyle wiary w coś równie niepewnego i ulotnego – przynajmniej na tyle, żeby wypisać te słowa na blacie stołu.

Patrzyłam sobie na nie jeszcze przez chwilę, a potem wyszłam z knajpy, mrużąc oczy w słońcu.

# NOTES PODRÓŻNY

Fairfield Diner  
Fairfield, MO

"Showing-You" a Great Meal!  
6/10  
Table 4  
Server/Kevin

Pancakes	5.50
Waffle w/fruit	6.50
Side bacon/crisp	3.95
Root Beer	1.95
Cream Soda	1.95

Total: 19.85

Paid CASH

Have:  Air

## NASZE FUNDUSZE

Amy: 335,25 \$

Roger: 105,50 \$

RAZEM: 440,75 \$

z Fairfield

do Louisville:

8 aodzin



*I found my thrill on Blueberry Hill.*  
– *Elvis Presley*

SIEDEM LAT WCZEŚNIEJ

Mój ojciec zajechał przed siedzibę klubu tenisowego w Raven Rock i odchylił się, żebym mogła sięgnąć do klaksonu. Użyłam tego samego sygnału co zawsze, kiedy chcieliśmy dać znać Charlie'emu, że już jesteśmy: pip-pip-pippippip. Ojciec z jakiegoś powodu nazywał to „golenie i strzyżenie”.

Siedzieliśmy i czekaliśmy. Po chwili skończyła się płyta From Nashville to Memphis, która towarzyszyła nam z domu do „21 Choices”, a potem do klubu tenisowego, po czym rozpoczęła się znowu od pierwszego kawałka. Nie do pomyślenia w samochodzie mojego ojca! Głosił pogląd, iż gdy ktoś słucha tej samej płyty w kółko, przestaje dostrzegać jej niuansy.

– Maestro? – zwrócił się do mnie.

– Już nad tym pracuję – zapewniłam. Otworzywszy właśnie schowek i przerzucałam płyty Elvisa. Wyciągnęłam „Elvis at the Movies”, przenosząc nas tym samym w odległe lata sześćdziesiąte. Rozległy się dźwięki „All That I Am”, a mój ojciec zaczął postukiwać palcami w rytm piosenki, wyraźnie zadowolony.

– Świetny wybór, słoneczko – pochwalił mnie, spojrzał też na mnie i kiwnął głową z uznaniem. – Czy wiesz, że to jedna z moich ulubionych Jego piosenek?

Ojciec tak zawsze o nim mówił, że wydawało się, jakby mówił z dużej litery. Kiedyś, ku świętemu oburzeniu mojej babci, która akurat była u nas z wizytą, powiedział: „Mam nadzieję, że Bóg istnieje. Ale co do tego, że istnieje Elvis, mam pewność.”

– Moja też – powiedziałam od razu, bo od razu tak postanowiłam.

Ojciec roześmiał się, pochylił się w moją stronę i poczochnął mi włosy, na co zrobiłam niby to obrażoną minę, a potem je przyglądałam.



Ktoś zastukał w tylną szybę. Odwróciłam się, zobaczyłam Charlie'ego; miał na ramieniu torbę z rakietą, a poza tym był zmęczony i nadąsany. Ojciec odblokował zamek, Charlie siadł z tyłu, zapiął pas na środkowym siedzeniu.

– Cześć, mistrzu – odezwał się mój ojciec. Odpalił silnik. – Jak tam trening?

– Słabo – odparł Charlie.

– Dlaczego słabo? – spytałam z kolei ja, odwracając się w jego stronę.

– Bo tak. Jasne? – odparował. Odgarnął z czoła mokre od potu włosy. – Nie wiem, czy dalej chcę się w to bawić. No, bo niby po co?

– Po to – pouczył go ojciec – żeby lepiej opanować pewną umiejętność, która nie jest dostępna każdemu. A skoro masz okazję, żeby rozwijać wrodzony talent, byłoby zbrodnią tego nie robić. Uważam, że to przejaw słabości, jeżeli ktoś rezygnuje ze swojej szansy tylko dlatego, że wymaga to ciężkiej pracy. Zgadza się?

Charlie odchylił się do tyłu.

– A dlaczego Amy nie musi grać w tenisa?

Westchnęłam ciężko. Charlie do znudzenia przytaczał ten argument w najrozmaitszych wariantach, robił to za każdym razem, kiedy groził, że rzuci tenisa. To ciągnęło się już od prawie dwóch lat i zaczynało robić się nudne.

– Dlatego, że Amy nie lubiła tenisa – przyznał mój ojciec.

– Nie lubiłam, ale ciuchy mi się podobały – zaznaczyłam. Bawiłam się w to przez parę lat tylko dlatego, że co roku matka kupowała mi nowy strój do tenisa. I te stroje naprawdę lubiłam. Jednak po jakimś czasie dotarło do mnie, że nie warto spędzać długich godzin, usiłując trafić we włochatą żółtą piłeczkę tylko po to, żeby dostać białą sukienkę.

– To prawda – przytaknął z uśmiechem mój ojciec.

– Już byliście już w „21 Choices”? – spytał Charlie. Pochylił się do przodu, bo zauważył zmięte serwetki na konsoli. – Myślałem, że pójdziemy tam wszyscy razem po moim treningu!

– Wybacz, mistrzu – odpowiedział ojciec. Zerknął we wsteczne lusterko. – Twoja siostra nalegała, żeby zajrzeć tam wcześniej. Ale to przecież nie problem, możemy zajechać drugi raz.

– Nieważne – mruknął Charlie. Opadł ciężko na siedzenie i wyjrzał przez okno. – I tak nie chciałem tam jechać.

Popatrzyłam w lusterko na mojego brata. Między nami jako bliźniaczym rodzeństwem nigdy nie było żadnej tajemnej więzi ani porozumienia, o jakich czyta się w książkach. Mało tego, najczęściej żarliśmy się o coś, czego nawet nie potrafiliśmy określić, więc żadne z nas nie mogło wygrać.

– Musimy w kółko tego słuchać? – odezwał się Charlie po kilku minutach ciszy zapewnionej tylko śpiewem Elvisa. – Słuchamy tego bez przerwy. Mam już dosyć.

Powiedzieć coś takiego w samochodzie mojego ojca to jakby rzucić bluzgiem przy nauczycielu. Poczułam, że mój puls trochę przyspieszył. Czy Charlie zdaje sobie sprawę z tego, co robi?

– Ejże, ejże – zaproponował mój ojciec, skręcając jednocześnie w lewo. Skojarzyłam tymczasem, że mijamy Uniwersytet i kierujemy się do centrum, a więc nie w stronę domu. – Nie wolno ci wypowiadać się o Królu w tak lekceważący sposób. Winienes okazać mu nieco szacunku, młody człowieku.

– Uważam, że jego muzyka jest głupia – bąknął Charlie, ale zrobił to znacznie ciszej. Chyba sam zrozumiał, że posunął się zbyt daleko.

– Tu chodzi nie tylko o muzykę, synu – odpowiedział mój ojciec. – Chociaż głównie o muzykę. Jednak również o to, co sobą reprezentował. Zresztą zobaczysz. Któregoś dnia wszyscy wybierzemy się do Graceland, wtedy zobaczysz.

– Wszyscy troje? – zdziwił się Charlie.

Ojciec zaśmiał się, sytuacja jakby nieco się rozładowała.

– Może nawet wszyscy czworo, o ile zdołam namówić na to waszą matkę. Ja już kiedyś tam byłem, wiele lat temu. Ba, podpisałem się na murze.

Popatrzyłam na mojego ojca, kątem oka spostrzegłam, że

nawet mój brat jest zaskoczony.

– Ty podpisałeś się na ścianie? – spytałam, cała w szoku. – Na ścianie domu Elvisa?

– Wszyscy to robią – odpowiedział ojciec i zaśmiał się. Skręcił znowu, zorientowałam się, dokąd jedziemy, ale Charlie chyba jeszcze tego nie załapał. – Pewnie starli mój podpis całe lata temu. Ale chciałbym tam powrócić i zobaczyć, może przypadkiem jeszcze tam jest.

– Super – stwierdził Charlie. – Ja też będę mógł?

– Jasne – powiedział mój ojciec. – I ty też, Amy.

– Ja nie. Dziękuję – oświadczyłam, co sprawiło, że roześmieli się obaj – mój ojciec i Charlie. Wcale mi to nie przeszkadzało. Niekiedy miałam wrażenie, że nasza trójka potrafi porozumieć się tylko wtedy, kiedy oni dwaj razem się ze mnie nabijają.

– No, dobrze – stwierdził mój ojciec. – Ktoś w tej rodzinie musi przestrzegać prawa. W każdym razie chcę, żebyście wiedzieli: kiedy umrę i zasile niebiańskie ciało pedagogiczne, życzę sobie, żebyście rozsypali moje prochy w Graceland. Bo tam właśnie zamierzam się znaleźć. Razem z Królem w Jungle Room.

– Nie opowiadaj takich rzeczy – skarciłam go, trochę ostrzejszym tonem, niż zamierzałam.

– Kochanie, przecież tylko żartuję – powiedział. – Nie bierz sobie tego do serca – skinęłam głową, odetchnęłam głębiej. Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam, że zajeżdżamy na wolne miejsce do parkowania przed samym wejściem do „21 Choices”. – Patrzcie, ale nam się trafiło! – zawołał mój ojciec, niby to zdumiony i zaskoczony. – Szkoda, żeby zmarnowało się takie wyśmienite miejsce na parking. To jak, kto ma ochotę na deser?

Miejsca i miejscowości...

**stan #6:** MISSOURI; „Pokażcie mi...”

**dewiza:** SALUS POPULI SUPREMA LEX ESTO („Niech dobro ludu będzie najwyższym prawem”)

**wielkość:** też duży

**ciekawostki:** kojarzące się z Missouri powiedzonko „Pokażcie mi.. przypisuje się pewnemu kongresmenowi, który stąd pochodził i nie wierzył w piękne słówka (= nie dawał sobie wciskać kitu) – i w gruncie rzeczy oznacza to, że ludzie z Missouri nie mają zaufania do innych, więc żądają konkretnych dowodów na to czy tamto» Pogratulować, natomiast chyba trudno tu być medium parapsychologicznym albo magikiem»

**uwagi:** Nazwę wymawia się na dwa sposoby: „mizori” oraz „mizora”.

Miejsca i miejscowości...

**stan #7: ILLINOIS**

**dewiza:** Suwerenność Stanu – Jedność Narodu

**wielkość:** też całkiem duży

**ciekawostki:** Spora część stanu to preria.

**A jego mieszkańcy to Illinoisans. Niesamowite.**

**uwagi:** Rozglądałam się za drewnianymi chatami osadników na prerii, ale nie widziałam ani jednej, może nie zachowały się przy tej akurat autostradzie...



**stan #8: INDIANA – The Hoosier State»** „Hoosier” to taki zadziorny zuch, który dopytuje się „who’s here”<sup>3</sup>, zanim ustrzeli intruza!

**Rozstaje Ameryki**

**nie tak duży jak Missouri**

**Jeżeli zdarzy wam się jechać przez Indianę z Rogerem NIE pozwalajcie mu opowiadać o filmie zatytułowanym The Hoosiers, bo POŻAŁUJECIE TEGO»**

**Mam wrażenie, że traktuję Indianę trochę po macoszemu, ale to dlatego, że przez ten stan po prostu tylko przejechaliśmy» W każdym razie knajpki przy drodze – WYŚMIENITE»**

## Playlista Rogera #7

„Missouri - Illinois - Indiana - Kentucky”, czyli „Kiedy Amy zostanie didżejem? KIEDY?”, czyli tysiąc pięćset mil za czterysta dolarów...

### TYTUŁ

### WYKONAWCA

„Come On! Feel the Illinoise!”	Sufjan Stevens
„Going Back to Indiana”	Jackson 5
„The Trick to Life”	The Hoosiers
„No More Runnin”	Animal Collective
„Globes & Maps”	Something Corporate
„All Hail the Heartbreaker”	The Spill Canvas
„Old Flames”	Harlem Shakes
„Don't Wake Me Up”	The Hush Sound
„My Beautiful Rescue”	This Providence
„Beating Heart Baby”	Head Automatica
„Song in My Head”	Sherwood
„Nightswimming”	R.E.M.
„Ulysses”	Franz Ferdinand
„Good Arms vs. Bad Arms”	Frightened Rabbit
„Late in the Evening”	Paul Simon
„After Hours”	Caribou
„The Good Ones”	The Kills
„Sunlight in a Jar”	The Lucksmiths
„Where the Story Ends”	The Fray

DZIEWCZYNY, CHŁOPAKI I KURCZAKI Z KENTUCKY



*We will sing one song for the old Kentucky home.*  
*– Hymn stanu Kentucky*

- Przekąski? – spytał Roger. Włączył silnik.
- Przekąski gotowe – powiedziałam i potrząsnęłam torbą, którą właśnie nabyliśmy wraz z zawartością w MO Mart. Fajna rzecz, taka lista kontrolna przed startem – zabawa, przy której poczułam się trochę jak dawna ja.
- Napoje? – spytał.
- W zasięgu ręki – oświadczyłam. Ustawiłam waniliową colę i piwo korzenne w naszych uchwytych na kubki. Poluzowałam zakrętkę od piwa, bo trudno było je otwierać Rogerowi jedną ręką.
- Muzyka? – brzmiało kolejne pytanie.
- Załatwione – powiedziałam i spojrzałam na niego. – O ile załatwiłeś.
- Owszem – powiedział, przesuwając przy tym tytuły na ekraniku iPod'a. – Ale poważnie, mam już dosyć mojej własnej muzyki. Teraz kolej na ciebie.
- Ależ podoba mi się twoja muzyka – stwierdziłam. W dodatku, ku mojemu nieustającemu zdumieniu, była to prawda. Okazało się, że muzyka tych kapel o dziwnie brzmiących nazwach nadaje się do słuchania, a nawet do nucenia. Wprost niewiarygodne, że uchowałam się tak długo, nie znając zespołu The Lucksmiths. Co prawda, trochę już się stęskniłam za moimi musicalami.
- Okulary przeciwsłoneczne – rzekł Roger, wkładając je na nos. Spojrzał znad nich w moją stronę. – Nie wiem, czy zauważyłaś, ale w MO Mart był całkiem niezły wybór, zaledwie trzy dolary za parę.
- Nie trzeba – stwierdziłam, kręcąc głową. Roger najwyraźniej uznał mój upór w tej mierze za swoiste wyzwanie. Jednak naprawdę nie chciałam kupować ciemnych okularów. Jakoś wydawało mi się to nie w porządku.

– No, dobrze – powiedział. – Jedziemy?  
– Jedziemy – potwierdziłam. Roger włączył kierunkowskaz, wyjechaliśmy z parkingu przy sklepiku. Znow znalazliśmy się na szosie międzystanowej.



– Mężczyzna? – spytałam godzinę później, kiedy jeszcze wciąż za oknami odjeżdżał w tył nieco pochmurny krajobraz Missouri.

– Pudło – stwierdził Roger, sięgnął po telefon, zerknął na niego i skrzywił się. – Dziewiętnaście.



– Mówię ci, że na pewno jesteś w stanie to zrobić – zachęcałam go. – Wystarczy zrobić dzióbek z ust i spróbować.

– A ja ci mówię – odparł z uśmiechem – że wbrew temu, co twierdzi twój T-shirt, nie każdy może gwizdać. Na przykład ja nie mogę.



– Co to może być „Chickfil-A”? – spytał Roger, kiedy zjechaliśmy z szosy na parking.

– Nie mam pojęcia – odparłam. – Nie lepiej poczekać, aż trafi się jakiś fajny diner?

– Ech. Ty i twoje diners – potrząsnął głową.

Byłam z grubsza tego samego zdania o wybieranych przez niego fast-foodach, zachowałam je jednak dla siebie.

– To pewnie ma być „filet”, tylko ktoś to tak fikuśnie napisał – wyraziłam przypuszczenie. Podziwiałam czerwony szyld i zaokrąglone litery. – Może. Ale naprawdę nie wiem.

– Nie szkodzi. Wyjdźmy przygodzie na spotkanie!

Zajechaliśmy więc na spotkanie nowej przygody kulinarnej,



nie pod samą knajpkę, tylko ustawiliśmy się w kolejce samochodów do okienka, z którego dawali żarcie bezpośrednio do wozu. Taka tradycja utarła się chyba od naszego pierwszego wspólnego posiłku w „In-And-Out”, tak czy inaczej, za każdym razem, kiedy Roger stawiał na swoim i zdecydowaliśmy się na fast-foody, prawie zawsze braliśmy na wynos i jedliśmy w samochodzie. Podjechał do głośnika, z którego słychać było syki i trzaski. Wychylił się.

– Halo. Jesteśmy tu pierwszy raz. Co państwo by nam polecili?

Po dziesięciu minutach staliśmy już na parkingu. Ostrożnie spróbowałam mojej kanapki z kurczakiem.

– O rany – wymamrotałam z pełnymi ustami. Smakowicie przyprawiony kurczak w panierce i w mięciutkiej bułeczce. Do tego wzięliśmy na spółkę porcję pikantnych frytek. Spojrzałam na Rogera, prawie już uporał się ze swoją kanapką. – Ale pycha!

Roger uśmiechnął się i pokiwał głową.

– Nie powiem „a nie mówiłem” – odpowiedział. – Ale...



– Podsumowując – powiedziała i przerwałam, żeby upić łyk coli – o ile dobrze zapamiętałam, chodzi o kobietę, która przypuszczalnie nie żyje, jest sławna i jest kimś w rodzaju odkrywcy, tak?

– Zgadza się – stwierdził. Opuścił zasłonę przeciwsłoneczną, bo światło właśnie przebiło się przez chmury. – Odpowiedź jest bliżej, niż myślisz. Szesnaście.



Podczas gdy ja zachodziłam w głowę, o kogo może mu chodzić w tej rundzie dwudziestu pytań, Roger sprawdził telefon. Potem go odłożył na półeczkę za pojemnikami na kubki, ale wkrótce jakby stoczył wewnętrzną bitwę i ją przegrał, bo znów sięgnął po aparat, aby popatrzeć na ekran i przekonać się, że tego

czegoś, co chciał zobaczyć, jednak naprawdę tam nie ma.



– Nie możesz wiedzieć, dopóki nie spróbujesz – poinformowałam go, gdy za oknami odjeżdżał w tył krajobraz Illinois. – Robisz ustami taki dzióbek, o... – i zademonstrowałam mu, pogwizdując melodię piosenki śpiewanej przez Paula Simona.

– Właśnie że próbowałam – powiedział Roger. – Nie każdy może być taki utalentowany jak ty.



– Indiana – oznajmiłam na widok tablicy za oknem; przekraczaliśmy więc kolejną niewidzialną granicę między stanami. – „The Hoosier State” – odczytałam.

– Ejże – Roger ożywił się, odłożył telefon na miejsce i popatrzył na mnie. – Widziałaś ten film? Mam na myśli The Hoosiers?



Robiło się coraz goręcej. Promienie słońca paliły niemiłosiernie i świeciły prosto w oczy, tak że i ja opuściłam zasłonę. Nie mogłam sobie darować, że tego ranka włożyłam akurat czarną bluzkę. Wyciągnęłam ramię i ujrzałam, że już pojawiły się na nim pierwsze piegi.

– No, to posłuchaj. Jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty pierwszy – zaczął Roger. – Gene Hackman jest trenerem szkolnej drużyny koszykówki w Indianie. Są najslabszą drużyną w lidze. Nikt się nie spodziewa, że wygrają chociaż jeden mecz, nie mówiąc już o całych mistrzostwach.

– A jednak wygrywają? – odgadłam.

Roger spojrział na mnie ze zdziwieniem.

– Zaraz. Mówiłaś, że nie znasz tego filmu?



– Nie, nie rozumiem – powiedziałam godzinę później. Wyciągnęłam się w fotelu, położyłam nogi na desce z przodu, odgarnęłam włosy z karku. W samochodzie zrobiło się naprawdę gorąco. Początkowo spierałam się z Rogerem, czy włączyć klimę (on był za klimą), czy po prostu otworzyć okna (jak ja tego chciałam). Musiałam jednak po jakimś czasie przyznać, że przy tym skwarze otwarte okna nie wystarczają. Zasupełam szybę po swojej stronie, a Roger włączył klimatyzację.

– Czego nie rozumiesz? – zainteresował się Roger. Zbliżył się do wielkiej ciężarówki, nasz samochód znalazł się w jej cieniu i od razu zrobiło się znacznie chłodniej.

– Jak ktoś może „przypuszczalnie” nie żyć?

– Zdajesz sobie sprawę, że to się liczy za pytanie, prawda? – rzucił. – Piętnaście.

– A gdzie odpowiedź?



– A wtedy Shooter – czyli Dennis Hoppe – którego wszyscy już skreślili, zaczyna prowadzić treningi razem z Gene Hackmanem. I nikt nie wierzy, żeby z tego coś miało wyjść. Wszyscy go mają za frajera.

– Może dlatego, że tak głupio się nazywa. Shooter... – podsunęłam.

Roger zmarszczył gniewnie brwi.

– Amy – rzekł surowym tonem – to jest bardzo ważny film.

– To może powinnam sama go zobaczyć – zaproponowałam.

– A nie usłyszeć ze wszystkimi szczegółami, o co w nim chodzi.

– W końcu nadchodzi dzień meczu – ciągnął niezrażony moimi obiekcjami Roger. – Nikt nie wierzy, że wygrają...



Zdałam sobie z tego sprawę mniej więcej po godzinie jazdy przez Indianę. Zdażyłam jeszcze przedtem dowiedzieć się, że nieszczęśnicy, których uważano za najsłabszą drużynę, ku zaskoczeniu wszystkich wygrali i ci, którzy w nich nie wierzyli, nie mieli racji. A potem Roger postukiwał sobie palcami w kierownicę i spojrzął na telefon, a ja wyjrzałam przez okno – rozważając, jakie znam przypuszczalnie nieżywe kobiety, które były czymś w rodzaju odkrywcy – kiedy nagle zdałam sobie sprawę, że jesteśmy wolni. Nie wiem, dlaczego trwało tak długo, zanim to do mnie dotarło, ale w końcu jednak pojęłam to i serce zabiło mi mocniej, tym razem z podniecenia. Nie musiałam już się zamartwiać tym, że okłamuję moją matkę. Jasne, narobiłam sobie kłopotów i trochę cienko staliśmy z kasą, ale w zamian za to zyskaliśmy swobodę. Mleko już się rozlało. Teraz mogliśmy zrobić cokolwiek – jechać dokądkolwiek, dokąd tylko zechcemy. Przemierzaliśmy Amerykę. Mieliśmy samochód, jeszcze trochę forsy na benzynę i cel. Droga przed nami stała otworem. Patrzyłam sobie na łagodne, zielone wzgórza za oknem i ujrzałam w bocznym lusterku swój własny uśmiech.



– Amelia Earhart? – zawołałam, kiedy wreszcie dałam za wygraną i poddałam się. – Mówisz poważnie?

– A co? – zdziwił się. – Przecież w końcu nie wiadomo, czy zginęła, czy nie. Tylko tak przypuszczamy. Wolę myśleć, że wylądowała na jakiejś fantastycznej wyspie pośród mórz południowych i od siedemdziesięciu lat wyśmienicie się bawi – zerknął na mnie, uśmiechnął się. – Mówiłem ci, że odpowiedź jest bliżej, niż myślisz. Amelio.



Cztery piosenki później oparłam głowę o okno z mojej strony i popatrzyłam na niego. Właśnie przeczesywał włosy palcami, a jak zauważyłam, robił to, kiedy był zdenerwowany. Odnosiłam wrażenie, że wiąże się to jakoś z faktem, iż powoli, lecz w sposób nieunikniony zbliżaliśmy się do Kentucky.

– No – zaczęłam, bo nie bardzo wiedziałam, jak zacząć. – Hadley.

Zgrzyt straszny, ale co właściwie miałam powiedzieć?

– No – odparł Roger i znowu przeczesał włosy palcami.

– Denerwujesz się? – spytałam. – Zastanawiasz się, jak to będzie, kiedy się spotkacie?

– No, trochę – przyznał. Spojrzał na mnie z ukosa, jakby zaskoczony, że poruszam ten temat. – W sumie nic dziwnego, niezapowiedziana wizyta to zawsze ryzyko. Wiadomo, nie?

– Przecież do niej dzwoniłeś, prawda?

– A i owszem. Nie raz. Ostatnim razem nagrałem się i powiedziałem, że będę w jej okolicy. Tylko że ona nie oddzwania.

– A może... – odezwałam się ostrożnie, starając się dobierać odpowiednie słowa. – No, nie wiem. Skoro nie oddzwania, należy to uznać za coś w rodzaju odpowiedzi?

– Jasne, wiem – odparł. – Kumam. Jednak muszę spróbować. Jeżeli nie będzie chciała ze mną gadać ani się ze mną spotkać, nie ma problemu. Ale przynajmniej będę wiedział, że próbowałem coś zrobić w tej sprawie.

– Jasne. To twoja misja – powiedziałam, bo przypomniałam sobie, co mówił Drew o nim i o Don Kichocie.

– Chyba tak, coś w tym rodzaju – przyznał Roger. – Po prostu chcę poznać kilka odpowiedzi, nic więcej.

– To może ja zadam kilka pytań? – zaproponowałam. – Na przykład pięć?

Roger rzucił okiem w moją stronę.

– Przeczuwałem, że to się na mnie zemści – powiedział.

Westchnął i wyłączył muzykę. – Dobra. Wal.

– Jesteś pewien?

– A wiesz, że to się liczy za pierwsze pytanie? – powiedział.

– Niech będzie – zgodziłam się. Zdałam sobie sprawę, że muszę to przeprowadzić bardzo ostrożnie. W dodatku, chociaż chciałam dowiedzieć się czegoś więcej o Hadley, jednocześnie wcale nie chciałam słuchać, jak Roger o niej mówi. Ale przecież w końcu wybraliśmy się na wyprawę, aby odnaleźć tę dziewczynę, tymczasem słyszałam o niej tylko od Drew i od Bronwyn. Postanowiłam więc spróbować. Skoro on mógł zadawać pytania, ja też mogłam.

– Kochasz ją?

– O, cholera – odpowiedział i potrząsnął głową. – Kawa na ławę, co?

– Przepraszam – odpowiedziałam, myśląc, że może jednak trochę przesadziłam. – Przeginam?

– To już trzy pytania, jak pewnie wiesz – stwierdził Roger. – Nie, nic nie szkodzi. Ja... Czy ja wiem?

Cisza, która zapanowała w samochodzie, trwała znacznie dłużej niż normalnie. Coś w stylu i na poziomie Harolda Pintera. „Amy!” przypuszczalnie nie omieszkałaby tej ciszy wypełnić szczebiotem. Chociaż prawdę mówiąc, „Amy!” w życiu by takiego pytania nie zadała. Wbiłam paznokcie w dłoń, żeby zmusić się do cierpliwości i czekać na odpowiedź. Jednak Roger tylko patrzył przez okno, więc odczekałam jeszcze trochę i nie mogłam już wytrzymać.

– Roger? – ponagliłam go.

– To już cztery pytania – powiedział. – Kiepsko ci idzie.

– Oszukujesz – stwierdziłam. Najważniejsze, że milczenie zostało przerwane.

– Ja tylko idę za twoim przykładem – odparł. – A więc, czy ją kocham? Myślisz, że tak łatwo określić, co?

Co mu miałam na to odpowiedzieć? Przecież nie miałam pojęcia.

– Nie wiem – odpowiedziałam zgodnie z prawdą i uważając,

żeby wypowiedzieć te słowa zwyczajnym, spokojnym głosem.

Westchnął, zmienił pas.

– Gdybyś spytała mnie o to miesiąc temu, z pewnością odpowiedziałbym, że tak. Nawet jej to powiedziałem.

– Powiedziałeś?

– No i proszę, już pięć pytań – podsumował. – Owszem, tak. Nie była to najszcześniejsza chwila mojego życia.

Chciałam go zapytać, dlaczego nie, ale przecież skończyły mi się pytania. Roger zerknął na mnie i chyba zdał sobie z tego sprawę, bo uśmiechnął się blado i dokończył:

– Nie odwzajemniła mi się tym samym – wyjaśnił ściszym głosem.

– Och – wyrwało mi się. Nigdy nie wyznawałam nikomu miłości, ale wydawało mi się, że kiedy powie się coś takiego i nie usłyszysz się w odpowiedzi: „ja też cię Kocham”, to musi być powalający cios.

– No – mruknął Roger. – Uśmiechnęła się tylko i pocałowała mnie, ale nie powiedziała ani słowa. I chyba właśnie wtedy wszystko zaczęło się zmieniać. Nie wiem, może ją spłoszyłem, czy co. Hadley nigdy nie przejawiała skłonności do nadmiernego okazywania uczuć. Może przesadziłem i po prostu to było dla niej zbyt wiele... – jego głos ucichł, czekałam tak długo, jak tylko zdołałam wytrzymać, nim spróbowałam znowu:

– Jeszcze jedno, ostatnie pytanie? – zaproponowałam.

– Dawaj – odpowiedział. – Ale kiedy przyjdzie kolej na ciebie, też będę miał prawo do bonusowego pytania. W porządku?

– Może być – odpowiedziałam. Patrzyłam na niego i próbowałam wykombinować, jak to wszystko ująć. Nie byłam po prostu pewna, czy Roger miał jakąś wizję – poza tym, żeby pojechać do Kentucky. Nie wiedziałam, czy przemyślał, jak to właściwie będzie, kiedy już tam się znajdziemy. A być może myślenie na zapas to zadanie, które należy właśnie do nawigatora, nie do kierowcy? Tak czy siak, trochę się niepokoiłam. – Kiedy już tam będziemy, co powinno się zdarzyć? Czego byś chciał?

Roger popatrzył na mnie, potem znów przed siebie, na szosę.

– Nie jestem pewien – odezwał się po dłuższej chwili. – Nie wiem.

Ta odpowiedź przez chwilę zawisała w próżni między nami, a potem podkręcił znów muzykę. Jechaliśmy dalej.



Kiedy od Kentucky dzieliło nas już tylko około godziny jazdy, nagle odezwał się telefon Rogera. Popatrzyliśmy oboje na ten jakże istotny przedmiot między nami, dzwoniący i wibrujący. Na wyświetlaczu pojawił się napis DZWONI HADLEY. Podałam aparat Rogerowi. Był blady, o wiele bledszy niż chwilę wcześniej. Zaczerpnął tchu i odebrał.

– Halo – odezwał się, nagle jakby dużo niższym głosem. Gapiłam się przez okno, żeby nie wyglądało, że podsłuchuję, ale przecież nie mogłam nie słyszeć.

– No, hej – powiedział. – Otóż sytuacja jest taka, że właściwie zaraz będę w Kentucky. Nie byłem pewien, czy jesteś w domu...

– Roger popatrzył na mnie, potem znów na drogę. Odkaslnął.

– Jestem ze znajomą – dodał. Poczulałam, że się kurczę w sobie. Nie bądź śmieszna, kretynko – skarciłam samą siebie, nadal gapiąc się przez okno. Przecież właśnie tym jesteś: znajomą. Powinnaś być zadowolona. Użył właściwego słowa we właściwym kontekście. I koniec. – No, dobrze, dobrze – powiedział, chyba mu przerwała, bo zmarszczył brwi i umilkł. Słuchał. – Ale będziesz? – spytał. – Bo jeżeli będziesz, to chętnie bym się z tobą spotkał. – przerwał znowu, znowu nic nie mówił i znowu słuchał. – Aha. Czyli po prostu mam zadzwonić, kiedy dojadę do Louisville? – spytał, tym razem w jego głosie usłyszałam coś na kształt zniecierpliwienia. – W porządku – powiedział po kolejnej krótkiej przerwie. – Jak dla mnie, może być – rozłączył się, bez pożegnania, co już mnie nie zdziwiło. Popatrzył na mnie. – To Hadley – oznajmił, całkiem niepotrzebnie.



Teraz wymawiał jej imię jakoś inaczej, bez takiego zachwyty jak parę dni wcześniej. Nie brzmiało to już, jakby jej imię składało się z samych najcudniejszych liter alfabetu.

– Tak przypuszczałam – zabrzmiała moja odpowiedź. Czekałam, żeby Roger coś opowiedział o tej rozmowie, ale milczał i tylko gapił się na drogę ze zmarszczonym czołem. – No, i co powiedziała?

Roger westchnął.

– Właściwie nic. Żadnych konkretów, czyli jak zwykle. Zawsze strasznie trudno było się z nią umówić. Powiedziała, że może będzie, ale nie jest pewna i że bym zadzwonił, kiedy dojedziemy do Louisville.

– Ona tam mieszka, tak?

Roger zaprzeczył ruchem głowy.

– Kawałek za miastem – wyjaśnił. – W Dolinie Kolibrów.



Po godzinie przekroczyliśmy granicę stanu Kentucky, jak głosił napis na tablicy – THE BLUEGRASS STATE<sup>4</sup>. Roger zajechał na stację benzynową – sieci Git'n'Go, nigdy przedtem takiej stacji nie widziałam – i sięgnął po telefon. Rozprostowałam nogi, poszłam sobie do łazienki, potem kupiłam napoje oraz mapę samochodową Kentucky, tak na wszelki wypadek. Kiedy wróciłam do samochodu, Roger ciągle jeszcze w nim siedział, gapił się tylko na ekran telefonu.

Zatrzasnęłam drzwi, rozsiadłam się w fotelu, podałam mu piwo korzenne.

– No, i co? – spytałam.

– Znowu nie odbiera telefonu – odpowiedział. Westchnął i wyjrzał na szosę. – Głupio by było przejechać taki kawał i żeby nic z tego nie wyszło. – Nie bardzo wiedziałam, co na to odpowiedzieć, więc tylko upiłam łyk coli waniliowej. – Chyba powinniśmy jechać dalej – stwierdził.

– W porządku – odpowiedziałam, trochę zdziwiona, że tak łatwo się poddał. Ale to w końcu jego wybór, a ja już byłam gotowa, żeby określić nową marszrutę. Sięgnęłam po atlas. – To dokąd jedziemy?

– Nie – sprostował, patrząc na mnie. – Chodzi o to, że powinniśmy jechać do niej, do jej domu.

– Aha – odpowiedziałam. Nie byłam przekonana, czy to rzeczywiście taki świetny plan, ale nie wiedziałam, jak powiedzieć o tym Rogerowi, nie dając mu jednocześnie do zrozumienia, że jest kimś w rodzaju stalkera. Potrafiłam jednak sobie wyobrazić, jak bym się poczuła, gdyby nagle w moich drzwiach pojawił się Michael. – Wiesz co, Roger? To chyba nie jest najlepszy pomysł.

Roger znów westchnął ciężko, przygarbił się nieco.

– Jasne, wiem – odparł. – Ale co mamy robić? Stać na parkingu Git'n'Go i czekać na jej telefon? – potrząsnął głową. – Ona zawsze wykręca takie numery... – urwał, znów popatrzył na telefon. – Po prostu podjedziemy bliżej. Przynajmniej będę wiedział, że spróbowałem. Że zrobiłem, co się dało. Bo wiesz, znając ją, może oddzwonić za trzy dni. Albo nigdy.

Już otworzyłam usta, żeby spróbować go przekonać i zniechęcić do takiego planu, jednak kiedy ujrzałam wyraz jego twarzy, dałam sobie spokój. Był zdeterminowany, nigdy nie widziałam, żeby tak bardzo mu na czymś zależało – nawet kiedy chodziło o Chickfil-A. Zresztą przecież pewnie wcale nie chciał jechać do Yosemite, tylko zorientował się, że dla mnie to było ważne. Na pewno miałam mniej więcej taką minę, jak on teraz.

– Dobra – powiedziałam i zaczęłam rozkładać mapę Kentucky. – Jedziemy.

Roger popatrzył na mnie, zdziwiony – potem uśmiechnął się lekko.

– Dzięki – powiedział.

– Nie ma sprawy – rzuciałam, przyglądając się już mapie. – Dolina Kolibrów, powiadasz?

– Tak – potwierdził. Włączył kierunkowskaz, wjechał na szosę. Podał mi swój telefon. – Hadley Armstrong. Mam jej adres

w telefonie, bo kiedyś podczas ferii świątecznych wysłałem jej kwiaty.

– To bardzo miłe – zauważyłam, spoglądając na niego.

– Też tak myślałem – odpowiedział Roger z uśmiechem – ale okazało się, że dziewczyny nie lubią czerwonych róż.

Bardzo mnie to zdziwiło.

– Poważnie? – spytałam. – Ja na przykład zaliczam się do dziewczyn i nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Nie żartuj? – uniósł brwi. – Zareagowała tak, jakbym popełnił jakąś zbrodnię przeciwko rodzajowi kobiecemu.

Wzruszyłam ramionami.

– Ja tam uważam, że kwiaty są miłe i przyjemnie jest je dostawać – stwierdziłam. – Poza tym liczy się intencja. Że o kimś pamiętasz.

– Nawet jeżeli daję temu wyraz w najbanalniejszy z banalnych sposobów? Nawiasem mówiąc, to jest cytat.

– Tak powiedziała? – spytałam, bo nie mogłam w to uwierzyć.

– Owszem – odpowiedział. – Na walentynki dostała ode mnie czekoladę. Nie śmiałem nawet popatrzeć na kwiaty. Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu wstąpię do kwaciarni, a poza tym...

– Zjedź teraz na prawy pas – przerwałam mu, bo trochę za późno zauważyłam zjazd do Louisville i właśnie była ostatnia chwila, żeby jeszcze zdążyć.

– Co, już? – spytał, ale jednocześnie od razu zaczął wykonywać odpowiedni manewr.

– Tak – potwierdziłam. – Wybacz – spojrzałam na mapę. – W porządku. Najpierw przejedziemy przez Louisville, potem ta szosa powinna nas wyprowadzić prosto do Doliny Kolibrów. Będziemy na miejscu za jakieś pół godziny.

– „Lu-wal” – odezwał się Roger.

– Słucham?

– Wymówiłaś „Lu-i-will”. Prawidłowa wymowa to „Lu-wal”. Możesz mi wierzyć, zostałem odpowiednio wyszkolony pod tym

względem.

– „Lu-wal” – powtórzyłam. – Teraz dobrze?

– Pięknie – pochwalił mnie.

Jechaliśmy więc przez przedmieścia „Lu-wal”; objazd wiódł na północ od centrum. Zaczynało się ściemniać, słońce właśnie zaszło, na cały świat spłynęła błękitna, mroczna poświata. Pięknie to wyglądało, chociaż trudniej było podziwiać widoki.

Zauważyłam jednak po mojej stronie wielki stadion Slugger Field.

Mniej więcej dwadzieścia minut po tym, jak opuściliśmy Louisville, zauważyłam drogowskaz: „Dolina Kolibrów”.

Poprowadziłam Rogera – zjechał z międzystanowej i wkrótce zupełnie jakbyśmy się znaleźli w jakimś innym świecie. Po obu stronach ciągnęły się łagodne, porośnięte zielenią wzgórza, było ciemno, cicho, a w powietrzu unosił się świeży zapach. Stan Kentucky pachniał cudownie – jak świeża trawa. Jak lato.

Opuściłam szybę po mojej stronie i rozkoszowałam się powietrzem. Nagle zdałam obie sprawę, że przecież już jest lato. Szok. Zaczęła się nowa pora roku, a ja tego nawet nie zauważyłam.

Wypatrywałam, ale żadnych domów nie było widać, tylko połacie zieleni przecinane tu i ówdzie białym płotem.

– Czy to jest miasto? – spytałam Rogera. – Czy tu w ogóle ktoś mieszka?

– Owszem – usłyszałam odpowiedź. – To jest miasto, właściwie miasteczko. Mieszka tu tylko dwieście osób.

Odwróciłam się od wzgórz migających w szybko zapadającym mroku i popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– Poważnie?

– Jak najpoważniej – odpowiedział i zaśmiał się, jakby z lekkim zażenowaniem. – Witaj w najbogatszym mieście Kentucky. I jednym z najbogatszych miast w Stanach Zjednoczonych.

– Ale nie widać żadnych domów – stwierdziłam, znów rozglądając się dookoła.

– Z tego, co wiem, znajdują się w głębi – odpowiedział Roger i wykonał nieokreślony gest ręką. – Dalej od drogi – spoglądał przez szybę, mrużąc oczy. – Poza tym chyba nie należy

w tym wypadku mówić o domach, tylko o rezydencjach.

– O rany – powiedziałam, teraz i ja się spieszyłam. – Coś mi mówi, że to już nie Kansas.

– Dorotko, co ty opowiadasz.<sup>5</sup>

Przewinęłam listę kontaktów na telefonie Rogera, znalazłam adres Hadley – 1205 Westerly Road – i wskazałam Rogerowi kierunek, w którym chyba powinniśmy pojechać. Kiedy odszukaliśmy ulicę, co było tym trudniejsze, im bardziej się ściemniało, Roger zwolnił, żebyśmy mogli sprawdzać numery posesji. Kłopot w tym, że tam nie było żadnych numerów. Tylko białe ogrodzenia ciągnące się w nieskończoność, niekiedy zaś pojawiały się bramy, na których widniały nazwy rezydencji czy też posiadłości.

– Zobacz – powiedział Roger, zwolnił jeszcze bardziej i pokazał mi coś po swojej stronie. – Widzisz to co ja?

Popatrzyłam. Rzeczywiście, trudno było nie zwrócić uwagi na coś takiego. Na rozległym gazonie ujrzałam krzewy przycięte w kształty zwierząt – ale o wiele większe i bardziej szczegółowe niż jakiegokolwiek, które dotąd widziałam. Dwa niedźwiedzie, chyba naturalnej wielkości, stojące na tylnych łapach – oba wzniesionymi przednimi łapami pozdrawiały przejeżdżające samochody. Pod nimi wznosił łapkę także lis.

– Niezłe – mruknęłam. Odwróciłam się, żeby raz jeszcze spojrzeć za siebie, nim znikną mi z oczu. W gęstniejącym mroku wyglądały raczej jak rzeźby czy jakieś zaczarowane stwory. Wcale nie jak przycięte krzaki, to na pewno nie. – Chyba tutaj – stwierdziłam, bo zobaczyłam tabliczkę na bramie. – Po lewej stronie.

Brama została wykonana z kutego żelaza – wielka, umocowana na dwóch ceglanych filarach. Na lewym słupie widniała srebrzysta tabliczka z napisem: POSIADŁOŚĆ RODZINY ARMSTRONGÓW. Na prawym filarze umieszczono tabliczkę głoszącą: DOLINA KOLIBRÓW, KENTUCKY. Wyglądało to doprawdy imponująco. Jednak na nasze szczęście brama była otwarta.

– Chyba tutaj – odpowiedział Roger. Był bardziej zdenerwowany niż kiedykolwiek dotąd. Widziałam, jak na przemian zaciskał dłonie na kierownicy i rozluźniał je. Wjechaliśmy na teren posesji.

Tak jak mówił przedtem, trwało naprawdę długo, nim dojechaliśmy do domu. Jechaliśmy krętą drogą pośród wzgórz – drogą, bo chyba trudno byłoby nazwać ją podjazdem. Była na to po prostu zbyt długa. Nagle przypomniał mi się mój dawny dom w Kalifornii, sztyld agencji nieruchomości oraz podjazd – którego pokonanie zajmowało mi co najwyżej dziesięć sekund.

Kolejny zakręt – i nagle ujrzeliśmy domostwo: ogromne, imponujące – i należałoby chyba użyć raczej określenia dwór, a nie dom. Czy może pałac? W każdym razie była to biała budowla, z kolumnami, ciemnozielonymi okiennicami, otoczona mniejszymi budynkami. Przed rezydencją rozpościerał się wielki kolisty trawnik otoczony podjazdem, na którym jednak nie stały żadne samochody. W półmroku zdołałam mimo wszystko dostrzec pięknie urządzone kwietniki oraz białe porcelanowe donice z kwitnącymi kwiatami ustawione na stopniach. Z tego, co widziałam, wzdłuż bocznej ściany ciągnął się wspaniały ogród, na pewno była to tylko zapowiedź ogrodów, jakie można podziwiać na tyłach siedziby.

– Nieźle – przyznałam, patrząc na to wszystko.

– No – zgodził się ze mną Roger, który także rozglądał się z podziwem. – Opowiadała mi, ale teraz widzę, że jej opis nie odpowiadał rzeczywistości. Był zdecydowanie zbyt skromny.

Zaparkował i wyłączył silnik.

Odwróciłam się w stronę Rogera.

– I co teraz? – spytałam. – Masz jakiś plan? Czy po prostu zadzwonisz do drzwi?

– Chyba tak – stwierdził. – Prawdę mówiąc, właściwie się nad tym nie zastanawiałem. Myślałem o tym, żeby tu jakoś dojechać, oraz o tym, jak będę z nią rozmawiał, kiedy się spotkamy – natomiast nie przemyślałem tego, co wypada pomiędzy jednym a drugim – odchrząknął, przeciągnął się, z

trzaskiem wyłamując palce.

– No, dobra – uznał. – Nie ma na co czekać.

Przezcesał dłońmi włosy, przez co potargał je zupełnie, tak że sterczały na wszystkie strony. A jeżeli zamierzał zrobić na Hadley wrażenie, chyba nie o to mu chodziło.

– Świetnie – powiedziałam najbardziej zachęcającym tonem, na jaki mogłam się zdobyć. – Ale... Jeśli pozwolisz...

Wychyliłam się, wyciągnęłam ręce i położyłam na jego głowie, czułam sprężystość i miękkość jego włosów na wnętrzu dłoni. Może mi się zdawało, ale z lewej były jakby cieplejsze, może od tego, że przez cały dzień prowadził w słońcu. Miałam ochotę przeczesać je palcami, ale w porę się powstrzymałam. Przyglądałam jego sterczące kosmyki.

– No, tak lepiej – stwierdziłam. Uśmiechnęłam się do niego i wycofałam się na swoją pozycję.

– O – powiedział i spojrzał w lusterko. – Wielkie dzięki.

Już miałam mu życzyć powodzenia, kiedy zobaczyłam jakiegoś faceta wychodzącego z domu. Faceta potężnie zbudowanego, z białą lekarską maską na twarzy i piłą łańcuchową w ręce. I szedł z tą piłą prosto na nas.









***Youd better go on home, Kentucky gambler.***  
***– Dolly Parton***

– Uważaj – wyszeptałam do Rogera, serce waliło mi jak oszalałe – włącz dyskretnie silnik i wycofujemy się do podjazdu, jak najszybciej.

– Co takiego? – odpowiedział Roger, także szeptem. – Jak niby mam dyskretnie włączyć silnik? I jak mam się wycofać podjazdem? Nie pamiętasz, jaki jest kręty?

– Roger, on ma piłę – syknęłam. – Nie chcę umrzeć w Kentucky!

Roger wybuchnął śmiechem, tymczasem tamten facet pomachał do nas ręką – tą ręką, w której nie trzymał piły łańcuchowej.

– Hej! – zawołał. – Zabłądziliście?

– Widzisz? – zauważył Roger. – Jest przyjaźnie nastawiony.

– Tylko udaje. Pewnie wabi w ten sposób swoje ofiary!

Widziałam taki film...

– Ale to było w Teksasie – zaprotestował Roger, wciąż ubawiony. Wysiadł z samochodu. – Cześć! – zawołał. – Szukam... Szukam Hadley Armstrong.

Tamten podszedł bliżej, zdjął maskę i szczęśliwie wyłączył piłę. Chyba aktywowaliśmy jakiś czujnik ruchu, bo teraz podjazd zalewało miękkie światło, w którym okazało się, że facet właściwie wygląda zupełnie normalnie. Miał na sobie żeglarskie mokasyny, szorty khaki i koszulkę polo. I chociaż był mniej więcej tego samego wzrostu co Roger, wydawał się po prostu większy. Nie gruby, raczej potężniejszy. Trochę jak pluszowy niedźwiadek. Kiedy zaczęłam widzieć w nim miśka, przestałam dostrzegać w nim mordercę, więc otworzyłam drzwi z mojej strony i wysunęłam się ostrożnie z wozu.

– Jestem jej bratem – wytłumaczył. – Lucien Armstrong. – Wyciągnął rękę do Rogera i podali sobie dłonie. – Miło mi poznać.

– Roger Sullivan – przedstawił się Roger. – Nawzajem.  
– Ach! – zorientował się Lucien. Strzelił palcami. – Ty jesteś tym kołesiem, który przysłał róże. Zgadza się?

Roger odkasznął i spojrzał w moją stronę.

– A to jest Amy Curry – dodał.

Zostałam tam, gdzie byłam, oparta o samochód.

– Cześć – odezwałam się i podniosłam rękę, żeby pomachać.

– Cześć – odpowiedział Lucien, który wyraźnie nie załapał, bo podszedł prosto do mnie. Wyciągnął dłoń, którą uścisnęłam. Przez tych kilka dni podawałam komuś rękę więcej razy niż przez całe dotychczasowe życie. Miał dużą dłoń, prawie zamknął w niej moją. Pod żadnym względem nie przypomina! Hadley, jaką widziałam na zdjęciu. Miał trochę przydługie blond włosy, jakby spłowiałe na słońcu, opalone policzki. Ku swojemu zdziwieniu stwierdziłam, że jest naprawdę przystojny. Chciałam się cofnąć po tym przywitaniu, ale przypomniałam sobie, że stoję oparta o samochód.

– Bardzo mi miło – powiedziałam więc tylko.

– O, przepraszam, że was witam z piłą w ręku – rzekł – ale właśnie przycinałem krzaki. A więc – stwierdził, spoglądając na mnie i na Rogera – jesteście przyjaciółmi Hadley, tak?

Roger skinął głową, ja także, bo tak było prościej, niż tłumaczyć całą prawdę.

– Tak – odpowiedział Roger. Wetknął dłonie do kieszeni. – Byliśmy w okolicy, rozmawiałem z nią wcześniej, ale ostatnio przestała odbierać telefon. Pomyślałem więc sobie, że może ją zastanę w domu. Zostawiłem wiadomość, ale...

– Nie, no to fatalnie – przerwał mu Lucien. W przeciwieństwie do większości ludzi – i większości ludzi w moim wieku, bo na tyle mniej więcej wyglądał – odnosiło się wrażenie, że naprawdę myśli, co mówi. Że czuje to, co mówi. Ściągnął brwi, w jego głosie usłyszałam autentyczny żal. – Szkoda, że nie udało wam się do niej dodzwonić, bo niepotrzebnie przejechaliście taki kawał drogi. Had wyjechała parę godzin temu na pokazy hipiczne i wróci dopiero jutro. Na pewno będzie jej przykro, żeście się

minęli.

– Aha – powiedział Roger i skinął głową. – No, tak.

Widziałam, jak oklapł – z rękami w kieszeniach, trochę jakby zagubiony. Ja osobiście byłam wściekła jak cholera na tę dziewczynę, chociaż nie widziałam jej nigdy na oczy. Po co mówiła Rogerowi, żeby do niej zadzwonił, kiedy będzie w Louisville, skoro nie miała zamiaru się z nim spotkać? Mogłam sobie wyobrazić, jak on się teraz czuje – tak jakbyśmy pojechali do Yosemite, a na miejscu okazałoby się, że w poniedziałki jest nieczynne.

– Ale – odezwałam się czym prędzej, żeby zagłuszyć ciszę, która z wolna zaczęła stawać się niezręczna – to znaczy, może... – popatrzyłam na Rogera i zrozumiałam, jak bardzo w tamtej chwili nie chciał tak po prostu zawrócić i odjechać. – No, moglibyśmy przenocować w Louisville.

– „Lu-wal” – poprawili mnie Roger i Lucien, jednogłośnie.

– Tak, właśnie tak – zgodziłam się z nimi. – W końcu i tak jesteśmy już dosyć zmęczeni. Jedziemy z Missouri, cały dzień spędziliśmy w samochodzie. Więc... – brnęłam dalej, próbując zorientować się, co Roger sądzi o tym pomysle, który właśnie załagał się w mojej głowie – ...więc może teraz pojedziemy sobie, znajdziemy jakiś hotel i jutro tutaj wrócimy?

Napotkałam spojrzenie Rogera. Uśmiechnął się do mnie leciutko. Zorientowałam się, że trafiłam w dziesiątkę.

– No, wybornie! – ucieszył się Lucien i klasnął w dłonie, co zabrzmiało zaskakująco głośno. – Świetny pomysł. Skoro przyjechaliście tutaj i przebyliście taki kawał drogi, szkoda by było, gdybyście się nie spotkali z Had.

– Doskonale – stwierdziłam i odwróciłam się, żeby wsiąść z powrotem do samochodu. – W takim razie...

– Nie chcemy ci przeszkadzać – powiedział Roger.

– W niczym mi nie przeszkadzacie – zaprotestował Lucien. – Rodzice wyjechali na tydzień do Hilton Head. Had też nie ma, zostałem sam na gospodarstwie.

Potarł dłonią kark, spoglądając na nas.

W jego zachowaniu dostrzegłam coś dziwnie znajomego. Potrwało chwilę, nim zorientowałam się, o co chodzi, ale w końcu załapałam. Był sam w tym domu, siostra wyjechała, rodzice wyjechali. Wyraźnie ucieszył się z naszej obecności, bo mógł sobie z kimś pogadać. Krótko mówiąc, czuł się samotny, tak samo jak ja przez ten miesiąc, kiedy mieszkałam sama w naszym domu. Tak to już jest, kiedy człowiek zostanie bez nikogo w miejscu, w którym zazwyczaj jest pełno innych ludzi – takie miejsce wydaje się wtedy jeszcze bardziej opustoszałe.

– Miło było cię poznać – powiedział Roger i wyciągnął rękę.

– Może zjesz z nami kolację? – zaproponowałam, powiedziałam to w ogóle bez zastanowienia, aż sama się zdziwiłam. Roger spojrział w moją stronę, uniósł brwi. Dalej stał z wyciągniętą ręką. – Zjedlibyśmy coś na mieście. To znaczy, oczywiście, o ile jesteś głodny...

Roger opuścił rękę.

– Jasne, dobra myśl. Rzecz jasna, o ile nie masz jakichś innych planów – dodał.

Lucien popatrzył na Rogera, potem na mnie.

– Poważnie? – spytał. – Nie chcę się wam narzucać.

– No, co ty? – zaprotestowałam. – Przecież cię zapraszamy. – Znowu zdziwiło mnie, że takie słowa płyną z moich ust. Tyle czasu spędziłam, unikając nieznanym, a teraz co się dzieje? Ciągnę tego chłopaka na kolację. Cóż, najwyraźniej coś się zmieniło. Ciekawe, kiedy to nastąpiło, pomyślałam. – Chodź z nami.

– Okej, dobrze – odpowiedział Lucien z uśmiechem. – To bardzo miłe z waszej strony.

– W takim razie wsiadaj – powiedział Roger i otworzył samochód. – Zawieziemy cię.

– Fajnie – odrzekł Lucien. Ruszył w stronę samochodu. – Tak będzie prościej, bo wszystkie nasze samochody stoją w garażu.

Przez krótką chwilę spojrzenia moje i Rogera spotkały się, wymieniliśmy nieznaczny uśmiech. No, bo ile trzeba mieć samochodów, żeby użyć takiego określenia jak „wszystkie nasze samochody”?

Lucien otworzył drzwi od strony pasażera, więc zatrzymałam się, a potem cofnęłam się o krok, bo uznałam, że pewnie mu zależy na miejscu z przodu. Potrwało dłuższą chwilę, wypełnioną bardzo niezręcznym milczeniem, nim skumałam, że otworzył je dla mnie, a potem czekał, żebym wsiadła.

– Och – zawołałam, kiedy się wreszcie zorientowałam. –  
Dzięki.

Sięgnęłam, żeby zamknąć drzwi, ale nie zdążyłam, bo to również zrobił za mnie – zatrzasnął je delikatnie.

Sam siadł z tyłu, pośrodku, zapiął pas i pochylił się, tak że jego głowa znalazła się między naszymi fotelami.

– Byliście już kiedyś w Louisville? – spytał.

– Nie – odpowiedział Roger, ja tylko potrząsnęłam głową.

– W takim razie sprawa jest prosta – oświadczył, oparł się wygodnie i uśmiechnął. – Zasuwamy do Browna.

Jak się okazało, „do Browna” znaczyło do Hotelu Brown w eleganckiej dzielnicy Louisville. Nim tam dotarliśmy, Lucien pokazał nam trochę Louisville – to piękne miasto. Z pewnością najczystsze, jakie kiedykolwiek widziałam – a już całkiem na pewno dużo czystsze od Los Angeles. A poza tym pięknie rozplanowane; wszędzie rosły kwitnące drzewa owocowe, dzięki czemu w powietrzu unosił się cudny zapach. Ulice są szerokie, odnosi się wrażenie, że nikomu się nazbyt nie spieszy – również zupełnie inaczej niż w Los Angeles. Gdzie nie spojrzeć, tam widać coś o koniach, dla koni i tak dalej. Nic dziwnego, w końcu to właśnie w tym mieście odbywa się Kentucky Derby. Zauważyłam, że na tablicach rejestracyjnych niektórych samochodów również pojawiają się konie, co bardzo mi się spodobało. Generalnie Louisville to bardzo spokojne miasto, a tego się nie spodziewałam.

Lucien poprowadził nas tak, że przejechaliśmy między innymi koło tamtejszego Slugger Museum, muzeum, którego siedzibę ozdobił kij bejsbolowy niby to oparty niedbale o ścianę budynku i o wiele od niego wyższy. Aż mi szczeka opadła, w każdym razie zanotowałam w pamięci, żebyśmy pojechali tam z Rogerem jeszcze raz rano, bo chciałam zrobić zdjęcie. Wiedziałam,

że Charlie się ucieszy, jako że zawsze uwielbiał bejsbol. Ta myśl trochę mnie też zasmuciła, bo zdałam sobie sprawę, jak rzadko myślałam o moim bracie – albo też jak bardzo starałam się o nim nie myśleć. Podejrzewałam, że raczej to drugie. Tyle że naprawdę nie chciałam myśleć o Charlie’em. Zbyt był zamieszany w to, co się stało, a potem jeszcze to wszystko, co stało się z nim, potem... Gapiłam się przez okno, próbując skoncentrować się na zwiedzaniu Louisville.



# NOTES PODRÓŻNY



Hotel Brown





# NOTES PODRÓŻNY



Prawdziwy Hot Brown. Dużo lepiej smakuje niż wygląda.



Lucien pokierował Rogera do hotelu o bardzo luksusowym wyglądzie. Na wielkiej czerwonej markizie widniał napis THE BROWN wykonany złotymi literami. Miejsce to wyglądało niezwykle elegancko, o wiele za elegancko jak na naszą kieszeń.

– Super – pochwalił Roger i spojrział w moją stronę; miałam wrażenie, że i on myśli właśnie o naszych czterystu dolarach wraz z drobnicą, stanowiących cały nasz majątek. Na nocleg w takim miejscu poszłoby pewnie wszystko, za jedną noc. – Obawiam się, że nie jest to miejsce, w którym zamierzalibyśmy przenocować...

– Bez obaw – przerwał mu Lucien. – Tutaj tylko jemy.

– Aha – rzeki Roger. – Rozumiem.

Należało się spodziewać, że restauracja w takim hotelu będzie nieco droższa niż fast-food czy przydrożny *diner*, ale pewnie stać nas było na jeden posiłek.

Zgodnie ze wskazówkami Luciena, Roger zajechał przed główne wejście, przy którym stał portier; zanim zdążyliśmy choćby pisnąć, troje drzwiczek zostało otwartych w tym samym momencie przez trzech lokai w białych liberjach. Wysiadłam, znowu zadowolona z tego, że miałam na sobie ciuchy Bronwyn. Zauważyłam kątem oka, jak Roger pospiesznie wtyka swój biały T-shirt do spodni. Lucien podszedł do lokaja, który otworzył drzwiczki Rogera i uścisnął jego dłoń, przy czym ujrzałam – również kątem oka – błysk zieleni przechodzącej z ręki do ręki. Potem poprowadził nas do wnętrza hotelu, którego drzwi otworzyli kolejni dwaj lokaje (zmaterializowali się jakby znikąd). W środku rozejrzałam się i trochę szczeka mi opadła. Teraz miałam już pewność, że absolutnie nie stać nas na taki hotel – bo wyglądał wręcz luksusowo. Nad naszymi głowami zwisały kandelabry, podłogę wyścielono grubym, wzorzystym dywanem, wszędzie lśniły mosiężne okucia.

Lucien poprowadził nas przez lobby pełne antycznych mebli, orientalnych kobierców i obrazów olejnych przedstawiających konie, a następnie po trzech schodkach w dół do „J. Graham’s Café

and Bar”. Wokół podium, na którym urzędowa! *maître d’hôtel*, kłębił się mały tłumek, ale Lucien poszedł prosto do stolika w kącie, przy oknie, za którym widać było spokojną uliczkę oświetloną latarniami.

– Witamy, panie Armstrong – rzekł półgłosem *maître d’*, wręczył nam menu i zniknął bezszelestnie.

– Widzę, że cię tu znają – stwierdziłam, nie bez zdziwienia.

Lucien wzruszył ramionami, sprawiał wrażenie nieco zażenowanego.

– Wiesz, bywamy tu od dawna – wyznał. – Zawsze w sezonie derby nasi rodzice wynajmują apartament na jedenastym piętrze. Stąd znam personel hotelu.

– Jasne – odpowiedziałam, jakby było to coś zupełnie zwyczajnego i jakbym wcale nie czuła się tym onieśmielona. Rozejrzałam się po elegancko udekorowanym wnętrzu restauracji i uzmysłowiłam sobie, jak dawno nie byłam w takim miejscu. Mało tego, od jakiegoś czasu ani Roger, ani ja, nie mieliśmy do czynienia z czystym obrusem. Chciałam otworzyć menu, ale Lucien położył na nim dłoń.

– Pozwólcie – odezwał się, patrzył gdzieś między mnie a Rogera. – W Brownie podają pewną słynną potrawę, która stąd się zresztą wywodzi. Jeżeli jej nie znacie, powinniście skosztować.

Przypomniało mi się, jak Roger pytał, gdzie podziało się moje zamiłowanie do ryzyka, duch przygody. Jasne, że w zasadzie żartował, ale teraz zastanowiłam się nad tą kwestią. Nawet moje dawne ja było raczej ostrożne. Musiało być, ze względu na Charlie’ego, którego cała istota była przeciwieństwem przezorności czy ostrożności. W dodatku od dawna studiowałam mapy, wyznaczałam marszruty, a to kształtuje w człowieku skłonność do postępowania według jakiegoś określonego planu; powoduje, że dąży się do wyznaczonego celu – wyznaczonego z góry. A jednak sprzeciwiłam się planom i zamiarom mojej matki, a świat się od tego nie zawalił. Dzięki temu znalazłam się w miejscu zupełnie nieprzewidzianym, bo w Kentucky, w towarzystwie Rogera i nieznanego mi faceta, w luksusowej restauracji, w

dotatku miałam na sobie cudze ubranie. Być może duch przygody nie zanikł we mnie tak całkowicie, może tylko zdrzemnął się na jakiś czas. Odsunęłam od siebie menu.

– Świetnie, zdaję się na ciebie – oświadczyłam. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że ta sławetna potrawa to nie ślimaki. I że nie jest to coś w rodzaju *sweetbreads* – w Anglii przekonałam się na własnej skórze i to w bolesny sposób, iż *sweetbreads* nie są ani słodkie, ani nie mają nic wspólnego z pieczywem.

Spojrzałam na Rogera siedzącego naprzeciwko, uśmiechał się do mnie, ale mina mu zrzędła, kiedy usłyszał, że Lucien zamawia dla nas wszystkich potrawę o nazwie Hot Brown.

– Jecie chyba mięso, co? – spytał, kiedy trzech kelnerzy podali nam jednocześnie trzy patelnie. – Właściwie powinienem wcześniej spytać, skoro jesteście z Kalifornii i tak dalej.

Podczas oczekiwania na potrawę o niepokojącej nazwie zdążyliśmy bowiem wymienić podstawowe informacje na swój temat. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że Lucien ma osiemnaście lat i na jesieni rozpoczyna studia w college'u Vanderbilta.

– O nie, przy tym stole nie ma wegetarian – zapewnił Roger.

– Doskonale – odpowiedział Lucien. – W takim razie, do dzieła.

Popatrzyłam na patelnię, którą umieszczono na moim talerzu.

Jeden z kelnerów wyjaśnił: Hot Brown to pierś indyka na miękkim chlebie, pokryta parmezanem i sosem śmietanowym z plasterkami pomidora oraz posypana pietruszką i przyozdobiona dwoma plasterkami bekonu na wierzchu. Podziwiałam tę kompozycję, nie wiedząc, od czego zacząć – i zdałam sobie sprawę, że Lucien też nie wie, jak się do tego zabrać. Patrzył na mnie wyczekująco i dopiero gdy sięgnęłam po widelec, zrobił to samo. Słyszałam to i owo o manierach Południowców, ale spodziewałam się, że zjawisko to zanikło jakieś sto lat temu. Otóż nie, najwyraźniej nie. Najlepszy dowód na to, że przetrwały, siedział obok mnie i czekał z rozpoczęciem posiłku, aż ja zacznę.

Srebrne sztucce okazały się zdumiewająco ciężkie. Ukroiłam kawałek mięsa i skosztowałam. Było wprost wyborne. Przy

następnym kawałku zauważyłam, że Roger pałaszuje z zapalem. Przy okazji uświadomiłam sobie, że wszystkie elementy tej potrawy bardzo lubię – dlaczego tylko w Kentucky ludzie zdołali wpaść na to, że warto je wszystkie połączyć ze sobą oraz połać roztopionym serem?

Z braku piwa korzennego, Roger zamówił colę. Ja jednak postąpiłam za radą Luciena i poprosiłam o to samo co on, czyli tak zwaną „słodką herbatę”. Upiłam łyk, potem następny łyżeczek i już wiedziałam, że odtąd cola waniliowa nie będzie już moim ulubionym napojem numer jeden. To była mrożona herbata, bardzo słodka, ale nie z normalnym, rozmieszonym cukrem; to sam napój był słodki, sam z siebie. Mając na świeżo w pamięci NuWay, postanowiłam, że odtąd zawsze będę słuchać rad tubylców, jeżeli chodzi o potrawy – bo jak dotąd świetnie na tym wychodziłam. Lucien zapowiedział, że zamówi w naszym imieniu również deser – i byłam pewna, że w pełni mogę mu zaufać.

Poszłam sobie do toalety, pozostawiając chłopaków przy intensywnej dyskusji na temat filmów o sporcie. Mogłam tylko mieć nadzieję, że względu na dobro Luciena, iż Roger nie opowie mu *The Hoosiers* od początku do końca. Myjąc ręce, przyjrzałam się swojemu odbiciu w lustrze. Przypomniałam sobie, jak patrzyłam na siebie samą w Yosemite. Teraz wyglądałam inaczej i wcale nie tylko dlatego, że akurat ostatnio nie ryczałam i nie wycierałam potem twarzy papierowymi, szorstkimi ręcznikami – tak szorstkimi, jakby były zrobione z kory jakiegoś drzewa. Byłam teraz bardziej opalona, miałam na sobie nowe ciuchy. I było jeszcze coś, tylko co? Popatrzyłam na swoje odbicie jeszcze przez chwilę, wyprostowałam się i wyszłam z łazienki.

Kiedy powróciłam do stolika, chłopcy nagle umilkli, co trochę mnie zaniepokoiło. Jednak zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, pojawił się deser.

– Ciasteczko *derby* – zaanonsował Lucien. – Tradycyjny przysmak z Louisville. Smacznego – skinął na kelnera i zażądał: – I szklaneczkę *Maker's Mark* poproszę.

Kelner popatrzył na mnie i na Rogera, potem znów na

Luciena, który spoglądał na niego chłodnym okiem.

– Już się robi, proszę pana – odpowiedział kelner, po czym zniknął.

– Czyżbyś właśnie zamówił drinka? – spytałam, zdumiona, bo wydawało mi się, że w Kentucky tak samo jak wszędzie gdzie indziej obowiązują te same prawa zakazujące sprzedaży alkoholu niepełnoletnim.

– Chłopie – mruknął tymczasem Roger z ustami pełnymi deseru. Zasalutował Lucienowi widelcem i opychał się dalej. Również skosztowałam przysmaku. Ciastko stanowiło mieszaninę czekolady i truskawek oraz orzeszków hikorowych i było fantastyczne. Aż zaczęłam żałować, że Kentucky nie spisuje się lepiej, jeżeli chodzi o eksport lokalnych specjałów do reszty kraju.

Kelner postawił przed Lucieniem przysadzistą szklaneczkę napełnioną do połowy ciemnobrązowym płynem, w którym unosiły się dwie kostki lodu.

– Co to takiego? – spytałam. – Czy w Kentucky nie ma zakazu?

– Jest, ale nie zawsze – odpowiedział Lucien z uśmiechem. – Mamy tu szklankę najprawdziwszego burbona z Kentucky. Czy wiecie, że burbon jest jedynym rdzennym napojem alkoholowym Ameryki? – Roger i ja potrząsnęliśmy głowami, nie wiedzieliśmy.

– Otóż właśnie – mówił dalej Lucien. – Nazwę „burbon” nosić może tylko wtedy, gdy został wyprodukowany w Kentucky. W przeciwnym razie to zwykła wódka.

– To jak z szampanem – powiedziałam, bo przypomniałam sobie, czego kiedyś się dowiedziałam, gdy przygotowywałam się do inscenizacji sztuki Noela Cowarda. – Prawdziwy szampan pochodzi z jednego regionu Francji, z Szampanii. W przeciwnym razie to po prostu wino musujące.

– Dokładnie tak – zgodził się Lucien. Postawił szklankę z burbonem pośrodku stolika. – Kto prowadzi? – spytał. – Ja mogę sięść za kółkiem, nie mam nic przeciwko temu.

Roger zerknął na mnie i upił łyk swojego napoju.

– Nie, nie – powiedział. – Ja prowadzę. To żaden problem.



– Aha – powiedział Lucien. – W porządku.

– Ja nie prowadzę, w każdym razie nie teraz – zabrałam głos po chwili ciszy, bo odniosłam wrażenie, że oczekuje się ode mnie jakiegoś wyjaśnienia. Kiedy jednak powiedziałam te słowa, zdałam sobie sprawę, że w zasadzie nie wyjaśniłam niczego. – No... Po prostu nie – umilkłam, bo uświadomiłam sobie, że o ile nie zacznę wdawać się w szczegóły i przyczyny, nie zdołam wyrazić się ani trochę jaśniej.

– Jasne, co kto lubi – stwierdził Lucien. Wskazał ruchem dłoni burbona. – Masz ochotę?

– To mi wystarczy – odparłam i sięgnęłam po szklanekę słodkiej herbaty – była to zresztą już moja druga szklanka.

Lucien uniósł brwi.

– Odmawiasz skosztowania autentycznego lokalnego burbona? – spytał.

– Och – zająknęłam się i zerknęłam na Rogera, który jednak z jakichś powodów wpatrywał się w sufit. – Ależ skąd.

Obaj patrzyli na mnie uważnie, ja tymczasem przysunęłam do siebie szklanekę i podniosłam ją. Okazała się zaskakująco ciężka. Powąchałam płyn, potem uprzytomniłam sobie, że prawdopodobnie kwestia bukietu dotyczy tylko wina. A może nie? Tak czy inaczej burbon pachniał głównie stęchlizną. Upiłam łyżeczek i o mało nie wyplułam wszystkiego na obrus. Smakował również stęchlizną. Stęchlizną, tyle że wędzoną w dymie. A przy tym, tak mogłabym sobie wyobrazić łykanie ognia. Ognia z płonącego lasu. Zmusiłam się, żeby przełknąć, ciecz paliła mnie w gardło, aż łzy napłynęły mi do oczu.

– Mmm – wykrztusiłam, kiedy już byłam w stanie to zrobić.

– Nie... niezły.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że śmieją się obaj, i Roger, i Lucien.

– Wybacz, proszę – odezwał się Lucien, odsunął ode mnie szklaneczkę z powrotem na środek stołu. – Chcieliśmy tylko sprawdzić, czy zdołamy cię namówić, żebyś się napiła.

– Co? – spytałam, wciąż jeszcze trochę się krztusząc. Roger

nadal się uśmiechał. – To spisek, tak?

– Taki tam drobny zakład – wyjaśnił Lucien, wydobyl dwudziestaka i položyl go na stole. – Witajcie w Kentucky.

– Pomyślałam, że się obrazisz, jeżeli nie spróbuję – obruszyłam się, oburzona tą podłą zdradą. Tymczasem najwyraźniej zadowolony z siebie Roger zgarnął banknot i wsadził go do kieszeni. W myślach dodałam dwudziestaka do naszego bieżącego budżetu.

– Daj spokój – odpowiedział Lucien. Przysunął mi szklanke z wodą. – Chyba ci się przyda – owszem, chwyciłam szklanke i wypilałam spory łyk. – Uważam, że burbon to świństwo. Nie mam pojęcia, jak moja matka może to pić. Moim zdaniem, nie da się go przełknąć, przynajmniej dopóki człowiek nie ukończy pięćdziesiątki i nie straci już zupełnie poczucia smaku.

– Wybacz, strasznie cię przepraszam – powiedział do mnie Roger, trochę zakłopotany.

– No, nie wiem, nie wiem – powiedziałam. Próbowałam zgromić go wzrokiem, ale jakoś nie udało mi się utrzymać poważnego wyrazu twarzy.

– To co, zdrowko? – spytał Lucien i uniósł szklanke z wodą. Sięgnęłam po swoją słodką herbatę, Roger pochwycił colę.

– Zdrowie – odpowiedziałam, stuknęliśmy się szkłem.

Lucien zerknął z ukosa na Rogera.

– A więc. Ty i Hadley. I co?

– No – odpowiedział Roger i odkaszlnął. – Znaczą, spotykaliśmy się w zeszłym roku. I zerwaliśmy ze sobą, kiedy zajęcia się skończyły.

– Pozwól, że zgadnę – zaproponował Lucien i westchnął. – Od tej pory nie odezwała się do ciebie ani słowem?

– W pewnym sensie – przyznał Roger. – Właściwie wczoraj przez chwilę rozmawialiśmy, ale poza tym...

– Ale odtąd nie odbiera telefonu, tak?

– Tak – rzekł powoli Roger. – Nie odbiera.

Lucien pokręcił głową.

– Przykro mi, stary – powiedział. – Obawiam się, że to jej

zwyczajny *modus operandi*.

– To znaczy? – spytałam.

– *Modus operandi*, to znaczy sposób postępowania – wyjaśnił Lucien. – Po łacinie.

– Nie – fuknęłam na niego. – Wiem, co to znaczy. Chodzi mi o to, jaki jest ten sposób postępowania?

– Pozwól, że wyrażę jeszcze jeden domysł – rzekł Lucien, ignorując moje pytanie i zwracając się do Rogera. – Nie wyjaśniła też ani słowem, dlaczego kończy wasz związek, prawda?

Rogera trochę jakby замуrowało.

– Zaraz, kto powiedział, że to ona skończyła? A może to ja z nią zerwałam? – Lucien tylko na niego popatrzył, a Roger westchnął. – No, zgadza się – przyznał. – Niczego nie wyjaśniła.

– I na tym właśnie polega jej *modus operandi* – oświadczył Lucien. – Obserwowałam, jak traktuje w ten sposób różnych frajerów... Bez obrazy, rzecz jasna...

– Ależ skąd, skąd – zaprzeczył Roger.

– Odkąd zaczęła się spotykać z chłopakami, jeszcze w gimnazjum. Obawiam się, że już taka ona jest. Padłeś ofiarą huraganu pod nazwą Hadley. Pojawia się, robi zamieszanie, a potem zostawia za sobą spustoszenia i zdezorientowanych facetów.

– Często się to zdarza? – zainteresował się Roger. W jego głosie słyszałam słabo skrywane napięcie.

Lucien przytaknął ruchem głowy. Przez chwilę wszyscy skrętnie zajęliśmy się naszymi napojami.

– Jednak nikt dotąd nie zapytał jej wprost, o co tak naprawdę chodzi – stwierdził Lucien, przerywając milczenie. – Tak więc dobrze zrobiłeś, przyjeżdżając tutaj, stary. Może tobie uda się jakoś do niej dotrzeć. – Uniósł szklanekę, pozdrawiając tym gestem Rogera. – Życzę powodzenia.

Spojrzałam na Rogera, który gapił się w stół i poczułam się, jakbym była świadkiem czegoś, przy czym być nie powinnam.

– Zresztą, co ja mogę wiedzieć? – odezwał się Lucien, trochę zbyt głośno. – W końcu jestem tylko jej młodszym bratem. Nie mogę powiedzieć, żeby mi się zwierzała z czegokolwiek. –

Zwrócił się do mnie, sprawiał wrażenie kogoś, kto desperacko próbuje zmienić temat. Spytał: – Masz jakieś rodzeństwo?

– Owszem, brata. – Przeszło mi przy tym przez myśl, że jak na jeden dzień trochę już zbyt wiele rozmyślałam o Charlie’em. Jakby Lucien nie mógł sobie wybrać jakiegoś innego tematu.

– Starszego?

– Młodszego – wyjaśniłam. – O trzy minuty.

Lucien uniósł brwi.

– Ale numer – rzekł. – Bliźniaki? – Skinęłam głową. – To chyba znaczy, że macie ze sobą świetny kontakt, zgadza się?

Kiedy to powiedział, poczułam, że żołądek trochę mi się ściska. Owszem, dawniej Charlie i ja całkiem nieźle się rozumieliśmy, najczęściej jednak tłukliśmy się o wszystko, odkąd pamiętam. Tak jakby między nami zawsze była jakaś ściana, której nie da się przebić.

– Nie, nie za bardzo – odparłam, starając się utrzymać bez troski ton. – Raczej nie najlepszy.

– Aha – odpowiedział Lucien. Znów zapadło milczenie. Coś mi mówiło, że ten facet nie będzie już próbował wprowadzać nowych tematów do rozmowy, przynajmniej tego wieczoru.

– Dobrze, ale przynajmniej chyba nigdy cię nie ugryzł. – Tymi słowami do rozmowy powrócił Roger, ale wypowiedział je mocno przybitym głosem. Wyciągnął rękę nad stołem, ujrzeliśmy małą, zaokrągloną bliznę na wnętrzu jego dłoni. – To jest sprawa mojego przyrodniego brata – wyjaśnił. – Chłopczyk odznacza się wybitnym apetytem.

– Ha, to jeszcze nic – oświadczył Lucien. Podwinął rękaw i pokazał nam szramę na przedramieniu. – Kiedy miałem osiem lat, Hadley wytresowała swojego konia, żeby mnie kopał. Zawsze się tego wypierała, ale stajenny wyznał mi prawdę.

Korzystając z mojej nieuwagi, Roger gwizdnął mi truskawkę z talerzyka. Lucien wstał, powiedział, że przeprasza na chwilę i rzucił serwetę na stół. Natychmiast zjawił się kelner, który schludnie ją poskładał.

– Wybacz – powiedziałam, kiedy Lucien odszedł, bo dotąd

nie mieliśmy okazji pogadać w cztery oczy. – To znaczy, wybacz, że go zaprosiłam.

– Nie, w porządku – sprzeciwił się Roger. – Fajny koleś.

– Owszem – przyznałam. – Ja tylko... – Nie powiedziałam Rogerowi, jak się czułam, kiedy siedziałam sama w domu. Chyba zresztą sama nie całkiem zdawałam sobie z tego sprawę – dopóki w wyrazie twarzy Luciena nie dopatrzyłam się czegoś aż nazbyt dobrze znajomego. – Miałam wrażenie, że czuje się osamotniony, to wszystko.

– No co ty? Fajnie było – powiedział Roger i uśmiechnął się do mnie blado – uśmiechem, który natychmiast zniknął. Pokręcił głową. – Hadley mówiła kiedyś, że ma brata, ale nic więcej. Żadnych szczegółów. Nie opowiadała mi, jak wygląda jej dom, jakie jest jej miasto. Dziwne to wszystko – zastukał palcami w powierzchnię stołu, po czym podjął: – Odkąd tu jestem, mam wrażenie, jakbym w ogóle jej nie znał.

– No, tak, rozumiem – powiedziałam. Spoglądałam na twarz Rogera, starając się wyczuć, co ma na myśli. – Ale chcesz się z nią jutro spotkać? Czy zmieniłeś zdanie?

– Jasne, chcę – powiedział, po czym skinął głową. – Pewnie, że chcę. Nie po to przejechaliśmy taki kawał drogi, żeby odpuścić.

Lucien powrócił, ale już nie usiadł.

– Jak, spadamy? – spytał.

– Chyba powinniśmy zapłacić? – zauważyłam, po czym rozejrzałam się za kelnerem. Przez cały wieczór obskakiwali nas, a teraz nie widać było ani jednego.

Lucien tylko machnął ręką.

– Załatwione – oświadczył. Odsunął krzesło, kiedy wstawałam. Przez ułamek sekundy straciłam równowagę, bo się tego nie spodziewałam.

– Ależ daj spokój, niepotrzebnie – powiedziałam, na co Lucien tylko się uśmiechnął.

– Cała przyjemność po mojej stronie – oświadczył. – To bardzo uprzejme z waszej strony, że mnie zaprosiliście. Nudziło mi się w domu i nie lubię jeść kolacji we własnym towarzystwie –

Roger otworzył usta, aby również zaprotestować, na co Lucien znów potrząsnął głową. – Mówię poważnie – zapewnił. – To drobiazg, a wasze towarzystwo sprawiło mi prawdziwą przyjemność.

Kiedy wychodziliśmy z restauracji, zauważyłam, że ci sami ludzie, których widzieliśmy, wchodząc, wciąż czekali jeszcze na stolik. Patrzyli na nas wilkiem. Wyszliśmy w gorące, wilgotne powietrze nocy. Jakby przez cały ten czas wcale się nie ochłodziło. Byłam przyzwyczajona do pogody w Kalifornii, pogody pustynnej – upał w dzień, a potem po zachodzie słońca gwałtowny spadek temperatury. Tak więc wrażenie było dziwne, jakby coś zostało niedokończone. Jakby ktoś zapomniał wyłączyć grzejniki na noc.

Lucien popilotował nas z powrotem do Doliny Kolibrów, a ja ciągle spoglądałam na Rogera, który stał się dziwnie małomówny. Sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Jednak trudno mi było stwierdzić, czy to dlatego, że tak długo siedział za kierownicą, czy z innej przyczyny – bo miał wkrótce zobaczyć Hadley.

– A widzieliście te strzyżone krzaki? – spytał Lucien, gdy jechaliśmy jego ulicą. Wskazał palcem za okno; teraz wyglądały raczej złowrogo – w ciemnościach, oświetlone blaskiem księżyca. Przywodziły na myśl strażników pełniących wartę przed rezydencjami wznoszącymi się gdzieś dalej, w głębi.

– Pewnie – powiedziałam. – Są fantastyczne.

– To taka tutejsza tradycja – odpowiedział, pochylając się trochę, tak że jego głowa znalazła się między naszymi głowami. – Gdybyście widzieli, jak to wygląda na Boże Narodzenie!

Roger włączył kierunkowskaz, skręciliśmy w Najdłuższy Podjazd Świata. Kiedy oczom naszym ukazał się dom, był cały rozświetlony. Odwróciłam się do Luciena.

– Wygląda na to, że ktoś tam jest – stwierdziłam.

Spostrzegłam, że Roger zaciska mocniej dłonie na kierownicy.

Lucien potrząsnął głową.

– Czujniki. Nikogo nie ma.

Skinęłam głową. Patrzyłam na to wielkie domostwo, w którym z pewnością było całe mnóstwo pokoi i myślałam sobie,

jak w takim wnętrzu musi doskwierać samotność. Roger zajechał od frontu, zaparkował i odwrócił się do Luciena, wyciągając rękę.

– Dzięki za oprowadzenie nas po mieście – powiedział. – Było miło.

– Nie ma sprawy – odpowiedział Lucien, podając dłoń Rogerowi. Spostrzegłam, że wcześniejszy uśmiezek znów pojawił się na jego twarzy. – Rozumiem, że widzimy się jutro. – Skinęłam głową, też się uśmiechnęłam. Odpiął pas i otworzył drzwi, ale nie wysiadł. – Słuchajcie – powiedział – może chcielibyście zostać tu na noc? Mamy tu mnóstwo pustych pokoi, domy dla gości też są nieużywane – znów pojawiła się jakże wymowna liczba mnoga i teraz na ustach Rogera dostrzegłam maleńki uśmiezek, pewnie niezauważalny dla nikogo oprócz mnie.

– Daj spokój, nie możemy nadużywać twojej gościnności – odpowiedziałam odruchowo. – Ale wielkie dzięki.

– Mówię poważnie – zapewnił Lucien. – Wszystko wysprzątane, zawsze gotowe na przyjęcie gości. I stoją puste przez cały czas. Nie ma sensu, żebyście jechali taki kawał drogi z powrotem do miasta i szukali hotelu.

Roger i ja popatrzyliśmy po sobie, odniosłam wrażenie, że pomyśleliśmy o tym samym. Otóż z pieniędzmi było krucho, więc przydałoby się zaoszczędzić na jednej nocy spędzonej w hotelu.

– Ale czy to nie będzie dziwne z punktu widzenia Hadley? – spytał Roger. – No wiesz, nagle jej były chłopak pojawia się w jej rodzinnym domu...

Zauważyłam, że tym razem Roger nie miał żadnego problemu z wymówieniem słowa „były”.

– Nie musi o tym wiedzieć – zauważył Lucien. – A poza tym co z tego, jeżeli to dla niej jakieś problem? Jesteście moimi gośćmi, wolno mi zaprosić, kogo chcę.

Spojrzałam na Rogera, który uniósł brwi i skinął lekko głową.

– W takim razie wielkie dzięki – odezwałam się. – Ale i tak już zabraliśmy ci mnóstwo czasu.

– Co ty?! – zaprotestował Lucien. Zamknął drzwi, na jego

twarzy znów pojawił się swobodny uśmiech. – Cała przyjemność po mojej stronie. W takim razie teraz objedziemy dom.

Skierował Rogera na drogę, która prowadziła w głąb posiadłości. Opuściłam szybę, chociaż działała klimatyzacja, bo chciałam zobaczyć coś w ciemnościach. Nie wypatrzyłam jednak zbyt wiele poza tym, że posesja ciągnęła się chyba całymi milami, a ogród sprawiał wrażenie starannie wypielęgnowanego. Poza tym zauważyłam dużo więcej krzewów przyciętych w różne kształty, takich jak te przy drodze – tylko te były naprawdę fantastyczne, a poza tym było ich mnóstwo. Spostrzegłam niedźwiedzia wyglądającego zza drzewa, kilka psów, chyba żurawia... Potem wzięliśmy następny zakręt i znikły mi z oczu.

– Ale ekstra! – stwierdziłam.

– Podobały ci się? – spytał Lucien, pochylając się do przodu.

– Naprawdę?

– Jeszcze jak – zapewniłam. – Czy są dziełem tej samej osoby, co te przy drodze?

– Nie – odparł. – Kto inny je zrobił.

– Tak mi się wydawało, bo te są dużo lepsze.

– Cholera, nie widziałem – zmartwił się Roger. – Bo wiecie, prowadziłem.

– Jeżeli chcecie, jutro wam je pokażę. Roger, teraz będzie skręt w lewo.

Zrozumiałam, dlaczego Roger mnie poprawił, kiedy pierwszy raz tam zajechaliśmy – to była naprawdę wielka posiadłość, a nie jakiś tam dom. Główną rezydencję pozostawiliśmy już dawno w tyle, jechaliśmy teraz wybrukowaną drogą przez las.

– Trzeba przyznać, że zapewniamie swoim gościom sporą prywatność – zauważyłam, bo wciąż jechaliśmy i jechaliśmy.

– Już niedaleko – odpowiedział Lucien. – Poza tym przy każdym z obu domków stoi jeep, na wypadek gdyby goście chcieli się przemieszczać, a nie mieli ochoty używać własnego samochodu – musiałam odczekać chwilę, nim to do mnie dotarło. Zdałam sobie sprawę, że to po prostu inny świat, o jakim nawet nie



słyszałam, nie mówiąc już o tym, że się nie zatknęłam. – Jesteśmy na miejscu – stwierdził Lucien. Roger zatrzymał się przed domem wcale nie mniejszym od naszego domu w Raven Rock. Był piętrowy, może trochę bardziej przypominał wiejską siedzibę niż główna rezydencja, bo zbudowano go z ciemnych bali i miał spadzisty dach. Poza tym przeszklone okna sięgające od sufitu do podłogi i werandę dookoła.

– No, tak – powiedział Roger i zaśmiał się krótko. Zgasił motor. – Chyba nas to zadowoli.

Wysiedliśmy z samochodu. Lucien przejął moją walizę z bagażnika, zanim zdążyłam ją wyciągnąć. Otworzył kluczem drzwi domu gościnnego i wpuścił nas do środka.

Wewnątrz było przytulnie, chociaż bardzo ozdobnie. Wszystko pasowało do wszystkiego innego, a ponieważ był to dom gościnny, nie przejawiał cech niczyjej osobowości, która mogłaby się odcisnąć na tym wnętrzu. Jednak był to prawdziwy dom, z funkcjonującą i wyposażoną kuchnią, z jedną sypialnią na parterze i dwiema na piętrze. Lucien pokazał nam, gdzie znajdują się zapasy żywności i nauczył obsługiwać klimatyzację, ja tymczasem głównie rozglądałam się, próbując ogarnąć to wszystko.

– To by chyba było na tyle. Jakbyście mieli jakieś pytania, dzwońcie – powiedział. Napisał numer komórki na nieskazitelnie białej tabliczce na lodówce. – I do jutra. Gdybyście mieli ochotę wpaść do głównego domu, śniadanie zazwyczaj podają około dziewiątej.

– Rany, super – powiedział Roger. Widać było, że i na nim te luksusy zrobiły spore wrażenie. – Wielkie dzięki.

– Proszę bardzo – odpowiedział Lucien. Szedł już ku drzwiom, kiedy zauważyłam na kuchennym stole srebrnego laptopa.

– Lucien – zawołałam za nim. – To twój komputer, czy...? Odwrócił się, żeby spojrzeć.

– Nie, tutejszy – wyjaśnił. – Dla gości. Jakby co, jest Internet. Mamy tu wifi.

– Odwiozę cię do domu – rzekł Roger. Sięgnął po kluczyki.

– Nie, nie warto – odparł Lucien. – Wezmę sobie jeepa. No, to do jutra. – Uniósł rękę na pożegnanie i zamknął za sobą drzwi.

W ciszy, która nastąpiła, rozglądałam się, wciąż nieco oszołomiona. Po chwili spytałam Rogera:

– Przypomnij mi, skąd my się tu wzięliśmy?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział i ziewnął. – Mam wrażenie, że zaprosiłaś go na kolację.

Ruszył po schodach na górę, ja za nim.

Złapałam za rączkę walizki pozostawionej na górnym podeście. Pokazałam drzwi bliższego pokoju:

– Biorę ten, w porządku?

– Nie ma sprawy – odpowiedział Roger i znowu ziewnął rozdzierająco. Zarzucił worek na ramię, poszedł w stronę drugich drzwi. – Padam na nos. Dobranoc, Hillary.

Rozbawił mnie tym.

– Dobranoc, Edmundzie.

Wszedł do swojego pokoju, więc i ja udałam się do swojego. Nic dziwnego, że Roger był wykończony, bo przecież siedział za kierownicą przez cały dzień, ale ja jakoś nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Przebrałam się w szare spodnie od dresu z napisem COLORADO COLLEGE wydrukowanym błękitnymi literami wzdłuż jednej nogawki oraz w granatowy tank top. Nie posiadałam się ze zdumienia – zastanawiałam się, jak to się dzieje, że nawet domowe ciuchy Bronwyn są fajniejsze niż cokolwiek z moich własnych dawnych rzeczy. Poszłam na dół, zamierzałam pobuszować po Internecie albo pooglądać telewizję, a może zrobić trochę popcornu. Kiedy jednak zobaczyłam światło księżyca wpadające przez okna, wiedziałam od razu, że chcę się znaleźć na zewnątrz.

Wyszłam boso w ciepłą noc. Usiadłam na stopniach ganku. Podparłam się rękami i spojrzałam w górę. Jedyne sztuczne światło dochodziło z wnętrza domu. Nie było żadnych latarni, nie docierała miejska poświata – i dzięki temu gwiazdy wzięły w swoje panowanie całe niebo. Było ich bez liku, niewiarygodnie wyraźne, wydawało się, że są bliżej niż zwykle. W dodatku księżyc był już

prawie w pełni i też sprawiał wrażenie dwa razy większego. Świecił tak jasno, że widać było wyraźnie drogę wiodącą do głównego domu.

Gapiąc się na gwiazdy, uświadomiłam sobie, że przecież zawsze jest ich tyle samo. Jednak dopiero gdy zgasną inne światła, można ujrzyć je wszystkie.

Nie wiem, jak długo tam siedziałam i patrzyłam w niebo, ale musiało to chwilę potrwać, bo w końcu zaczął mi drętwieć kark. Wstałam więc, przeciągnęłam się i wtedy dostrzegłam zbliżające się do domu gościnnego światła. Kiedy samochód znalazł się bliżej, zobaczyłam, że to odkryty jeep pomalowany na biało, a za kierownicą siedzi Lucien. Kierował jedną ręką, drugą położył na oparciu fotela. Przejechał obok domu, potem zahamował z piskiem i na wstecznym zajechał tuż przede mną.

– Hej – odezwał się, jakby zdziwiony. Uśmiechnął się. – Wybierzesz się ze mną na przejażdżkę?

Popatrzyłam na niego i na czekający samochód. W pierwszym odruchu chciałam odmówić. Było już późno, musieliśmy wcześniej wstać, poza tym nie miałam na sobie stanika i byłam boso. Ale wahałam się tylko przez sekundę, po czym zbiegłam po schodach. Może właśnie nadarzała się okazja, żeby wypróbować swojego ducha przygody?

– Chętnie – powiedziałam. Otworzyłam drzwi po stronie pasażera i wsiadłam. – Jedziemy!

*I said, blue moon of Kentucky, keep on shining.*  
– *Elvis Presley*

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Wkrótce droga stała się wyboista, zresztą ten jeep miał dużo twardsze zawieszenie niż nasz liberty, trzymałam się więc mocno poręczy nad głową, bo nieźle trzęsło. A jednak było świetnie. Jechać tak odkrytym samochodem, widzieć te wszystkie gwiazdy na niebie i przemieszczać się pod nimi.

– Nie mogłeś zasnąć? – spytałam po chwili.

– Tak jakby – przyznał. Prowadził jedną ręką, drugą też przytrzymał się ramy. Tą jedną ręką radził sobie wyśmienicie, panował bez problemu nad samochodem – i nic dziwnego, bo jak opowiedział nam podczas kolacji, nauczył się prowadzić wóz, kiedy miał dziesięć lat – jeździł sobie po terenie posiadłości. – Nie wiem, dlaczego. Dziwnie jest siedzieć samemu w pustym domu...

– Wiem coś o tym – powiedziałam, a właściwie samo mi się powiedziało. Lucien spojrzał na mnie, jakby zaskoczony, bo uniósł brwi. Chciałam się wycofać, wykręcić się jakoś i udać, że niczego nie powiedziałam. Ale jednak coś powiedziałam. Więc zaczerpnęłam tchu. – No, bo tak się złożyło, że byłam sama w domu przez cały maj. Więc wiem, jakie to uczucie.

– Przez cały miesiąc? – spytał Lucien, skinęłam głową. – A gdzie się podziała twoja rodzina?

Tego pytania należało się spodziewać. Jednak nieźle mnie trzepnęło, bo ta właśnie kwestia w pewnym sensie nie dawała mi spokoju przez ostatnie trzy miesiące.

– Cóż – zaczęłam, nie patrząc na niego – mój brat... – Nie mówiłam nikomu, że Charlie jest na odwyku. Krótko mówiąc, zachowywałam się pod tym względem jak moja matka, która nawet w rozmowach ze mną nigdy nie użyła tego słowa, zawsze mówiła, że Charlie jest „w zakładzie”. – No, mój brat pojechał do Karoliny Północnej – dokończyłam, mając nadzieję, że Lucien nie

będzie mnie dopytywał, po co i dlaczego. Zmusiłam się, żeby mówić dalej, bo wiedziałam, że gdybym umilkła, zatkałoby mnie na dobre. Jak rekiny, które muszą bez przerwy płynąć, bo inaczej zdechną. – A moja matka wyjechała do Connecticut, żeby przygotować nasz nowy dom. A ojciec... Mój ojciec umarł.

Zacisnęłam usta, wystarczyło powiedzieć to słowo, żeby mój podbródek zaczął drżeć.

– Strasznie mi przykro – powiedział Lucien. Tak samo jak przedtem, sprawiał wrażenie, jakby naprawdę było mu przykro.

– Dziękuję – rzekłam, również szczerze. – Próbuję po prostu...

– Jakoś sobie z tym poradzić?

– Owszem, coś w tym rodzaju – odpowiedziałam. Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. – To był wypadek, samochodowy – dodałam, głównie po to, żeby Lucien mnie o to nie pytał, czy też żeby nie pozostało między nami niewypowiedziane „jak to się stało?”.

– I dlatego nie prowadzisz? – spytał po krótkiej pauzie.

– Tak – potwierdziłam. Jechaliśmy dalej, ale groźba łez jakby zaczęła się oddalać. Zamknęłam na chwilę oczy, czułam na twarzy powiew ciepłego nocnego powietrza.

– Ale kiedyś zaczniesz znowu prowadzić? – spytał.

Otworzyłam oczy i popatrzyłam w jego stronę.

– No, pewnie kiedyś tak – przyznałam. Uświadomiłam sobie, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Tak samo, jak dopiero tamtego dnia rano zdałam sobie sprawę, że skoro nie pojechałam do Graceland z moim ojcem, nie pojedę tam już nigdy. – Po prostu... Za każdym razem, kiedy myślę o tym, że miałabym sięść za kierownicą, ogarnia mnie panika.

– Rozumiem. Ale nie powinnaś pozwolić, żeby to cię powstrzymywało. Nie uważasz?

Nie byłam pewna, co mam na to odpowiedzieć, więc rozejrzałam się po okolicy. Miałam wrażenie, że jesteśmy chyba bliżej głównego domu, ale po tyłu zakrętach straciłam orientację.

– Dokąd jedziemy? – spytałam.

– Już prawie jesteśmy na miejscu – odpowiedział. – Zaraz zobaczysz – podskoczyliśmy na wyboju. Chwyciłam mocniej za ramę. – Nic się nie bój – powiedział. – Wszystko pod kontrolą – uśmiechnął się. – Ale teraz to może rzeczywiście lepiej się trzymaj.

– Zjechał z drogi na trawę.

– Ejże, to tak można? – spytałam.

– Jasne – odpowiedział. – W tej odległości od domu mojej mamie już nie przeszkadzają ślady kół.

Przejechaliśmy przez łąkę; kilka razy wjechaliśmy po drodze w doły, bardzo głębokie – Lucien wyjaśnił, że to sprawka susłów. Zatrzymał wóz pośrodku czegoś, co pewnie należałoby nazwać łąką, skoro widziałam przed sobą rozległą połąć trawy, ale nie do końca była to jednak łąka, bo wcale nie była pusta. Zamieszkiwała ją cała menażeria krzewów przyciętych na kształt zwierząt – takich, jakie widzieliśmy przy drodze, a potem bliżej domu. Było ich tam co najmniej piętnaście, chociaż niektóre jeszcze przypominały raczej zwykłe krzaki, dopiero miejscami zaczęły przybierać inny kształt.

– Niesamowite – odezwałam się. Lucien wyłączył silnik, wysiadłam z wozu. Podeszłam do najbliższego dzieła – był to naturalnej wielkości koń z wieńcem na szyi.

– Powstał z okazji derby w zeszłym miesiącu – wyjaśnił Lucien.

– Jego zdjęcie trafiło do gazety.

– Coś fantastycznego – stwierdziłam, patrząc na kolejne otaczające nas stworzenia.

– Naprawdę ci się podobają? – spytał.

– Oczywiście – zapewniłam go. Dotarło do mnie, jakim tonem zadał to pytanie. Przykucnęłam, żeby przyjrzeć się z bliska aligatorowi z otwartą paszczą, na którego zębiskach przysiadł maleńki ptaszek. – Ile czasu ci to zajęło? – spytałam i podniosłam na niego wzrok.

Zaśmiał się krótko, z zażenowaniem.

– Skąd wiesz, że to ja?

– Coś za bardzo byłeś ciekaw, czy naprawdę mi się podobają

– odpowiedziałam z uśmiechem. – No więc, są wprost niesamowite. Imponujące.

– E tam, to tylko takie hobby – powiedział. Szedł kilka kroków za mną, ale czułam, że przygląda się uważnie, jak reaguję na jego prace.

– To coś więcej niż hobby – zaprotestowałam. – Jesteś prawdziwym rzeźbiarzem. Nie dziwię się, że jesteś z nich dumny. – Przy jednym z krzaków, który nadal jeszcze najbardziej kształtem przypominał krzak, zauważyłam niewielką piłę. Skojarzyłam jedno z drugim. – Aha, to właśnie dlatego wyszedłeś nam na spotkanie z taką maszyną w ręce?

– Tak. Akurat się w to bawiłem, kiedy usłyszałem wasz samochód. Mam nadzieję, że się mnie nie przestraszyliście?

Udałam, że strasznie zainteresowała mnie kaczka z gromadą kacząt.

– No, może trochę. – Kaczuszki zostały wyrzeźbione nadzwyczaj dokładnie, widać było nawet krawędzie piórek. – Mówię ci, że to niesamowite. Gdzie się tego nauczyłeś? – spytałam.

– E tam, naprawdę nic takiego – odparł. – Jak ci mówiłem, to tutejsza tradycja. Zawsze mi się podobały. A trzy lata temu zatrudniliśmy ogrodnika, który był w tym naprawdę świetny. Nauczył mnie – i tyle – oparł dłoń na grzbiecie wielkiego kota podnoszącego łapę. – Bardzo mi się spodobało coś, co podobno powiedział Michał Anioł. Że widzi anioła w marmurze i jedyne, co musi zrobić, to usunąć niepotrzebne warstwy kamienia, żeby go uwolnić. Ze mną chyba jest tak samo. Tyle że widzę żbika ukrytego w krzaku – uśmiechnął się do mnie, a potem wzruszył ramionami. – Tak czy inaczej, jak już mówiłem, to tylko takie hobby.

Potrząsnęłam głową.

– Wydaje mi się, że ludzie nie poświęcają tyle czasu i energii swojemu hobby – odwróciłam się od niedźwiedzia (niedźwiedzie chyba były jego ulubionym motywem), żeby popatrzeć na Luciena. Stał z przygarbionymi ramionami w świetle księżyca. – Jesteś

prawdziwym artystą.

Zaśmiał się niewesoło.

– Daj spokój. Artyści nie zarabiają pieniędzy. A tym bardziej ogrodnicy! Moi rodzice tolerują takie hobby, dopóki traktują to tylko jako zabawę. Sprawdziłem kilka uczelni, na których jest kierunek „kształtowanie krajobrazu”, no i szkoda, że ich nie słyszałaś. Zupełnie jakbym dopuścił się zdrady wobec rodziny.

– Ale nie możesz pozwolić, żeby to cię powstrzymało – zaoponowałam. – Uważam, że jeżeli ktoś ma jakiś talent, powinien go rozwijać, a nie poddawać się tylko dlatego, że pojawiają się trudności.

Po tych słowach umilkłam, bo zabrzmiały mi one dziwnie znajomo.

– Dobra, już daj spokój – powiedział Lucien. Teraz jego twarz – o ile mogłam dostrzec w ciemnościach – stała się bardziej nieprzenikniona niż kiedykolwiek dotąd. – Chyba nie należało się spodziewać, że mnie zrozumiesz.

– O rany – powiedziałam. To było takie frustrujące. Wkurzyłam się. Czułam, że puls mi przyspiesza, chociaż z drugiej strony nie pojawiła się obawa, nie straciłam panowania nad sobą, jak to się zdarzało podczas kłótni z moją matką. To dziwne, ale właściwie czułam się dobrze. – Pewnie, że cię rozumiem. Myślisz, że moi rodzice chcą, żebym została aktorką? – Tu umilkłam, trochę mnie oszołomiło, kiedy zdałam sobie sprawę, że użyłam liczby mnogiej oraz czasu teraźniejszego. – Znaczy, chciałam powiedzieć, że nie chcieli. Moja matka nadal nie chce. A zresztą, nieważne – stwierdziłam, bo nie było sensu się nad tym rozwodzić. Do rzeczy. – No, więc mój ojciec był nauczycielem historii. – Tylko troszeczkę zacięłam się przy tym „był”. – A moja matka uczy historii literatury angielskiej. Oni mnie nie rozumieją. Uważają, że to jakieś szaleństwo. Może to i racja, ale nie zamierzam rezygnować tylko dlatego, że oni tego sobie nie życzą. To znaczy, nie życzyli sobie...

– Westchnęłam, bo trudno było pogodzić ze sobą czas przeszły i teraźniejszy. – No, wiesz, o co chodzi.



Lucien skinął głową, patrzył w ziemię, wciąż przygarbiony.  
– Bo widzisz... – Spojrzałam w niebo, po czym dokończyłam: – Myślałam, że zaraz umrę. Przez jedną krótką chwilę podczas tego wypadku sądziłam, że już po wszystkim. A potem, rzecz jasna, okazało się, że nie, ale... Jakbym nagle zaczęła iść w przeciwnym kierunku. Jakbym w ogóle przestała żyć, wyłączyłam się, żeby nic nie czuć. Bo kiedy czułam, to tak strasznie bolało... – Głos mi się załamał, ale zaczerpnęłam tchu i mówiłam dalej o tym wszystkim, z czego jeszcze kilka sekund wcześniej wcale sobie nie zdawałam sprawy. – Odkąd ruszyliśmy w drogę... To jakbym zaczęła znowu sobie przypominać, co to znaczy. Co to znaczy żyć. Odczuwać. I chciałam tylko powiedzieć, że nigdy nie wiesz, ile czasu ci zostało.

– Chyba rozumiem – stwierdził i uśmiechnął się smutno. – To się wydaje takie proste. Ale nie wiem, czy dam radę.

– Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać – powiedziałam, bo znowu zaczęłam się wkurzać. Popatrzyłam przez łąkę w stronę terenówki. Kluczyki tkwiące w stacyjce połyskiwały w świetle księżyca. Nie zastanawiając się, ruszyłam w tamtą stronę. Ostatnich kilka kroków przebyłam biegiem.

– Hej! – zawołał za mną Lucien. – Amy?

– Ktoś niedawno mi powiedział – zawołałam – że to nie powinno mnie powstrzymywać. To, czyli lęk. Obawy. Coś tam.

Wsiadłam do wozu po stronie kierowcy.

– Zgadza się – powiedział – ale...

Nie zwracałam na niego uwagi. Położyłam dłonie na kierownicy.

– No, dobra – mruknęłam do siebie. Pierwszy raz od dnia wypadku siedziałam za kierownicą. Pamiętałam doskonale, jak wtedy się czułam – kiedy ojciec dał mi kluczyki. A ja po prostu uruchomiłam silnik i... Dotknęłam kluczyka, ale jeszcze go nie przekręciłam. Zamknęłam oczy, wzięłam głęboki wdech, zmagając się z czającą się gdzieś w pobliżu paniką, która gorączkowo powtarzała, że to nie moje miejsce, że nie powinno mnie tam być, że może zdarzyć się coś bardzo niedobrego. Otworzyłam oczy,

rozejrzałam się.

Nie byłam u siebie, to nie był mój dom. W każdym razie nie znajdowałam się w Kalifornii, nie na zjeździe z autostrady w pobliżu uniwersytetu. Niewiarygodne, ale wylądowałam na pewnej łące w Kentucky, była ciepła, rozgwieżdżona noc. Nie zauważyłam w pobliżu żadnych innych samochodów, które mogłyby przejechać na czerwonym. Wszystko było w porządku. Przekręciłam kluczyk.

Zanim zdążyłam się przestraszyć, wrzuciłam bieg i dałam gazu. Jeep skoczył do przodu, depnęłam na hamulec. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że takiego samochodu jeszcze nigdy nie prowadziłam, że taki wóz zachowuje się trochę inaczej. Poza tym utrwalone odruchy jakby trochę zardzewiały, niby wiedziałam doskonale, co mam robić, ale nie szło mi to już tak płynnie jak kilka miesięcy wcześniej. A więc, ręce na dziesiątej dziesięć, gaz – owszem, tylko delikatniej. Samochód ruszył, docisnęłam troszeczkę. Zaczęłam powoli objeżdżać łąkę.

Lucien stał w jej środku, obok swojego żbika i spoglądał w ślad za mną.

– Hej, prowadzisz! – zawołał.

– Prowadzę! – wrzasnęłam. Dodałam gazu, żeby trochę przyspieszyć. Fantastycznie prowadziło się takiego odkrytego jeepa.

Wiatr rozwiewał mi włosy, więc wydawało się, że jadę znacznie prędzej niż w rzeczywistości. Kiedy zrobiłam pierwsze okrążenie, zawróciłam i pojechałam w przeciwnym kierunku. Słyszałam śmiech Luciena. Przyhamowałam, a potem znowu dodałam gazu, zdałam sobie sprawę, jak bardzo mi tego brakowało, tego poczucia wolności – chociaż przecież donikąd nie jechałam, tylko kręciłam się w kółko.

– Amy, uważaj... – zawołał nagle Lucien ostrym głosem.

– Co? – zawołałam na sekundę przed tym, jak samochód dał niespodziewanie nura w lewo. Niechcący docisnęłam gaz, więc jeep szarpnął do przodu i nagle straciłam nad nim panowanie. Przez jedną straszną sekundę wróciła tamta chwila sprzed miesięcy. Już w następnej opanowałam się i depnęłam hamulec –

jednak nie udało mi się ominąć zielonej bryły, która nagle przede mną wyrosła. Samochód zatrzymał się, ale jednocześnie rozległ się głośny trzask.

– Nic ci nie jest? – Lucien podbiegł do samochodu.

Czułam pulsowanie w głowie, trochę mnie mdliło. Paniczny lęk znów zaczął wypełzać na powierzchnię i pojawiła się obawa, że opanuje mnie całkowicie. Zmusiłam się, żeby otworzyć oczy. Wrzuciłam na luz. Zdjęłam ręce z kierownicy, trzęsły się. Wyłączyłam silnik, szybko cofnęłam dłoń od kluczyków. Co mi strzeliło do głowy? Dlaczego zrobiłam taką głupotę? Wstałam, próbowałam zobaczyć, co się dzieje z przodu.

– Na co wpadłam? – spytałam, usilnie starając się powstrzymać drżenie głosu.

Lucien przyklęknął, żeby spojrzeć na podwozie.

– Samochód chyba w porządku – stwierdził. – Wygląda na to, że wpadłaś kołem do dziury. Natomiast gorzej z Maurycym. – Wstał i pokazał mi głowę – rogatą głowę wyrzeźbionego łosia z krzaka.

– O rany – powiedziałam, spoglądając na niego z niedowierzaniem. – Strasznie mi przykro. Zniszczyłam twojego łosia, tak?

Nie wiem dlaczego nagle wydało mi się to strasznie zabawne. Bez sensu, ale z trudem powstrzymywałam śmiech. Czułam, że już długo nie wytrzymam, przygryzłam mocno wargę, żeby się opanować.

– Biedny Maurycy – rzekł Lucien z żalem w głosie. I wtedy już naprawdę nie wytrzymałam. Wybuchnęłam histerycznym śmiechem. Kiedy wreszcie mi przeszło, wysiadłam z jeepa i obeszłam samochód, żeby się po drugiej stronie. Starłam się nie patrzeć na pozbawiony głowy korpus łosia. Teraz już wcale mnie to nie bawiło.

Jak łatwo zgadnąć, w drodze z powrotem do domu gościnnego jeepem kierował znowu Lucien. Głowa nieszczęsnego Maurycego spoczywała między nami.

– Jeszcze raz przepraszam – powiedziałam.

– Cóż, taki los był mu pisany – stwierdził Lucien, spoglądając na odłamaną głowę. – A zresztą, kto wie. Może to i dobry pomysł. Świetnie by wyglądał nad kominkiem. Wiesz, dla ludzi, którzy chcieliby mieć taką ozdobę, a nie zamierzają zabijać prawdziwego łosia.

– Doskonały pomysł – stwierdziłam. – Pomysł z przyszłością. – Lucien zerknął na mnie, a ja tylko uniosłam brwi.

Zajechał przed dom. Spojrzałam w okna. Na dole paliło się światło, a na piętrze było ciemno.

– Chyba Roger poszedł spać – stwierdziłam.

– Aha – powiedział Lucien. Także spoglądał na dom. Upłynęła chwila, podczas której słychać było tylko cykanie świerszczy i pomruk silnika. – To jak tam jest z wami dwojgiem? – spytał, przerywając milczenie.

Spojrzałam na niego.

– O czym mówisz? – spytałam, chociaż dobrze wiedziałam, co ma na myśli. Lucien zgasił motor i odwrócił się do mnie, tak że opierał się o drzwi i patrzył mi prosto w oczy. Potem chyba zdał sobie sprawę, że Maurycy nas rozdziela, bo podniósł jego głowę i położył ją z tyłu. – Z nami jest nijak – wyjaśniłam, zerkając przy tym na piętro. – Roger kocha się w twojej siostrze.

Lucien potrząsnął głową.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Już chciałam się z nim spierać, kiedy przypomniałam sobie, że Roger kilka godzin wcześniej powiedział właściwie to samo.

– No, może... Ale wiem, że to jeszcze nie skończone. Właśnie dlatego tu jesteśmy.

– To znaczy, że między wami nic się nie dzieje? – spytał Lucien.

Otwarłam szeroko oczy. W pierwszej chwili wydało mi się nie do wiary, że w ogóle mógł o czymś takim pomyśleć. A jednak... Przesunęłam palcami przez włosy, starając się ich za bardzo nie potargać. No tak. Roger. Chociaż w pierwszej chwili, kiedy go ujrzałam, od razu zauważyłam, jaki z niego przystojniak, ale potem już w ten sposób o nim nie myślałam. A teraz w moich

myślach pojawiły się kolejne obrazy, jeden za drugim. Roger stukający palcami w kierownicę. Roger śpiący obok mnie w tym samym łóżku i koc, który zsunął się z jego ramienia. Roger, który spogląda na mnie uważnie, gdy jedziemy dżdżystą nocą przez Kansas, a on chce, żebym z nim rozmawiała. Roger, który częstuje mnie ostatnią frytką.

– Amy? – Lucien przypomniał o swojej obecności.

– Ależ nie – odpowiedziałam pospiesznie. – Nie, niczego między nami nie ma. Skąd. Nie, nie.

– Sporo tych „nie” – zauważył Lucien.

– Tak – zgodziłam się z nim, bo też i sama zwróciłam na to uwagę. Oparłam się w fotelu. Ta rozmowa trochę wybiła mnie z równowagi.

– Po prostu nie byłem pewien – wyjaśnił. – To znaczy, nie byłem pewien, jak to z wami jest.

Potrząsnęłam głową.

– Między nami nic nie ma – powtórzyłam i umilkłam. Czy aby na pewno? – To znaczy, nic się nie wydarzyło – poprawiłam się, bo przynajmniej co do tego mogłam mieć pewność. – No, wiesz. Przyjechaliśmy tu z powodu Hadley. Rogerowi nadal na niej zależy.

– W takim razie nie wiem, co z tego będzie. Obawiam się, że Had tylko na niego popatrzy i zaraz ucieknie. Tak to właśnie z nią jest. Za to ja jestem jej przeciwieństwem. Jak opoka.

– Bo ty coś tworzysz – przypomniałam mu. – Mało tego, zapuszczasz korzenie. Właściwie nawet dosłownie. Ludzie, którzy uciekają, raczej tego nie robią.

– No, nie – przyznał Lucien z uśmiechem. – Chyba nie. Ale chyba dlatego tak się dzieje, że potrzebny był ktoś taki w tym domu. Żeby tu był, po prostu. A Hadley przez całe życie ucieka. Ucieka przed wszystkim. Przed rzeczami, ludźmi, uczuciami. Przed rodziną. Odkąd pamiętam, zawsze tak robiła. Jak sądzisz, skąd się bierze jej zamiłowanie do jazdy konnej? Już jak była dzieckiem, ciągle próbowała uciekać, w taki czy inny sposób. Natomiast chyba nigdy nie zdała sobie sprawy, że kiedyś musi dać

sobie z tym spokój. I co wtedy?

Ta opowieść Luciena o kimś mi przypomniała. Charlie – który zniknął codziennie, umykał każdego wieczora.

– Mam wrażenie, że mój brat zachowuje się tak samo – rzekłam powoli. – Nie wiem, czy przed czymś ucieka, ale wydaje mi się, że lubi znajdować się tam, gdzie nikt za nim nie może pójść.

– Tak? – zainteresował się Lucien.

– Owszem – potwierdziłam. Czułam, że brak mi mojego brata. Tak długo okropnie się starałam, żeby o nim nie rozmawiać. Aż tu nagle bardzo chciałam o nim mówić. Wiedziałam, choć nie wiedziałam skąd, że Lucien zrozumie. – Jest na odwyku – powiedziałam to po raz pierwszy na głos.

Patrzył na mnie przez długą chwilę, potem na niebo, aż wreszcie zaśmiał się.

– Tak samo jak moja matka – powiedział. Pokręcił głową. – Jeździ co roku, żeby się odtruć. Ona i ojciec opowiadają wszystkim, że wybierają się w podróż, na przykład na zwiedzanie różnych terenów golfowych, czy coś w tym rodzaju. Ja też w to wierzyłem, aż parę lat temu Hadley mnie oświeciła.

– Przykro mi – powiedziałam. Miałam nadzieję, że mi uwierzy, bo powiedziałam to jak najbardziej szczerze.

– Nawzajem – powiedział i uśmiechnął się do mnie. – Rany, wszyscy jesteśmy jak z obrazu Normana Rockwella, no nie?

– Wszystkie szczęśliwe rodziny są podobne – odpowiedziałam cytatem z jakiejś książki, o której kiedyś matka rozmawiała z Charlie’em.

Lucien skinął głową.

– No właśnie.

Oparłam głowę o zagłówek i spojrzałam w niebo.

– Hej, czy wiesz, jak brzmi dewiza stanu Kansas?

– Nie. Ale chętnie się dowiem?

– *Per aspera ad astra*. Po łacinie. Po angielsku to znaczy „przez cierpienia...”

– „...do gwiazd” – dokończył za mnie Lucien. Zaimponował

mi tym, więc popatrzyłam na niego z uznaniem, on zaś stuknął się palcem w czoło. – Tak całkiem pusto tu nie jest.

– Zauważyłam – odpowiedziałam i znowu oparłam głowę. – Właśnie dzisiaj wieczorem przypomniała mi się ta maksyma. Piękne niebo, prawda?

– Piękne – odpowiedział półgłosem. – Amy...

Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć i spostrzegłam, że przysunął się trochę bliżej do mnie. Nie wiedziałam, o co mu chodzi, on tymczasem przysunął się jeszcze bliżej, wysunął dłoń i poprawił kosmyk moich włosów, wsunął mi go za ucho. Jego dłoń zatrzymała się tam przez sekundę, a potem przesunęła się po moim policzku aż do podbródka.

– Och – powiedziałam cicho. – Hm. Hm...

Nie spodziewałam się tego. Miałam wrażenie, że dawno nie zdarzyła mi się taka sytuacja. Polubiłam Luciena, nawet mi się podobał, ale z drugiej strony...

Przysunął się jeszcze bliżej, jego druga ręka znalazła się na oparciu za moimi plecami. Poczułam lekki dreszczyk. Byłam sam na sam z chłopakiem, któremu wyraźnie się podobałam, który chciał się ze mną całować pod gwiazdami. Zastanawiałam się, co właściwie czuję i co mam zrobić, a on tymczasem pochylił się i dotknął czołem mojego czoła.

W tej samej chwili okno pokoju Rogera rozbłysło światłem. Popatrzyłam w tamtą stronę – i cały nastrój prysł. Lucien też spojrział w kierunku okna, a przy okazji odsunął się trochę.

– Chyba Roger się obudził – stwierdziłam rzecz oczywistą, po prostu żeby coś powiedzieć w tej niezręcznej sytuacji.

– Na to wygląda – przyznał Lucien z zawstydzonym uśmiechem.

Uśmiechnęłam się również, odsunęłam się.

– Pójdę już spać – powiedziałam i wysiadłam z wozu. Zamknęłam drzwiczki, pochyliłam się nad nimi. – Do zobaczenia jutro.

– Do jutra – odpowiedział beztroskim tonem Lucien, ale zauważyłam, że trochę się zaczerwienił, a w każdym razie jego

opalenizna stała się jakby bardziej widoczna. – Prowadziłaś dzisiaj samochód – dodał, patrząc na mnie. – To jest coś.

– No, niby tak – przytaknęłam, ale jednocześnie, gdy o tym pomyślałam, znowu wezbrała we mnie panika, bo przypomniałam sobie tę chwilę, gdy straciłam panowanie nad jeepem.

Odepchnęłam od siebie tę myśl, próbowałam sobie wmówić, że wszystko w porządku. Że przecież nic mi się nie stało... Czego jednak nie można było powiedzieć o nieszczęsnym Maurycym. Odwróciłam się i ruszyłam w stronę domu.

– Jeszcze jedno! – zawołał półgłosem Lucien. Odwróciłam się.

– Jakie jest twoje ulubione zwierzę?

Nie byłam przygotowana na to pytanie. W każdym razie, nikt mi go nie zadawał, odkąd skończyłam mniej więcej osiem lat.

„Amy!” nie miałyby problemów z odpowiedzią. Kotek, jasne, że kotek. Albo jednorożec. Jeszcze lepiej. Tylko że jej nigdy nie przydarzyłyby się taki wieczór – nie skorzystałaby z okazji i nie wyszłaby z domu boso, żeby potem jeździć jeepem po łące. A ja – owszem.

– Czy ja wiem? – zastanowiłam się. – Chyba zawsze lubiłam sowy.

– Sowy? – zdziwił się. – Poważnie?

– No – odpowiedziałam i zaśmiałam się. – Ale może to dlatego, że lubię lizaki. I chipsy ziemniaczane. Bo wiesz, sowy mają takie wielkie okrągłe oczy. Jakby miały okulary. A co?

– Nic, tak pytam – odparł. Wycofał wóz i wykręcił w stronę głównego domu. Dał klaksonem krótki sygnał na pożegnanie, a potem zniknął w ciemnościach, pozostawiając po sobie ciszę i noc. Spojrzałam do góry – światło w pokoju Rogera zgasło.

Weszłam do środka, nie mogłam przy tym powstrzymać uśmiechu. Wpadłam w oko Lucienowi. Chciał mnie pocałować. Po Michaelu i po całym tym czasie spędzonym w samotności, kiedy nie spotykałam się z żadnym chłopakiem, wydawało mi się, że może już nigdy to się nie zdarzy. A się zdarzyło.

Kiedy weszłam do pokoju, w oczy rzucił mi się mój telefon.



Leżał sobie na tym perfekcyjnie poślanym łóżku. Wzięłam aparat, bo pomyślałam o matce Luciena, która gdzieś tam odtruwa się na odwyku, ale nie życzy sobie, żeby zaśmiecał jej park swoją twórczością. Moja matka przynajmniej chodziła na wszystkie moje przedstawienia, nie licząc ostatniego. Zawsze kupowała mi kwiaty. Swojego czasu wprawiało mnie to w zakłopotanie, ale zawsze słyszałam jej okrzyki „brawo” po opuszczeniu kurtyny, kiedy wychodziliśmy ukłonić się przed publicznością; zawsze je odróżniałam od głosów innych ludzi.

Zadzwoiłam na jej komórkę, wstukując uprzednio kod pozwalający od razu nagrać wiadomość. „Cześć, mamó – powiedziałam po sygnale. – Chciałam ten, no... Chciałam cię pozdrowić. Jesteśmy w Kentucky. Wszystko jest w porządku, więc nie musisz się o mnie martwić.” Rozłączyłam się, spojrzałam na ekran. Staralam się o tym nie myśleć, ale przecież pewnie niepokoiła się o mnie. W każdym razie zostawiłam wiadomość, tyle mogłam zrobić. Poszłam do łóżka z uczuciem, jakby trochę mi ulżyło, jakby ktoś zdjął ze mnie ciężar – niewielki, ale jednak.

Rano, kiedy zeszałam na dół, żeby sprawdzić, czy Roger już wstał, a jeżeli tak, to czy zaparzył kawę, zobaczyłam coś dziwnego na ganku, więc poszłam sprawdzić, co to takiego. Na górnym stopniu ujrzałam coś zupełnie niesamowitego: bardzo małą sówkę wyrzeźbioną z drewna. Podniosłam ją i przyjrzałam jej się dokładnie. Była fantastyczna. W następnej chwili zorientowałam się, że Lucien nie zapomniał wyrzeźbić mojej sówce okularów.

 **NETMAIL** ...Internet bezpieczny!

**INBOX** amycurry@netmail.com

OD	TEMAT	STATUS
Charlie Curry	hej	odebrana
<b>Julia Andersen</b>	<b>Ostatni Email</b>	<b>nieodebrana</b>

**OD:** Charlie Curry (charliecurry@netmail.com)

**DO:** Amy Curry (amycurry@netmail.com)

**TEMAT:** hej

**DATA:** 10 czerwca

**GODZINA:** 16:45

hej – pozdrowienia, wszystko u ciebie w porządku? pisałem do mamy, powiedziała, że nie chce o tym rozmawiać, ale podobno „bardzo ja rozczarowałaś”

całkiem nie w twoim stylu... super, gratulacje!

okej, to tyle uściski charlie

 **NETMAIL** ...Internet bezpieczny!

**INBOX** amycurry@netmail.com

**OD:** ME (amycurry@netmail.com)

**DO:** Charlie Curry (charliecurry@netmail.com)

**TEMAT:** Re: hej

**DATA:** 10 czerwca

**GODZINA:** 23:45

Hej, dzięki za wiadomość!

Mam nadzieję, że miewasz się dobrze i wszystko u Ciebie w

porządku.

Ja w tej chwili jestem w Kentucky (to długa historia!). Można powiedzieć, że mama się na mnie wściekła, ale prawdę mówiąc, z wzajemnością. Muszę Ci kiedyś o tym wszystkim opowiedzieć. Trochę szkoda, że nie możecie tam mieć telefonów, bo to na tyle długa historia, że nie chce mi się jej spisywać.

Mam więc nadzieję, że wkrótce uda nam się jakoś pogadać.

– Amy

*She met a boy up in Kentucky.*

– *Steve Earle*

– Już jest – powiadomił nas Lucien. Pojawił się wkrótce po tym, jak znalazłam sówkę. Roger zszedł na dół akurat w tej samej chwili. Nic nie powiedział, tylko nalał sobie szklankę wody.

– Teraz przyjechała? – spytałam.

– Właśnie teraz – potwierdził Lucien. Przeszedł do kuchni i poczęstował się bananem z kosza pełnego owoców, który przyniósł ze sobą. – Właśnie się zjawiała. Pewnie najpierw zaprowadzi przyczepę z końmi do stajni, ulokuje zwierzaki w boksach, a potem wróci do głównego domu – na tym etapie nie powinnam się dziwić, że mają stajnię, ale jednak mnie to zaskoczyło. – Chyba najlepiej będzie – mówił dalej do Rogera – jeżeli ja i Amy gdzieś się zmyjemy, a ty zajedziesz przed dom. W ten sposób Had nie będzie wiedziała, że tu nocowaliście. Okej?

Roger tylko wzruszył ramionami.

– Co mnie to obchodzi? Niech sobie wie – rzucił dość ostrym tonem. – Nie będę plątać się w jakieś kłamstwa.

– Jak chcesz – powiedziałam, patrząc na niego i próbując wyczuć, co dzieje się w jego głowie. Wstałam tego dnia wcześnie, sprawdziłam pocztę i zrobiłam mały risercz w sprawie tego ośrodka, w którym przebywał Charlie. Mejla od Julii nie otworzyłam, ale przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w nagłówek z tytułem – nim wyłączyłam laptopa przeznaczonego dla gości. Przez cały ranek Roger się nie pokazywał, więc nie miałam okazji z nim pogadać i opowiedzieć o tym, co zdarzyło się w nocy. Nic dziwnego, w sumie zajęty był swoimi sprawami i miał się spotkać z Hadley.

– Ale chyba lepiej, żeby mnie nie było z tobą w samochodzie, prawda?

Roger popatrzył na mnie przez chwilę, potem skinął głową.

– Może i tak.

Lucien najwyraźniej wyczuł napięcie w głosie Rogera, bo zajął się pakowaniem naszych bagaży do bagażnika. Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, zadałam pytanie Rogerowi, bo nie całkiem się orientowałam, co o tym wszystkim myśli:

– Jak tam? Wszystko w porządku?

– Okej – odpowiedział, raczej zwięźle. Wyjrzał na zewnątrz, a potem spytał, nie patrząc na mnie: – Skąd wzięła się ta sowa?

– Ach – odpowiedziałam, uśmiechając się. – Lucien zrobił ją dla mnie. Śliczna, nie?

– No – odpowiedział bez przekonania. – Niezła.

– Dobrze się czujesz? – spytałam. Nie widziałam, żeby był taki wycofany, odkąd go znałam, a przy tym nie potrafiłam zorientować się, co go dręczy.

– Wszystko w porządku – odpowiedział. – Jest okej – powtórzył, zaczerpnął tchu i popatrzył na mnie. – Czy ty... – zaczął, ale w tej chwili właśnie wszedł Lucien.

– Towar załadowany – oznajmił. – Gotowi?

– Spoko – odpowiedział Roger, co wywołało u mnie uśmiech. Popatrzyłam jeszcze raz na dom gościnny państwa Armstrongów, po czym poszliśmy do samochodów. Ostrożnie umieściłam sówkę na tylnej kanapie, a Roger zerknął na nią, pokręcił głową i zajął miejsce za kierownicą.

– No, dobrze – powiedziałam. – Więc chyba tak, po prostu zadzwoń, kiedy... – nie byłam pewna, jak skończyć to zdanie. – No, kiedy będziesz chciał, żebyśmy się spotkali – dokończyłam niezręcznie. Zacisnęłam usta, spoglądałam na nasz rodzinny samochód, w którym siedział Roger – a ja nie. Nie chciałam o tym myśleć, wiedziałam jednak, że nasza wyprawa w takiej formie, jaką przybrała z początku, może zaraz się skończyć. Przecież przez cały czas chodziło mu o Hadley. A teraz, kiedy dotarł do celu, jak to się skończy? Jeżeli on i Hadley dojdą jakoś do porozumienia – na tę myśl coś jakby ścisnęło mnie w żołądku – wtedy raczej koniec naszej wycieczki.

– Jasne – odpowiedział.

– Amy, chcesz poprowadzić? – zawołał do mnie Lucien,

który stał obok swojej terenówki.

Roger popatrzył na mnie, zaskoczony.

– Co? – spytał, gapiąc się na mnie. – To znaczy...

– To znaczy, że jeszcze nie miałam kiedy z tobą pogadać – wyjaśniłam; zdałam sobie sprawę, że mam mu sporo do opowiedzenia, a wolałabym mówić, kiedy nie będzie w okolicy Luciena i kiedy wyjaśni się kwestia spotkania z Hadley. – Ale tak, owszem. Wczoraj w nocy. Prowadziłam samochód. Może nawet przez minutę.

– Dopóki nie pozbawiła głowy pewnego łosia – uzupełnił Lucien.

– Wyrzeźbionego łosia – sprecyzowałam. Żałowałam, że nie miałam okazji wytłumaczyć tego Rogerowi sam na sam.

– Super – powiedział, wciąż na mnie patrząc. – To... To doskonale. Cieszę się.

– Dzięki – odparłam. Zapadło milczenie, milczenie, które w jakiś sposób zaległo między nami niczym bariera.

– No, lecę. – Roger odpalił silnik. – Zadzwoń do ciebie.

– Powodzenia – rzuciłam. Potem natychmiast przyszło mi do głowy, że nie powiedziałam tego, co powiedzieć należało. – Wiesz, mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie. Wiesz... No... – Umilkłam, bo on ciągle patrzył przed siebie, a ja właściwie nie miałam pojęcia, co tak naprawdę chcę mu powiedzieć.

– No – powtórzył, wycofał wóz, zawrócił i ruszył na spotkanie z Hadley.

Za kierownicą terenówki siadł Lucien. Pojechaliśmy do najwyższej położonej części posiadłości, na wzgórze – widziałam w dole główny dom, a za nim (jestem tego prawie pewna) korty tenisowe. Stajnie znajdowały się blisko pod nami; poza tym trudno było nie zauważyć toru do jazdy konnej z przeszkodami. Pośrodku wznosił się spory owalny budynek, prawdopodobnie kryta ujeżdżalnia.

– Nieźle – stwierdziłam, podziwiając to wszystko.

Temperatura wzrastała, zanosilo się, że około południa będzie niezły upał. Jednak na razie było jeszcze całkiem przyjemnie.

Wdychałam aromat słodkiej trawy, rozglądałam się po tej pięknej okolicy i nie posiadałam się ze zdumienia, że znalazłam się w takim miejscu.

– A co to? – spytałam, pokazując domek nad jakimś stawem. Stał na tyle daleko, że trudno mi było stwierdzić, czy to jeszcze część posiadłości państwa Armstrongów.

– To domek myśliwski – wyjaśnił Lucien i westchnął. – Tam właśnie mój ojciec oddaje się swojemu ulubionemu zajęciu. Nie potrafi zrozumieć, po co ktoś miałby rzeźbić kaczki, skoro może sobie postrzelać do prawdziwych.

– Aha, no tak – powiedziałam. Teraz zdałam sobie sprawę, w jak innym kraju się znalazłam. W Kalifornii nie znałam nikogo, kto by polował.

– No – powiedział. – A na listopad zaplanował wycieczkę, mamy obaj jechać do Kanady. Chociaż chyba wtedy będę miał sesję. Jakoś spróbuję się z tego wykręcić.

Już miałam coś odpowiedzieć, kiedy zobaczyłam liberty zajeżdżającego przed główny budynek. Roger wysiadł i zatrzasnął drzwi. W ręce trzymał telefon, który po chwili schował do kieszeni. Rozejrzał się, przeczesał palcami włosy, a potem, jakby coś sobie przypomniał, przyglądził je, tak jak ja je przyglądziłam poprzedniego dnia.

Spojrzałam na Luciena, a potem skuliłam się trochę w fotelu samochodu – całkiem niepotrzebnie, bo przecież i tak doskonale było nas widać. Ale mimo wszystko czułam się z tym jakoś lepiej, nie tak, jakbym kogoś podglądała.

– O, zobacz – odezwałam się niepotrzebnie.

Drzwi głównego budynku stanęły otworem. I wyszła z niego najpiękniejsza dziewczyna, jaką w życiu widziałam. Byliśmy raczej daleko, ale i z tej odległości widać było, że laska roztacza wokół siebie specyficzną aurę. Coś takiego, co bije od celebrytek, kiedy widzi się je w realu. W Los Angeles zdarzało mi się to nawet całkiem często – tylko że zazwyczaj był to tylko rzut oka, zaraz potem cały widok zasłaniał tłum paparazzich. Jednak ten rzut oka wystarczał, żeby zdać sobie sprawę, że ma się do czynienia z nie

byle kim, żeby zachłysnąć się urodą i blichтром. I ta dziewczyna też to miała w sobie. Jeszcze jak!

– To Hadley? – spytałam, chociaż wiedziałam, że to musi być ona.

– Hadley – potwierdził Lucien.

Zdjęcie, które widziałam u Bronwyn, nie oddawało w pełni jej urody. Była wysoka, smukła, miała idealne rysy, aż zastanowiło mnie, jak to się dzieje, że już dawno nie została słynną supermodelką. Miała na sobie džinsy i koszulkę polo, ale równie dobrze mogłaby nosić ciuchy jakiegoś topowego designera; zresztą cokolwiek by na siebie włożyła, wyglądałoby szalowo. Kiedy patrzyłam na nią i widziałam, jak spogląda na nią Roger, dotarło do mnie, dlaczego tak koniecznie chciał się z nią spotkać. Nic dziwnego, że wytrzymał tych kilka dni ze mną, z głupią siksą, skoro miał w perspektywie spotkanie z taką laską. Gapiłam się na nich, a on tymczasem podszedł do niej. Ścisnęło mnie w żołądku, zupełnie jakbym oglądała jakiś horror w telewizji. Nie chciałam tego widzieć, ale jednocześnie wiedziałam, że nie potrafię nie odwrócić wzroku. Przez chwilę sądziłam, że padną sobie w objęcia, ale nie – Roger cofnął się i tylko uniósł dłoń w geście pozdrowienia.

– Jak myślisz, co będzie? – spytałam szeptem Luciena. Zaśmiał się cicho.

– Amy, są z dziesięć metrów od nas albo więcej. Raczej nas nie słyszą.

– Wiem – powiedziałam – ale jednak... – Widziałam, że rozmawiają ze sobą. Roger trzymał ręce w kieszeniach, ruchem głowy wskazał samochód. Hadley skinęła głową, potem wskazała na lewo. Oboje poszli w tamtą stronę, zniknęli za budynkiem stajni. – Cholera – mruknęłam.

– Wiesz – odezwał się Lucien – w razie czego... – Machnął ręką w ich stronę. – Możecie tu zostać dłużej, jak długo zechcecie. Fajnie się z wami gada i w ogóle.

Spojrzałam na niego.

– Wielkie dzięki, to strasznie miłe z twojej strony –



powiedziałam. – Ale i tak nadużywamy twojej gościnności. A poza tym, musimy jechać dalej.

Skinął głową, jakby spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi.

– A dokąd teraz? – spytał.

– Jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Ale... – pomyślałam o tej wycieczce, na którą tato planował zabrać mnie i Charlie'ego, i że właśnie znaleźliśmy się zaledwie o parę godzin drogi od Memphis. Z tym że na razie nie wiedziałam, jak wygląda sytuacja. Kto wie, może cała włóczęga zaraz się skończy. Nie powiedziałam więc nic więcej, tylko wyprostowałam się, kiedy znowu pojawiła się Hadley. Wyszła zza budynku. Nie wyglądała na zachwyconą; na jej twarzy malował się grymas, była sztywna. Nie wydawała mi się już taka ładna. W następnej chwili pokazał się też Roger. Szedł wolniej, z opuszczoną głową. Nie widziałam jego twarzy. Hadley podeszła do drzwi stajni i trzasnęła nimi tak mocno, że chociaż znajdowaliśmy się w pewnej odległości, aż drgnęłam.

– No, no – powiedziałam.

– No – zgodził się ze mną Lucien.

Roger oparł się o naszego liberty, dalej miał wzrok wbity w ziemię.

– Chyba czas na mnie – stwierdziłam.

– Chyba tak – zgodził się ze mną Lucien. – Podwieźć cię tam?

– Nie, nie ma sprawy – powiedziałam. Wsiadłam z samochodu. – To przecież tylko dwa kroki. – Lucien też wysiadł. Stanęliśmy oboje przed samochodem. – Wiesz co? Wiem, że to nie moja sprawa – powiedziałam, trochę się przy tym zacinając – ale uważam, że powinieneś pojechać na tę wycieczkę z ojcem.

Zamrugał oczami, chyba nie spodziewał się, że powiem coś takiego.

– No tak, ale... – zaczął.

Pokręciłam głową. I przerwałam mu:

– Pojedź, pojedź – powiedziałam. – Wiesz, na pewno sprawisz mu w ten sposób przyjemność. A poza tym, kiedyś może

nadejść taki dzień... No, że już nie będziesz mógł z nim pojechać.

Lucien nie odpowiedział, ale po wyrazie jego twarzy widziałam, że rozumie, co mam na myśli. Patrzyłam na niego jeszcze przez chwilę, żeby tę jego twarz zapamiętać, a jednocześnie zdałam sobie sprawę, że będzie mi go brakować – kto by pomyślał? Będzie mi brakować faceta, którego dzień wcześniej wcale nie znałam.

– Dzięki ci za wszystko.

– To ja dziękuję. Miło było cię poznać, naprawdę – powiedział, a w jego głosie usłyszałam jakby smutek. Popatrzył na mnie, uśmiechnął się. – Fajna jesteś. Ale pewnie dobrze o tym wiesz, co?

Nie bardzo wiedziałam, jak na to odpowiedzieć, więc tylko zaśmiałam się, ciut zażenowana.

– Tylko pamiętaj, żebyś dalej robił te zwierzaki – powiedziałam. – Poważnie mówię. Bo jak nie, to się wkurzę.

– No nie, tego bym nie chciał – zapewnił. A potem, zanim zdążyłam zorientować się, co się dzieje, pochylił się i pocałował mnie.

To trwało tylko chwilę. Ledwie zdążyłam zareagować, cofnął się, a potem wskoczył na fotel samochodu.

– To na razie. Będziemy w kontakcie!

Zapisałam jego numer poprzedniego wieczoru, to znaczy spisałam go z tablicy na lodówce. Czyli rzeczywiście: istniała szansa, że jeszcze kiedyś się skontaktujemy. Pomachałam mu, on zaś odpalił wóz i cofnął się, wyjeżdżając na główną drogę. Pomyślałam, że pewnie wybierze się na swoją łąkę, żeby coś wyrzeźbić. Może drugą sowę? Ale chyba raczej nowego łośia. Patrzyłam za nim, dopóki po jego jeepie nie pozostało nic prócz chmury kurzu, a potem odwróciłam się i zbiegłam po stoku pagórka: na łeb, na szyję, bo inaczej nie da się zbiec po stromym zboczu.

Roger usłyszał tupot moich stóp, spojrzał w moją stronę.

– A skąd ty się wzięłaś?

Ruchem ręki pokazałam szczyt pagórka.

– Byliśmy tam, na górze. Właśnie was zauważyliśmy...

– Aha – powiedział Roger. – No, tak. – Przyjrzałam mu się, próbując się zorientować, jak poszła mu rozmowa z Hadley, jednak jego twarz pozbawiona była wyrazu. – To jak? – spytał po krótkiej chwili. – Gotowa? Jedziemy?

– Jasne – odpowiedziałam. – A co z tobą? W porządku?

Roger skinął głową.

– Wiesz co – powiedział i pierwszy raz tego dnia uśmiechnął się do mnie. – Chyba naprawdę tak.

Podeszłam do samochodu, ale kiedy miałam otworzyć drzwi, usłyszałam piknięcie – zablokował drzwi pilotem.

– Hej – powiedziałam. – Przestań.

– Bo co? – spytał. Rzucił mi uśmiech nad maską wozu. – Jesteś pewna, że nie chcesz prowadzić?

Powiedział to z takim naciskiem, żeby było jasne, że nie zapomniał, co mówił Lucien. I żeby było jasne, że nie jest tym zachwycony. Tak przynajmniej mi się wydawało.

– Nie – odpowiedziałam, powstrzymując śmiech. – Otwieraj.

– Okej. – Powiedział, kliknął i otworzył, a potem kliknął znowu, blokując drzwi na sekundę, zanim dotknęłam klamki.

– Przestań!

– Bo co? Masz słaby refleks...

Nagle otworzyły się drzwi stajni, pojawiła się w nich Hadley. Patrzyła na nas. Sądząc po jej wyrazie twarzy, nie spodziewała się mnie zobaczyć.

– Ha – odezwała się, popatrzyła na mnie, potem na Rogera.

– Już spadamy – oświadczył Roger. Kliknął pilotem i odblokował drzwi. Coś mi mówiło, że tym razem już nie zamknie mi ich przed nosem.

– To ona? – spytała Hadley, patrząc na mnie. Zdziwiłam się jak rzadko kiedy. To znaczy, że rozmawiali z Rogerem o mnie? Poważnie?

– Cześć – powiedziałam, nie bardzo wiedząc, jak należy na coś takiego odpowiedzieć. – Jestem Amy...

– Niepokoicie konie – powiedziała, nie dając mi skończyć. –

Jakbyście mogli...

– Już, już. Już się wynosimy – odparł cicho Roger.

– W takim razie, no... – zawiesiła głowę i chyba nie zamierzała powiedzieć już niczego więcej. Wpatrywała się we mnie, a ja wytrzymałam jej spojrzenie. Cieszyłam się, że mam na sobie ciuchy Bronwyn i pamiętałam, żeby stać prosto. Potem odwróciła się nagle i ruszyła zdecydowanym krokiem do stajni. Wrota zatrzasnęły się za nią.

Wskoczyłam do samochodu. Roger też nie zwlekał. Zapięliśmy pasy, kliknęły niemal w tej samej chwili.

– Co się stało? – spytałam. – Co jej powiedziałaś?

Roger włożył kluczyk do stacyjki i spojrzał na mnie z ukosa.

– Powiedziałem jej... No, pożegnaliśmy się. Raz na zawsze – wyjaśnił. A potem odpalił motor, wrzucił bieg i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Miejsca i miejscowości...

**stan #9:** Kentucky – Stan Błękitnej Trawy (The Bluegrass State)

**dewiza:** United We Stand, Divided We Fall (w przybliżeniu; W jedności siła)

**wielkość:** Nie taki wielki, jak tamte. Wreszcie zaczęły się stany normalnej wielkości!

**ciekawostki:** Roger był bardzo rozczarowany, bo w Kentucky nie trafiła nam się ani jedna restauracja KFC. A chciał sprawdzić, czy tu – tak samo się nazywa; Kentucky Fried Chicken w Kentucky?

**uwagi:** Wyżerka w Kentucky jest naprawdę świetna. Mnóstwo lejków za słodką herbatę, hot browns i ciasteczka derby. I nie-lajki za drinki o smaku stęchlizny.

Waffle House



Waffle House jest mega!

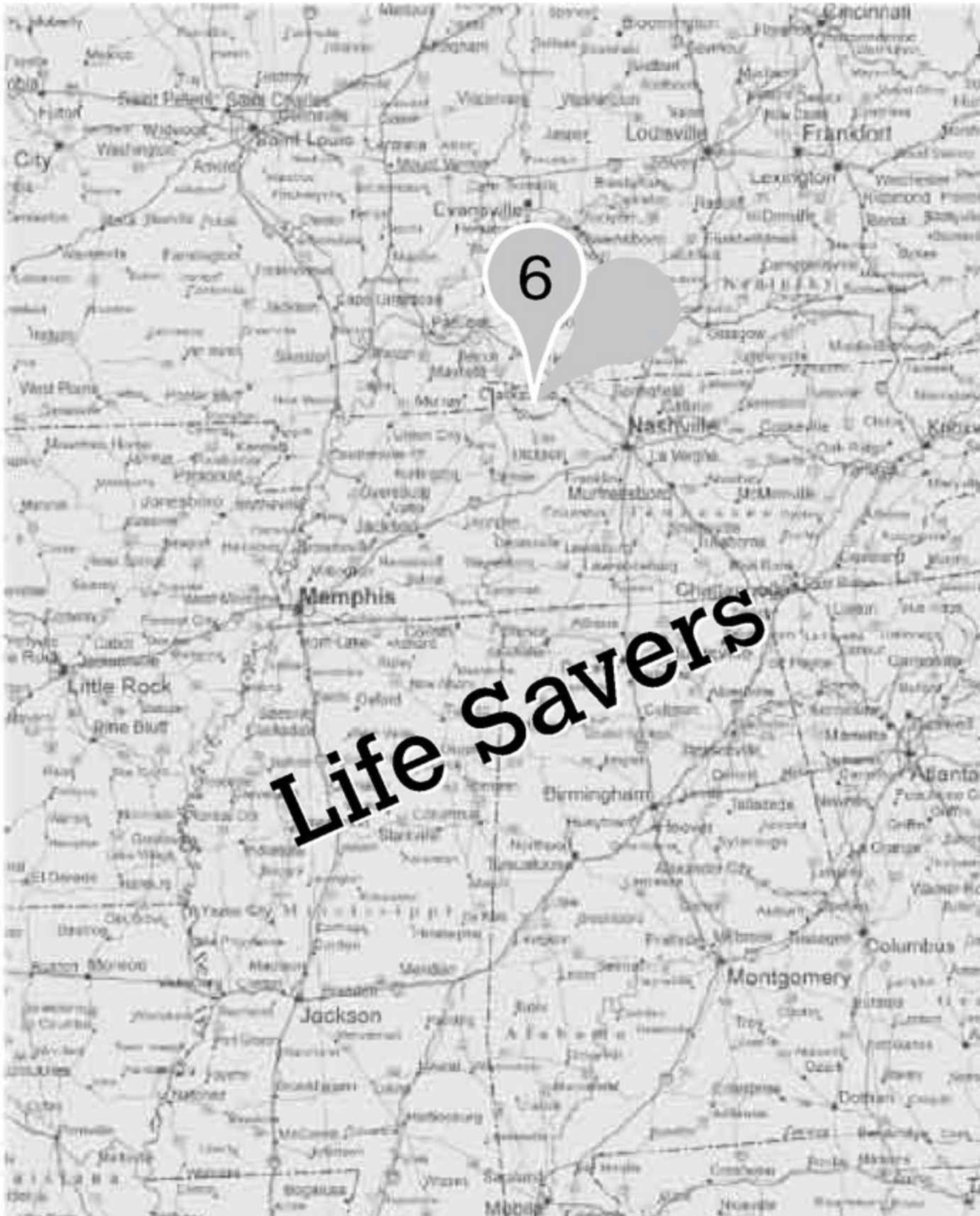
WAFFLE HOUSE  
Munfordville, KY  
6/11  
Server: Elle

Waffle Meal #1	5.99
Scrambled Eggs & Cheese Grits	2.99
Side bacon, crisp	1.50
Sweet Tea	
Waffle Meal #3	3.99
Double Stack	2.99
Side bacon, crisp	1.50
Root Beer	
<b>TOTAL:</b>	<b>18.96</b>













*We both will be received in Graceland.*

– *Paul Simon*

– No co ty? Myślałem, że nie trawisz Elvisa – powiedział Roger. Jechaliśmy międzystanową numer sześćdziesiąt pięć, a więc jeszcze niezupełnie w tym kierunku, co powinniśmy. Upału na razie nie było, mieliśmy otwarte wszystkie okna. Wiatr rozwiewał mój kucyk, ale chyba nie wyrywał mi zbyt wielu włosów.

– Uwielbiam Elvisa – oświadczyłam. Te wszystkie teksty, które od zawsze stanowiły nieodłączną część mojego życia, wszystkie piosenki, które znałam na pamięć, a nawet nie pamiętam, kiedy ich się nauczyłam. Nagle zdałam sobie sprawę, że tych parę miesięcy to był najdłuższy w moim życiu okres bez Elvisa.

– Ale nie chciałaś go słuchać – zauważył Roger. Zmarszczył lekko brwi, zerknął w lusterko i zmienił pas. – Dobrze pamiętam. Był wyraźny ban na wszystko, co dotyczy Elvisa.

Odetchnęłam głęboko, nim byłam w stanie wypowiedzieć te słowa:

– Mój ojciec... Strasznie lubił Elvisa.

Niesamowite, tak bardzo bolało, kiedy mówiłam o tacie, że nie tylko przestałam mówić, przestałam też o nim myśleć. Nagle do mnie dotarło, że to najwstrętniejsza zdrada. Starłam się zapomnieć o tym, co się wydarzyło. W porządku. Ale to jeszcze nie powód, żeby zapomnieć o nim.

– Rozumiem – powiedział Roger i spojrzał na mnie.

Skinęłam głową, popatrzyłam za okno. Jednak, ku własnemu zaskoczeniu, powiedziałam jeszcze coś:

– Właśnie w czerwcu mieliśmy jechać do Graceland. Charlie, mój ojciec i ja.

Powiedziałam to odrobinę drżącym głosem, ale chyba dobrze, że to zrobiłam, bo w odpowiedzi Roger uśmiechnął się,

popatrzył na mnie znowu i oznajmił:

– Ha. W takim razie chyba powinniśmy tam cię zawieźć, nie? Już chciałam coś powiedzieć, że to kompletnie nie po drodze, że to nam zajmie mnóstwo czasu, ale nie, siedziałam cicho. W końcu kto wie, może i ja miałam coś do załatwienia, jakąś misję czy co?



– I jak? – spytałam. Jechaliśmy przez Kentucky od dwóch godzin, aż w końcu nie mogłam już znieść tego napięcia. Po obu stronach międzystanowej wnosiły się łagodne, zielone pagórki, a ciągnęły się aż po horyzont. Przypominały mi zdjęcia z Irlandii, natomiast nie wiedziałam, że takie krajobrazy oglądać też można w moim rodzinnym kraju. Po raz kolejny dotarło do mnie, jak wielka jest Ameryka i jak mało jej dotąd widziałam.

– Fajne – odpowiedział Roger. Postukiwał palcami w rytm pierwszej piosenki z Avenue Q. – Nie wiedziałem, że musicale są takie fajne.

Zerknął na mnie przez okulary słoneczne. Dobrze, że wreszcie darował sobie komentarze na temat moich nieobecnych okularów.

– Nie, nie o to mi chodzi – powiedziałam, chociaż w zasadzie odetchnęłam z ulgą, bo chyba rzeczywiście podobała mu się moja muzyka, nie udawał. – Powiedz wreszcie, jak to było z Hadley?

Przez moment Roger milczał, zajął się tempomatem, przez co samochodem trochę szarpnęło, zanim wyrównała się prędkość. Spojrzałam na wskaźnik: dokładnie siedemdziesiąt mil na godzinę.

– Było inaczej, niż się spodziewałem – powiedział wreszcie. – A czego się spodziewałeś? – spytałam, chociaż obawiałam się tego, jaka może być odpowiedź – a jednocześnie koniecznie chciałam ją usłyszeć.

– Chyba... No tak. Z początku miałem nadzieję, że się dogadamy i będziemy ze sobą. – Gdy tylko to powiedział, zdałam

sobie sprawę, że właśnie tego nie chciałam usłyszeć. A to, w połączeniu ze słowami Luciena uświadomiło mi, że zupełnie o tym nie wiedząc, zupełnie niechcący zaczęłam myśleć inaczej na temat Rogera.

– Aha – odpowiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to całkiem obojętnie.

– Ale potem... No, nie wiem – powiedział, po czym znowu zmienił pas, chociaż właściwie nie wiadomo było po co. – Jakoś ostatnio przestałem o tym myśleć. A dzisiaj, kiedy ją zobaczyłem, miałem wrażenie, że to inna osoba. Nawet wyglądała inaczej.

Widziałam Hadley na własne oczy i trochę trudno mi było w to uwierzyć.

– Poważnie?

– Wiem, że to brzmi dziwnie – odpowiedział. – Ale to było tak, jakbym widział kogoś, kogo kiedyś znałem, tylko że to było bardzo dawno temu. Ona coś tam mówiła, a ja tylko przypominałem sobie różne rzeczy, o których nie pamiętałem – że nie była w stanie strawić mojej muzyki, że czekałem całymi godzinami, aż do mnie oddzwoni, że nie pasował jej żaden z moich kumpli. No i... No i nie wiem. Przypomniało mi się też, jak skończyła z nami. I nagle jakoś przestało mnie interesować, dlaczego skończyła. Po prostu wiedziałem, że już po wszystkim. I że to coś, co było, skończyło się tak naprawdę już dosyć dawno temu.

## \* Playlista Amy #1 \*

„W drodze do Graceland”, czyli „Roger poznaje musicale, których dotąd nie znał wcale”

<u>TYTUŁ</u>	<u>WYKONAWCA</u>
„Avenue Q”	Avenue Q
„One Short Day”	Wicked
„All That's Known”	Spring Awakening
„Someone Like You”	Jekyll & Hyde
„When I Look at You”	The Scarlet Pimpernel
„All the Wasted Time”	Parade
„I'd Give it All for You”	Songs for a New World
„I Believe”	Spring Awakening
„I Can Do Better Than That”	The Last Five Years
„The Best of All Possible Worlds”	Candide
„Bill”	Show Boat
„Consider Yourself”	Oliver!
„This Night”	Movin' Out
„Where Did We Go Right?”	The Producers
„Wheels of a Dream”	Ragtime
„Still Hurting”	The Last Five Years
„You Can't Stop the Beat”	Hairspray
„For Now”	Avenue Q
„Nothing in Common”	Wearing Someone Else's Clothes

– No, szok – powiedziałam, bo przypomniałam sobie, jak wyglądała zaraz po tej rozmowie. – Domyślam się, że nie była tym wszystkim zachwycona?

– No, raczej nie – przyznał Roger. – Spokojnie można powiedzieć, że nie.

– I co teraz? – spytałam.

– Nie wiem – odparł, patrząc na mnie. – Co teraz?

Zerknęłam na niego, serce zaczęło mi bić szybciej. Zaraz, przecież rozmawialiśmy o naszej wyprawie. O tym mówiliśmy, o niczym innym. Zgadza się? Wyjrzałam przez okno. Teraz nie miał już dziewczyny. I nagle bardzo zaczęło mi przeszkadzać, że spięłam rano włosy w kucyk i nawet ich nie przeczesałam.

– Nie wiem – powiedziałam i odwróciłam się do niego. Nasze oczy spotkały się, na dłuższą chwilę, zanim znowu spojrzął na drogę.

– Czyli do Graceland, tak? – spytał, patrząc wprost przed siebie.

– Tak, do Graceland – potwierdziłam.

Roger spojrzął na mnie przez krótką chwilę, uśmiechnął się, a potem dodał gazu. Tempomat wyłączył się, jechaliśmy już siedemdziesiąt pięć mil na godzinę.



Kiedy człowiek znajdzie jest się w Memphis, nie sposób nie trafić do Graceland – jest tam osobny zjazd z autostrady. I kiedy z niej zjechaliśmy, natychmiast znaleźliśmy się w kraju Elvise. W Days Inn mogliśmy skorzystać z basenu w kształcie gitary i oglądać na zamówienie dowolne filmy Elvise, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przed nami, nie wiadomo skąd, wzięły się dwa różowe cadillaki – jechały obok siebie. A tuż zaraz przed skretem do Graceland, na parking, znajdował się Heartbreak Hotel,

który w dodatku oferował promocyjne ceny. Zapłaciliśmy za parking dziesięć dolców, zostawiliśmy wóz, ale to jeszcze nie był Graceland. Rezydencja – jak dowiedziałam się z informacji wydrukowanej na bilecie – znajduje się po drugiej stronie ulicy, poza tym były tam też samoloty Elvisa, trzy sklepy z pamiątkami oraz restauracja.

Zaczęliśmy zwiedzanie. Pakiet dla VIP-ów obejmował również zwiedzanie Jumpsuit Room, to była chyba garderoba, w której przechowywano jednoczęściowe kombinezony Króla – chyba nie musiałam tego oglądać. Gdy kupiliśmy już bilety, stanęliśmy w kolejce do autobusu. Przed nami stało dwoje Niemców, a za nami trzy pokolenia: dziadek, ojciec i syn. Kolejnych zwiedzających ustawiano przed specjalnym tłem i fotografowano. Chyba był to element obowiązkowy – ta pani, która robiła zdjęcia, wyjaśniła w kółko znużonym głosem, że jeżeli ktoś nie chce, to może tych zdjęć nie kupować. Kiedy stanęłam pod ścianą razem z Rogerem, znaleźliśmy się obok siebie, trochę nam z tym było niezręcznie.

– Bliżej – poleciała fotografka i westchnęła ciężko. Podniosła aparat. Roger posłusznie przysunął się do mnie i ostrożnie – chyba uważał, żeby mnie w jakiś sposób nie urazić – objął mnie ramieniem.

Jakby obudził się każdy nerw w moim ciele. Uśmiechnęłam się do fotki, ale tak naprawdę to nie posiadałam się ze zdumienia, że nigdy wcześniej na to nie zwróciłam uwagi: moje plecy okazały się niesamowicie czułe, przewrażliwione, bo strasznie mocno odczułam to dotknięcie. I to, jak oddychał, bo czułam jego oddech, kiedy staliśmy, dotykając się.

– Następni! – zawołała fotografka.

Rozdzieliliśmy się, nie patrzyliśmy na siebie, oboje słuchaliśmy nadzwyczaj uważnie, co miał nam do powiedzenia audioprzewodnik. Wsiadliśmy do mikrobusa, który miał zawieźć nas na drugą stronę ulicy, a kiedy wszyscy zajęli miejsca, kierowca zamknął drzwi i ruszył. Wyjechaliśmy z parkingu i dosłownie po sekundzie ujrzeliśmy bramę Graceland przyozdobioną postacią

Elvisa z gitarą i nutami oraz ceglana ścianę pokrytą napisami – ową sławetną ścianę. W następnej chwili znaleźliśmy się na podjeździe, no i proszę, na szczycie wzgórza rezydencja Króla: Graceland. Mniejsza, niż się spodziewałam.

Wewnątrz należało się poruszać zgodnie ze wskazówkami audioprzewodnika. Nie wolno nam było się cofnąć, natomiast mogliśmy iść we własnym tempie. Roger zorientował się, że idę wolniej – a w dodatku robię zdjęcia – więc poszedł szybciej, a ja spokojnie zwiedzałam sobie dom Elvisa. Niesamowity dom, trzeba przyznać. Każde pomieszczenie było urządzone ze swoistym przepychem w stylu lat sześćdziesiątych, w każdym był jakiś dominujący motyw – z których wiele, jak zapewniał audioprzewodnik, zostało wybranych przez samego Elvisa we własnej osobie. Istna świątynia baaardzo szczególnego gustu.

Zatrzymałam się w Jungle Room. Nie, żebym się czegoś tam spodziewała, żeby coś tam się miało zdarzyć – jasne, że nie. A jednak, stałam tam i stałam. I czekałam. Tak na wszelki wypadek. Nie zobaczyłam jednak niczego oprócz pustego pokoju, czegoś w rodzaju salonu, którego jednak nikt tak naprawdę od lat nie używał. Wypchana panda imieniem Lisa Marie dzieliła tam fotel z gitarą, na której nikt nie grał. Kiedy dalej szłam sobie korytarzami i pokojami tej rezydencji, podziwiałam te kunsztownie udekorowane salony, w których nikt już nie mieszkał, przyszedł mi na myśl mój dom, także pusty. Dom, który krzyczał do obcych: WITAJCIE W DOMU, a mnie przegonił precz.

Po jakimś czasie wyłączyłam głos w audioprzewodniku, nie dało się tego słuchać. Szłam sobie przez ten dom, zajrzałam do biura i do studia, a potem zwiedziłam budynek poświęcony pamiątkom – były tam różne stroje, poza tym cały pokój pełen płyt, stały puste kostiumy i wszędzie, wszędzie pełno było Elvisa.

Robiłam zdjęcia, rozglądałam się, ale w miarę zwiedzania zawężyło mi się pole widzenia. Jakby te wszystkie dedykowane Elvisowi ściany zaczęły na mnie napierać. Zastanawiałam się, co o tym wszystkim myślał mój ojciec, jakie historyjki mógłby mi opowiedzieć, jakie ciekawostki usłyszałabym od niego. Cholera,



nawet nie wiedziałam, ile miał lat, kiedy zwiedzał to miejsce. Nie spytałam go o to. W ogóle nie pytałam go o mnóstwo różnych rzeczy. I już nigdy nie zapytam. Oświeciło mnie, że cała ta wycieczka do Graceland to był błąd, nieporozumienie – bo otaczała mnie ze wszech stron ta elvisowość i znalazłam się w miejscu kultu superważnym dla mojego ojca, ale bez niego. A tak być nie powinno. On już tam nigdy nie pojedzie. Nigdy więcej nie zwiedzi Graceland. Nigdy już nie będzie słuchał Elvisa i nigdy nie pojedzie do Tennessee, nigdy nie zrobi pamiątkowego zdjęcia. A wszystko przeze mnie.

Wycieczka zakończyła się przy basenie. Podniosłam do oka aparat, żeby zrobić zdjęcie, aż nagle zdałam sobie sprawę, co znajduje się przy końcu basenu. Grób Elvisa.

Grób otoczony kwiatami, na którym leżały wieńce i pluszowe misie, przed którym płonie wieczny ogień, a obok są groby jego rodziców. Podeszłam bliżej, przeczytałam epitafium sporządzone z odlanych w brązie liter. Gapiłam się na ten napis i czułam, że się duszę. Nie mogłam oderwać spojrzenia od jednego zdania: **BÓG DOJRZAŁ, IŻ POTRZEBA MU BYŁO ODPOCZYNKU, WIĘC WEZWAŁ GO DO SWOJEGO DOMU, ABY BYŁ Z NIM. TĘSKNIMY ZA TOBĄ, TATO, SYNU.**

Łzy zamgłyły mi spojrzenie, wieczny płomień w pleksiglasowej obudowie rozmazał się. Do domu? Jak to, do domu? Tutaj był jego dom. Dobrze, że przynajmniej pochowano go w pobliżu tego domu, tego miejsca, które tak strasznie lubił. I przynajmniej nie był sam, bo spoczął pośród bliskich. Przynajmniej pamiętano o nim – ba, ze wszystkich sił starano się kultywować tę pamięć. Nie porzucono go gdzieś tam, w Orange County.

*Well they've been so long on Lonely Street they aint ever going to look back.*

*– Elvis Presley*

## 2 MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Moja matka, Charlie i ja staliśmy obok siebie, patrzyliśmy na małą mosiężną tabliczkę. Straszliwie uroczyście i namaszczonego pana z zakładu pogrzebowego pokazał nam działkę, a potem cofnął się i powiedział, że w razie czego będzie w pobliżu.

Nie miałam pojęcia, na co akurat miałyby się przydać, więc tylko spojrzałam na niego wilkiem, bo gadał i gadał, ale potem zrobiło mi się głupio, bo przecież niczemu nie był winny. Odszedł kilka kroków i w ogóle zachowywał się z uszanowaniem, bez zarzutu. Ten cmentarz, czyli Pacific View, był naprawdę piękny – zresztą po drodze dowiedzieliśmy się z napisu na tablicy, że jest na nim pochowany John Wayne. Jednak znajdował się w Orange County, półtorej godziny drogi z Raven Rock. Przykro mi było pomyśleć, że mój ojciec spoczywa tam samotnie, tak daleko od domu.

W ogóle nie chciałam o nim myśleć i w ogóle nie mogło do mnie dotrzeć, kiedy patrzyłam na tę małą mosiężną tabliczkę z napisem: BENJAMIN CURRY. UKOCHANY MĄŻ, OJCIEC I WYCHOWAWCA – że to mój ojciec tam leży. Zawsze przeszkadzało mu to, że był za wysoki. Skarżył się na za ciasne fotele w kinie i że nie miał miejsca na nogi w samolocie. Jakim sposobem zmieścił się pod taką maleńką tabliczką wielkości mojej dłoni? Przecież to niemożliwe. Popatrzyłam na matkę i na brata, oboje wbili wzrok w ziemię. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem. Wszystko było nie tak. To nie w porządku, że pochowaliśmy go w zimnej, wilgotnej ziemi. Trzeba było rozsypać jego prochy w Jungle Room albo nad polami Gettysburga, albo choćby nad naszym trawnikiem, który tak strasznie lubił strzyc. Dlaczego jakieś Orange County, pośród obcych, w dodatku pewnie

w większości starszych ludzi, którzy umarli, bo umarli, bo byli już starzy.

Matka odkaszlnęła, popatrzyła na mnie i na Charlie'ego. Ja popatrzyłam na nią, chociaż nie chciałam tego robić, chociaż powtarzałam sobie, że chyba już się zorientowałam, że nic z tego. Ale cały czas czekałam, że może coś zrobi. Na przykład obejmie nas, przytuli. Wykona jakiś gest, żeby nie było tak strasznie. Ale nie, odwróciła się tylko i odeszła, ruszyła w stronę tego faceta z zakładu pogrzebowego. Spojrzałam na Charlie'ego, który nadal gapił się w ziemię. Miał zaczerwienione oczy i tamtego dnia nie byłam wcale pewna, z jakiego powodu. Staliśmy tak blisko siebie – wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby go dotknąć – ale jakby dzieliły nas całe setki mil. Dlaczego nie mogliśmy porozmawiać? Dlaczego nie mogliśmy choćby wyciągnąć do siebie ręki?

Charlie też odszedł, poszedł za matką. Zostałam sama. Sama z tym małym kawałkiem ziemi, w którym spoczywały szczątki mojego ojca. Sięgnęłam do kieszeni i wyjęłam to, co mu przyniosłam. Rano tamtego dnia poszłam do 7-Eleven, w dziale ze słodyczami nagle i niespodziewanie spanikowałam, bo nie mogłam sobie przypomnieć, jaki był jego ulubiony smak. Rany, nawet takiego drobiazgu nie mogłam zapamiętać? Dlaczego nigdy nie zdałam sobie sprawy, że pewnego dnia już nie będę go mogła o to zapytać?

W końcu zdecydowałam się na Butter Rum oraz Wint-O-Green. No, więc wyjęłam je i położyłam na tej tabliczce. Sturlały się, zatrzymały się na literze B w jego imieniu. Od niepamiętnych czasów moim obowiązkiem było podsuwanie mu cukierków, a cukierki te nazywały się Life Savers. Teraz mogłam to zrobić tylko w ten sposób. Popatrzyłam na nie. Wiedziałam, że nikt ich nie zje, sprzątną je razem z kwiatami i wyrzucą do śmieci.

A potem i ja się odwróciłam, zostawiłam go samego.

Miejsca i miejscowości...

**stan #10:** Tennessee – Stan Ochotników

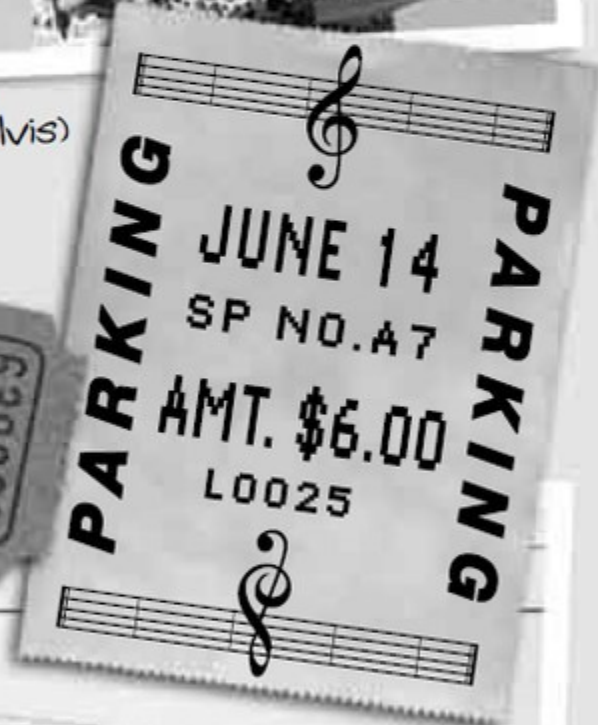
**dewiza:** nie wiem

**wielkość:** żadnych  
**ciekawostki:** żadnych

NOTES PODRZĄŻKI



(To nie jest prawdziwy Elvis)



Cześć, tatusiu!

POST CARD

A jednak dotarłam do Graceland. Jaka szkoda, że nie udało nam się pojechać razem. I strasznie mi przykro, że nie przeczytałam tej książki od ciebie. I w ogóle strasznie mi przykro.

Mam nadzieję, że jesteś szczęśliwy. Mam nadzieję, że masz tam mnóstwo płyt Elvise, całe hektary trawników do koszenia i mnóstwo ludzi, z którymi możesz rozmawiać o czasach Rekonstrukcji.

Wiem, że to się zawsze pisze na kartkach pocztowych, ale tym razem to naprawdę, naprawdę prawda: jaka szkoda, że Cię tu nie ma.



Benjamin Curry  
Pacific View  
Orange County, CA

***I took a trip while I was gone. I cashed in all my savings and bought an El Dorado, drove to Tennessee.***

***– Jason Robert Brown***

– Jak tam? W porządku? – spytał Roger.

Skinęłam głową, patrzyłam prosto przed siebie. Szliśmy przez parking do samochodu. Pocztówkę zostawiłam na murze, przycisnęłam ją największym kamieniem, jaki zdołałam znaleźć na ulicy. Z Rogerem spotkaliśmy się w sklepie z pamiątkami, ale raczej niewiele mówiłam. I raczej dalej nie chciało mi się nic mówić.

Wsiadliśmy do samochodu, a wtedy Roger sięgnął do kieszeni i wyjął z niej mały pakuneczek.

– Wiem, że pewnie nie będziesz chciała ich nosić – powiedział – ale nie mogłem się powstrzymać, były zbyt fajne.

Rozdarłam opakowanie i zobaczyłam, że kupił mi okulary słoneczne – okulary w złotych oprawkach w stylu Elvise. Popatrzyłam na nie, i przypomniały mi się moje stare okulary, rozbite, strzaskane – nawet widziałam jedno szkło na ziemi, na asfalcie, a obok niego okruchy szkła z szyby samochodu. I co miałam zrobić? Odmówić? Kretynizm. Bo niby co by to miało zmienić?

– Super. Dzięki – powiedziałam i włożyłam je na nos. – I jak?

– Cudnie – odpowiedział i uśmiechnął się do mnie, patrząc mi w oczy. Odpalił silnik. – Obiad, nie?



Roger odkrył swoją własną wersję raję, a nazywała się ona Krystal. Był to fast-food, chociaż żadne z nas dotąd o nim nie słyszało. Podobno sieciówka. Żarcie było świetne – małe hamburgery, dodatkowo solone frytki. Można też było zamówić

słodką herbatę. Pożywiliśmy się na „tylnym pokładzie”, siedzieliśmy przy otwartej klapie, machając nogami. Mieliśmy widok akurat na sklep z fajerwerkami i zauważyłam, że Roger coś zbyt tęsknie spogląda w tamtą stronę i nawet nie zachwyca się żarciem.

Na moich kolanach leżał atlas, patrzyłam, nie posiadając się ze zdumienia – przebyliśmy już taki kawał drogi. Co prawda jeszcze mieliśmy przed sobą całkiem sporo, ale większą część kraju już przebyliśmy.

– Jakie plany? – spytał Roger, podając mi frytki. Poczęstowałam się jedną, umoczyłam ją w sosie barbecue, którego pojemnik stał między nami. Skrzywił się – już wcześniej zauważyłam, że jego zdaniem ten sos nie pasuje do frytek.

– Czy ja wiem? – powiedziałam, chociaż tak naprawdę, kiedy patrzyłam na tę mapę, wiedziałam już, dokąd chciałabym pojechać. Byliśmy przecież całkiem blisko. Dzielił nas od tego miejsca tylko jeden stan. – Chyba powinnam ci coś powiedzieć. – Roger miał właśnie schrupać frytkę, ale znieruchomiał. Frytka zatrzymała się w pół drogi, spojrzał na mnie. – Mój brat nie jest na żadnych letnich zajęciach, tylko na odwyku – oświadczyłam. Paskudne słowo, brzydkie, nefajne. Przez chwilę w samochodzie zapanowała równie nefajna cisza.

– Ach, rozumiem – powiedział Roger.

– No – powiedziałam i zaśmiałam się krótko, niewesoło. – Tak sobie myślę... – przesunęłam palcem od Tennessee do Karoliny Północnej. Do Asheville. – Myślę, że powinnam go zobaczyć.



Gdzieś tak około pierwszej po południu znaleźliśmy się na przedmieściach Asheville. Mało rozmawialiśmy ze sobą podczas tej jazdy. Słuchaliśmy demówki Walcotta, muzyka była na tyle głośna, że jakoś dało się znieść kawałki, w których wokaliście



brakowało skali. Potem Roger włączył jeden ze swoich miksów, ale wkrótce spytał, czy nie moglibyśmy posłuchać któregoś z moich musicali w całości, bo nie bardzo się orientował, co się w nich tak naprawdę dzieje. Piosenki wyrwane z kontekstu mu nie pasowały. The Producers podobali mu się tak bardzo, że przesłuchał ich dwa razy.

No, a potem byliśmy już na miejscu. Dopiero wtedy skumałam, a właściwie chwilę wcześniej, kiedy jeszcze jechaliśmy przez Tennessee i robiło się coraz później i później, że aby spotkać się z Charliem, muszę poczekać do rana. Roger tymczasem podśpiewywał razem z Nathanem Lanem, a ja myślałam sobie o moim braciszku. Minęło tyle miesięcy, odkąd ostatnio ze sobą rozmawialiśmy, i nagle właściwie nie chciałam niczego innego, tylko z nim pogadać. Wyraźnie nadszedł na to czas.

Zajechaliśmy na parking Wal-Marta, żeby przeliczyć pieniądze, zorientować się, ile mamy kasy na hotel i zastanowić się, gdzie się w takim razie zatrzymamy na noc. Sądziłam, że sklep będzie zamknięty – bo wszystko inne było zamknięte – tymczasem jednak na parkingu było pełno vanów, półciężarówek i innych wozów, a światełka na słupach ciągle się świeciły.

## ♡ Playlista Amy #2 ♡

Pay No Attention to the Boys Behind the Curtain -  
The Henry Gales

### LISTA UTWORÓW

1. New Way of Thinking
2. South of Lincoln, West of You
3. Surrender, Dorothy
4. Fields of Poppies in Technicolor Red
5. Late Last Nite
6. Tell Me How
7. Where I Am Is Where I'm From

– Myślisz, że Wal-Mart jest jeszcze otwarty? – spytałam, Roger tymczasem zajął miejsce na parkingu. Trzy miejsca od nas stał wielki srebrny Airstream – przyczepa lśniła jak srebrna w świetle reflektorów.

– Może – powiedział i ziewnął. – Przecież niektóre są czynne przez całą dobę.

Wyjęłam portfel i przeliczyłam pieniądze, jakie nam zostały. Mieliśmy już tylko trzysta dolarów. Cała forsa szła przede wszystkim na benzynę. A trzysta dolarów brzmiało zdecydowanie mniej bezpiecznie niż czterysta. Zwłaszcza że kolejna stówa miała polecieć na hotel tej nocy.

– Zajrzymy? – spytałam. Wsadziłam portfel do kieszeni. – Tutaj pewnie będzie taniej niż w przydrożnych marketach.

– Jasne – odpowiedział. Otworzył drzwi i wysiadł. Też wysiadłam, Roger oparł się rękami o tył samochodu i rozprostował nogi, dopiero potem poszedł w stronę sklepu.

Rzeczywiście, Wal-Mart był otwarty. Mało tego, był tam nawet koleś, który miał na sobie niebieską kurtkę i życzył nam miłego wieczoru oraz witał w Wal-Marcie. Wewnątrz było tak jasno od palących się jarzeniówek, że aż zmrużyłam oczy. Niesamowite, ogromna przestrzeń, totalna cisza i w zasadzie nikogo w środku – bez sensu, przecież cały parking był zajęty. Poszliśmy sobie do działu z przekąskami, po drodze zaopatrując się w napoje i chipsy. Kiedy odwróciłam się, żeby zapytać Rogera, czy chce Reese's Pieces czy raczej woli M&M's o smaku masła orzechowego, okazało się, że nie ma go w pobliżu. Zostawiłam wózek pośrodku sklepu, miałam wrażenie, że raczej nikomu nie będzie przeszkadzał, i zaczęłam się za nim rozglądać. Dziwnie się czułam, bo naprawdę nie było tam już nikogo, żadnych kupujących. Zupełnie, jakbym znalazła się nagle sama w tym wielkim, cichym supermarkecie. Odetchnęłam z ulgą, kiedy zobaczyłam Rogera, który szedł w moją stronę – wyraźnie był w dziale z odzieżą.

– Roger! – zawołałam i aż się zdziwiłam, jak głośno rozległ

się ten okrzyk. Ruszył w moją stronę biegiem, a wtedy zobaczyłam, że ma w ręce paczkę z grubymi skarpetami. Dobiegł do mnie i rozerwał opakowanie. – Zaraz, chyba najpierw powinniśmy zapłacić – powiedziałam, a poza tym zupełnie nie rozumiałam, po co akurat w tej chwili miałyby nam się przydać te skarpety. Gapiłam się jak ogłupiała, a on tymczasem zrzucił klapki i nałożył jedną parę, drugą podał mnie. Popatrzyłam na nie i spytałam: – Ale o co chodzi?

– No, włóż je – powiedział. Już nie wydawał się zmęczony. Wcale nie, raczej bardziej podkręcony niż kiedykolwiek dotąd.

– Ale przecież mam klapki – zaproponowałam. Wtedy miałam wrażenie, że Roger trochę zbyt długo prowadził samochód.

– To zrzucić je – powiedział. – Poważnie, już!

Cóż. Wzruszyłam ramionami i zdjęłam klapki. Włożyłam te skarpety, tylko trochę się bałam, że będą kłopoty, że ktoś będzie się czepiał, że włożyliśmy je przed zapłaceniem w kasie.

– Już? – spytał, kiedy się wyprostowałam.

– Co... – zaczęłam, ale Roger tylko złapał mnie za rękę i zaczął biec wzdłuż jednej z uliczek supermarketu, ciągnąc mnie za sobą. Przestałam się opierać, biegłam za nim, ścisnęłam go mocno za rękę. Potem puścił mnie, zatrzymał się, a ja pojechałam...!

– Widzisz? Mała rzecz, a cieszy – stwierdził.

Przestałam się przejmować tym, że sporo ryzykujemy, że nawet możemy zrobić sobie coś złego. Przejechałam się wzdłuż alejki z pastami do zębów. Wcale nie myślałam o tym, co robię. Po pro stu poszłam na całość, rozpęd – i jazda, ale jechałam nawet szybciej, niż się spodziewałam. Na całego, akcja. Trochę się bałam, a trochę, kiedy szusowałam wzdłuż pustych alejek Wal-Martu, czułam się tak, jakbym naprawdę była wolna. Roger śmiał się i trzymał mnie za rękę. Zakręcił mną i puścił, aż zakręciło mi się w głowie. A potem pobiegł w drugą stronę, znów ślizgał się, o mało nie upadł – gorączkowo machał ramionami, żeby się nie wywalić. Dopadłam go zaraz potem, przy czym o mało nie wyrznęłam o półkę. Śmiałam się i było mi fajniej niż kiedykolwiek od wielu, wielu miesięcy.



– I to – powiedział Roger, podając kasjerce w jedynej otwartej kasie puste opakowanie po skarpetach. Uniosła brwi, ale nic nie powiedziała, skasowała je jak wszystko inne. Założyłam już z powrotem klapki, ciągle jeszcze byłam trochę zdyszana. Zobaczyłam się w lustrze po drugiej stronie kasy, prawie się nie poznałam. Byłam rozczochrana, miałam pogniecioną bluzkę i taki zachwycony wyraz twarzy, że nie wiem. Zupełnie, jakbym świetnie się bawiła. Czyli – zdałam sobie sprawę – w porządku, bo właśnie tak było. Świetnie się bawiłam. – Skąd te wszystkie przyczepy na parkingu? – spytał Roger, pakując zakupy do torby.

– Normalne – odpowiedziała. – Przez noc parking jest za darmo. Płacą państwo trzydzieści cztery dolary i pięć centów.

Roger spojrzał w moją stronę. Wyciągnęłam pieniądze, żeby zapłacić za zakąski i skarpety. Miałam wrażenie, że myślimy dokładnie o tym samym.

Zajęło mi chwilę, zanim zdołałam położyć oba fotele, ale kilka razy spróbowałam i w końcu mi się udało rozłożyć oparcia. Dzięki temu nasz jeep stał się jedną, otwartą przestrzenią, czyli sypialnią. Można było się wyciągnąć i wygodnie w nim spać. Roger wrócił do sklepu, żeby kupić koc i dwie poduszki. Czekając na niego, przebrałam się, włożyłam ten sam top, który miałam na sobie poprzedniej nocy. Było ciepło, więc zamiast spodni od dresu wybrałam szorty od Bronwyn. Z przodu wyglądały okej, ale kiedy podniosłam je, zobaczyłam, że na tyłku widnieje napis: TEKSAS RZĄDZI. A poza tym były trochę krótsze, niżbym sobie tego życzyła, jednak uznałam, że na tę jedną noc mogą być. Kiedy już się przebrałam, spojrzałam na telefon, okazało się, że dzwoniła moja matka. Nie zostawiła wiadomości, ale dzwoniła. Wystukałam numer jej komórki i w ostatniej chwili także kod, który pozwolił mi nagrać wiadomość od razu na skrzynkę głosową.

– Cześć, mamó – powiedziałam. – Dzwoniłaś. U mnie wszystko okej. Jesteśmy teraz w Asheville. Spróbuję jutro spotkać

się z Charlie'em – przerwałam, odetchnęłam głęboko i mówiłam dalej: – Dzisiaj byłam w Graceland. Nie wiem, może ty wiesz, ile lat miał tata, kiedy tam był? – znowu urwałam, czułam się, jakbym nagle otworzyła jakieś drzwi, które dotąd były zamknięte. Nie rozmawialiśmy ani razu o moim ojcu. Wcale, wcale. Ani o fajnych rzeczach, ani o czymś, co chciałybyśmy wspominać. W ogóle. – Tak tylko pytam. Nieważne, chciałam tylko dać ci znać, że u mnie wszystko w porządku.

Rozłączyłam się, czułam, jak ściska mnie w gardle. Jeszcze przez minutę trzymałam aparat w ręce, tak na wypadek, gdyby oddzwoniła. Ale nie, było późno, pewnie spała, pewnie była sama w naszym nowym domu. Pierwszy raz uświadomiłam sobie, że ostatni miesiąc także moja matka spędziła w samotności. A ja myślałam cały czas tylko o sobie – nawet nie przyszło mi do głowy, że właściwie nasze losy toczyły się podobnie...

Roger wychodził właśnie ze sklepu, więc wyłączyłam komórkę, żeby nie rozładowywać dalej baterii, wrzuciłam ją do torebki, tuż obok książki mojego ojca.

Roger najwyraźniej przebrał się w łazience w Wal-Marcie, bo miał na sobie znowu ten sam T-shirt i szorty, które znałam już całkiem dobrze. Otworzył tylne drzwi, rzucił mi koc i poduchy. Ułożyłam je tak, żebyśmy leżeli nogami w stronę przodu wozu. Czyli w porządku. Julia, która poprzedniego roku przeszła burzliwą fazę „zdrowej energii”, z pewnością potwierdziłaby, że to dobry kierunek, zgodny z kierunkiem fengshui samochodu. No, tak. Tyle że Julia chyba już dała sobie ze mną spokój, przynajmniej sądząc po nagłówku jej najnowszego maila.

Roger włączył silnik, co wybiło mnie z tych rozmyślań, bo chciał zamknąć wszystkie cztery okna. Słusznie, ale i tak z tyłu było bardzo ciepło. Spokojnie mogliśmy zaoszczędzić tych dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów, które wydał na koc. Podałam mu walizki, przerzucił je na przednie siedzenia. Moja sówka wylądowała na samym wierzchu. Wyłączył silnik, zablokował zamki od wewnątrz i przepełził do tyłu. Przesunęłam się na lewą stronę – moją stronę – żeby zrobić mu trochę miejsca.

Jednak, prawdę mówiąc, było tam dosyć ciasno, wcześniej o tym nie pomyślałam. Wyciągnęłam się, ułożyłam głowę na nowiutkiej poduszce. Roger leżał bliżej niż kiedykolwiek dotąd. Bliżej niż w którymkolwiek z łóżek, które dotąd dzieliliśmy. Tylko że tym razem jakoś niespecjalnie mi to przeszkadzało. Koc leżał w nogach, a ja zdawałam sobie sprawę, że Roger jest tuż obok, nie okrywa nas nic, ani kołdra, ani kapa, jego gołe nogi znajdowały się tuż obok mnie, w zasięgu ręki.

Przerzuciłam się na plecy i spojrzałam w górę, przez okno, próbując dostrzec gwiazdy. Jednak latarnie na parkingu były zbyt mocne, widziałam tylko odbijające się w szybie wnętrze samochodu.

– Dobranoc – powiedziałam. Spojrzałam w stronę Rogera, spodziewając się, że pewnie już przysypia, jak zwykle.

Jednak nie, przewracał się właśnie z boku na bok. Odgarnął koc.

– Gorąco – powiedział i obciągnął na sobie T-shirt. – A tobie nie?

– Owszem – stwierdziłam. Bo i rzeczywiście, kiedy leżeliśmy tak z tyłu samochodu, wydawało się, że jest bardzo ciepło. W dodatku wszystkie okna były zamknięte, więc robiło się też trochę duszno. – No, ale kto tu jest kaloryferem?

– Tak, tak – mruknął. – W każdym razie, jakbyśmy spali w piekarniku.

– Moglibyśmy pootwierać okna – zaproponowałam.

– Nie, to nic nie da. Na zewnątrz też jest ciepło, więc to nic nie zmieni – stwierdził. – A poza tym bałbym się, że ktoś mógłby się włamać. – Znowu przewrócił się na drugi bok, a potem usiadł.

– Czy będzie ci przeszkadzać – spytał i odkasznął. – No, czy nie masz nic przeciwko temu, żebym zdjął koszulkę?

– Co? – spytałam, a potem zreflektowałam się, że moje policzki stają się gorące. – No, nie, skąd. Nie ma problemu.

– Na pewno? – spytał.

– Oczywiście – zapewniłam go, a potem, żeby nie zabrzmiało to znowu aż tak entuzjastycznie, dodałam: – Nie ma problemu.

Roger usiadł i ściągnął T-shirt. Staralam się patrzeć przez okno, ale nie do końca mi to wyszło. Bo kiedy znowu się położył, jakoś tak odruchowo spojrzalam na niego, no i spiekłam raka, czego na szczęście w ciemnościach nie było widać. No, bo... Poważnie.

Roger miał piękne ciało. Smukły, nie był za bardzo napakowany, ale jednak mięśnie na brzuchu miał fajne, płaskie, a poza tym... Szybko odwróciłam wzrok i popatrzyłam na sufit, dach samochodu, nagle zrobiło mi się jeszcze goręcej.

– Dobranoc, Hillary – powiedział Roger i ziewnął.

– Dobranoc, Edmundzie – odpowiedziałam, niby to całkiem na luzie. Popatrzyłam sobie na niego jeszcze przez chwilę, oddychał teraz dłużej, wolniej. Leżał przodem do mnie, na boku, więc i ja przewróciłam się w jego stronę. Zamknęłam oczy, ale byłam pewna, że nie ma sposobu, żebym usnęła. Owszem, zeszłej nocy spałam, ale to dlatego, że wylądowałam w takich luksusach u Luciena. A nie w samochodzie zaparkowanym za Wal-Martem, w towarzystwie półnagiego Rogera.

Jednak kiedy znów otworzyłam oczy, było już jasno – no, w każdym razie rozjaśniało się. Wstawał dzień i okazało się, że jakimś niepojętym sposobem nasze głowy znalazły się na tej samej poduszce.



*I was on your porch last night.*  
– *The Format*

SZEŚĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Siedziałam na lewym balkonie i sądząc po bladozielonych cyferkach świecących na moim nadgarstku, czekałam już od dwóch godzin. Komary nie omieszkały z tego skorzystać, zjadały mnie stopniowo, lecz systematycznie. Pełniłam więc rolę ludzkiego bufetu, „jedz do syta” i tak dalej. Zaprzestałam już walki, zrezygnowałam z oporu i poddałam się, tylko od czasu do czasu drapałam swędzące ukąszenia.

Mój ojciec stwierdził, że ten balkon to jedno z licznych szaleństw architekta. Nasz dom zaplanowano w ten sposób, żeby były aż dwa – na piętrze, od strony ulicy. Ładnie wyglądały. A ten drugi, na prawo od tego, na którym właśnie byłam pożerana żywcem, okazał się również przydatny. Można było mianowicie stamtąd przejść do pokoju gościnnego, dzięki czemu nasi teoretyczni goście mieliby doskonały widok na podjazd. Tymczasem balkon po lewej stronie nie był połączony z żadnym pokojem – stanowił tylko dekorację. Jednak Charlie i ja odkryliśmy już dawno, że oba nasze okna, po obu stronach balkonu, znajdowały się na tyle blisko, że można było przez nie tam wyleźć – o ile zrobiło się to szybko i nie patrząc w dół. Kiedy byliśmy młodszy, zakradaliśmy się tam nocami, o umówionej porze. Potem objadaliśmy się cukierkami albo bawiliśmy się ręcznymi gramami wideo, albo po prostu gadaliśmy ze sobą, rozkoszując się faktem, iż robiliśmy coś zakazanego i że nie śpimy, kiedy powinniśmy spać. To była jedna z nielicznych okazji, kiedy robiliśmy coś razem, kiedy coś naprawdę nas łączyło.

Rozdrapałam kostkę aż do krwi. Tymczasem w naszym zaułku pojawiły się światła samochodu. Jak zwykle ktoś zajechał zbyt daleko, objechał więc placyk i zatrzymał się przed naszym domem. Kierujący samochodem – wóz wyglądał na dużą

terenówkę – wyłączył reflektory, ale nie zgasił silnika. Popatrzyłam w stronę pokoju Charlie’ego i czekałam. A jakże, po chwili usłyszałam odgłos otwieranego okna, pojawiła się noga, wyciągnęła się w stronę balustrady, następnie ujrzałam całą postać mojego brata. Odczekałam, aż znajdzie się bezpiecznie na balkonie i odezwałam się:

– Hej.

Charlie aż podskoczył, wydał przy tym dziwny, wysoki odgłos, który doprawdy godzien był nagrania.

– Co jest, kurwa – odezwał się półgłosem. – Rany, nie rób tego więcej. – Popatrzył w stronę czekającego samochodu, potem znów na mnie. Moje oczy zdążyły już na tyle przyzwyczać się do ciemności, że nieźle widziałam jego twarz. I widać było, że kombinuje, jakby tu wykręcić kota ogonem. – Co ty tu robisz?

– Mogłabym spytać cię o to samo – powiedziałam.

– No co ty, nie udawaj głupiej – powiedział, znów popatrzył w stronę samochodu, a potem na mnie, tym razem z uśmiechem. Najwyraźniej postanowił zagrać wdziękiem osobistym. – Idę się bawić z moimi kumplami. Czy to przestępstwo? A co, może chcesz wybrać się ze mną?

Przez ułamek sekundy chciałam powiedzieć „tak”, tylko po to, żeby usłyszeć, jaką znajdzie wymówkę i w jaki sposób da mi do zrozumienia, że obracamy się w nieco innych kręgach towarzyskich.

– Coś często ostatnio bawisz się z kumplami – powiedziałam, zzymając się jednocześnie wewnątrz na samą siebie, bo w końcu po dwóch godzinach czekania mogłabym znaleźć jakieś odpowiednie słowa. Ale jakoś nie znalazłam. – Słuchaj, Charlie. Martwię się.

– Martwisz się? – Charlie zmarszczył brwi, istne niewiniątko. – Czym się martwisz?

– Przestań pieprzyć – powiedziałam. – Wiesz, o co chodzi. Uważam, że chyba powinieneś przystopować. Albo przynajmniej ograniczyć się tylko do weekendów. Zdajesz sobie sprawę, że dzisiaj jest wtorek?

– Halo, o ile dobrze pamiętam, w zeszłym semestrze miałem lepsze stopnie niż ty. To, że po prostu nie umiesz się bawić... – Terenówka na podjeździe błysnęła światłami, oboje spojrzeliśmy w tamtą stronę. – Moi kumple czekają – oświadczył i zarzucił plecak na ramię.

– Po prostu uważam, że powinieneś trochę przystopować – powtórzyłam, teraz już głośniej. Charlie spojrział niespokojnie w stronę domu. Zorientowałam się, że to mój jedyny atut.

– Rany, Amy – powiedział cicho. – Nie drzyj się. Nic mi nie będzie. Nie musisz się...

– Powiem mamie i tacie – przerwałam mu.

Patrzył na mnie przez długą chwilę.

– Nie, nie powiesz.

– Właśnie, że powiem, zobaczysz – zapewniłam go, ale jednocześnie wiedziałam, że to tylko takie gadanie.

– Nie – stwierdził. Podeszedł do miejsca, gdzie przywiązana była sznurowa drabinka. Przypominała tę, którą wchodziło się do naszego dawnego domku na drzewie – zanim drzewo padło. Ciekawe, skąd ją wytrzasnął. – Gdybyś miała im powiedzieć, już byś powiedziała. Poza tym to by nic nie zmieniło. Jedyne, co byś osiągnęła, to że ja bym się wściekł na ciebie, a mama i tata przestaliby wierzyć nam obojgu.

– Dlaczego nie mieliby mi wierzyć?

– A od jak dawna o tym wiesz? – spytał. – Wiesz i nie mówisz?

– Fakt, wiedziałam już od paru miesięcy. Chyba od czterech. A on wiedział, że ja wiem, nie trzeba było niczego mówić. – No, właśnie – stwierdził. – Więc przestań mnie szpiegować i wyluzuj.

Przerzucił drabinkę za balustradę, przełożył jedną nogę, potem drugą. Patrzyłam jeszcze, jak znikła jego głowa, sekundę później usłyszałam kroki, jak szedł na palcach do czekającego samochodu. Wsiadł, trzasnęły cicho drzwiczki i wóz ruszył; reflektory zapalił dopiero przy wyjeździe z zaułka.

*Dopóki oddycham, mam nadzieję – dewiza stanu Karolina Południowa*

– Gotowa? – spytał Roger. Skinęłam głową i spojrzałam na okno znajdujące się półtora metra nade mną. Nie byłam pewna, czy się uda. W zasadzie raczej przypuszczałam, że nic z tego. Jednak, jakby zapewne powiedział Roger, skoro posunęliśmy się już tak daleko...

– Gotowa – odpowiedziałam. Złączyłam dłonie w kołyskę, przykucnąłam. Stałam na nich jedną stopą, rękę oparłam na jego ramionach. T-shirt Rogera był ciepły od słońca. Przez krótką chwilę tak stałam i czułam jego mięśnie pod ciepłą bawełną, i zdawałam sobie sprawę, jak blisko jesteśmy. – No, już – powiedziałam, starając się skupić na czekającym mnie zadaniu. Wyprostował się, podsadzając mnie na tyle, że mogłam chwycić się parapetu. W następnej chwili poczułam, że chwyta mnie za nogi i popycha je w górę. Wystarczająco mocno, żebym zdołała podciągnąć się i przerzucić ciężar ciała na drugą stronę. Wpadłam do wnętrza pokoju.



Pierwotny plan był taki, żeby po prostu pójść do recepcji i powiedzieć, że chcę się spotkać z bratem. Nie mieliśmy w planie włamania ani niczego takiego. Tylko że ten pierwotny plan od razu wziął w łeb. Byliśmy po śniadaniu w Cracker Barrel obok Wal-Martu, gdzie Roger stwierdził, iż lepszych naleśników nie jadł nigdy w życiu, a potem ruszyliśmy do Asheville i około dziesiątej dotarliśmy do ośrodka Promises Kept. Budynek przypominał z wyglądu raczej rezydencję niż ośrodek terapeutyczny.

Tylko miejsca na parkingu świadczyły o przeznaczeniu tego miejsca, bo widniały na nich napisy: ODWIEDZAJĄCY I PERSONEL MEDYCZNY. Roger poszedł ze mną, ale daleko nie zaszliśmy, bo natychmiast zatrzymała nas kobieta w białym fartuchu, imieniem Courtney. Strona internetowa przedstawiała ośrodek jako miejsce przyjazne i emanujące życzliwością, natomiast Courtney z pewnością nie można było w ten sposób określić. Poinformowała nas, że goście ośrodka są w trakcie

odbywania terapii, a w ogóle do czasu zakończenia programu obowiązuje zakaz spotkań z rodziną, możliwy jest jedynie kontakt mejlowy. Wyprowadziła nas na zewnątrz, życzyła udanego dnia i zatrzasnęła za nami drzwi.

Pomaszerowaliśmy więc jak niepyszni do samochodu, ale po drodze zauważyłam, że z boku budynku jest (dosyć) nisko położone okno, z którego powiewają białe firanki – było otwarte i bez krat.

Działaliśmy tak szybko, że nawet nie zdążyłam wykombinować żadnego planu. Dotarło to do mnie, gdy uderzyłam o podłogę. Dźwignęłam się na nogi, rozejrzałam się. Pokój był spory, były w nim dwa łóżka i cały urządzony był na biało. Na łóżkach siedziały dwie dziewczyny i obie mocno się zdziwiły na mój widok.

– Cześć – starałam się nie mówić za głośno. – Cześć. Witam.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała dziewczyna bliżej mnie.

Miała kręcone kasztanowe włosy i wyglądała najwyżej na dwanaście lat. Przez sekundę zastanowiłam się, skąd się tam wzięła.

– Możesz – powiedziałam. – Jestem siostrą Charlie’ego Curry. Gdzie go znajdę?

– Jesteś Amy? – spytała ta druga. Kiedyś farbowała się na perfekcyjny blond, ale teraz miała dziesięciocentymetrowe czarne odrosty. Nawet z pewnej odległości widziałam coś jakby ślady poparzeń na jej wargach.

– Tak, to ja. – Spojrzałam na nią, zaskoczona. – Ale skąd ty...

– Tworzymy Grupę – wyjaśniła krótko. – Nie mamy przed sobą tajemnic.

– Aha.

Wynikało z tego jasno, że Charlie opowiadał im o mnie. O naszej rodzinie. Natychmiast zapragnęłam się dowiedzieć, co właściwie o nas mówił. A potem nasza złość tak gwałtowna, że aż się przestraszyłam. Charlie rozmawiał ze wszystkimi, tylko nie ze mną.

– To co? Gdzie mogę go znaleźć? – spytałam. Patrzyły na

mnie obie, w milczeniu. – Proszę – dodałam.

– No, nie wiem – odezwała się ta z kręconymi włosami. – Czy przyjechałaś tutaj, żeby robić mu wyrzuty? Bo wiesz, on i bez tego ma straszne poczucie winy.

– Co? – zdumiałam się. Charlie w życiu nie miał ani krzty poczucia winy, nigdy i za nic. – Skąd. Po prostu chcę z nim porozmawiać.

Dziewczyny popatrzyły na siebie, jakby dokonywały jakiejś telepatycznej wymiany myśli. W końcu pseudoblondynka skinęła głową.

– Trzecie drzwi po lewej – poinformowała mnie i dodatkowo pokazała ręką, w którą stronę mam się udać. – Mieszka razem z Wuzem.

– Z Wuzem? – powtórzyłam, ale wtedy rozległ się głośny sygnał. Rozejrzałam się, obie dziewczyny patrzyły w stronę głośnika wiszącego na ścianie.

– Miłego popołudnia – rozległ się kojący głos. – Mam nadzieję, że wasze poranne medytacje przebiegły pomyślnie i z pożytkiem dla was. Czas medytacji mija za dwadzieścia minut. Za dwadzieścia minut proszę udać się do wyznaczonych zadań przewidzianych na dzisiejszy dzień o tej porze. Dziękuję.

Znów rozległ się sygnał, potem coś kliknęło i głośnik się wyłączył. Gapiłam się na niego jeszcze przez chwilę. A więc to tak Charlie spędzał ten miesiąc – w luksusowych warunkach, medytował sobie i opowiadał, co się dzieje w jego wnętrzu. Pięknie. A ja tymczasem żywiłam się pizzą i tłukłam się sama po pustym domu, dręczona bezsennością.

– Dzięki – rzuciłam przez ramię, wychodząc.

Blondynka zerknęła na mnie.

– Powinnaś zadzwonić do matki – pouczyła mnie. – Poważnie mówię.

Miałam ochotę zapytać, o co jej chodzi, do jasnej cholery, ale nie zamierzałam tracić czasu. Odbiło jej, czy co? Wyjrzałam na korytarz (udekorowany orientальnymi motywami, Julii by się spodobało), przed każdymi drzwiami stała donica z bambusem, a

w końcu korytarza znajdowała się fontanna z szemrzącą cicho wodą, podświetlona miękkim światłem. Rozejrzałam się ostrożnie, żeby upewnić się, czy nikt niepowołany mnie nie widzi, po czym szybko przemknęłam obok kolejnych drzwi, przez które patrzyli na mnie jacyś ludzie. Najwyraźniej wszystkie drzwi były tu otwarte.

Znalazłam się przed kolejnymi drzwiami, także otwartymi, ale nie na oścież. Do drzwi przyczepiono zalaminowaną kartkę z napisem: CHARLIE I ZACH; była wsunięta w plastikowy uchwyt, żeby można było łatwo zmieniać imiona lokatorów. Wzięłam głęboki wdech i weszłam do środka.

Od razu zauważyłam prawie całkiem gołego kolesia, który stał na głowie oparty o ścianę. Szczęśliwie nie był to mój brat. Oczy w jego odwróconej twarzy rozwarły się szeroko, wydał nawet cichy okrzyk, opadając stopami na podłogę.

– Co jest? – spytał, dźwigając się na nogi. Był trochę przy kości, miał gęste kręcone włosy w ciemnobrązowym kolorze.

– Dlatego zawsze ci powtarzam, Wuz, ubieraj się w coś do tej swojej jogi – spojrzałam przez pokój, ujrzałam mojego brata siedzącego w fotelu, jakby na mnie czekał. – Skąd możesz wiedzieć, kiedy moja siostra zechce tu wpaść?

Odwróciłam się do Charlie'ego, bo chciałam dobrze mu się przyjrzeć, a poza tym, żeby dać szansę Wuzowi – niech się spokojnie ubierze. Przynajmniej miałam nadzieję, że coś na siebie włoży. Charlie wyglądał znacznie lepiej, niż kiedy ostatnio go widziałam, chociaż prawdę mówiąc, musiałby się bardzo postarać, żeby wyglądać gorzej niż wtedy. W każdym razie wyglądał zdrowiej, opalił się, był mniej rozedrgany. Coś jak podczas sprawdzania wzroku u opto-metrysty, nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak nieostro widzisz, dopóki nie założy innej soczewki i wszystko nie stanie się wyraźne.

– Hej – powiedziałam i podeszłam do niego.

– Ale niespodzianka – stwierdził Charlie. Mówił niedbałym tonem, ale znam go wystarczająco dobrze, żeby zorientować się, że mój widok przyprawiał go o prawdziwy wstrząs. – Przypadkiem znalazłaś się w okolicy?

– Tak jakby – potwierdziłam. Zerknęłam na głośnik. – Słyszałam, co mówili. Musisz wyjść za dwadzieścia minut, tak?

– Raczej piętnaście – odezwał się Wuz za moimi plecami. Odwróciłam się ostrożnie. Szczęśliwie włożył już szorty i T-shirt, a teraz wyciągał do mnie rękę. – Zach Tyler – przedstawił się.

– Amy Curry – odpowiedziałam, uścisnęliśmy sobie krótko dłonie. Tak się już przyzwyczaiłam, że nawet by mnie zdziwiło, gdybyśmy nie podali sobie rąk na powitanie.

– Och, domyślam się – rzeki. – Możesz mi wierzyć.

Popatrzyłam pytająco na Charlie’ego, ten jednak tylko się uśmiechnął i powiedział:

– Amy, poznaj Zacha, najczęściej zwanego Wuz.

– „Walnięty Umysłowo Zach” – przetłumaczył Wuz. – Dla uproszczenia najczęściej posługujemy się skrótem.

– Wuz pochodzi z Richmond w Wirginii i do niedawna jednym z jego hobby było wdychanie różnych ciekawych substancji.

– Witaj – powiedziałam do Wuz, a potem do mojego brata:

– To znaczy, że musisz iść za piętnaście minut?

Charlie spojrzał na zegar zawieszony między łózkami.

– Tak – odpowiedział.

– Ale czy musisz? – dopytywałam się. – Nie możesz się jakoś z tego wyrwać?

– Nie, nie mogę – odezwał się Charlie dość ostrym tonem. – To jest odwyk, Amy, a nie wczasy.

Wuz odchrząknął i zaproponował półgłosem:

– To ja może zaczekam w korytarzu, co?

– Dzięki – odpowiedział Charlie.

Wuz wyszedł na zewnątrz, szurając nogami.

– Ładnie tu macie urządzone – powiedziałam, rozejrzawszy się po pokoju. Łatwo było odgadnąć, która część należy do Charlie’ego, bo koło jego łóżka wznosiły się stosy książek, leżała tam też rakietka tenisowa i puszka z piłkami. Wyglądało na to, że na nowo zaczął grać. Rzecz jasna w czasie wolnym od innych zajęć. Poczulałam, że znowu zaczynam się złościć.



– Amy, co ty tu robisz? – spytał Charlie.  
– Wczoraj byłam w Graceland – popatrzyłam mu w oczy.  
Po twarzy Charlie’ego przeszedł jakby skurcz.  
– Och – mruknął.  
– No – powiedziałam. Słyszałam, jak drży mój głos. –  
Pamiętasz, mieliśmy tam pojechać na wycieczkę. A ty  
powiedziałeś ojcu, że to obciach, głupota. – Charlie wbił wzrok w  
ziemię. Wziął do ręki piłkę tenisową, zacisnął na niej dłoń. – No,  
więc pomyślałam, że chociaż ja tam pojedę.  
– Po co tu przyjechałaś? – spytał Charlie, miał spięte rysy,  
wpatrywał się we mnie natarczywie. – Poważnie pytam. Chcesz  
mnie wpędzić w doła, tak?  
– Skąd – zaprzeczyłam. Rzeczywiście nie miałam takiego  
zamiaru, ale kiedy go widziałam, narastała we mnie ta złość, którą  
powstrzymywałam, tłamsiłam w sobie od długiego czasu. Trochę z  
tego gniewu wymknęło się na świat podczas rozmowy z matką, ale  
najwyraźniej nie wszystko. – Nie. Ale na pewno, gdyby tak się  
stało, po prostu omówisz to sobie w swojej grupie.  
Charlie rzucił mi ostre spojrzenie.  
– Skąd wiesz?  
– Ach, drobiazg. Wlazłam przez okno do jakichś dwóch  
dziewczyn, które wszystko o mnie wiedziały. Tylko tyle.  
– No, bo na tym to z grubsza polega – wyjaśnił Charlie,  
takim tonem, jakby bronił się przed jakimś zarzutem. –  
Rozmawiamy tutaj ze sobą, omawiamy problemy.  
– W takim razie, dlaczego... – zaczęłam, ale głos mi się  
załamał. Zaczęłam od nowa: – Dlaczego my nie mogliśmy ze sobą  
porozmawiać? Dlaczego... – urwałam, szukając odpowiedniego  
słowa, ale nie mogłam go znaleźć. Chciałam go zapytać, jak to się  
stało, że wycofaliśmy się, każde do swojej części domu, a potem  
znaleźliśmy się w innych częściach kraju. Nasze drogi rozeszły się  
właśnie wtedy, kiedy najbardziej powinniśmy trzymać się razem.  
Siadłam na skraju łóżka Wuzi i spojrzałam na mojego brata. –  
Może cię potrzebowałam – powiedziałam. – Ale ty zawsze byłeś  
nawalony i...

– Aha, więc o to ci chodzi – odburknął gniewnie Charlie. Na jego twarzy pojawił się wyraz, który dobrze znałam, a którego nie trawiłam, zawsze mnie odpychał. – Więc koniecznie musiałaś tu się zjawić, żeby powiedzieć mi prosto w oczy, jaki to zjeb ze mnie, co?

– Nie. – Tym razem zdołałam nad sobą zapanować. – Tylko chodzi o to, że zostałam zupełnie sama. Ty wylądowałeś tutaj, przynajmniej miałeś z kim pogadać.

– Mogłaś ze mną rozmawiać – zaprotestował.

– Kiedy? I co by to dało? – odpowiedziałam tak głośno, że aż sama się zdziwiłam. Charlie spojrział w stronę otwartych drzwi, więc ściszyłam głos. – Nigdy cię nie było w domu. Przez cały rok – nie spuszczałam z niego wzroku. – Źle zrobiłam, że nie powiedziałam mamie i tacie. Miałaś rację, kiedy mówiłaś, że tego nie zrobię. Ale gdybym jednak powiedziała, wtedy może... – Nie potrafiłam skończyć tego zdania. Bo to była moja wina, również i z tego powodu. Jeszcze jedna rzecz, której nie mogłam cofnąć.

Charlie obrócił piłeczkę w dłoniach i zaśmiał się krótko, gorzko.

– Myślisz, że nie zadaję sobie tego pytania każdego jebanego dnia? Myślisz, że nie chciałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej?

– Nie wierzę ci – powiedziałam, znowu drżącym głosem. – Bo niby co? Siedzisz tu zaledwie od miesiąca i nagle wykształciłeś w sobie sumienie, tak? – Charlie popatrzył na mnie, jakbym go spoliczkowała, bez ostrzeżenia. To go zaskoczyło i zabolalo. – Zawsze cię kryłam – mówiłam dalej, wyrzucałam z siebie te słowa. – Przez całe lata. A ty nigdy nie wzięłaś na siebie chociaż cienia odpowiedzialności. I gdybyś chociaż raz w swoim pieprzonym życiu pomyślał o kimś innym niż ty sam, to wszystko by się nie zdarzyło.

Tak, wyrzuciłam z siebie i to zdanie, zanim w pełni zdałam sobie sprawę z jego znaczenia. A teraz już było za późno, żeby je wycofać.

Charlie ścisnął w dłoni piłeczkę, gapił się na nią, skrzywiony.

Jego podbródek drżał.

– Nie powinnam była tego mówić – odezwałam się, bo czułam, że posunęłam się za daleko.

Charlie wzruszył ramionami.

– Kiedy to prawda – przyznał głuchym głosem, wciąż patrząc na podłogę.

– Tak bym chciała... – zaczęłam. Odetchnęłam i zmusiłam się, żeby dopowiedzieć: – No, chciałabym, żeby wszystko było inaczej.

Charlie spojrzał na mnie.

– Ja też.

Niespodziewanie cisnął we mnie piłeczką. Złapałam ją, co mnie zaskoczyło, bo zawsze byłam w tym kiepska.

– Rozmawiasz też o nim? – spytałam, pogładziłam puszysty żółty kształt. – O tacie?

Charlie skinął głową.

– Zaczynam – odparł lekko ochryłym głosem. – A ty?

Pokręciłam głową.

– Jeszcze nie.

Patrzyłam na mojego brata – brata bliźniaka – wyglądał właśnie tak, jak ja się czułam. Oboje straciliśmy ojca. Tego samego ojca. Dlaczego nie mogliśmy o tym po prostu porozmawiać?

– Tęsknię za nim – powiedziałam, teraz i mnie zbierało się na płacz. Te słowa tak mało znaczyły wobec tego, co czułam, co się za nimi kryło. O wiele więcej niż tęsknota. Czekanie. Zawsze. Czekanie na telefon, którego już nigdy nie będzie. Czekanie na to, żeby usłyszeć głos, którego już nigdy, przenigdy się nie usłyszy.

Charlie popatrzył mi w oczy. Jego usta drżały.

– Ja też.

– Cały czas czekam, aż znowu go zobaczę. Jakoś nie może do mnie dotrzeć, że to się stało naprawdę. To znaczy, że to, co jest teraz, dzieje się naprawdę.

– Myślisz, że ja co? – spytał Charlie. – Jeszcze nie jestem całkiem pewien, czy nie pojawiłaś mi się tutaj jako flashback po kwasie.

– Nie. To naprawdę ja – zapewniłam go i rzuciłam mu piłeczkę, którą oczywiście złapał jedną ręką.

– Ale co ty robisz w Karolinie Północnej? Myślałem, że już od dawna siedzisz w Connecticut.

– No, taki był pierwotny plan. – Poczułam, że uśmiecham się leciutko. – Ale Roger i ja postanowiliśmy pojechać dłuższą drogą.

– Roger?

– Roger Sullivan. Pamiętasz go. Kiedyś bawiliśmy się z nim w pomidora.

– Jasne – stwierdził Charlie. – Czyli zerwałaś się na wagary?  
– Skinęłam głową. – I dlatego mama wścieka się na ciebie?

– „Wścieka się” to mało powiedziane.

– Nieźle. – Odchylił się w fotelu, patrzył na mnie, jakby nigdy dotąd mnie nie widział. – I... I ty przyjechałaś tutaj, żeby zobaczyć się ze mną? Wlazłaś przez okno?

– Owszem – przyznałam. – Po prostu... Wydawało mi się, że powinniśmy porozmawiać.

– Cieszę się, że to zrobiłaś.

– Hej, Chuck. – Do pokoju wetknął głowę Wuz. – Musimy się zbierać, za pięć minut mamy...

– Tak – powiedział Charlie, ale nawet nie drgnął.

Wstałam i wtedy zobaczyłam znajomą okładkę książki leżącej na stole: Żywność, benzyna i dach nad głową.

– Czytasz to? – spytałam. Zerknęłam na Charlie’ego, trochę oszołomiona. Miałam nadzieję, że to nie książka Wuz.

Przytaknął skinieniem głowy.

– Ja też – powiedziałam, cały czas gapiąc się na książkę.

– Co ty? – spytał, zaskoczony. – Wiem, że to była jedna z ulubionych książek taty, więc postanowiłem ją przejrzeć.

Patrzyłam na tę okładkę i zastanawiałam się, czemu nie mogliśmy złapać takiego kontaktu kilka miesięcy wcześniej. I dlaczego nie dało się tak zrobić, żebyśmy oboje porozmawiali z tatą o tej książce, póki jeszcze mogliśmy z nim porozmawiać.

– Chuck? – ponaglił go Wuz. Charlie dźwignął się, ruszyliśmy do drzwi. Nagle okazało się, jak wiele mamy sobie do

powiedzenia. Tak wiele, że nie dało się nic powiedzieć. – Słuchaj – odezwał się Wuz, patrząc na nas oboje. – Będziesz może jechać przez Richmond?

– Chyba mówi raczej o tobie – podpowiedział Charlie.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam. Nie obmyślałam jeszcze dalszych planów i nie wiedziałam, co zrobię po spotkaniu z Charlie'em. Nawet trochę mi było nieswojo z tym, że nie mam planu.

– Ale może się zdarzyć, że będziesz jechać przez Richmond? Nie wyklucasz tego? – dopytywał się Wuz, wyraźnie coraz bardziej ożywiony.

– Nie wiem – odpowiedziałam. – Może tak, a może nie.

Wuz przytaknął ruchem głowy, pochylił się, sięgnął do plecaka wiszącego na kłamce szafki.

– To gdybyś przejeżdżała – powiedział, wyprostowując się – mogłabyś to dać Coreyowi, który bywa w Dairy Queen? – W ręce trzymał zmiętą kopertę.

– Czyś ty zwariował? – zdziwił się Charlie.

– To ważne – zapewnił Wuz i podał mi kopertę. – Proszę. Wystarczy, że dasz komuś z obsługi, przekażą mu. Chcę, żeby się dowiedział, dlaczego nie przyszedłem na umówione spotkanie. Nie chciałem go zrobić w konia, tylko wylądowałem tutaj. Jeżeli tego nie dostanie, zabije moje rybki.

– Rybki? – powtórzyłam, nie wierząc własnym uszom.

– Jezu, mniejsza o rybki – warknął Charlie. – Nie możesz mu wysłać mejla?

– No pewnie, szkoda, że na to nie wpadłem – obruszył się Wuz.

– Zaadresuję go do Coreya, który bywa w Dairy Queen kropka com.

– Dobra, zobaczę, co da się zrobić – powiedziałam i wzięłam kopertę od Wuz. Przyglądałam ją odruchowo. – Spróbuję.

– Dzięki – uśmiechnął się do mnie. – Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. Chuck nieraz opowiadał, jak to zawsze mógł na ciebie liczyć i...

– Musimy już iść – wszedł mu w słowo Charlie. Otworzył drzwi.

– Pomogę ci wyjść.

Znaleźliśmy się na korytarzu. Był pusty, w tle rozlegał się tylko łagodny szmer wody.

– Jesteśmy spóźnieni? – spytał Wuz.

– No pewnie – potwierdził Charlie. Przemknęliśmy we trójkę do pokoju, przez który dostałam się do ośrodka.

– Jeszcze raz dzięki – rzucił w moją stronę Wuz teatralnym szeptem, po czym pobiegł dalej korytarzem. Pomachał mi jeszcze ręką, odpowiedziałam mu tym samym i weszłam do pokoju. Nikogo tam nie było – pewnie obie dziewczyny udały się na przewidziane regulaminem zajęcia.

– To tu? – spytał Charlie. Okno nadal było otwarte.

– Tak – podeszliśmy do niego.

– No, to chyba tyle, co? – rzekł, wykręcając palce.

– Jak się czujesz? – spytałam, chociaż wiedziałam, że czas nam się kończy, nie czułam się jednak gotowa, żeby tak po prostu wyskoczyć za okno. – Bo wiesz, wyglądasz jakby lepiej. Tylko to miejsce... Na pewno ci tu dobrze?

Charlie popatrzył na biały dywan, przestąpił z nogi na nogę.

– Chyba tak – odparł. – Może być.

– Amy – usłyszałam głośny szept z zewnątrz. Wystawiłam głowę i zobaczyłam Rogera, który mnie wypatrywał. Na mój widok wyraźnie odetchnął z ulgą. Pewnie wołał mnie już od jakiegoś czasu.

– Już, zaraz – zawołałam cicho, skinął głową. Cofnęłam się, popatrzyłam na mojego brata. – Jak długo tu zostaniesz? – spytałam.

– Kiedy cię wypuszczą?

Dopóki nie ujrzałam go takim, jakim był kiedyś, dawniej, nie zdawałam sobie sprawy, jak tęsknię za moim bratem. Teraz jednak uderzyło mnie to – teraz, kiedy znowu mieliśmy się rozstać.

– Jeszcze miesiąc – uśmiechnął się blado. – Da się wytrzymać.

– Amy! – zawołał znowu Roger zza okna, tym razem trochę głośniej. Jednocześnie znów odezwał się sygnał. Charlie i ja odruchowo spojrzeliśmy w stronę głośnika.

Ten sam kojący głos, choć tym razem brzmiał jakby mniej pogodnie, oznajmił: „Właśnie rozpoczęła się sesja popołudniowa.

Bardzo proszę, aby ci, którzy jeszcze nie rozpoczęli wyznaczonych zajęć, natychmiast udali się do właściwych sal.”

– Dobra – powiedziałam. Charlie skinął głową, popatrzyliśmy na siebie. Mój brat i ja nigdy nie przejawialiśmy tendencji do padania sobie w objęcia. Właściwie nie pamiętam, żeby kiedykolwiek nam się to zdarzyło. Nie zamierzałam jednak poprzestać na uścisku dłoni. Uniosłam rękę, żeby wykonać gest pożegnania, kiedy Charlie wyciągnął ramiona i uściskał mnie. Objęłam go też, poczułam, że tak właśnie być powinno – i że należało to zrobić kawał czasu temu.

– Dzięki, że wpadłaś – wymamrotał do mojego ramienia.

– Tak – powiedziałam, rozdzieliliśmy się.

– Powinnaś porozmawiać z mamą – powiedział. – Dostaję od niej meile, niepokoi się o ciebie. Chyba bez ciebie czuje się trochę zagubiona.

Popatrzyłam na niego jak na nienormalnego.

– O czym ty mówisz? – spytałam. – Zagubiona? Chyba się nie słyszysz. Zostawiła mnie samą na miesiąc i tylko od czasu do czasu...

– Amy! – zawołał znowu Roger.

– Porozmawiaj z nią – nalegał Charlie. – Ale tak poza tym uważam, że dobrze zrobiłaś. W ogóle zmieniłaś się nie do poznania.

– Na lepsze? – upewniłam się.

– Na dużo lepsze – stwierdził. Uśmiechnął się, spojrzął w stronę okna. – Pomóc ci?

– Może by się przydało – przyznałam. Oparłam się o parapet, przerzuciłam jedną nogę... Zobaczyłam Rogera, który czekał na mnie z wyciągniętymi rękami. Odetchnęłam głęboko i przerzuciłam drugą nogę. Spojrzałam w dół, nagle wydało mi się,

że Roger i ziemia znajdują się strasznie daleko ode mnie. – Cholera – powiedziałam. – Nie wiem...

– Musisz puścić się parapetu – podpowiedział mi Charlie. – Daj rękę. – Popatrzyłam na niego, skinął głową. – Nic ci nie będzie.

Jakoś zdołałam się zmusić, żeby odzepić moją dłoń kurczowo zaciśniętą na parapecie i wyciągnąć ją w stronę Charlie'ego. Chwycił mnie, potem umieścił moją dłoń na zewnętrznej krawędzi parapetu, a następnie pomógł mi zrobić to samo z drugą ręką. Zwisiałam teraz w przestrzeni na wyciągniętych ramionach. Poczułam, że ktoś łapie mnie za nogi. A więc Roger czuwał nade mną.

– Puść! – Zawołał. – Złapię cię.

Znów popatrzyłam na brata, a on patrzył na mnie.

– On ma rację – rzucił Charlie. – No, puszczaj.

– Uważaj na siebie, dobra? – zażądałam. Potwierdził ruchem głowy, uśmiechnęłam się do niego. A potem puściłam i spadłam w dół jak kamień. Wylądowałam na czymś miękkim, a raczej na kimś. – Wybacz – stęknęłam, sturlałam się z niego i otrzepałam ubranie. – Nic ci nie jest?

– Spoko – powiedział, chwycił mnie za rękę, którą wyciągnęłam, żeby pomóc mu wstać. – Jest inny problem: musimy spadać. Natychmiast!

Ruszył przyspieszonym krokiem w stronę samochodu, wciąż trzymając mnie za rękę. Właściwie włókł mnie za sobą.

– Ale o co chodzi? – spytałam, usiłując za nim nadążyć.

– Obawiam się, że wzbudziliśmy czyjeś niezdrowe zainteresowanie – wyjaśnił. – Starąłem się nie zwracać na siebie niczyjej uwagi, ale to nie takie proste, kiedy przemawia się do okna. Różni ludzie widzieli mnie i przyglądali mi się trochę zbyt ciekawie.

Szliśmy pospiesznie do samochodu. Rzeczywiście, zauważyłam, że koło wejścia kręci się znacznie więcej ludzi w białych fartuchach niż przedtem. Wszyscy mieli krótkofalówki.

– Dobra, byle do samochodu – wysapałam. Roger w



odpowiedzi uściskał mocniej moją dłoń.

– Halo – rozległ się głos za nami. Odwróciliśmy się i ujrzeliśmy zmierzającą w naszą stronę Courtney. – Proszę zaczekać. Musimy porozmawiać.

Roger i ja popatrzyliśmy po sobie i bez słowa, wciąż trzymając się za ręce, ruszyliśmy biegiem w stronę samochodu.

– Masz kluczyki? – spytałam go, z trudem łapiąc oddech. Byliśmy już na parkingu.

– Mam – wysapał. Odwróciłam się. Courtney biegła za nami. Dopadliśmy samochodu, Roger otworzył go pilotem.

Wskoczyliśmy do środka. Odpalił silnik, wycofał z rekordową prędkością wóz, po czym wyjechaliśmy z parkingu.

Roger nie zwolnił od razu, dopiero po pięciu minutach, kiedy stało się jasne, że nikt z Promises Kept nas nie ściga.

– Mało brakowało – zauważył. Wskaźnik prędkości opadł do normalnego, nieautostradowego poziomu.

Patrzyłam przez okno na inne samochody i próbowałam się rozeznaczyć, co właściwie czuję. Tego dnia igrałam ze wszystkim, o czym dotąd z całych sił starałam się nie myśleć. Odsuwałam od siebie to wspomnienie, żeby nie musieć stanąć twarzą w twarz z wnioskiem, jaki z niego wypływał. Ale teraz zobaczyłam się z Charlie'em i to zmieniło wszystko...

– Dobrze się czujesz? – dosłyszałam głos Rogera.

Skinęłam głową, ale jednocześnie odwróciłam od niego twarz i zacisnęłam powieki. Jednak teraz już nie mogłam tego odegnąć. Chyba nie miałam już sił dłużej się hamować.

– Amy? – otworzyłam oczy i zobaczyłam Rogera, który spoglądał na mnie, zaniepokojony. – Dobrze się czujesz?

Miałam znowu przytaknąć, ale odpuściłam to sobie.

– Ja... – głos mi się załamał. – Nie, nie czuję się dobrze – wychrypiałam. Spojrzał na mnie, wyłączył muzykę. Wspomnienie tamtego ranka napierało, nie chciało odejść. Wiedziałam, że kiedy Roger pozna prawdę, spojrzy na mnie inaczej. Ale nie potrafiłam już tego powstrzymać.

– Co ci jest? – spytał cicho.

– Wiesz, z tym Elvisem – zaczęłam. – Wiesz, dlaczego nie chciałam słuchać Elvisa?

– Z powodu ojca – odpowiedział Roger. – Tak?

– Tak. Słuchaliśmy Elvisa w samochodzie – wyjaśniłam. – To znaczy, zawsze słuchaliśmy Elvisa w samochodzie. Ale także wtedy, kiedy to się zdarzyło – z trudem przełknęłam ślinę. – No, wypadek.

– Aha – powiedział półgłosem.

To nawet nie było słowo. Tylko jakby podłożył następny kamień pod moją stopę, żebym mogła pójść o krok dalej.

Czułam, że oddycham coraz prędeziej. Musiałam to wreszcie powiedzieć, nie mogłam dłużej milczeć.

– Ten wypadek – wykrztusiłam, starając się mówić na tyle głośno, żeby było mnie słychać. Odetchnęłam z trudem jeszcze raz i wreszcie wyrzuciłam to z siebie: – To była moja wina. To przeze mnie umarł.

– Amy – Roger oderwał spojrzenie od drogi i popatrzył na mnie.

– Jasne, że to nie była twoja wina.

Już inni mi to mówili. Tylko że takie rzeczy zawsze się mówi. A skąd mogli wiedzieć? Nikogo z nich tam nie było.

– Moja – wyszeptałam.

Odetchnęłam raz jeszcze i wytłumaczyłam dlaczego.

*I'll be right here with you, come what may.*  
– *Elvis Presley*

## 8 MARCA – TRZY MIESIĄCE WCZEŚNIEJ

Wysłałam na słońce, włożyłam moje nowe ciemne okulary. Zastanawiałam się, co robi matka. Nie wątpiłam, że Charlie'emu oberwie się za ten numer. Zgarnęła go policja – spał na ławce w parku, kompletnie naćpany. Może wreszcie moi rodzice zorientują się, co się z nim dzieje. Szłam podjazdem do garażu. Obejrzałam się w stronę domu, skąd dobiegał głos mojej matki, nadal podniesiony – brzmiał w nim niepokój i gniew.

– A kiedy już go odbierzesz – mówiła, pojawiła się na schodach, ojciec za nią. Zatrzasnął za sobą drzwi. – Muszę cię poprosić, żebyś zajrzał do sklepu. Więc jak już tam będziesz, to zadzwoń, a ja ci powiem, czego potrzebujemy.

Ojciec zerknął na nią i włożył ciemne okulary, antyczne awiatory z tak porysowanymi szklami, że nie wiem, czy coś w ogóle przez nie widział.

– Właściwie mogłabyś mi powiedzieć od razu – zauważył, całkiem pogodnym głosem. – Przynajmniej weź pod uwagę również taką możliwość.

– Akurat – odpowiedziała matka i potrząsnęła głową. – Już nie raz to przerabialiśmy.

– Wrócę niedługo – zapowiedział, ucałował ją w policzek – na co machinalnie odwróciłam wzrok.

– Dzwon w razie kłopotów – zawołała.

– Jasne – zawołaliśmy chórem, ja i ojciec. A kiedy uświadomiliśmy to sobie, uśmiechnęliśmy się do siebie porozumiewawczo.

– Amy, gdzie podziałaś buty?! – krzyknęła do mnie matka tonem takim, jakby już naprawdę nie mogła ze mną wytrzymać.

– Ojej – spojrzałam na własne bose stopy. – Sekundę – rzuciłam do ojca i pobiegłam przez trawnik. Był jeszcze mokry, no

i świeżo skoszony – niefortunna kombinacja, bo teraz ścięte źdźbła przyklejały mi się do nóg. Wbiegłam po schodkach, minęłam matkę, która nadal stała w drzwiach i z kosza w sieni zgarnęłam moje klapki.

Nasunęłam je i ruszyłam z powrotem. Tymczasem moja matka trzymała w ręce coś lśniącego.

– Ben, kluczyki – powiedziała to takim tonem, jakby już naprawdę nie mogła z nim wytrzymać.

– Ja wezmę – zawołałam, zgarnęłam je i pobiegłam przez trawnik do garażu, kierując się do miejsca kierowcy. Podrzuciłam kluczyki. Uśmiechnęłam się do taty jak najprzymilniej. – Mogę poprowadzić?

Uśmiechnął się także. Poszedł, żeby wsiąść z drugiej strony. Otworzyłam drzwi i przysunęłam fotel. Zapięłam pas, a potem spojrzałam wyczekująco na ojca.

– Pasy? – przypomniałam.

Mój ojciec nie cierpiał pasów i istniał tylko jeden sposób, żeby zmusić go do ich zapięcia.

– Daj spokój, kwiatuszku – rzekł tato najprzymilniejszym ze swoich głosów. – Nie mamy czasu. Może byśmy już ruszyli?

– Dobra – powiedziałam, rozpięłam mój pas i włożyłam klucz do stacyjki. – Jedziemy.

Ojciec mruknął coś i zapiął pas.

– Teraz zadowolona? – spytał.

– Zachwycona – zapewniłam i zapięłam powtórnie swój pas.

– Dziękuję. I mówię ci, że któregoś dnia to ty mi podziękujesz.

Spojrzałam we wsteczne lusterko, ruszyłam ostrożnie podjazdem do tyłu.

– Co z muzyką? – spytał ojciec, gdy wyjechałam do zaułka.

Miałam prawo jazdy już od trzech miesięcy, ale nadal musiałam koncentrować się, prowadząc samochód, dopiero niedawno muzyka przestała mi w tym przeszkadzać. Zaraz po tym, jak dostałam prawko i zawrotka na trzy razy stanowiła dla mnie trudność na poziomie fizyki kwantowej, potrzebowałam absolutnej ciszy.

– Jasne – powiedziałam, zatrzymując wóz pod znakiem „stopu”. – Czyżbyś chciał posłuchać Króla?

– Jeszcze pytasz? – spytał mój ojciec. Przerzucił już płyty. – O! – powiedział, wyjął jedną z pudełka i wsunął do odtwarzacza.

– Który to? – spytałam. Kiedy siedziałam za kierownicą, rezerwowałam sobie prawo do kapryszczenia i marudzenia co do tego, jaki Elvis zagra. Na przykład całkowity ban na wszystkie hawajskie kawałki.

– Chyba przypadnie ci do gustu – stwierdził, zaczął przerzucać utwory. Po chwili rozległa się piosenka „All That I Am”.

– Super – powiedziałam i rzuciłam mu uśmiech. – Lubię tę piosenkę.

– Wiem, że lubisz – odparł mój ojciec. – A lubisz dlatego, że jesteś moją ukochaną córeczką. – Jechaliśmy przez jakąś minutę i słuchaliśmy w milczeniu śpiewu Króla. – W zasadzie – odezwał się po dłuższej chwili tato – zamierzam zatańczyć do tego kawałka na twoim weselu. Co o tym sądzisz?

– Tatusiu – jęknęłam. – Daj spokój. Do tego czasu jeszcze minie kilka lat. Dobrych kilka lat.

– Wybacz – odpowiedział, chichocząc, więc chyba jego skrucha nie była nazbyt szczera. – Ręka – polecił, ostrożnie zdjęłam dłoń z kierownicy. Przekręcił ją nieco, położył coś na mojej dłoni, a potem zamknął na tym czymś moje palce. Spojrzałam, zobaczyłam na niej Life Savera. Wyglądał mi na smak rumowy. Kiedy zerknęłam na tatę, zobaczyłam, że też się posila.

– Dziękuję – powiedziałam i wsunęłam cukierek do ust.

Znaleźliśmy się przy wjeździe na Campus Drive. Zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak dalej jechać.

– W prawo? W lewo? – spytałam. Dziwnie tak było pytać o drogę, kiedy to zwykle ja wyznaczałam kierunek jazdy.

– W lewo – odpowiedział tato. – W stronę uniwersytetu. – Westchnął i wyjrzał przez okno. – I miejmy już to wreszcie z głowy.

Wrzuciłam kierunkowskaz, zauważyłam przy tym kątem oka,

że chrupie następnego life savera.

– Od jak dawna wiedziałaś? – spytał, nie zważając, że przerywa Królowi. – No, o Charlie’em.

Spojrzałam na niego, potem znów na drogę. Zastanawiałam się, ile mu powiedzieć i na ile warto dalej kryć Charlie’ego.

– Wiedziałam, że coś się dzieje – odpowiedziałam wymijająco. Przypomniała mi się ta moja nieudana interwencja sprzed miesiąca. Trzeba było wtedy im powiedzieć. Dojechałam do skrzyżowania, zahamowałam, kiedy światło zmieniło się na żółte. Kilku kretynów za mną zatrąbiło, wyraźnie spodziewali się po mnie, że przelecę przez skrzyżowanie. Nic z tego.

– Ja też wiedziałem, że coś z nim jest nie w porządku – wyznał ojciec, patrząc przez okno – ale nie przypuszczałem, że to posunęło się tak daleko.

– No, tak – powiedziałam. – Ale myślę, że nic mu nie będzie. Ojciec potrząsnął głową.

– Oby, kochanie. Oby – popatrzył na mnie. – Dzięki, że jedziesz ze mną.

– Co ty, nie ma za co – odpowiedziałam, zerkając na światło. Ale przez króciutką chwilę rzuciłam okiem w jego stronę i uśmiechnęłam się do niego.

– Zielone – powiedział tato i pokazał palcem.

Spojrzałam na drogę, nadepnęłam na gaz i wjechałam na skrzyżowanie. Wtedy kątem oka spostrzegłam, że coś jest nie tak. Błysk czerwieni, zbliżający się ku nam – podczas gdy nic nie powinno w naszą stronę zmierzać, zwłaszcza tak prędko.

– Amy... – usłyszałam jeszcze głos mojego ojca. A potem wszystko potoczyło się jak w zwolnionym tempie. Wiem, zawsze tak się mówi, ale to naprawdę tak się dzieje. I zaczęło się dopiero wtedy, kiedy już nie było po co zwalniać. Nie wiem jak, nie wiem skąd, ale wiedziałam, że nie zdążę już nic zrobić. Jakby dano mi tylko więcej czasu, żebym lepiej się mogła przyjrzeć, co się dzieje.

A działo się to, że potężna czerwona terenówka pędziła na czerwonym świetle, najwyraźniej usiłując przekroczyć skrzyżowanie, pośrodku którego właśnie się znalazłam. Jeszcze

usłyszałam jakiś klakson, a potem tamten wóz walnął w nas z taką siłą, że wgniotło mnie w fotel, uderzyłam zębami o zęby, a potem obracaliśmy się wokół własnej osi. Zaciskałam dłonie na kierownicy przez cały czas, naciskałam z całej siły na hamulec – jakbym mogła w ten sposób zatrzymać akcję. Potem ohydny zgrzyt metalu o metal. Zobaczyłam słup ułamek sekundy przed tym, jak w niego uderzyliśmy – po stronie taty. I wtedy nasz samochód wreszcie znieruchomiał. Tylko że mój ojciec także przestał się poruszać. Czoło mnie paliło, ktoś wrzeszczał i nie mógł przestać. Dopiero kiedy nadszedła karetka i ratownik wyciągnął mnie z wozu, potrząsnął mną mocno za ramiona, zdałam sobie sprawę, że to był mój krzyk.

*If you dont mind, North Carolina is where I want to be.*  
*– Eddie from Ohio*

Siadłam na swoim miejscu i zatrzasnęłam drzwi. Patrzyłam przed siebie. Kiedy opowiedziałam Rogerowi już wszystko o tym, co się zdarzyło, sprawiał wrażenie, że ma coś do powiedzenia. Tylko że ja jeszcze nie byłam gotowa, żeby to usłyszeć. Bez słowa wskazałam przydrożną knajpę, zjechaliśmy więc i spożyliśmy posiłek niemal w milczeniu. Nie miałam pojęcia, co teraz się stanie. Jednak z wolna zaczynałam czuć się lżej, jakbym zrzuciła z siebie jakiś ciężar, który dźwigałam strasznie długo. Tak długo, że już nawet nie wiedziałam, jak bardzo mi ciąży.

Roger zamknął drzwi po swojej stronie i spojrzał na mnie.

– Amy... – zaczął.

– Co powiesz na Richmond? – przerwałam mu.

Roger uniósł brwi, tego się chyba nie spodziewał.

– A co jest w Richmond?

– Kumpel Charlie’ego, Wuz, jest stamtąd. Dał mi jakiś list, żeby go przekazać facetowi imieniem Corey, który bywa w Dairy Queen. Ponoć zależy od tego życie rybek.

– Rybek?

– Rybek – potwierdziłam. – Też nie wiem, o co chodzi.

– I co to za imię, Wuz?

– To skrót – wyjaśniłam. – Skrót od „Walnięty Umysłowo Zach”.

– Aha – odpowiedział Roger. – Wszystko jasne. Czemu nie? Możemy jechać do Richmond. Trzeba ratować życie rybek.

Zajrzałam do atlasu i wyznaczyłam trasę, potem wyciągnęłam z kieszeni kopertę od Wuzy i spróbowałam ją wygładzić.

– Jak stoimy z kasą? – spytał Roger, kiedy znaleźliśmy się z powrotem na autostradzie.

– Mamy jeszcze sto osiemdziesiąt pięć dolarów –



powiadomiłam go.

Powinno wystarczyć do Richmond i potem do Connecticut. Spojrzałam na siedzącego obok mnie w samochodzie Rogera. W jakimś momencie przywykłam do tego widoku i dziwnie mi było z tym, że wkrótce przestanę go oglądać.

Przez kilka mil jechaliśmy I-40 w milczeniu. Roger zerkał na mnie, a znałam go już na tyle dobrze, żeby wyczuć, że coś chce mi powiedzieć. Za każdym razem, kiedy nabierał tchu, podgłasniałam muzykę. Kiedy zdarzyło się to po raz trzeci, a muzyka waliła już na cały regulator, aż szyby drżały, Roger wyciągnął rękę i wyłączył odtwarzacz.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Spojrzałam przez okno, zbierając się w sobie. Wiedziałam, że kiedy mu wyznam prawdę, wszystko się zmieni. A więc dobrze, niech wreszcie się dowiem, jaka to będzie zmiana.

– W porządku – odpowiedziałam.

Zerknęłam w jego stronę. Patrzył na drogę, ale zanim zaczął, także na mnie spojrzał.

– To nie była twoja wina – usłyszałam.

Potrząsnęłam głową. Równie dobrze mógł mi powiedzieć, że niebo nie jest niebieskie. Od samego mówienia taka rzecz nie stanie się prawdą.

– Jasne, że moja wina. Przecież to ja prowadziłam samochód.

– Ale z tego jeszcze nie wynika, że to twoja wina – powiedział.

– Słuchaj, nie musisz... – zaczęłam.

– Mówię poważnie – stwierdził i rzeczywiście jego głos zabrzmiał poważnie. Zdjął rękę z kierownicy i wskazał palcem niebieskiego vana, który właśnie zmienił pas i jechał równolegle z nami. – Słuchaj, gdyby tamten samochód nagle skręcił i wpadł na nas – czy to by była moja wina?

– Nie – przyznałam. – Ale...

– Więc to nie była twoja wina, że ktoś na ciebie wpadł – rzeki Roger. – Nie mówię tego po to, żeby mówić.

– Widzisz, chodzi nie tylko o to, że prowadziłam samochód –

powiedziałam. – Podśluchałam rozmowę dwóch ratowników. Stwierdzili, że to wyjątkowa sytuacja, rzadki przypadek, ale gdyby nie miał zapiętego pasa, najprawdopodobniej siła zderzenia wyrzuciłaby go na tył samochodu i najwyżej by się potłukł. Ale ja zmusiłam go, żeby zapiął ten cholerny pas. Był więc unieruchomiony w fotelu i dlatego słup latarni zmiażdżył mu czaszkę.

Spodziewałam się, że Roger się skrzywi, ale nie.

– Skąd – powiedział tym samym poważnym tonem. – To tylko gdybanie i spekulacje. Tego nikt nie może wiedzieć. Bez pasa mógł wylecieć przez przednią szybę i także zginąć. Albo mógł nie mieć pasa i wcale nie rzuciłoby go na tylne siedzenie. Mówię to z całą odpowiedzialnością: nie można było przewidzieć, że wszystko potoczy się tak a nie inaczej. To był wypadek, a ty nie jesteś niczemu winna.

Słuchałam jego słów i kręciłam głową, nie chciałam ich do siebie dopuścić. Tak naprawdę czekałam na nie od trzech miesięcy, ale już przestałam wierzyć w świat, w którym były prawdą.

– Ale gdybym wtedy przeleciała na żółtym – powiedziałam. – Gdybym nie zapomniała o butach, pojechalibyśmy wcześniej...

– Nie wolno ci myśleć w ten sposób. To nie była twoja wina – powtórzył Roger, niezbyt głośno, ale wyraźnie i z naciskiem. – Nie była i już.

– Nie możesz tego wiedzieć – wyszeptałam.

– Jak to nie? – spytał. – To był wypadek i koniec. Straszny wypadek. Ale ty nie mogłaś niczego zrobić. I nie ty go spowodowałaś.

– Owszem – zaprzeczyłam ochrypłym głosem, jakoś nie mogłam zdobyć się na to, żeby uwierzyć w to ulaskawienie, które chciał mi ofiarować. Jak mogłam uwierzyć w coś takiego? A co, jeżeli się mylił?

– Nie – odpowiedział po prostu. – Nie okłamuję cię. I zapewniam, że to nie była twoja wina.

I dopiero wtedy jakoś to do mnie dotarło. Rzeczywiście, Roger nie okłamał mnie ani razu. Wiedziałam, że mogę mu

wierzyć. Przecież nie zacząłby kłamać akurat teraz, nie w takiej ważnej sprawie. Myśl, że to jednak nie była moja wina, że nie ja spowodowałam wypadek, że nie mogłam niczego zrobić, tylko doszło do fatalnego w skutkach zbiegu okoliczności, ciągu zazębiających się wydarzeń, nad którymi nie miałam kontroli... i dlatego stało się to, co się stało... ta myśl wreszcie przedarła się do mojego umysłu. A kiedy pojawiła się ta świadomość, ustąpiły ostatnie szczątki tamy, rozryczałam się na dobre i wyzwoliło się wszystko, co tak skrzętnie zachowywałam wewnątrz siebie. Owszem, to była ulga, ale przede wszystkim było mi smutno. Smutno, że tak uparcie trzymałam się swojej cierpiętniczej wersji, chociaż wcale nie musiałam.

Roger zwolnił, wrzucił kierunkowskaz i zjechał na parking przy autostradzie. Zatrzymał wóz przy stolikach, wyłączył silnik. Potem rozpiął pas, rozpiął też mój i przysunął się do mnie. Dzielila nas środkowa konsola, ale wychylił się nad nią i objął mnie ramionami. Zrobił to tak naturalnie, jakby robił to przez całe życie. Nie myślałam już o niczym innym, jak tylko o tym, jak miło znaleźć się w jego objęciach, objęciach kogoś, kto nie zamierzał natychmiast mnie z nich wypuścić. Wtuliłam twarz w jego T-shirt i płakałam dalej, żeby się wypłakać, nie przejmując się, że zasmarkam mu koszulkę. Wreszcie czułam, że mogę sobie odpuścić, że wolno mi to zrobić. I że on to zniesie cierpliwie, będzie przy mnie tak długo, jak będę go potrzebowała.

Niedaleko nas samochody śmigały autostradą, a Roger odgarnął włosy z mojego czoła i kołysał mną delikatnie, tam i z powrotem.



– Wirginia! – zawołał Roger, dwa miksy i cztery rundy dwudziestu pytań później (Eleonora Akwitańska, Jonathan Larson, sir Francis Drake oraz Bernadette Peters). Pokazał mi tablicę, którą właśnie mijaliśmy, uśmiechnął się.

Trochę mnie jeszcze trzęsło po tym, co mu opowiedziałam,

choć przyjął wszystko tak spokojnie i tak w porządku. Wcale nie patrzył na mnie inaczej, przynajmniej o ile mogłam się zorientować. Nie mogłam uwierzyć, że to prawda. Ale jeżeli to prawda... To jakby kolejny ciężar, który ktoś zdjął z moich ramion. Co za ulga, że wiedział. Teraz wreszcie nie było między nami tajemnic. Najwyższy czas, bo wkrótce miała się skończyć nasza włóczęga.

– Wiesz, jak brzmi dewiza stanu Wirginia? – spytał. – Sic semper tyrannis, co znaczy...

– „Taki jest los tyranów” – dokończyłam za niego. Roger popatrzył na mnie z uznaniem. – Słowa Booth’a po tym, jak zastrzelił Lincolna – dodałam.

– Nieźle – stwierdził z uznaniem.

Wzięłam głęboki wdech i teraz już powiedziałam mu o tym, czego nie byłam w stanie wydusić z siebie pięć dni wcześniej.

– Mój ojciec był nauczycielem historii. – Usłyszałam własne słowa i nawet nie mrugnęłam okiem, chociaż zdałam sobie sprawę, że użyłam czasu przeszłego. – A to był jego ulubiony okres.

– Całkiem ciekawe czasy – stwierdził Roger. Zerknął na mnie tak, jakby chciał sprawdzić, czy zgadzam się z tymi słowami. – Lubił Lincolna?

Przypomniały mi się notatki dotyczące zabitego prezydenta na kartce, którą znalazłam w ulubionej książce mojego taty, tej książce, którą zabrałam ze sobą na wyprawę przez kraj.

– Prawie tak samo jak Elvise.



– Tak więc – stwierdził Roger dwie godziny później, po tym, jak przyciszył „Into the Woods” z mojego miksu – szukamy Dairy Queen – spojrzał przez okno.

– Zgadza się – potwierdziłam. Wjechaliśmy na główną ulicę. Przejechaliśmy tę i jeszcze kilka innych ulic, ale wszystkie wyglądały zbyt porządnie jak na to, żebyśmy mieli tam znaleźć Dairy

Queen. Udało się nam dopiero po dwudziestu minutach, wyłącznie dzięki temu, że zajechaliśmy na stację benzynową i wypytałam o drogę. Skierowano nas do innej dzielnicy, trochę mniej eleganckiej, gdzie było więcej punktów spieniężania czeków oraz sklepów z alkoholem niż butików i coffee shopów, które przeważały, gdy znaleźliśmy się w mieście.

– Tam – powiedział Roger i wskazał palcem. W rzeczy samej, ujrzałam jeszcze ciemny czerwono-biały szyld Dairy Queen, tuż obok przystanku autokarów Greyhound. Zajechaliśmy na parking. Spojrzałam na tablicę z napisem, dobre dwa, trzy metry nad nami – najwyraźniej na tyle wysoko, żeby nie zawadzały o nią autobusy. Napis głosił: PRZYJAZDY ODJAZDY, tak jakby jedno i drugie odbywało się w tym samym miejscu. I zresztą chyba rzeczywiście tak było.

– No, dobra – powiedziałam. Roger wyłączył silnik, wysiedliśmy oboje – Roger, żeby rozprostować nogi. – Zaraz wracam. Chcesz coś?

– Blizzard byłby spełnieniem moich marzeń – usłyszałam.

– Ale jaki?

– Zrób mi niespodziankę.

– Załatwione – zapewniłam. Przyjrzałam się dokładnie temu Dairy Queen i zorientowałam się, że to był taki mały punkt, w którym serwowali tylko na wynos, z kontuarem, przy którym można było zamawiać, ale bez miejsc do siedzenia. To tłumaczyło zdumiewającą liczbę ludzi jedzących lody w samochodach lub siedzących na tylnych zderzakach swoich wozów.

Podeszłam do okienka, wyciągnęłam list Wuzi z kieszeni. Pozostawało mi mieć nadzieję, że nie był aż tak walnięty, żeby zrobić mnie w konia, bo nie chciałam poświęcać zbyt wiele czasu na poszukiwania kogoś imieniem Corey ani tłumaczyć szczegółowo, o co chodzi – pracownikom czy komukolwiek innemu.

Idąc przez parking, obejrzałam się w stronę samochodu. Roger zajął zwykłe miejsce „w ładowni”, czyli z tyłu samochodu, ze zwieszonymi nogami.

– Dzień dobry – odezwałam się do znudzonego sprzedawcy, który miał na głowie czapkę Dairy Queen odwróconą tył naprzód.

– Czym mogę służyć? – spytał i westchnął ciężko.

– Mam sprawę – powiedziałam. – Wuz dał mi to dla Coreya. Możesz przekazać? – położyłam kopertę na kontuarze. Byłam ciekawa, czy to tajemne hasło cokolwiek dla niego znaczy.

– W porządku – odparł, wziął kopertę i schował ją pod ladę. Miał przy tym absolutnie obojętny wyraz twarzy, jakby codziennie przekazywał różne listy i wiadomości i jakby było to jego zwykłe zajęcie, oprócz wydawania mlecznych smakołyków. – Coś jeszcze?

– W zasadzie tak – przyznałam, trochę zaskoczona, że tak gładko poszło. – Chwilę...

Przyjrzałam się menu i od razu wiedziałam, co sprawi przyjemność Rogerowi: „Reese’s Pieces Blizzard” z lodami waniliowymi i czekoladowymi. Po chwili wahania wybrałam też dla siebie: „Oreo Blizzard”. Zapłaciłam i ruszyłam z powrotem, wciąż w szoku, że najtrudniejszą częścią mojej misji okazał się wybór czegoś z menu.

Wyszłam z powrotem na parking i zobaczyłam Rogera, który machał nogami. Miał na sobie ciemne okulary, chociaż było pochmurno.

I wtedy coś we mnie zaskoczyło, coś się przestawiło. Zupełnie tak samo poczułam się, kiedy zaproponowałam, żebyśmy pojechali do Yosemite. I kiedy nagle zrozumiałam, że muszę pobiec do terenówki Luciena, i sięść za kierownicą. To było podobne uczucie, kiedy wspięłam się na parapet i wpadłam do tego pokoju w Promises Kept. Czyli takie wrażenie, jakie się ma, kiedy człowiek zamierza coś zrobić i nie jest pewien, co z tego wyniknie. Jakbym skakała w ciemno, mogąc tylko mieć nadzieję, że bezpiecznie wyląduję.

Siadłam obok Rogera i odstawiłam wielkie styropianowe kubki na bok, obok koła zapasowego.

– Hej – odezwał się i zdjął ciemne okulary. – Przyniosłaś mi coś dobrego?

– Chyba tak – odpowiedziałam, usiłując nie zwracać uwagi na to, jak wali mi serce. I zanim zdążyłam zmienić zdanie albo się zawahać, albo zastanowić się nad tym, co właściwie robię, pochyliłam się i pocałowałam go.

מחירים ומרחקים



BLUE RIDGE DINER  
Asheville, NC  
"GO HEELS!"

Table #7  
Customers: 2  
Server: Jennie

2 orders pancakes	\$3.99/ ea.
1 side bacon	\$2.00
1 root beer	\$1.50
1 cream soda	\$1.50
<b>Total:</b>	<b>\$12.98</b>

THANK YOU  
FOR YOUR BUSINESS





## Miejsca i miejscowości...

**stan #11:** Karolina Północna – „Stan smoły na piętach”. Podobno dlatego, że żołnierze z tego stanu tak – trzymali się w szeregu, jakby przykleili się do smoły. Hm...

**dewiza:** Esse quam videri („Raczej być niż stwarzać pozory“)

**wielkość:** no, Utah to to nie jest

**ciekawostki:** a raczej fakty; góry Blue Ridge są przepiękne

**uwagi:** pracownicy ośrodka odwykowego wykazują się niemałą podejrzliwością



**stan #12:** Wirginia – „Matka Prezydentów” (stąd pochodziło aż ośmiu!)

**dewiza:** Sic semper tyrannis („Zawsze taki los tyranów“)

**wielkość:** większy od Zachodniej Wirginii

**ciekawostki:** Ale i tak mniejszy niż Utah. Wszystko wydaje się mniejsze niż Utah.<sup>6</sup>

**uwagi:** ani wzmianki o tym, czy stan ten wierzy w świętego Mikołaja<sup>7</sup>

*Country roads, take me home to the place I belong.*  
– *John Denver*

Pocałowałam go, a on pocałował mnie. Tylko przez chwilę, ale jednak, trochę jakby odruchowo, ale jednocześnie tak, jakbyśmy to robili już od dawna. Potem jednak odsunął się.

– Amy – powiedział cicho... Nigdy przedtem nie wymówił mojego imienia w ten sposób i chociaż się odsunął, to właśnie była odpowiedź, na którą czekałam, której mi było trzeba. Pogłaskał mnie po policzku. – Nie wie...

Ale na szczęście ja wiedziałam. Więc pocałowałam go znowu. Tym razem naprawdę odpowiedział, głaskał mnie po włosach, potem po plecach i po szyi. I całowaliśmy się, jak tonący chwyta powietrze – jakbyśmy nagle odkryli coś dotąd nieznanego albo coś, co nigdy przedtem nie smakowało tak wybornie.

A potem przystopowaliśmy trochę, żeby złapać powietrze i całowaliśmy się delikatnie, bardziej czule. Wtedy zrozumiałam w jednej chwili, dlaczego na tej tablicy Greyhounda przyjazdy i odjazdy znalazły się obok siebie, niczym nieoddzielone. Otóż dlatego, że tak jak w tamtej chwili, czasami to dokładnie jedno i to samo.

– O rany – wyszeptał w moje włosy, kiedy przestaliśmy. Minęło może dziesięć minut. A może godzina, kto wie? Naprawdę, nie byłam w stanie ocenić. Pogłaskał mnie po włosach. – Od dawna miałem na to ochotę.

– Poważnie? – spytałam. To wszystko było tak nierealne, że aż bałam się w to uwierzyć.

– Och, tak – powiedział. – Na pewno już w Kansas. Jeżeli nie wcześniej.

– Blizzard? – spytałam, podając mu koktajl.

Wziął ode mnie kubek, pocałował mnie znowu, upił łyk.

– Bezblędny – pochwalił i uśmiechnął się. – Orzechowy?

Potwierdziłam skinieniem głowy. Upił kolejny łyk, z ręką na

moim kolanie.

Zaczerpnęłam tchu, pochyliłam się i znowu go pocałowałam. Tym razem smakował lodami. Mogłabym tak bez końca, smakować pocałunek Rogera, nieważne, co po tym miało się stać, mniejsza o rozpościerające się przed nami drogi, wiodące w dal, w nieskończoność.

Wtedy zaczęło kropić.

Odsunęliśmy się od siebie, spojrzałam na niebo, które ciemniało z minuty na minutę, a zapowiadało się, że będzie jeszcze gorzej. Zerwaliśmy się z miejsca, Roger zatrzasnął klapę. Pobiegliśmy do przodu i ledwo zatrzasnęliśmy drzwi, ulewa rozpętała się na dobre.

– O rany – powiedziałam, wyglądając przez okno.

– Zgadza się – przytaknął Roger. Sięgnął ze swojego miejsca i położył dłoń na moim kolanie. Serce biło mi mocno, wciąż nie mogłam uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. – To co, jedziemy dalej? – spytał.

Rozejrzałam się po parkingu, teraz prawie opustoszałym. Sprzedawca z Dairy Queen naciągnął kaptur na bejsbolówkę.

– Chyba tak – odgarnęłam mokre włosy z czoła i twarzy. Pomyślałam, że nasz wspólny czas właśnie się kończy, że wszystko się zaczyna, a nasza wyprawa ma się ku końcowi. Ale co miałam zrobić?

Roger znów pogłaskał mnie po policzku. A potem uruchomił silnik i wyjechaliśmy z parkingu.

Miejsca i miejscowości...

**stan #13:** Maryland. The Old Line State

**dewiza:** Fatt maschii, parole femine (Mężczyźni to czyny, kobiety to słowa). Aha!

**wielkość:** malutki

**ciekawostki:** Oficjalnym napojem tego stanu jest mleko. Kto by przypuszczał, że istnieje coś takiego, jak oficjalny napój stanu???

**uwagi:** NIE POZWÓLCIE Rogerowi rozprawiać na temat

serialu Prawo ulicy, kiedy jedziecie przez Maryland. BO TEGO  
POŻAŁUJECIE.

# TOWSON INN

TOWSON, MARYLAND

*"Welcome!"*

**Date:**  
6/12

**Name:**  
Mr. Edmund Udell & Ms. Hillary Udell

**Stay Duration:**  
1 Night

**Cost of Room:**  
\$89

*Cost of room includes dinner at the Inn Resta*

# DO NOT



***Może teraz – kiedy się tak wiele ma do stracenia i tak wiele do zyskania: Pensylwanię, Maryland, cały świat  
– William Faulkner, Intruz, przekład Ewy Życieńskiej***

Kiedy dotarliśmy do Maryland, rozpadało się jeszcze bardziej. Nigdy dotąd nie widziałam tak gwałtownej i nagłej ulewy – w każdym razie nie w lecie – ale pomyślałam, że może na Wschodnim Wybrzeżu zdarzają się częściej. Wiedziałam, że będę musiała się nauczyć całej masy nowych rzeczy, jeżeli chodzi o pogodę. Ba, może się zdarzyć, że będę miała do czynienia z prawdziwą zimą. Może nawet ze śniegiem.

W każdym razie, deszcz bębnił w samochód jak oszalały. Roger przełączył wycieraczki na maksymalną prędkość, włączył światła, a i tak ledwo widzieliśmy pasy namalowane na nawierzchni.

– Kiepsko – stwierdziłam, podając mu okulary.

– Dziękuję – powiedział, uśmiechnął się, nie odrywając oczu od drogi. Włożył je. Zmrużył oczy. – Miałem nadzieję, że się rozjaśni, ale jakoś się na to nie zanosi.

Coraz częściej pojawiały się tablice reklamujące motele czy knajpy, więc wyglądało na to, że zbliżamy się do jakiegoś większego miasta.

– Wiesz co – odezwałam się, starałam się na niego nie patrzeć i czułam, że się czerwienię – naprawdę robi się słabo.

– Owszem – zgodził się ze mną Roger.

– Więc może – powiedziałam szybko – może powinniśmy się zatrzymać, zanim zrobi się jeszcze gorzej. Znajdziemy jakieś tanie miejsce na nocleg.

Roger spojrział na mnie, potem znów na drogę. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Poważnie? – spytał. – Jesteś pewna?

– Jestem bardzo pewna – powiedziałam, czując, że też się uśmiecham.

– Ale czy nas na to stać?

– Chyba damy radę.

Prawdę mówiąc, nie bardzo mogliśmy sobie na to pozwolić, ale istniała szansa, że się uda. A zresztą, nawet gdyby zabrakło nam na benzynę, samochód był ubezpieczony i polisa obejmowała takie przypadki.

Roger spojrzął na mnie, potwierdziłam skinieniem głowy.

Przy najbliższym zjeździe wrzucił kierunkowskaz i skręcił.



Państwo Udell zameldowali się w recepcji. Nikt o nas nie pytał, więc poszliśmy do naszego pokoju. Otworzyłam drzwi kartą. Było to jedno z najbardziej obskurnych miejsc, w jakich się zatrzymaliśmy, ale wcale mi to nie przeszkadzało. Łóżko było ogromne. Usłane było wzorzystą kapą, która jak zapewniła nas panienka w recepcji, stanowiła wierną replikę autentycznej holenderskiej tkaniny z Pensylwanii, a dokładniej z Lancaster County. Rzecz w tym – a wiedziałam, że także Roger zdaje sobie z tego sprawę – że teraz jedno wspólne łóżko znaczyło dla nas coś całkiem innego niż dotychczas.

– Wykąpię się szybciotko – zapowiedziałam, żeby rozładować napięcie, które nagle i znikąd się pojawiło... – Mam wrazenie, jakbym nie kąpała się od roku.

– Aha – powiedział Roger. Wsadził ręce do kieszeni, potem wyjął je, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Kiedy zobaczyłam, że też jest zdenerwowany, od razu zrobiło mi się trochę różnie.

Walizkę wzięłam ze sobą do łazienki, bo nie chciałam się przy nim przebierać. Właściwie to śmieszne, bo od jakiegoś czasu praktycznie bez przerwy byliśmy razem, więc Roger widział mnie w każdym możliwym stanie, łącznie ze stanem całkowitej rozsypki zaraz po przebudzeniu. Owszem, nie miało to żadnego sensu, ale jednak chciałam tego wieczoru wyglądać ładnie. Bądź co bądź w cenę pokoju wliczona była kolacja. Traktowałam to jak naszą



pierwszą randkę.

Wzięłam długą, gorącą kąpiel, wykorzystując przy tym szampony, mydełka i płyny do kąpieli gwizdnięte z różnych hoteli w (prawie) całej Ameryce. Wysuszyłam włosy suszarką, uważając, żeby ich nie przegrzać. Może tylko mi się zdawało, ale odniosłam wrażenie, że nie wypada mi ich już tak dużo jak przedtem. Otworzyłam walizkę, żeby znaleźć na ten wieczór coś specjalnego. Bronwyn spakowała ciuchy według pewnego systemu, mianowicie T-shirty i tank-topy na wierzchu. Jak dotąd niczego więcej nie potrzebowałam. Byłam jednak pewna, że widziałam na dnie poskładaną starannie sukienkę. Dotarłam więc do najgłębszych pokładów i rzeczywiście, była tam. Jedna, jedyna – ale jaka! Przyjrzałam się jej i podziękowałam w duchu Bronwyn jeszcze raz za te wszystkie fantastyczne ciuchy. Otóż sukienka była długa, w błękitnym kolorze, z dekoltem w serduszko. A poza tym uszyta była z niewiarygodnie mięciutkiego materiału: kiedy przyjrzałam mu się bliżej, spostrzegłam, że leciutko błyszczał. Krótko mówiąc, ciuch o wiele, ale to o wiele za bardzo wyszukany jak na hotelową knajpę. Było to jednak dokładnie to, czego potrzebowałam na ten wieczór. Zaraz potem wpadł mi w oko zestaw bielizny, który też mi podarowała. Popatrzyłam, popatrzyłam – i założyłam. Potem sukienka, a do tego wszystkiego makijaż – trochę mocniejszy niż zwykle, nawet nieco cieni na powiekach. Przyjrzałam się swojemu odbiciu, odetchnęłam głęboko i wyszłam z łazienki.

Roger siedział na skraju łóżka, wstał na mój widok. Zauważyłam, że też się przebrał. Miał na sobie spodnie khaki i elegancką koszulę.

– Hej – odezwałam się pierwsza. – Fajnie wyglądasz.

– Ty też – odpowiedział i uśmiechnął się do mnie.

Już miałam zbyć ten komplement machnięciem ręki albo powiedzieć, że to wszystko zasługa Bronwyn, albo zażartować... Ale nie. Nie tym razem.

– Dziękuję.

– Idziemy? – spytał. Wyciągnął do mnie rękę. Ujęliśmy swe dłonie, spleliśmy palce.

– No – powiedziałam.

## *Behind closed doors...*

– *Charlie Rich*

W lobby hotelu Towson Inn był kominek, w którym płonął ogień. Siedliśmy z Rogerem na kanapie. Kolacja była wspaniała, chociaż żarcie okazało się raczej takie sobie, a my byliśmy najbardziej wystrojonymi gośćmi. Jednak to nie miało żadnego znaczenia. Trzymaliśmy się za ręce pod stołem.

A więc siedzieliśmy przed kominkiem, na kanapie i coraz częściej, na coraz dłuższy czas milkliśmy oboje. W pewnym momencie oparłam głowę o pierś Rogera. On zaś przytulił mnie, a wtedy uściśnęłam jego dłoń i wstałam. Wstałam ostrożnie, bo nie jestem przyzwyczajona do takich długich sukienek, nie chciałam rymsnąć jak długa i w ten sposób zepsuć cały nastrój. No, ale nie przewróciłam się. On popatrzył na mnie, a ja wyciągnęłam do niego rękę.

– Idziemy na górę? – spytałam.

Roger ujął moją dłoń obiema dłońmi, ale jeszcze nie wstał.

– Słuchaj – powiedział. Narysował palcem kółeczko na wierzchu mojej dłoni. – Nie chcę, żeby ci się wydawało, że coś, że to jakaś presja. Że czegoś od ciebie wymagam... Czy ja wiem, chciałbym, żebyś była pewna, zanim...

– Roger – powiedziałam. Umilkł, spojrzał na mnie. – Idziemy na górę? – spytałam znowu i uśmiechnęłam się do niego. Moje serce waliło jak oszalałe, byłam strasznie spięta. Ale spięta w dobry sposób. Tak, jak człowiek jest spięty, zanim zdarzy się coś naprawdę fajnego.

Wstał wreszcie, dalej trzymał mnie za rękę.

– Na pewno?

Skinęłam głową, pocałowałam go. A on pocałował mnie i całowaliśmy się przez dłuższą chwilę. I potem żadne z nas nie miało już wątpliwości, że czas udać się na górę. Do windy weszliśmy zataczając się, bo całowaliśmy się bez przerwy i

całowaliśmy się dalej, dopóki winda nie zatrzymała się na naszym piętrze. Potem wypadliśmy z niej, śmialiśmy się, całowaliśmy się i jednocześnie próbowaliśmy iść. Drzwi udało nam się otworzyć już za trzecim razem. Znaleźliśmy się w pokoju. Dobrał się do moich ramiączek, a ja wyciągnęłam jego koszulę ze spodni i już rozpinałam guziki, a przez cały czas się całowaliśmy – i wtedy naprawdę o mało się nie wywaliłam przez moją sukienkę. Ale zanim znaleźliśmy się w łóżku, pamiętałam, żeby zasunąć zasłony w oknie.



– Hej – szepnęłam kilka godzin później. Przeciągnęłam się i pocałowałam go w nagie ramię. – Śpisz?

– Nie – odpowiedział i uśmiechnął się, nie otwierając oczu. Przewrócił się na plecy, a ja wtoczyłam się na niego, oparłam głowę na jego piersi. Po chwili uświadomiłam sobie, że słyszę bicie jego serca. Zamknęłam oczy, a on pogładził mnie po włosach. – Pięć pytań? – spytał. Nie podnosząc głowy, wykonałam nią przeczący ruch. – No, to jedno?

– Wiesz, że to się liczy za pytanie? – powiedziałam. Uniosłam się nieco, żeby na niego spojrzeć.

– To nie fair – stwierdził.  
– Uczyłam się u mistrzów. Ale niech ci będzie – zgodziłam się.

– Jedno.  
Przesunął palcem po moim podbródku, spoważniał.  
– Tu i teraz. W tej chwili. Czy jesteś szczęśliwa?  
Wyciągnęłam się, żeby go pocałować, nim odpowiedziałam:

– Tak. Nawet bardzo – zerknęłam na niego, ciągle był strasznie poważny. – A ty?

Skinął głową i wyciągnął ramię, na którym leżałam. Przewrócił się na bok, ja razem z nim, twarzą w twarz. Nasze stopy spotkały się i splotły ze sobą, jakby robiły to od zawsze. Same z siebie.

– Tak – powiedział. – Aż za bardzo.

Przytuliłam się do niego. Zdawałam sobie sprawę, że w pewnym momencie będziemy musieli omówić parę spraw. Że będziemy musieli się rozstać. Pożegnać się, chociaż Roger nie uznawał pożegnań. Jednak jeszcze nie chciałam o tym myśleć. Zamknęłam oczy.

***You've Got a Friend in Pennsylvania... – hasło widniejące na tablicach rejestracyjnych samochodów ze stanu Pensylwania***

– Jesteś pewna? – spytał Roger z fotela pasażera.

Poprawiłam lusterko, jeszcze raz sprawdziłam, czy mam wygodny dostęp do pedałów. Odetchnęłam głęboko i dostrzegłam w bocznym lusterku własny uśmiech.

– Pewnie, że jestem pewna – powiedziałam. Kiedy rankiem tego dnia wyszliśmy z hotelu Towson Inn, podeszłam prosto do drzwi po stronie kierownicy. Chciałam przynajmniej spróbować. Sprawdzić, czy dam radę.

– I jak się czujesz? – spytał.

– Chyba dobrze – odpowiedziałam. Położyłam dłonie na kierownicy, na dziesiątej dziesięć. Roger wyciągnął rękę, dotknął moją prawą dłoń.

– Poradzisz sobie – zapewnił. – Tylko bez pośpiechu. A jakby co, jestem obok.

– Dobrze – powiedziałam. – Bardzo dobrze.

Zacisnęłam usta i odpaliłam silnik. Jego pomruk sprawił mi przyjemność, więc bez problemu wrzuciłam bieg i ruszyłam.

– Wszystko w porządku? – spytał, kiedy bardzo ostrożnie wyjechałam na szosę.

– Raczej tak – stwierdziłam. Zahamowałam na światłach. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo się koncentruję. Jednocześnie jednak miałam świadomość, że wszystko jest pod kontrolą. Wiedziałam, że za chwilę będzie łatwiej, zwłaszcza kiedy znajdziemy się na autostradzie, gdzie nie trzeba będzie ciągle się zatrzymywać i potem ruszać.

– Jakaś muzyka? – spytał Roger.

– Może za chwilę – zaproponowałam, bo jakoś chyba cofnęłam się do tamtych czasów, kiedy potrzebowałam ciszy, żeby móc prowadzić. – Próbuję się skoncentrować.

– Ależ oczywiście – powiedział. Rozparł się wygodnie w

fotelu. – Nie ma sprawy. Całkiem odpowiada mi to miejsce. Spokój, cisza. Jak dla mnie, możesz prowadzić przez resztę drogi.

Zabrzmiało to znacząco, chociaż pewnie nie miał tego zamiaru. Aż nazbyt znacząco. Przecież to był już koniec naszej drogi. No, prawie koniec.

Wyjechałam na autostradę i na środkowy pas. Zawsze lubiłam jechać środkowym pasem. Jak dla mnie, na lewym trzeba było jechać zbyt szybko, a na prawym było za ciasno. Przyspieszyłam do siedemdziesięciu mil na godzinę – jechaliśmy już z taką samą prędkością, co większość samochodów, więc rozluźniłam się. Wszystko było w porządku. Może nie sprawiało mi to takiej samej przyjemności jak kiedyś, ale mogłam prowadzić i prowadziłam. I dobrze mi z tym było.



Roger zaproponował, żebyśmy zatrzymali się w jednym z przydrożnych dinerów. Ogłaszało się ich całe mnóstwo, najwyraźniej Pensylwania jest krainą takich przydrożnych knajp. Jednak dopiero gdy zobaczyłam ogłoszenie fast-foodu z hamburgerami, poczułam prawdziwy głód i uznałam, że pora na lunch.

Wzięliśmy hamburgery na wynos, a potem zajechaliśmy w najodleglejszy kąt parkingu. Jedliśmy z tyłu, jak zawsze machając nogami, a między nami stały torebki pełne frytek.

– Pycha – stwierdził Roger. Prawie już uporał się ze swoim hamburgerem. – Może jednak stan Pensylwania ma jakieś zalety.

Skosztowałam mojego hamburgera i rzeczywiście, okazał się naprawdę smaczny. Poprawiłam ciemne okulary. I zdałam sobie sprawę, że siadamy w tym samym miejscu i obzeramy się hamburgerami, odkąd w pierwszym dniu naszej wycieczki zajrzeliśmy do In-N-Out w Kalifornii. Od tego dnia, kiedy postanowiliśmy pojechać inną drogą i tylko trochę dłuższą. Zerknęłam na Rogera, który w ciągu tych kilku dni stał się dla mnie kimś bardzo bliskim.





**BURGERTOWN, USA**  
Linwood, Pennsylvania  
6/13

2 burgers/	5.50
2 fries/	3.00
Cream soda/Root beer/	2.95

**TO GO**

**Total: 11.45**

**Thank you!!  
Come back soon!**

– Chcesz ostatnią? – spytał i przysunął do mnie torebkę z frytkami. Właściwie – po frytkach.

– Nie, jedz do syta. Pochłonął więc ostatnią frytkę i wstał, a ja wcisnęłam wszystkie śmieci do jednej torby. Roger zatrzasnął klapę z tyłu, a potem wziął mnie za rękę, delikatnie i ostrożnie, jakby wciąż nie był pewien, czy wolno mu to robić.

– Może teraz ja poprowadzę, Hillary? – spytał.

Wyciągnęłam drugą ręką kluczyki z kieszeni i potrząsnęłam nimi.

– Nie ma mowy, Edmundzie.



Jechaliśmy jeszcze przez godzinę, nim stwierdziłam, że możemy puścić muzykę. Roger sporządził ostatnią playlistę, rozpoznałam na niej kilka kapel, które zdążyłam polubić – a których przedtem w ogóle nie znałam. Podśpiewywałam, a Roger wybijał palcami takt.

Zastanawiałam się, jaki dalszy ciąg dnia mnie czeka. Rozważałam scenariusze z Rogerem, który wraca razem ze mną, a potem zbiera opierdół od mojej matki. A przynajmniej ja zbieram, a on stoi i słucha. Na przykład w kuchni. W kuchni, w której na lodówce nie ma ani jednego magnesu. Nie. Nie chciałam, żeby ktoś był świadkiem naszego pożegnania – chociaż to akurat słowo było zakazane.

Spojrzałam na wskaźnik paliwa, właściwie mieliśmy już pusty bak. Zjechałam na stację Sunoco.

– Mam pomysł – powiedziałam, kiedy już się tam znaleźliśmy i wyłączyłam silnik. Roger popatrzył na mnie pytająco. – Może bym podrzuciła cię do Filadelfii, a potem pojechała sama do Connecticut?

Roger od razu potrząsnął głową.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł.

– Ależ tak – zapewniłam go. Naprawdę. Właśnie, że to ma sens.

Roger wysiadł z samochodu i otworzył wlew paliwa. Widać było, że się zastanawia. Poszłam tymczasem do sklepiku, żeby zapłacić z góry gotówką. Miałam nadzieję, że starczy nam aż do Filadelfii. Kiedy wróciłam, Roger lał benzynę.

– Sam widzisz, że mogę prowadzić – przypomniałam mu. Starłam owadzi cementarz z szyby. – Więc nie ma problemu. A nie ma sensu, żebyś jechał ze mną do Connecticut i potem wracał pociągiem do Filadelfii.

– Ale przecież dopiero co zaczęłaś na nowo prowadzić – zaoponował Roger. Zamknął wlew. – Uważam, że jeszcze nie powinnaś jeździć sama.

Przygięłam z powrotem wycieraczki i podeszłam do niego.

– Nic mi nie będzie – oświadczyłam. – Poza tym chciałabym ci oszczędzić rozprawy z moją matką.

Objął mnie, a ja przywarłam do niego. Trwało to chwilę, aż ktoś za nami zatrąbił, bo koniecznie i natychmiast musiał zatankować. Wręczyłam Rogerowi kluczyki. Siadł za kierownicą, a ja znowu na fotelu obok. Rozpoczął się ostatni etap naszej podróży.

Miejsca i miejscowości...

**stan #14:** Pensylwania – Stan Kluczowy

**dewiza:** Cnota, wolność i niepodległość!

**wielkość:** Zaskakująco duży. Właściwie całe Szczęście, że nie musieliśmy przejeżdżać przez ten stan w najszerszym miejscu.

**ciekawostki:** Oficjalnym napojem tego stanu jest RÓWNIEŻ mleko. Natomiast na tablicach rejestracyjnych figuruje zapewnienie; „Masz przyjaciela w Pensylwanii“.

**uwagi:** no i gdzie ci przyjaciele?

**OSTATNIA PLAYLISTA ROGERA**

**„Pensylwano, oto nny” albo „Koniec wędrówki”**

**TYTUŁ**

**WYKONAWCA**

**„How to S«y Goodbye”**

**Paul Ternan**  
**„it-'ll All Work Out'**  
**Torn PeHy and the**

**Hearlbreakers**  
**„The Trees and the Wild”**  
**Malt Pond PA**

**„No Myth”**  
**Michael Penn**  
**„Slouj Pony Horne”**

**The Weepies**  
**„How We Roll”**  
**Plushgun**

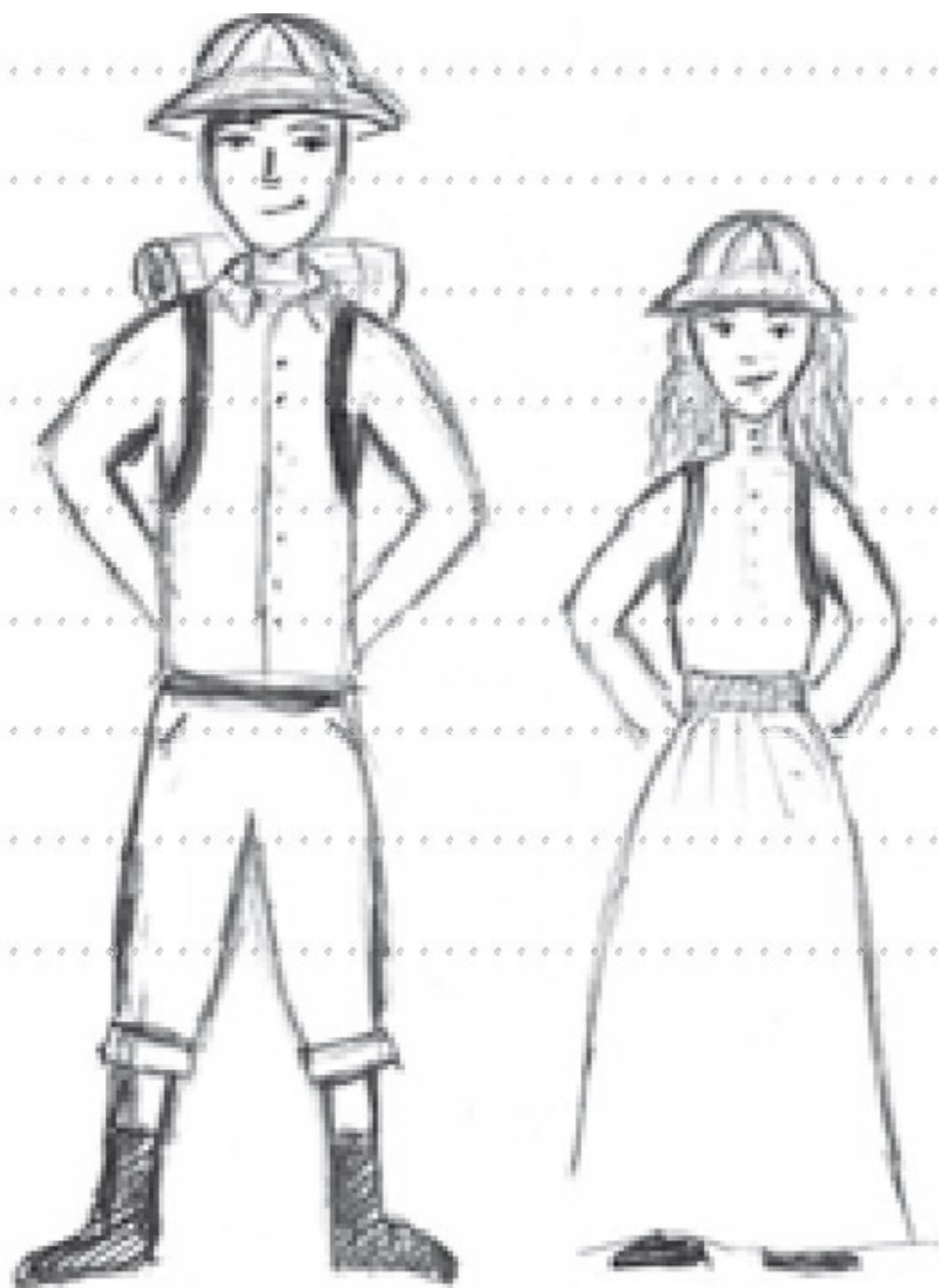
**„The Resolution”**  
**Jack's Mannequin**  
**„World Spins Madly On”**

**The Weepies**  
**„Signal Fire”**  
**Snou) Pa+rol**

**„L\_iv/e to Tell the Tale”**  
**Passion Pit**  
**„Whats So Sad**

**(About\* Feeling Good)?”**

**Sen Lee**  
**„Young Folks”**  
**Pe+er, Bjom John**



Stynni odkryway, Edmund i Hillary

*Good-bye, so long, farewell...*

*– Paul Tiernan*

Dwadzieścia mil przed Filadelfią zaczęłam pękać. Tablice informujące o tym, ile jeszcze zostało nam do przejechania, ustawili tam chyba co kilka metrów. Roger trzymał mnie za rękę i prowadził drugą. Trudno mi było na niego nawet spojrzeć, już wolałam gapić się przez okno. Nie umiałam sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy za kilka minut się rozstaniemy.

– Co tam? W porządku? – spytał Roger, wjeżdżając w jakąś ulicę.

– Niezbyt – odpowiedziałam, wciąż wyglądałam przez okno.

– Cóż, chyba jesteśmy prawie na miejscu – powiedział. Zwolnił, zaczął sprawdzać numery domów.

– Nie powiem, żebym jakoś bardzo się z tego cieszyła – powiedziałam, starając się mówić to tonem beztruskim, co zupełnie mi się nie udało. Roger zerknął w moją stronę, potem zjechał na bok. Znajdowaliśmy się między dwoma domami. – To tutaj? – spytałam, zdezorientowana.

– Mniej więcej – powiedział. Spojrzał na telefon, w którym miał adres, a potem na odległy o parę metrów podjazd. – Chciałem tylko pogadać.

Wyłączył silnik, ale nie wyjął kluczyków ze stacyjki. Odwrócił się do mnie, rozpiął najpierw swój pas, potem mój.

– A teraz co? – spytałam. Miałam nadzieję, że chociaż on ma jakiś pomysł.

– Czy ja wiem? – powiedział. Przysunął się do mnie. – Teraz ja tam pójdę, a ty pojedziesz do Connecticut. A wieczorem zadzwonię i porozmawiamy.

– Nie – powiedziałam. – Nie o to mi chodzi. Co teraz z nami? – spytałam. Serce waliło mi jak młot.

Uśmiechnął się.

– To ty jesteś nawigatorem. To ty powinnaś wiedzieć, dokąd

zmierzasz i jaką drogą.

– Niby tak – przyznałam. – Ale...

– Posłuchaj, przecież właśnie mamy za sobą wyprawę.

Gdybyśmy nie pojechali dłuższą drogą, dawno byłoby po wszystkim. A po drodze zobaczylibyśmy tylko Tulsę.

– To prawda – powiedziałam. W porównaniu z trasą wyznaczoną przez moją matkę, nasza wycieczka była sto razy ciekawsza.

– A więc, moim zdaniem, powinniśmy być otwarci na to, co się zdarzy – stwierdził. – A tak dokładnie, to przecież nie wiemy, co stanie się dalej.

– Tak, ale ja po prostu chciałabym wiedzieć, czy... – przerwałam, bo zdałam sobie sprawę, że nie potrafię skończyć tego zdania. Bo czego tak naprawdę chciałam? Czegoś w rodzaju gwarancji, a tego nie mógł mi dać. Tego nikt nie mógł mi dać.

– Amy – odezwał się Roger. Wymówił moje imię tak, jakby składało się z samych dobrych liter. – Nie spodziewałem się, że tak będzie. A ty?

– Pewnie, że nie.

– No, właśnie. Też próbuję to wszystko zrozumieć. A co zdarzy się później, tego nikt nie wie. Możemy tylko się domyślać. Zgadywać. Na bieżąco. Zgadza się?

– Owszem – powiedziałam powoli. – Ale...

– Właściwie powinienem się tego spodziewać – przerwał mi takim tonem, jakby mu właśnie przyszła do głowy całkiem nowa myśl. – Zawsze tak jest.

– Jak?

– Największych odkryć dokonują ci, którzy wcale się tego nie spodziewają. W ten sposób Kolumb odkrył Amerykę. Pinzón dotarł do Brazylii, chociaż zamierzał dopłynąć do Indii Zachodnich. Stanley przypadkiem trafił na wodospad Wiktorii. No i ty. Moje odkrycie, którego dokonałem, chociaż wcale na to nie liczyłem.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, chociaż wiedziałam, jak strasznie mi go będzie brakować. To bolało, prawie jakby to był

fizyczny ból.

– Naprawdę? Jestem na tej liście?

– Jesteś na pierwszym miejscu tej listy.

Pochylił się. Całowaliśmy się, długo. A potem już tylko obejmowaliśmy się. Po długiej chwili odsunął się. Skinęłam głową. Wysiedliśmy oboje. Obeszłam samochód, żeby sięść za kierownicą, a tymczasem Roger wyciągnął swój plecak i worek.

– Dobra – powiedziałam.

Pocałowaliśmy się jeszcze raz, uścisnął mnie tak mocno, że aż moje stopy uniosły się nad ziemię.

– Zadzwoń wieczorem – wyszeptał mi do ucha. – Potem coś wykombinujemy. Zobaczysz. – Skinęłam głową, znowu. Roger postawił mnie na ziemi. Wsunął mi do kieszeni spodni jakiś pakuneczek. – Nie otwieraj, zanim nie dojedziesz do Connecticut, dobrze? – Cofnął się i uśmiechnął się do mnie smutno. – I żadnych pożegnań.

– Jasne, jasne – odparłam, siląc się na uśmiech.

– Więc powiem tylko... Do zobaczenia – powiedział. Postąpił kilka kroków w stronę domu swojego ojca.

– Jesteśmy w kontakcie – rzuciłam.

– Trzymaj się – rzucił, odchodząc dalej.

– Na razie – zawołałam.

– Do usłyszenia, dzwონka – zawołał, wciąż idąc tyłem.

– I do zobaczenia wkrótce – zawołałam w odpowiedzi.

Był już przy samym podjeździe, pomachał mi ręką.

Pomachałam do niego. Aż wreszcie odwrócił się i poszedł, a ja zostałam sama przy samochodzie.

**\* Playlist« Amy #3 \***

„U kresu” albo „Początek“

TYTUŁ

WYKONAWCA

„Ali Shook Up”

Elvis Presley



„I Guess This is Goodbye”  
Into – the Woods  
„New Music”  
Ragtime  
„The Joy You Feel”  
The Light in – the Piazza  
„i’d Do Anything”  
Oliver!  
„Goodbye Until Tomorrow”  
The Last Five Years  
„All That I Am”  
Elvis Presley  
„it Would Have Been Wonderful”  
A Little Night Music  
„We’re Okay”  
Rent  
„With So Urttle – to Be Sure Of”  
Anyone Can Whistle  
„Come What May”  
Elvis Presley

*Into the woods, then out of the woods, and home before dark.*  
– *Stephen Sondheim*

Trzy godziny później minęłam tablicę, z której dowiedziałam się, że właśnie jestem już w stanie Connecticut. Zajechałam na pierwszy parking, jaki się nadarzył. Wyłączyłam silnik. Wyjęłam z kieszeni to coś, co dostałam od Rogera. To coś zawinięte było w kartkę z napisem:

Razem z Tobą  
odkryłem Amerykę



- dziękuję Ci za to.

W środku był magnes, a na nim napis AMERYKA. Zważyłam go w dłoni, myśląc jednocześnie o naszej wyprawie. O ludziach, których spotkaliśmy i o tym wszystkim, co widzieliśmy po drodze.

Jeszcze raz przeczytałam, co napisał. Jasne, nie wiedziałam, co zdarzy się dalej. Jasne, zdawałam sobie sprawę, że nigdy nie ma żadnej gwarancji. Na nic. Rzeczy straszne, potworne, mogą się wydarzyć wtedy, kiedy najmniej się ich spodziewamy, w słoneczny niedzielny poranek. A potem trzeba z tym żyć, z dnia na dzień,

codziennie. Jednak najwyraźniej zdarzyć się mogą też rzeczy wspaniałe. Czasem życie do czegoś nas zmusi, a potem okazuje się, że po drodze kogoś spotkamy... I nawet nie wiemy, że potem wszystko się zmieni.

Wysiadłam z samochodu, żeby rozprostować nogi. Po raz pierwszy rozejrzałam się po Connecticut. Ładnie tam było – zdałam sobie z tego sprawę nie bez zdziwienia, bo w końcu byłam tylko na parkingu.

Wyciągnęłam mapę stanu, którą kupiłam na stacji benzynowej i rozłożyłam ją... Aż nagle uświadomiłam sobie, że przecież nie znam adresu mojej matki. Mojego nowego adresu. Zaczynałam już myśleć o tym hipotetycznym miejscu jako o prawdziwym domu, bo w końcu miałam się tam znaleźć za jakąś godzinę czy coś koło tego. Nie potrafiłam go sobie wyobrazić, miałam tylko nadzieję, że matka pomyślała już o Internecie, bo przecież musiałam koniecznie wysłać zaległy od tyłu miesiąc mejl do Julii. Wyjęłam telefon, żeby zadzwonić do mamy. Sądziłam, że nie odbierze i znowu się nagram, ale ku mojemu zaskoczeniu odpowiedziała już po drugim sygnale.

– Amy? – odezwała się, trochę jakby niepewnym głosem.

– Cześć, mamó – powiedziałam. Gula mi się zrobiła w gardle, na sam dźwięk jej głosu.

– Wszystko w porządku? – spytała takim tonem, że zdałam sobie sprawę, jak się niepokoiła. – Co z tobą?

– Wszystko okej – powiedziałam pospiesznie i wyraźnie usłyszałam, jak odetchnęła z ulgą. – Nic się nie dzieje. Już jestem w Connecticut.

– Co? Już jesteś? – Chyba ją zaskoczyłam. – Z Rogerem?

– Nie, sama – wyjaśniłam. Niesamowite, ale tak właśnie było. – Kilka godzin temu odwiozłam Rogera do ojca.

– Odwiozłaś go? – W jej głosie słychać było coraz większe zdumienie. – Jak to? To znaczy, że prowadzisz?

– Owszem, prowadzę – potwierdziłam.

W ciszy, która nastąpiła potem, usłyszałam wszystko, co zdarzyło się podczas tej podróży. Przebyłam długą drogę.

Dosłownie też, ale przede wszystkim w przenośni.

– Aha – odezwała się, chyba nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– No... To świetnie. Świetnie, że... – urwała. – Tylko nie myśl sobie, że zapomniałam, co nabroiłaś – starała się to powiedzieć surowym tonem, ale trochę jej nie wyszło. – Żebyś wiedziała. Będziemy musiały porozmawiać o konsekwencjach.

– Owszem, będziemy musiały porozmawiać. O wielu różnych rzeczach – stwierdziłam. – Mam nadzieję, że będziesz chciała ze mną rozmawiać.

– Ja... No, tak – powiedziała mama. Powoli, pomału chyba docierało do niej, o czym mówię. Zresztą nawet gdyby nie, zawsze mogłam jej to wyjaśnić później.

– To co, podasz mi adres? – spytałam. – Właśnie przekroczyłam granicę stanu.

– Ależ oczywiście – zreflektowała się mama. Podyktowała mi adres i wytłumaczyła, jak dojechać. Przez chwilę milczyłyśmy obie.

– Dobra – powiedziałam po jakimś czasie. – W takim razie...

– Jadłaś coś? – nagle i niespodziewanie zainteresowała się moja mama. – Bo właśnie miałam robić obiad. Ale jeżeli nie jadłaś, to zaczekam.

– Nie, nie jadłam.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, jaka jestem głodna. Myśl o domowym posiłku wydała mi się nad wyraz kusząca.

– Dobrze, to zaczekam – powiedziała. – Tylko uważaj i nie jedź za prędko.

– Dobrze, mam – obiecałam. – Do zobaczenia.

Rozłączyłam się i wsiaadłam z powrotem do samochodu. Magnes od Rogera umieściłam w torebce. Zobaczyłam przy okazji, że cały czas mam w niej książkę – Żywność, benzyna i dach nad głową – książkę, która przebyła ze mną całą tę podróż. Otworzyłam na stronie z zakładką taty. I wiedziałam od razu, że przeczytam do samego końca. Przecież koniecznie musiałam się dowiedzieć, co będzie dalej. Mimo że nie pogadam już o tym z

ojcem. Ale kto wie, może za to porozmawiam z Charlie'em, kiedy już wróci z tego swojego odwyku.

Wyglądałam mapę stanu Connecticut, wtedy zauważyłam dewizę wypisaną pod nazwą, obok trzech krzewów winorośli: Kto przesadza, podtrzymuje.

Patrzyłam i patrzyłam, przez długi czas. Co prawda, jak dowiedziałam się z informacji dla turystów wydrukowanej na odwrocie mapy, ta dewiza przyświecała Connecticut już od długiego czasu, bo od 1622 roku, ale uznałam to za dobry znak. Znak, który pozwalał mieć nadzieję, że będzie mi tu dobrze. Że chociaż zmienił się mój świat, w tym innym też będę mogła żyć – jak roślina, którą ktoś po prostu przesadził w inne miejsce.

Patrzyłam jeszcze przez chwilę, potem zaś dotarło do mnie, że jeśli będę nadal zwlekać, spóźnię się na obiad. Wskoczyłam do wozu, potem przewinęłam moją playlistę, dopóki nie natrafiłam na piosenkę Elvisa. A jeszcze potem uruchomiłam kierunkowskaz, podgłośniłam muzykę i wyjechałam na autostradę.

Philly's Best Cheesesteak!  
Liberty Place  
Philadelphia, PA

July 19  
Table: 5  
Server: Ron  
Customers: 2

1 Cheesesteak	6.25
1 Deluxe Cheesesteak	6.75
2 orders fries	4.00
Root Beer/med	1.25
Cream Soda	1.25

Total: 19.50

Thank you!!  
Come back soon!





*Wtóż zęga to sztuka*

Morgan Matson

Pytanie, jakie chyba najczęściej zadają mi czytelnicy tej książki brzmi: czy naprawdę przebyłaś tę drogę? A odpowiedź brzmi: tak.

Zawsze uwielbiałam takie wycieczki. Kiedy tylko dostałam prawo jazdy, po prostu nie mogłam usiedzieć w miejscu, ciągnęło mnie za granice mojego miasta, musiałam koniecznie dowiedzieć się, jak jest w następnym mieście, i w następnym, a wszystko tylko dlatego, że tam mnie nie było. Wychowałam się w Connecticut, ale studiowałam w Kalifornii, toteż moja pierwsza podróż odbyła się w kierunku odwrotnym niż wyprawa Amy i Rogera, chociaż w zasadzie tą samą trasą. Wtedy zasmakowałam w takich wycieczkach i zrozumiałam, jak wielkim i pięknym krajem jest Ameryka. Pięć lat później, kiedy wracałam na Wschód, znowu musiałam przejechać samochodem przez cały kraj. Wtedy uświadomiłam sobie, że przemieszczając się w przestrzeni, jednocześnie dokonuję czegoś więcej. Że taka wędrówka ma również głębsze znaczenie.

Pierwszy zarys tej książki powstał na bazie moich pierwszych dwóch wypraw, jednak brakowało mi znajomości miejsc, które koniecznie musieli odwiedzić bohaterowie powieści – Graceland, Kentucky, Kolorado. W owym zarysie było sporo luk, a wiedziałam, że nie mogę pisać o jakimś miejscu, dopóki go nie odwiedzę. Tak więc przedstawiłam zarys fabuły wydawnictwu, a potem wsiadłam w samolot do Los Angeles, gdzie wynajęłam samochód i ruszyłam w drogę. Tą właśnie trasą, którą opisałam w książce. W firmie, od której wynajęłam samochód, zadeklarowałam, że potrwa to dziesięć dni. Maksimum dwa tygodnie.

Droga zajęła mi jednak cały miesiąc.

I zapłaciłam za wynajem tego samochodu – no, sporo.

Tak to bowiem jest z wyprawami. Kiedy człowiek rusza w drogę, nawet jeżeli sądzi, że wie, dokąd się udaje, włóczęga rządzi się swoimi własnymi prawami. Zmieniałam trasę, zbaczałam z drogi, aż w końcu zupełnie zrezygnowałam z oryginalnej,

wyznaczonej marszruty. Złożyłam wizytę mojej babci w Wichita, gdzie raczyłam się przysmakami z NuWay; stwierdziłam, że strasznie mi się podoba Memphis, więc zostałam tam o wiele dłuższej, niż zamierzałam, i słuchałam bluesa, a potem w Karolinie Południowej spotkałam kumpla z dawnych czasów i trafiło mi się najlepsze barbecue, jakie kiedykolwiek jadłam. Doznałam istnego szoku, kiedy w Kolorado zatrzymał mnie śnieg – przecież był maj, a w maju nie powinien padać śnieg. Rzecz jasna, sporo szczegółów z tej wycieczki znalazło się w książce – na przykład hotel Brown w Louisville czy NuWay, a zwłaszcza najsamotniejsza droga Ameryki. Tak samo jak Amy i Roger, przejechałam przez Yosemite w odwrotnym kierunku niż większość odwiedzających i właściwie niechcący oraz przypadkiem wylądowałam na drodze numer pięćdziesiąt. Było trochę strasznie, bo jechałam zupełnie sama, nie zawsze miałam zasięg w telefonie i doskonale zdawałam sobie sprawę, że nie potrafię zmienić koła... Ale kiedy znowu dotarłam do cywilizacji, już wiedziałam, że jestem gotowa, żeby napisać tę powieść.

Taka wyprawa przez kraj w poszukiwaniu materiału do książki była znakomitym doświadczeniem. Po drodze zdarzyło mi się wszystko, na co miałam nadzieję – to znaczy, odbyłam prawdziwą wyprawę, spotkało mnie mnóstwo niespodziewanych zdarzeń i zobaczyłam wiele nowych miejsc, jadłam pyszne rzeczy i oczywiście słuchałam świetnej muzyki. Przez całą drogę zestawiałam coraz to nowe playlisty, starając się przy tym, żeby w ten czy inny sposób oddawały charakter okolic, przez które jechałam. Sporo z tych piosenek znajduje się na playlistach Rogera. A zdjęcia w książce to zdjęcia, które zrobiłam po drodze. Na następnych stronach znajdziecie ich nieco więcej, co pozwoli wam zapoznać się w pewnym sensie z „kulisami” tej opowieści. Mam nadzieję, że wam się spodoba!



Wyruszam w podróż czerwonym jeepem Liberty. Jak widać, jestem pisarką dbającą o wierność szczegółów.







Najsamotniejsza z dróg.







Dewiza stanu Kansas – świetna, nie?









Chyba jesteśmy  
w Louisville.







Płatki i bekon. Słodka herbata. Mniam!





## *Przestrogi na drodze*

1. Przymaki i przeboje. To wam na drogę zaleca Roger i ma rację. Jedno oraz drugie jest niezbędne podczas wycieczki!

2. Ubierz się odpowiednio. Tu nie chodzi o modę i szyk (Wiem, wiem, wiem. Bronwyn by się ze mną nie zgodziła). Jednak jeżeli zamierzasz spędzić w samochodzie tyle godzin, ile zamierzasz, włóż na siebie coś wygodnego, a jeżeli jesteś pasażerem/pasażerką, trzymaj nogi w górze! To dobre na krążenie.

3. Zaslona przeciwsłoneczna chroni cię przed światłem słonecznym. Polecam!

4. Dobrze jest mieć ze sobą mapę. Naprawdę warto się orientować, dokąd jedziesz i jak tam dojechać najkrótszą drogą. To nie jest dobry pomysł, żeby zdać się wyłącznie na GPS – bo GPS czasem nie może połączyć się z satelitami, a czasem nagle system stwierdza, że adres, pod który chcesz się udać, po prostu nie istnieje. Coś takiego zdarzyło mi się w Karolinie Południowej.

5. Nie, nie. Mapy to kiepski pomysł. Kiedy już wiesz, dokąd chcesz dojechać i jak tam dojechać, schowaj mapę. I GPS też wyłącz. Poczucie wolności jest bezcenne, przecież zawsze możesz zjechać gdzieś w bok, pojechać zupełnie inną drogą albo po prostu zabłądzić. Włóczęga właśnie na tym polega, bo nie chodzi o to, żeby po prostu dotrzeć z punktu A do punktu B.

6. Bądź w kontakcie. Nigdy nie wyruszaj w drogę bez telefonu komórkowego. Z naładowaną baterią!

7. Pomoc drogowa. Dokładnie tak. Nie ruszaj się z domu bez ubezpieczenia! Na przykład ja uwielbiam prowadzić samochód, ale w życiu nie potrafiłabym zmienić koła. Więc jeżeli ty również nie masz pojęcia, jak się uporać z takimi problemami, nigdy nie zapominaj o ubezpieczeniu oraz o tym, żeby mieć przy sobie namiary na pomoc drogową.

8. Unikaj autostrad, odwiedzaj małe miasteczka i oglądaj, przyglądaj się, zwiedzaj.

9. Korzystaj z przydrożnych knajp. Jeżeli jesteś w USA, możesz liczyć tam na najlepsze mleczne szejki.

10. Sprawdzaj fast-foody, których nie znasz!

11. Pamiątkowych magnesów nigdy zbyt wiele!

12. BAW SIĘ DOBRZE!

### Miks na wyprawę

Poniżej znajdziesz mój najnowszy miks na wędrowki, właśnie tego teraz słucham, dlatego, że tak mi się podoba i dlatego, że te kawałki znakomicie brzmią podczas jazdy.

„King of the Road”

Roger Miller

„Big Country”

(Live) Bela Fleck and the Flecktones

„Let’s Get Away from It All”

Frank Sinatra

„Souvenirs”

Architecture in Helsinki

„Road Regrets”

Dan Mangan

„Australia”

The Shins

„The Magic Position”

Patrick Wolf

„King of Spain”

The Tallest Man On Earth

„You Make My Dreams”

Hall & Oates

„The Tip of the Iceberg”

Owl City

„Moth’s Wings”

Passion Pit

„Spitting Fire”

The Boxer Rebellion

„Your Ex-Lover Is Dead”

Stars  
„Losing Keys”  
(Katalyst Remix) Jack Johnson  
„You Can Call Me Al”  
Paul Simon  
„Country Air”  
The Beach Boys  
„Water and Bridges”  
(Acoustic) Dashboard Confessional  
„America”  
Razorlight  
„Off We Go”  
Trent Dabbs  
„Take It Easy”  
The Eagles  
„Watching the Wheels”  
John Lennon  
„Jezebel”  
Two Hours Traffic  
„Unknown Legend”  
Neil Young  
„Headlights on Dark Roads”  
Snow Patrol  
„Hey Now Now”  
The Cloud Room  
„Wolf Like Me”  
TV On the Radio  
„The Road”  
Jackson Browne  
„Strangers in a Car”  
Marc Cohn  
„La Cienega Just Smiled”  
Ryan Adams

Aha, i opowiedzcie mi koniecznie o swoich włączkach – bo przecież nie ma lepszego sposobu, żeby dowiedzieć się, co, jak i



gdzie, a zwłaszcza, gdzie należy się pożywić. Znajdziecie mnie na Twecie pod adresem @morgan\_m albo zajrzyjcie pod „trips” na stronie [www.morganmatson.com](http://www.morganmatson.com), gdzie możecie podzielić się ze mną swoimi opowieściami z wycieczek – i wrzucić swoje playlisty. Nowa muza zawsze mile widziana!

Szerokiej drogi i superzabawy!

Morgan

KONIEC

## **Podziękowania**

*Po pierwsze i przede wszystkim winna jestem ogromne, serdeczne podziękowania Aleksandrze Cooper, redaktorce, o jakiej wprost marzy każdy pisarz. Dziękuję z całego serca za wyśmienitą redakcję, cierpliwość, życzliwość i uśmiech. Bez Ciebie nie odważyłabym się wyruszyć w tę podróż.*

*Dziękuję Rosemary Stimoli, wyjątkowej agentce, będącej źródłem nieskończonej mądrości.*

*Wielkie, wielkie dzięki i wyrazy ogromnej wdzięczności dla wszystkich w wydawnictwie Simon & Schuster za to, że potrafią przekraczać granice i wznosić się ponad poziomy. Szczególne dzięki Justinowi Chand, Lizzy Bromley, Kriście Vossen oraz Julii Maguire.*

*Książka ta wywodzi swój początek z programu MFA w New School. Winna jestem wyrazy podziękowań i całe tuziny ciasteczek wydziałowi oraz współstudentom – za ich nieoceniony wkład. Są to: David Levithan, Tor Seidler, Sarah Weeks, Amalia Ellison, Lucas Klauss, Maude Bond, Lisa Preziosi, Zach Miller i Reinhardt Suarez.*

*Dziękuję mojej mamie, Jane Finn, za wsparcie i zachętę – oraz za to, że przewiozła mnie volkswagenem cabrio z dziewięćdziesiątego ósmego roku przez cały kraj. Dwa razy!*

*Jenny Han i Siobhan Vivian – dziękuję Wam, że byłyście moimi koleżankami po piórze w różnych kafejkach na Brooklynie i że pomagałyście mi znaleźć słowa, gdy mnie ich zabrakło. Również za wspólne objadanie się ciasteczkami.*

*Dziękuję Jasonowi Matsonowi, Loli i Jessemu Meyersom, Laurze Martin, Naomi Cutner i Kate Stayman-London.*

*A ponad wszystko dziękuję Amalii Ellison, mojej najlepszej przyjaciółce. Bez Ciebie nie byłoby tej książki i nie byłoby też wielu innych rzeczy.*



<sup>1</sup> Król (the King) – przydomek Elvisa Presleya.

<sup>2</sup> Ostrzeżenie takie oznacza, że na drogę może wyjść swobodnie pasące się bydło.

<sup>3</sup> who's here?; kto – to? kto idzie?

<sup>4</sup> bluegrass – czyli błękitna trawa. W rzeczywistości trawa w tym stanie jest zielona, tylko w okresie kwitnienia przybiera niebieskawy odcień. Bluegrass to także odmiana muzyki country.

<sup>5</sup> Nawiązanie do „Czarnoksiężnika z Oz”.

<sup>6</sup> W rzeczywistości Utah jest w USA trzynastym stanem pod względem wielkości.

<sup>7</sup> Od popularnego w USA powiedzonka: „Yes, Virginia, there is a Santa Claus” – „Tak, Wirginio, święty Mikołaj istnieje”. Oryginalnie to odpowiedź gazety „The Sun” z roku 1897 na pytanie zadane przez ośmioletnią czytelniczkę, Virginię O’Hanlon, która chciała się dowiedzieć, czy Mikołaj (w Ameryce Santa Claus) istnieje.

